

Juliusz Verne

W p³omieniach indyjskiego buntu

Powieœææ podr³ownicza w 2 tomach

99 ilustracji L. Benetta et 2 mapy czarno-bia³e

Nak³adem ksiêgarni Dra Maksymiljana Bodeka, 1925

SPIS TREœCI

[Tom I 3](#)

[Rozdzia³ I 3](#)

[CENA ZA GŁOWÊ. 3](#)

[Rozdzia³ II 9](#)

[PUŁKOWNIK MUNRO. 9](#)

[Rozdzia³ III 16](#)

[BUNT SIPAJÓW. 16](#)

[Rozdzia³ IV 23](#)

[W GŁÊBI JASKIÑ ELLORY. 23](#)

[Rozdzia³ V 29](#)

[OLBRZYM STALOWY. 29](#)

[Rozdzia³ VI 34](#)

[PIERWSZE ETAPY. 34](#)

[Rozdzia³ VII 40](#)

[PIELGRZYMI NAD RZEK¥ PHALGOU. 40](#)

[Rozdzia³ VIII 47](#)

[KILKA GODZIN W BENARES. 47](#)

[Rozdzia³ IX 54](#)

[ALLAHABAD. 54](#)

[Rozdzia³ X 60](#)

[VIA DOLOROSA. 60](#)

[Rozdzia³ XI 65](#)

[ZMIANA MUSSONU. 65](#)

[Rozdzia³ XII 72](#)

[WIERÓD FALIOGNA. 72](#)

[Rozdzia³ XIII 78](#)

[BOHATERSKIE CZYNY KAPITANA HODA. 78](#)

[Rozdzia³ XIV 84](#)

[JEDEN PRZECIW TRZEM. 84](#)

[Rozdzia³ XV 91](#)

[PAAL TANDIT. 91](#)

[Rozdzia³ XVI 95](#)

[BŁĘDNY OGNIK. 95](#)

[Tom II 100](#)

[Rozdzia³ I 100](#)

[NASZE SANATORJUM. 100](#)

[Rozdzia³ II 104](#)

[MATEUSZ VAN GUITT. 104](#)

[Rozdzia³ III 110](#)

[KRAAL. 110](#)

[Rozdzia³ IV 115](#)

[KRÓLOWA TARRYANI. 115](#)

[Rozdzia³ V 125](#)

[NOCNY NAPAD. 125](#)

[Rozdzia³ VI 132](#)

[POŁĘGNANIE Z MATEUSZEM VAN GUITT. 132](#)

[Rozdzia³ VII 137](#)

[PRZEPŁYNIĘCIE BETWY. 137](#)

[Rozdzia³ VIII 145](#)

[HOD PRZECIW BANKSOWI. 145](#)

[Rozdzia³ IX 150](#)

[STU PRZECIW JEDNEMU. 150](#)

[Rozdzia³ X 156](#)

[JEZIORO PUTURIA. 156](#)

[Rozdzia³ XI 164](#)

[OKO W OKO. 164](#)

[Rozdzia³ XII 171](#)

[PRZED PASZCZYŃ DZIAŁA. 171](#)

[Rozdzia³ XIII 177](#)

[STALOWY OLBRZYM. 177](#)

[Rozdzia³ XIII 182](#)

[PIĘDZIESIĘTY TYGRYS KAPITANA HODA. 182](#)

Tom I

Rozdział I

CENA ZA GŁOWĘ.

Dwa tysiące funtów szterlingów nagrody otrzyma, kto dostawi żywego lub umarzonego jednego z poprzednich przywódców bundu Sipajów, który znajduje się obecnie w okręgu bombajskim, mianowicie naboba Dandu-Pant, znanego pod imieniem...”

Tak brzmiało urzędowe obwieszczenie, które dnia 6. marca 1876 zostało w Aurungabad wieczorem publicznie ogłoszone.

Ostatniego słowa, osławionego nazwiska, które jedni tak bardzo przeklinali, jak je inni potajemnie podziwiali, brakowało na afiszu, przyklepionym niedawno na murze zapadłego bungalowu przy brzegu rzeki Doudha.

Nazwiska tego jednak brakowało po prostu dlatego, że jakiegoś fakira, którego nikt przy brzegu nie zauważył, oddał dołną część afiszu, na której tustemi czcionkami było wydrukowane to imię. Równocześnie znikło nazwisko generalnego gubernatora prezydentury Bombaju, kontrasygnatura podpisu wicekróla Indji.

Co mogło powodować tym fakirem? Czyby się spodziewało, że z podarciem obwieszczenia powstanie z r. 1857 ujdzie sadowej pogoni i groźnego mu zasądzenia? Czyżby mógł wierzyć, że osobistości tak sławnej razem z rozrzuconymi szczątkami papieru nie będzie już można znaleźć?

Byłoby to niemiłe.

Na ścianach domów, placów, wież i hoteli w Aurungabad znajdowały się takie same afisze w olbrzymiej ilości. Prócz tego publiczny wywoływacz przechodził przez ulice miasta i głośno odczytywał obwieszczenie gubernatora. Mieszkańcy i najmniejszej dziupli na prowincji już wiedzieli, że przyrzeczono prawdziwy majątek za ujęcie i dostawienie Dandu-Panta. Przed upływem dwunastu godzin musiałyby jego napróchno wydarte nazwisko w całej prowincji być w ustach wszystkich. Jeżeli wiadomości byłyby prawdziwe, jeżeli nabob szukał rzeczywiście w tej części Hindostanu schronienia, to musiał przecieć bez wątplenia, prędzej czy później wpadnąć w czyjeś ręce, bo przecieć leżało jego ujęcie w interesie wszystkich.

Jakiem więc uczuciem był. powodowany ów fakir, jeżeli podarł jeden egzemplarz tysiącrotnie już rozpowszechnionego obwieszczenia?

Najprawdopodobniej uczuciem gniewu, może wewnętrznej pogardy, bo poruszył przytem świątkami i udał się potem bez oznaki troski do najludniejszej, a przytem najbiedniejszej części miasta.

„Dekkan” nazywają większą, część wschodniego półwyspu indyjskiego pomiędzy zachodnimi a wschodnimi górami Ghats. Zazwyczaj oznacza się tą nazwą także całą południową część Indji, po tej części Gangesu. Dekkan, którego imię w sanskrycie oznacza południe, skąd się z wielu

provincyj, prezydentur Madras i Bombaj. Jedn¹ z najwazniejszych pomiędzy nimi jest Aurungabad, której stolica kiedyś uchodziła za stolicę całego Dekkanu.

W XVII. stuleciu ustanowił syn cesarza mongolskiego Aurung-Zeb swój dwór według porządku tego miasta, które już w najdawniejszych dziejach Hindostanu jest znane pod nazwiskiem Kirkhi. Liczyło ono wtedy sto tysięcy mieszkańców, około pięćdziesiąt tysięcy pod władzą angielską, którzy zarządzają nim zamiast „nizama” z Hajderabadu. Jest ono jednak jedn¹ z najbardziej zdrowotnych miejscowości półwyspu, a straszna cholera azjatycka i febra, która zdiesiątkowała ludność w Indjach, oszczędziły je.

Aurungabad przechowuje wspomnienie szczątki dawnej świetności. Pałac Wielkiego Mogła wzniesiony na prawym brzegu Doudmy, pomnik sułtana-obłubienicy Schah-Jahan, ojca Aurung-Zeb, meczet nacielony podług Padja-d’Agra, który wznosi swoje cztery minarety na około kopuły kształtnie zaokrąglonej, inne pomniki artystycznie zbudowane i bogato ozdobione świadczą o wielkości i potęgę jednego z najznakomitszych zdobywców Hindostanu, który wniósł to królestwo, przychywszy do niego Kabul i Assam, do nieznanej potęgi i dobrobytu. Chociaż ludność od owego czasu w Aurungabad znacznie się zmniejszyła, jak mówiliśmy wyżej, to jednakowoż jeden człowiek mógłby ukryć się pośród tych typów tak różnorodnych, z których się składało to miasto.

Brak ten prawdziwy, czy udany zmięszany z pospółstwem, nie odróżnia się od niego niczem. Podobnych jemu w Indjach jest obfitość wielka. Tworzą oni z tak zwanymi „Sayed” zakon religijnych żebraków, którzy proszą o jałmużnę przechodniów pieszo czy konno, a jeżeli nie uzyskają jej dobrowolnie, to umieją ją wymóc podstępem. Nie wzgardzą oni rolą męczenników z własnej woli i doznają wielkiego poważania u klas niższych ludu indyjskiego.

Fakir, o którym mowa, był to człowiek wzrostu wysokiego, a jeżeli przeszedł czterdziestkę, to nie o więcej jak o rok lub dwa. Twarz jego przypominała piękny typ maharattów, szczególnie blaskiem czarnych jego oczu zawsze ożywionych, ale pięknych rysów jego rasy trudno byłoby dopatrzeć się pod celadami osy, która pokryła mu twarz. Człowiek ten jeszcze w sile wieku, był giętki a silny. Znak szczególniejszy: brakowało mu jednego palca u lewej ręki. Włosy miał farbowane na czerwono, chodził prawie na pół nagi, bez obuwia, na głowie turban, ledwie okryty lichym kolorowym koszulkiem, paskiem przepasanym. Na piersiach jego widać było symbol dwóch pierwiastków mitologii indyjskiej, twórcy i niszczy, głowę Iwa czwartego wcielenia Wisznu, troje oczu i symboliczny trójzłoty srogiego Sziwy.

W Aurungabad po ulicach, a szczególnie po tych lichszych zaułkach, gdzie przemieszkują tłumy kosmopolityczne niskich warstw widoczne było wielkie wzruszenie, łatwo dające się wytłumaczyć. Tam to tłumy roiły się przed rudkami, które im służyły za mieszkania. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy Europejczycy czy krajowcy, żołnierze z regimentów królewskich czy regimentów krajowców, żebracy różnego rodzaju, wieśniacy okoliczni, wszystko to spotykało się, gwarzyło, giestykulowało, dowodziło, rozmyślało nad możebnością pozyskania nagrody, obiecanej przez rząd. I przed kołem loteryjnym, które wyciąga wielkie losy na dwa tysiące funtów szterlingów, wzruszenie nie byłoby większe. Można nawet dodać, że tym razem nikogo nie było, któryby nie miał szansy wyciągnięcia dobrego numeru, którym była głowa Dandu-Panta. Szczególniejszego wprawdzie potrzeba było szczęścia i szczególnej też odwagi, by ująć naboba.

Fakir widocznie sam jeden pomiędzy wszystkimi, którego nie wabi³a nadzieja pozyskania nagrody, przesuwa³ siê pomiędzy t³umami, zatrzymywa³ czasem, nads³uchuj¹c co mówiono, jak cz³owiek, który móg³by z tego coœ skorzystaæ. Ale nie miêsza³ siê wcale do gadaniny ani jednych ani drugich, a jeœli usta jego milcza³y, to za to uszy i oczy wcale nie wypoczywa³y.

– Dwa tysi¹ce za odkrycie naboba! – wo³a³ jeden, wznosz¹c zaciœniête piêœci ku niebu.

– Nie za odkrycie, ale za pochwycenie, – odrzek³ inny, – to wielka ró¿nica.

– W istocie to cz³owiek, który nie ³atwo da siê pochwyciæ, a pochwycony bronia³ siê bêdzie zajadle.

– A czy¿ nie mówiono tu kiedyœ, ¿e umar³ na febrê w Nepalu?

– Nic w tem nie ma prawdy! Chytry Dandu-Pant chcia³ og³osiæ siê za umar³ego, by tem bezpieczniej móg³ ¿yæ!

– Chodzi³y nawet pog³oski, jakoby go pogrzebano w jego obozie na granicy.

– Fa³szywe grzebanie, ¿eby zwieœæ.

Fakir s³ucha³ bez najmniejszego znaku wzruszenia opowiadania tego ostatniego zdarzenia. Jednakowo¿, cz³o jego zmarszczy³o siê mimowolnie, gdy us³ysza³ Hindusa najbardziej o¿ywionego w grupie, do której siê przy³czy³, opowiadaj¹cego nastêpuj¹ce szczegó³y, szczegó³y tak dok³adne, ¿e niepodobna, by by³y nieprawdziwe:

– To jest pewne, – mówi³ Hindus, – ¿e bogacz w r. 1859 schroni³ siê z bratem swoim Balao Rao i exrad¹ z Gondy, Debi-Bux-Singh, na polu u podnó¿a gór Nepalu. Tam natarci zbliska przez wojsko angielskie, wszyscy trzej postanowili przejœæ granicê indochiñsk¹. Otó¿ nim j¹ przeszli, nabob i dwaj jego towarzysze, a¿eby lepiej uwierzytelniæ pog³oskê o swej œmierci, urz¹dzili sami obrzêd pogrzebowy, ale na pogrzebie tym pochowano jedynie palec lewej rêki ka¿dego, które obciêli sobie podczas ¿a³obnego obrz¹dku.

– Sk¹d¿e ty to wiesz? – zapyta³ jeden ze s³uchaczy Hindusa, który opowiada³ z tak¹ pewnoœci¹.

– By³em obecny przy pogrzebie, – odrzek³ Hindus. – [̄]o³nierze Dandu-Panta wziêli mnie w niewodê, z której dopiero po szeœciu miesi¹cach ledwo zdo³a³em uciec.

Podczas kiedy Hindus opowiada³ tak stanowczo, fakir nie spuszcza³ go z oka. B³yskawic¹ zaiskrzy³y mu siê oczy, schowa³ przezornie rêkê skaleczon¹ pod we³niane ³achmany, które pokrywa³y mu pierœ. S³ucha³ nie mówi¹c ani s³owa, ale wargi jego dr¿a³y odkrywaj¹c zaciœniête zêby.

– A wiêc ty znasz naboba? – pytano by³ego niewolnika Dandu-Panta.

– Tak jest, – odrzek³ Hindus.

– I pozna³byœ go niezawodnie, gdyby przypadek zbli¿y³ was do siebie?

– Tak dobrze, jak poznaję sam siebie.

– Ah, to masz szansę do zarobienia dwu tysięcy funtów, – odpar³ jeden ze s³uchaczy ze Ÿle ukryt¹ zawieci¹.

– Może... – odpowiedzia³ Hindus, – jeżeli prawda, że bogacz by³ o tyle nierozs¹dnym narażae się, zbliżaj¹c się aż do prowincji Bombaj. co jednakże zdaje mi się nieprawdopodobnem.

– A cóżby on tu robi³?

– Chce próbowaæ niezawodnie wywo³aaæ nowe powstanie, – powiedzia³ jeden z grupy, – jeżeli nie wśród Sipajów, to może między mieszkańcami wsi wnętrza kraju.

– Ponieważ jeżeli rz¹d zapewnia o obecności jego w prowincji, – odpar³ jeden z rozmawiaj¹cych, należ¹cy do kategorii ludzi, którzy wierz¹, że w³adza nigdy myliæ się nie może, – to zapewne musia³ byæ dobrze poinformowanym pod tym wzglêdem.

– Byæ może, – odrzek³ Hindus. – Da³by Brahma, żeby Dandu-Pant wszed³ mi w drogê, a szczęæcie moje by³oby zupe³ne.

Fakir cofn¹³ się o parê kroków, lecz nie traci³ z oczu dawnego wiêŸnia bogacza. By³a noc już ciemna, ale ruch na ulicach Aurungabad nie zmniejsza³ się wcale. Rozmowy na temat naboba kr¹ży³y jeszcze żywiej. Tu mówiono, jakoby by³ widziany w samym mieæcie, tam, że już daleko za miastem. Twierdzono równieŸ, że sztafeta z pó³nocy przynios³a wiadomoææ o przyaresztowaniu Dandu-Panta. O dziewi¹tej godzinie wieczorem dobrze poinformowani utrzymywali, że już jest zamkniêty w wiêzieniu miejskim w towarzystwie kilku thugów, którzy tam siedz¹ prawie od lat trzydziestu, i że bêdzie powieszony nazajutrz skoro œwit, nie wyczekuj¹c żadnych formalnoæci, tak jak post¹piono z Tantia-Topi, jego znakomitym towarzyszem rewolucji na placu Sipri. Ale o dziesi¹tej godzinie przysz³y inne znowu przecz¹ce wiadomoæci. Rozesz³a się pog³oska, że wiêzieñ prawie zaraz zdo³a³ umkn¹æ, co rozbudza³o nowe nadzieje dla tych wszystkich, których nêci³a nagroda dwu tysięcy funtów!

W istocie wszystkie te pog³oski by³y fa³szywe. Najlepiej poinformowani nie wiele wiêcej wiedzieli od tych, którzy nic nie wiedzieli. G³owa bogacza wart¹ by³a zawsze swoj¹ cenê, by³a zawsze do wziêcia, i dlatego to ów Hindus, ponieważ zna³ osobiæcie Dandu-Panta, móg³ bardziej jak ktokolwiek obiecywaæ sobie pozyskanie nagrody. Ma³o kto szczególnie w prezydencji Bombaju mia³ sposobnoææ spotkaæ się z dzikim przywódc¹ wielkiego powstania. Bardziej na pó³noc i bardziej w œrodku, w Sindhia, w Bundelkund, w Aude, w okolicach Agry, Delhi, Kanpuru, Lucknow, na ziemiach, które by³y widowni¹ okrucieñstw pope³nianych z jego rozkazów, ca³e t³umy by³yby powsta³y przeciw niemu, aby go wydaæ w³adzom angielskim. Krewni jego ofiar, mêżowie, bracia, dzieci, żony op³akiwali jeszcze dzieæ tych, których nabob kaza³ masakrowaæ setkami. Dziesiêæ lat up³ynê³o, a jednak czas ten nie przygasi³ najs³usznieszego uczucia zemsty i nienawiœci w sercach mieszkańców. To teŸ niepodobieñstwem by³oby, żeby Dandu-Pant tak by³ nierozs¹dnym i odwaŸa³ się zjawiaæ się w tych prowincjach, gdzie imiê jego okryte by³o przekleñstwem i nienawiœci¹ wszystkich. Jeżeli tedy, jak mówiono, przeszed³ on granicê indochiñsk¹, jeżeli jakieœ powody nieznanne, plan powstania lub coœ podobnego, sk³oni³y go do opuszczenia swego

bezpiecznego schronienia, którego wyœledziæ nawet policja anglo-indyjska nie mog³a, to tylko prowincje Dekkanu mog³y mu zapewniæ jakie takie bezpieczeŃstwo.

Widzimy jednak, ¿e wiadomoœæ o pojawieniu siê jego w prezydenturze dosz³a do gubernatora i zaraz na g³owê jego naznaczono tak wysok¹ cenê.

Nadmienia jednak wypada, ¿e w Aurungabad wy¿sze klasy mieszkaŃców nie dowierza³y otrzymanej wiadomoœci. Tyle ju¿ razy rozchodzi³y siê wieœci, ¿e widziano, a nawet schwytano naboba, tyle fa³szywych wieœci kr¹¿y³o o nim, i¿ utworzy³a siê legenda o cudownej wszêdobytnoœci bogacza, a taka by³a jego zrêcznoœæ mylenia poszukiwaŃ najzrêczniejszych nawet agentów policyjnych, i¿ spospólstwo wierzy³o wszystkiemu. W rzêdzie mniej niedowierzaj¹cych naturalnie by³ dawniejszy niewolnik bogacza. Biedak ten olœniony obietnic¹ nagrody, o¿ywiony zreszt¹ pragnieniem zemsty osobistej myœla³ tylko o zetkniêciu siê i uwa¿a³ zwyciêstwo za prawie pewne. Plan jego bardzo by³ prosty. Zaraz nazajutrz mia³ ofiarowaæ us³ugi swoje namiestnikowi, PóŹniej dowiedziawszy siê dok³adnie, co te¿ wiadano tam o Dandu-Pancie, to jest na czym polega³y doniesienia og³aszane na plakatach, postanowi³ zaraz udaæ siê wprost na miejsce, które mu naznacz¹ jako pobyt naboba. Oko³o jedenastej godziny, nas³uchawszy siê tylu ró¿nych zdaŃ, które pomieszane w jego g³owie potwierdza³y go jednak¿e w jego planie, postanowi³ Hindus udaæ siê na spoczynek. Za mieszkanie s³u¿y³a mu ³ódka uwi¹zana u brzegu Dudhmy, tam wiêc zwróci³ swe kroki, marz¹c z nawpó³ zmru¿onemi oczyma.

Nie spodziewa³ siê wcale, ¿e fakir nie spuszcza³ go z oka, szed³ za nim niespostrze¿enie jak cieŃ cichuteŃko, by nie zwróciæ jego uwagi. Na koŃcu ju¿ tej ludnej dzielnicy ulice by³y mniej o¿wione o tej godzinie. G³ówna ulica koŃczy³a siê gdzieœ na wolnym miejscu, które ograniczone by³o brzegami Dudhmy.

By³ to jakby rodzaj pustyni za miastem. Kilku spóŹnionych przechodzi³o jeszcze tamtêdy, lecz widaæ spieszo im by³o dostaæ siê do czêœci miasta wiêcej zaludnionych.

Nied³ugo i odg³os ostatnich kroków ju¿ ucich³, a Hindus nie spostrzeg³ siê wcale, ¿e sam jeden tylko szed³ nad brzegiem rzeki.

Fakir œledzi³ go ci¹gle, wybieraj¹c miejsca najbardziej przyciemnione, czy to pod cieniem drzew, czy to przeœlizguj¹c siê po pod ciemne mury ruin tu i owdzie porzrzucanych. Ostro¿noœæ ta fakira wcale nie by³a zbyt wielk¹, ksiê¿yc w³acenie wychodzi³ z poza chmur i rzuca³ swe blade œwiat³o w przestrzeŃ. Hindus móg³by by³ zauwa¿yæ, ¿e go ktoœ œledzi³, a nawet dochodzi³ coraz bli¿ej, chocia¿ kroków fakira nie zdradza³ najlêjszy nawet szelest, gdy¿ ten boso przesuwa³ siê raczej ni¿ szed³ œladem Hindusa.

Tak up³ynê³o piêæ minut, Hindus zbli¿y³ siê prawie machinalnie do nêdziej ³ódki, w której zwykle noc przepêdza³.

Szed³ jak cz³owiek przyzwyczajony odwiedzaæ co wieczór to miejsce osamotnione. Zatopiony by³ ca³y w tej myœli, ¿e nazajutrz uda siê prosto do namiestnika. Nadzieja, ¿e bêdzie siê móg³ pomœciaæ na bogacza, który wcale nie by³ dla niego uprzejmym podczas niewoli, po³¹czona z dzik¹ ¿¹d¹ zyskania nagrody, czyni³a go œlepym i g³uchym na wszystko.

Najlżejszego nie mia³ nawet przecucia o niebezpieczeństwie, na jakie go narazi³ o nieostrożne jego odezwanie się wśród tłumy, nie widzia³ fakira zbliżaj¹cego się doń coraz bliżej a bliżej.

Wtem nagle jak tygrys fakir rzuci³ się na niego, a promień księżyca odbi³ się na stali sztyletu.

Hindus uderzony gwałtownie w pierze zachwia³ się i potoczy³ na ziemię.

Jednakowoż, choć cios wymierzony był wprawn¹ ręk¹, nieszczeniwy nie wyzion¹³ odrazu ducha. Kilka słów niewyraźnych wymknę³ się z ust jego równocześnie ze strumieniem krwi. Morderca nachyli³ się, podniós³ głowę dogorywającej ofiary i odwróci³ się tak, że promienie księżyca oświetla³ mu twarz.

– Poznajesz mnie? – rzek³.

– To on, – szepn¹³ Hindus.

I imię straszliwe fakira mia³ być ostatnim jego słowem, gdy tymczasem skona³. Za chwilę cia³ Hindusa znik³ w nurtach Dudhmy, która nigdy już nie mia³ go zwrócić.

Fakir poczeka³, aż ucich³ ostatni plusk wody, wróci³ sw¹ drog¹, przeszed³ puste miejsca, następnie przedmieście, które poczyna³ już się wyludniać i szybkim krokiem skierowa³ się ku jednej z bram miasta.

Ale bramę tę zamykano w³acenie, gdy się zbliża³ do niej. Kilku żołnierzy z armji królewskiej strzeg³ przejścia. Fakir nie mógł już opuścić Aurungabad, jak sobie tego życzy³.

– Muszę jednakowoż wyjść, a to nawet tej nocy... lub nie wyszed³bym już z niego nigdy! – mrukn¹³ sam do siebie.

Zawróci³ więc znowu, szed³ wzd³uż murów wewn¹trz i dwieście kroków od bramy usi³owa³ wylec³ na wierzch wa³u.

Szczyt wa³u na zewn¹trz miasta wznosi³ się o jakie pięćdziesiąt stóp ponad fos¹ wykopan¹ pomiędzy szkarpami. By³ to mur prostopad³y bez gzymsu, bez żadnej chropowatości, któraby mog³ a s³użyć w danym razie za punkt oparcia. Zdawa³ się rzecz¹ niepodobn¹, żeby człowiek mógł zesun¹ się po g³adkiej pow³oce tego muru. Po sznurze mógłby być może próbowa³ zlec³, ale pasek, którym opasany był fakir był ledwie na kilka stóp d³ugi, a zatem nie mógł wystarczyć aż na dó³.

Fakir zatrzyma³ się chwilę, spojrze³ naoko³ siebie i rozważy³ co mu wypada³ czynić.

Na szczycie wa³u okr¹gli³ się kilka kopu³ z zieleni drzew otaczaj¹cych jakby wieńcem zielonym Aurungabad. Z zieleni tej wystawa³y d³ugie giętkie ga³ęzie, które mógłby uchwycić, chc¹c się dostać choć z wielkim niebezpieczeństwem na dó³ fosy.

Fakir, skoro tylko przys³a mu ta myśl, nie waha³ się d³ugo. Rzuci³ się na drzewo i za chwilę wida³ go by³ z drugiej strony muru, wiszącego na d³ugiej ga³ęzi, która ugina³a się coraz bardziej pod tym ciężarem. Kiedy się już ga³ę dostatecznie ugię³a i dozwoli³a dotkn¹æ muru, fakir spuści³

się poma³u, jak gdyby po linie z wêz³ami. Tak dosta³ się aż do po³owy muru, ale jakie trzydzieci stóp przedziela³o go jeszcze od ziemi, na której potrzeba by³o stan¹æ, ażeby sobie umożliwić ucieczkê.

I tak uwieszony na rêkach wisia³ w powietrzu szukaj¹c nogami bodaj jakiego szczerbu, któryby móg³ s³użyæ mu za punkt oparcia...

Wtem jak b³yskawica przelecia³o coœ w powietrzu. Wystrza³y zahucza³y, zbiega ujrzeli Ÿo³nierze na warcie, dali ognia, ale strza³y chybi³y, tylko jedna kula trafi³a ga³êŸ, na której wisia³ i naruszy³a j¹ dwa cale ponad g³ow¹.

W dwanaœcie moœe sekund potem ga³Ÿ u³ama³a się, a fakir spad³ do fosy

Kto inny by³by się zabi³, on powsta³ zdrowy i ca³y. Powstae, przeleŸæ drugie szkarpy poœród nowego gradu kul, które go równieŸ nie dosiêg³y, znikn¹æ w cieniach nocy, by³o juŸ tylko igraszk¹ dla zbiega

O dwie mile dalej przechodzi³ niespostrzeŸony ko³o namiotów angielskiego wojska, obozuj¹cego poza murami Aurungabadu. O dwieœcie kroków dalej zatrzymawszy się obróci³ się i podniós³ rêkê skaleczon¹ ku miastu, a wyci¹gaj¹c j¹ wymawia³ te s³owa:

– „Biada tym, którzy wpadn¹ jeszcze kiedykolwiek w moc Dandu-Panta! Anglicy! wyœcie nie skończyli jeszcze z Nan¹ Sahibem!”

Nabob raz jeszcze rzuci³ zdobywcom Indji, jako groŸne wyzwanie, wojenne swoje przezwisko, jedno z najgroŸniejszych z tych wszystkich, które podczas strasznego buntu w 1857 r. tak krwawym zas³ynê³y rozg³osem.

Rozdzia³ II

PUŁKOWNIK MUNRO.

I cóŸ kochany Mauclerze, – rzek³ do mnie inŸynier Banks, – nie opowiadasz nam wcale o twojej podróŸy. Myœla³by kto, Ÿeœe jeszcze nigdy nie wyrza³ poza ParyŸ! JakŸe znachodzisz Indje?

– Indje! – odrzek³em, – aleŸ Ÿeby o nich mówiaæ z jak¹ tak¹ dok³adnoœci¹ potrzeba by przynajmniej je widzieæ!

– Masz tobie, czyŸ nie przejeŸdŸa³œœ w³acenie pó³wyspu z Bombaju do Kalkuty, chyba Ÿeœe by³ ciemnym...

– Nie, nie by³em wcale ciemnym, mój kochany Banksie, ale podczas tej podróŸy by³em oœlepiony.

– Oœlepiony?

– Tak jest, ocalepiony dymem, par¹, py³em i co najbardziej szybkości¹ jazdy. Nie chcę Yle mówić o kolejach żelaznych, ponieważ to twój zawód je budować, mój kochany Banksie, ale wcisnąć się gdzieś w klatkę wagonow¹ i widzieć tylko szyby w drzwiczkach zamiast wszelkich pięknych i ciekawych widoków, pędzić dzień i noc dziesięć mil na godzinę raz po nad przepaście i ska³y z or³ami, to znowu przez tunele w towarzystwie myszy leśnych lub szurów, a nie zatrzymać się nigdzie, chyba na dworcach, które wszystkie jeden jak drugi, widzieć miast zewnętrzne tylko mury albo szczyty wie² i kopu³, być w ci¹g³ym i ustawicznym wirze, nie s³yszeć nic prócz gwizdu lokomotyw i zgrzytu relsów, czy² to znaczy podróżować?

– Dobrze mówi! – wykrzykn¹³ kapitan Hod. – Odpowiedz na to, jeżeli umiesz Banksie! Jakże ty o tem s¹dzisz pu³kowniku?

Pu³kownik, do którego zwróci³ się w³acenie kapitan Hod, sk³oni³ lekko g³ow¹ i odpowiedzia³:

– Jestem ciekawy, co Banks odpowie panu Maucler, naszemu gościowi.

– Tem się wcale nie k³opoczę, – odrzek³ in²ynier – i wyznaję, że Maucler ma s³uszość pod każdym względem.

– Toż jeżeli tak, to na cóż budujesz koleje żelazne?

– Dlatego kapitanie, abyś mógł³, gdy ci pilno, w sześćdziesięciu godzinach dostać się z Kalkuty do Bombaju.

– Mnie nigdy nie pilno.

– Więc dobrze, to w takim razie kapitanie najlepiej podróżuj piechot¹.

– To też w³acenie myśleć tak uczynię.

– Kiedy?

– Wtedy, gdy mój pu³kownik zechce odbyć ze mn¹ piękn¹ przechadzkę przez ocean lub dziewięćset mil po pó³wyspie.

Pu³kownik ucieszył¹³ się tylko i zapad³ w sw¹ zwyk³¹ zadumę, a w takich chwilach nawet najlepsi jego przyjaciele, jak in²ynier Banks i kapitan Rod, z trudnościami¹ s³ówko z niego mogli wydobyć.

– Zaledwie od miesi¹ca bawi³em w Indjach, a przyjechawszy wprost kolej¹ z Kalkuty do Bombaju wcale prawie pó³wyspu nie zna³em.

– Zadaniem moim było zwiedzić najprzód część jej pó³nocn¹ za Gangesem, zwiedzić wszystkie większe miasta, przypatrzeć się g³ówniejszym pomnikom i poświęcić temu zwiedzaniu tyle czasu, ile tylko potrzeba, żeby dok³adnie wszystko poznać. Pozna³em przed kilkoma laty w Paryżu in²yniera Banksa i bardzo zaprzyja³niloemy się ze sob¹. Obieca³em, że go odwiedzę w Kalkucie, jeżeli tylko budowa linii kolejowej Scind Punjab and Delhi, przy której by³em zajęty,

zostanie ukończon¹. Otóż teraz, gdy to nast¹pi³o, Banks mia³ prawo wypocz¹ae parê miesiêcy, zaproponowa³em mu wiêc, Źeby wypoczywaj¹c odbywa³ ze mn¹ podróŹe po Indjach. – e przyj¹³ moj¹ propozycjê z zapa³em, nie ulega Źadnej w¹tpliwoœci. To teŹ mieliœmy wyjechaæ za parê tygodni, jak tylko przyjazna nastanie pora. Przyby³em do Kalkuty w marcu r. 1876, gdzie Banks zaznajomi³ miê z jednym ze swoich dobrych przyjació³, kapitanem Hod; póŹniej przedstawi³ miê przyjacielowi swemu pu³kownikowi Munro, u którego w³acenie spêdzaliœmy wieczór. Pu³kownik móg³ mieæ oko³o 47 lat, zamieszkiwa³ dom trochê odosobniony, leŹ¹cy w dzielnicy europejskiej, a tem samym poza obrêbem ruchu, który znamionuje to miasto handlowe i to czarne miasto, które stanowi¹ g³ówne czêœci stolicy Indji. Czêœæ tê miasta nazywano teŹ „miastem pa³aców” i rzeczywiêcie pa³aców tam nie brakowa³o, jeŹeli w kaŹdym razie nazwaæ moŹna pa³acem mieszkania dlatego, Źe tylko portykami, kolumnami i tarasami przypominaj¹ pa³ace. W Kalkucie spotyka siê wszystkie style architektoniczne, które gust angielski rozpowszechnia w miastach Starego i Nowego Œwiata.

Mieszkanie pu³kownika, by³ to „bungalow” pe³en prostoty, dom parterowy, wzniesiony na podmurowaniu z cegie³, pokryty piramidalnym dachem. Woko³o domu ci¹gnê³a siê weranda, wsparta na lekkiej kolumnadzie. Po obu stronach domu by³y wozownie, kuchnie, stajnie i róŹne zabudowania gospodarskie, a wszystko razem wzniesione by³o w ogrodzie, pe³nym piêknych drzew i otoczonym niewysokim murem. Ca³e urz¹dzenie tego domu dowodzi³o wielkiej zamoŹnoœci w³aciciela.

S³uŹbê mia³ liczn¹ jak to zwykle bywa w domach rodzin indo-angielskich na pó³wyspie. Sprzêty, ruchomoœci i urz¹dzenie wewnêtrzne, wszystko to dowodzi³o, Źe tu niegdyœ rz¹dzi³a rêka roztropnej gospodyni, której obecnie juŹ nie ma.

Zarz¹d s³uŹby i prowadzenie domu zda³ pu³kownik zupe³nie dawnemu towarzyszewi broni, sierŹantowi Mac Neil, który odby³ z nim wszystkie kampanje w Indjach; by³o to jedno z tych poczciwych serc, co bije w piersi dla tych, dla których siê poœwiêca. Mac Neil by³ szkotem, maj¹cy lat czterdzieœci piêæ, silny, ros³y, nosz¹cy d³ug¹ brodê jak wszyscy szkoci-górale. Jego postawa, wyraz twarzy, rysy, a nawet tradycyjny ubiór zdradza³y, Źe s³uŹy³ w armji królewskiej, któr¹ opuœci³ wzi¹wszy dymisjê równoczenie z pu³kownikiem Munro. Obydwaj wyst¹pili z wojska od r. 1860. Ale zamiast wróciæ do rodzinnego kraju, miêdzy odwieczne „klany” swych przodków, obaj pozostali w Indjach i Źyli w Kalkucie w pewnego rodzaju odosobnieniu jakby w rezerwie, co musi byæ bliŹej wyt³ómaczone.

Zanim Banks przedstawi³ miê pu³kownikowi Munro, jedn¹ tylko zrobi³ mi uwagê:

„Nie wspominaj nigdy o powstaniu Sipajów, a szczególnie nie wymów nigdy imienia Nany Sahiba!”

Pu³kownik Munro pochodzi³ ze starodawnej rodziny szkockiej, której przodkowie odznaczyli siê w dziejach Zjednoczonego Królestwa. Zalicza³ do swych przodków s³awnego sir Hector Munro, który dowodzi³ armj¹ bengalsk¹ w 1760 r. i w³acenie st³umi³ powstanie, które o wiek prawie póŹniej Sipajowie mieli podnieœæ na nowo. Major Munro st³umi³ powstanie z nieub³agan¹ surowoœci¹, i bez wahania kaza³ przywi¹zaæ jednego dnia dwudziestu oœmiu powstañców do dzia³a i rozstrzelaæ, – okrutne mêczarnie, które czêsto póŹniej siê powtarza³y podczas powstania 1857 r., a których wynalazc¹ by³ w³acenie moŹe pradziad pu³kownika.

W czasie kiedy Sipajowie podniecili bunt, pułkownik Munro dowodził 93 regimenterem piechoty szkockiej w armji królewskiej.

Przebywał on prawie całą kampanję pod głównym dowództwem sir Jamesa Outrama, bohatera tej wojny, którego sir Karol Napier nazwał „Bajardem armji indyjskiej”. Z nim tedy był pułkownik Munro w Kanpurze, brał także udział w drugiej wyprawie Collin Campbella w Indjach, był przy oblężeniu Lucknowu i nie opuszczał tego znakomitego żołnierza, a kiedy tenże mianowanym został członkiem rady indyjskiej w Kalkucie.

W r. 1858 pułkownik sir Edward Munro został kawalerem orderu „gwiazda Indji” „the Star of India (K.C.S.I.)” i dostał tytuł baroneta, a żona jego byłaby nosiła tytuł lady Munro,[1] gdyby dnia 27. czerwca 1857 r. ta nieszczęśliwa nie zginęła w strasznej rzezi w Kanpurze, rzezi popełnionej pod okiem i z rozkazów Nany Sahiba.

Lady Munro, – przyjaciela pułkownika nigdy jej inaczej nie nazywali, byłaby uwielbianą przez swego męża. Miała zaledwie 27 lat kiedy zginęła z dwustu innymi ofiarami w tej strasznej rzezi. Mistress Orr i miss Jackson, prawie cudownie ocalone po wzięciu Lucknowu przeżyły, jedna swojego męża, druga swojego ojca, lady Munro zaś nie mogła już nigdy być wrócić pułkownikowi Munro.

Zwłoki jej nawet nie mogły być pochowane chrześcijańsku pogrzebane, gdyż niepodobna było odszukać ich pośród ciała tylu nieszczęśliwych ofiar rzuconych razem w jedną ze studzien kanpurskich.

Sir Edward Munro zrozpaczony miał już tylko jednego myśliciela, jednego: znaleźć Nanę Sahiba, którego rzucił angielski ocean na wszystkie strony i wtedy nasycić swoją zemstą, która jak straszne pragnienie trawiła go nieustannie. Aby nie być krępowanym w swoich czynnościach pisał się do dymisji. Sierżant Mac Neil szedł zawsze za nim ciałem w ciałem. A tak ci dwaj ludzie, ożywieni jednym duchem, szli jednym myślicielem, do jednego dążyli celu, rzucali się na każdy trop jego, śledzili każdy ciałem, ale mimo to nie lepiej im się powiodło jak i policji anglo-indyjskiej. Nana Sahib uszedł pomimo wszelkich poszukiwań. Po trzech latach daremnych wysiłków, pułkownik i sierżant musieli chwilowo zaprzestać dalszych poszukiwań. Zresztą w tym czasie pogłoska o śmierci Nany Sahiba krążyła po Indjach z taką cechą prawdziwości, że niepodobna było powierzyć.

Sir Edward Munro i Mac Neil powrócili tedy do Kalkuty, gdzie osiedli w samotnym domu. Tu nie czytują ani księzek, ani dzienników, któreby mogły być przypomnieć mu okrutne chwile powstania, nie wychodzą nigdy z domu, pułkownik żył jak człowiek, którego życie było bez celu. Jednakowoż myśliciel o żonie nie opuszczał go nigdy. Zdawało się, że czas nie wpłynął na niego, był ukojeniem jego ciałem.

Dodać należy, że wiadomości o pojawieniu się Nany w prezydenturze Bombaju, która krążyła od kilku dni, nie doszła do wiadomości pułkownika. I to było bardzo szczęśliwie, bo byłby tej chwili opuścił swe bungalow.

Oto co dowiedziałem się od Banksa, nim mnie wprowadził w ten dom, z którego wszelka radość wygnana była na zawsze. I oto dlaczego trzeba było strzedz się nawet jakiegokolwiek wzmianki tak o buncie Sipajów, jako też o najokrutniejszym z jego przywódców Nana Sahibie.

Dwóch tylko przyjaciół³, przyjaciół³ na życie i śmierć, uczęszcza³o w dom pułkownika, byli nimi inżynier Banks i kapitan Hod.

Banks, jak mówi³em, w³acenie ukończy³ roboty, których by³ się podj¹³ przy budowie kolei żelaznych Great Indian Peninsularline. By³ to człowiek lat czterdzieści pięć liczący, w pełnej sile wieku. Mia³ wprawdzie wziąć czynny udział przy budowie kolei Madras railway mającej po³¹czyć zatokę Arabską z zatoką Bengalską, roboty te jednak mogły zacząć się dopiero za rok. Wypoczywa³ tedy w Kalkucie, zajmując się ciągle różnymi planami mechanicznymi, bo by³ to umysł³ czynny, nieustannie goniący za nowymi odkryciami. Cały swój czas poza zajęciami poświęca³ pułkownikowi, z którym ³¹czyła go dwudziestoletnia przyjaźń. Toteż wszystkie prawie wieczory spędza³ pod werandą w towarzystwie sir Edwarda Munro i kapitana Hod, który także w³acenie uwolni³ się by³ od służby na dziesięć miesięcy. Hod należa³ do pierwszego szwadronu karabinierów królewskich i odby³ w r. 1857 ca³¹ kampanię najprzód z sir Colin Cambellem w Aude i Rohilkhande, później z sir H. Rosem w Indiach środkowych. Kampanja ta skończyła się wzięciem Gwalioru.

Kapitan Hod wychowany w twardej szkole indyjskiej, miał ledwie trzydzieści lat, bród i włosy koloru czerwono blond i by³ znakomitym członkiem klubu w Madras. Chociaż by³ w armii królewskiej, można go by³o jednakowoż wziąć za oficera armii krajowców, tak się już by³ „zindyżowa³” podczas pobytu swego na półwyspie. Uważa³ on Indie za kraj wyjątkowy, za ziemię obiecaną, za krainę szczęśliwą w całym znaczeniu tego wyrazu i jedyną, gdzie człowiek może i powinien żyć. Tutaj w istocie znajduje³ wszystko, co tylko mogło zadowolić jego skłonności. ³o³niez³ z usposobienia miał też sposobność staczania ciętych bojów. Znakomity myśliwy, czyż nie by³ w kraju, gdzie przyroda jakby nagromadziła wszystkie jelenie, rogacze i t. d. i wszystkie zwierzęta skrzydlate i czworonogie dwóch światów? Odważny turysta, czyż nie miał tuż koło siebie tego imponującego ³ącucha gór tybetańskich, w którym znajduje³ się najwyższe szczyty na kuli ziemskiej? Niczem nie zrażony podróżnik, czyż nie mógł kierować krokami swoimi w strony niedostępnych okolic granicy himalajskiej, gdzie jeszcze nie postała noga ludzka? Zapalony turfista, czyż brakowało mu areny na wyścigi, które w oczach jego zastępowały wyścigi w Marche albo w Epsom? Na tym punkcie w³acenie Banks i on zupełnie się nie zgadzali. Inżyniera jako „mechanika” czystej krwi, miało zajmowały bohaterstwa rumaków wyścigowych. Jednego nawet dnia, gdy kapitan Hod wyciąga³ go na służbę w tej kwestji, Banks odpowiedział mu, że jego zdaniem wyścigi w „jednym tylko razie by³by interesujące.

– I kiedy to? – pyta³ Hod.

– Gdyby się zgodzono, że dżokiej, który ostatni zdłży do mety, zostanie rozstrzelany na miejscu.

– I to myśle! – odrzek³ spokojnie kapitan Hod.

On istotnie by³by zdolny w własnej osobie podjąć się podobnego zakładu.

Tacy to byli towarzysze sir Edwarda Munro. Pułkownik lubiał ³uchać ich różnych sporów, a wieczne ich cecieranie się sprowadzały niekiedy rodzaj ucemiechu na jego ustach.

Wspólnym pragnieniem obydwu tych poczciwych towarzyszy by³o namówić pułkownika do jakiejś podróży, która by go rozerwała. Kilka razy proponowali mu, żeby jechał na północ

pó³wyspu, namawiali, żeby przepêdzi³ kilka miesiêcy w okolicach lak zwanego „Sanatorjum”, gdzie bogaci anglo-hindusi chronili siê chêtnie podczas wielkich upa³ów. Pu³kownik zawsze opiera³ siê temu.

Co do podró¿y, któr¹ Banks i ja zamierzalioemy odbyæ, to ju¿ przeczuwalioemy, jak zostanie przyjê¹. Tego w³acenie wieczora kwestja ta znowu by³a na porz¹dku dziennym. Wiedzielioemy, ¿e kapitan Hod na serjo myœli odbyæ pieszo wielk¹ wycieczkê do pó³nocnych Indji. Je¿eli Banks nie lubia³ koni, to Hod znowu nie lubia³ kolei ¿elaznych. Byli wiêc obaj w sprzecznoœci z sob¹. Sposób ostateczny by³by podró¿owaæ, czy to w powozie czy w lektyce, lecz wedle swej woli, o godzinach, w których siê podoba, co zreszt¹ na dobrych goœciñcach porz¹dnie utrzymywanych w Hindostanie, by³o wcale mo¿liwem.

– Nie mów¿e mi o waszych wozach z wo³ami, ani o waszych wo³ach z garbami! – wykrzykn¹³ Banks. – Gdyby nie my, bylibyœcie siê jeszcze pos³ugiwali tymi wehiku³ami, które w Europie ju¿ zarzucono od piêciuset lat!

– Ech, Banks! – odpar³ kapitan Hod, – wiêcej one warte, jak wasze wagony i wasze furgony! Ogromne wo³y bia³e, które doskonale pêdz¹ galopem, a które mo¿na zmieniaæ co dwie mile na ka¿dej stacji pocztowej...

– I które wlok¹ za sob¹ coœ jakby statek na czterech ko³ach, który bardziej trzêsie i rzuca jak barka rybacka na pe³nem morzu!

– No, pomijam wóz ci¹gniony przez wo³ów, – odrzek³ kapitan Hod. – Ale czy¿ nie mamy powozów na dwa, trzy, albo i cztery konie, które mog¹ iœæ w zawody z waszemi wagonami. Lecz najlepiej wola³bym po prostu lektykê...

– Ach, wasze lektyki kapitanie, to prawdziwe nosze, d³ugie szeœæ stóp, a szerokie cztery, gdzie cz³owieka k³ad¹ jakby nieboszczyka.

– Ale przynajmniej cz³owiek nie jest t³uczony, podrzucany, mo¿na w nich czytaæ, mo¿na pisaæ i spaæ wygodnie bez przebudzenia na ka¿dej stacji. Lektyk¹ niesion¹ przez czterech albo i szeœciu ludzi robi siê zawsze cztery mile i pó³ na godzinê[2] przynajmniej nie ma obawy jak w waszych niemi³osiernych szybkojazdach, ¿e siê przybêdzie prêdziej nim siê jeszcze wyjecha³o.

– Najlepiej by³oby – powiedzia³em wtedy, gdyby mo¿na podró¿owaæ w swoim domu.

– Jak œlimak! – wykrzykn¹³ Banks.

– Mój przyjacielu, – odrzek³em, – œlimak, który móg³by opuszczaæ swój skorupê i znowu do niej wchodziæ wedle upodobania, nie by³by tak bardzo do po¿a³owania! Podró¿owaæ w swoim domu, w domu tocz¹cym siê jak na ko³ach, by³oby to zdaje siê ostatnie s³owo w postêpie pod wzglêdem podró¿owania.

– Mo¿e, – rzek³ na to pu³kownik Munro, przenosiaæ siê z miejsca na miejsce, pozostaj¹c zawsze w swoim otoczeniu, unosiæ ze sob¹ swój k¹cik i wszystkie pami¹tki, które go zape³niaj¹, zmieniaæ

horyzont, odmieniaæ widoki, atmosfery, klimat, nie zmieniaj¹c nic jednak w swoim ¿yciu... o tak... mo¿e!

– Nie by³oby ju¿ tych bungalow przeznaczonych dla podró¿nych, – odrzek³ kapitan Hod, – w których co do wygody du¿o pozostaje do ¿yczenia, a w których nie wolno przemieszkiwaæ bez pozwolenia miejscowej administracji!

– Nie by³oby ju¿ ober¿y obrzyd³ych, w których moralnie i fizycznie nas odzieraj¹ na ró¿ne sposoby, – zauwa¿y³em nie bez s³usznoci. – By³oby to coœ na ksztalt budy wêdrownych kuglarzy, – wykrzykn¹³ kapitan Hod, – ale udoskonalone i upiêkszone, co za marzenie! Zatrzymywaæ siê kiedy siê podoba, jechaæ kiedy siê chce, jechaæ sobie wolno gdy siê lubi lub pêdziaæ galopem, mieæ ze sob¹ nie tylko pokój sypialny ale i salonik, jadalniê, pokój do palenia, a przede wszystkim swój¹ kuchniê i swego kucharza, oto postêp, przyjacielu Banksie. To tysi¹c razy doskonalsze jak koleje ¿elazne; mo¿e mi zaprzeczysz in¿ynierze, spróbuj!

– Eh, eh, przyjacielu Hod, – odrzek³ Banks by³bym zupe³nie twego zdania, gdyby...

– Gdyby? – zapyta³ kapitan, ruszaj¹c g³ow¹.

– Gdyby w zapale waszym ku postêpowi nie byliœcie siê zatrzymali w drodze.

– Czy¿ pozostaje jeszcze coœ lepszego do zrobienia?

– Os¹dŸ sam. Uznajesz, ¿e ruchomy dom jest o wiele doskonalszy jak wagony, nawet wagony salonowe, nawet jak wozy sypialne, I masz s³usznociæ kapitanie wtedy, jeœli siê ma czas do stracenia, jeœli siê jedzie dla swoich przyjemnoci, a nie dla interesów. Zdaje mi siê, ¿e wszyscy siê zgadzamy na tym punkcie.

– Wszyscy! – odpar³em.

A pu³kownik Munro sk³oni³ potwierdzaj¹co g³ow¹.

– Wiêc zgoda, – zawo³a³ Banks, – dobrze. Lecz idŸmy dalej. Udajesz siê do fabrykanta powozów, który zarazem jest i architekt¹, a on zbuduje ci ruchomy dom. Otó¿ i jest, dobrze zbudowany, dobrze obmyœlany, odpowiadaj¹cy wymaganiom cz³owieka lubi¹cego komfort. Nie jest on ani za w¹ski, to te¿ nie przewróci siê³atwo, ani za szeroki, wiêc mo¿e przeje¿d¿aæ wszystkimi ulicami, dobrze umieszczony na resorach, ¿eby lekko nosi³. S³owem doskona³y! Przypuœamy, ¿e zbudowano go dla naszego przyjacielu pu³kownika, i ten ofiarowa³ nam w nim miejsca. Jedziemy zwiedzaæ naprzyk³ad okolice pó³nocne Indji, jak œlimaki, ale œlimaki takie, które nie s¹ niewolniczo przykute do swej skorupy. Wszystko ju¿ gotowe. O niczem nie zapomniano, ani nawet o kuchni i kucharzu, co tak drogie jest sercu kapitana. Nadszed³ dzieñ odjazdu, ju¿ wsiadaj¹! All right! ale któ¿ ci¹gn¹æ bêdzie ten ruchomy dom, mój przyjacielu?

– Kto? – zawo³a³ kapitan Hod, – to¿ mu³y, os³y, konie, wo³y!

– Chyba tuzinami zaprzêgaæby potrzeba, rzek³ Banks.

– No to s³onie, – odpar³ kapitan Hod, – s³onie. Otó³ to bédzie wspania³e i pyszne. Dom ci¹gniony zaprzêgiem s³oni, dobrze wyæwiczonych, wspania³ej postawy, galopuj¹cych jak najpiêkniesze rumaki w æwiecie!

– By³oby to przepyszne kapitanie!

– Uprz¹¿ jak dla królów indyjskich, mój in³ynierze.

– Tak, ale,

– Ale... Có³, czy jeszcze jest jakie ale! – zawo³a³ kapitan Hod.

– Nawet wielkie ale!

– Ah, ci in³ynierowie! oni tylko s¹ dobrzy na to, ¿eby wszêdzie znachodziæ trudnoæci.

– I a¿eby je pokonywaæ, jeæli s¹ do pokonania, – odpar³ Banks.

– A wiêc pokonaj³e je.

– W³acenie pokonywam je i oto w jaki sposób. Mój kochany Munro, wszystkie te motory, o których mówi³ kapitan, ruszaj¹ siê, ci¹gn¹, wlok¹, ale siê i mêcz¹. Bywa to uporne, narowi siê, a szczególnie potrzebuje po³zywienia. Otó³ niechno zabraknie paszy, bo nie mo³na wlec za sob¹ piêæset akrów ³¹k, a zaprzêg ustaje, wysila siê, upada, ginie z g³odu, a ruchomy dom przestaje siê ruszaæ i stoi tak nieruchomo jak to bungalow, w którym w³acenie rozprawiamy. Wynika wiêc z tego, ¿e dom taki wtedy dopiero by³by praktycznym, gdyby by³ domem parowym.

– Któryby posuwa³ siê po szynach, – wykrzykn¹³ kapitan, ruszaj¹c ramionami, – k³aniam siê uni³enie.

– Nie po szynach, ale po goæciñcach, – odpowiedzia³ in³ynier – a to za pomoc¹ udoskonalonej dro³nej lokomotywy...

– Brawo! – wykrzykn¹³ kapitan, – brawo! Skoro tylko ten twój dom parowy nie bédzie toczyæ siê po szynach i bédzie móg³ kierowaæ siê wedle w³asnej fantazji, nie trzymaj¹c siê niewolniczo szyn, przyklasnê mu z ca³ej duszy,

– Ale, – zauwa³ym, – je³eli mu³y, os³y, konie, wo³y, s³onie jedz¹, to³ i maszyna je tak³e, i je³eliby jej zabrak³o paliwa, to i ona stanie w drodze.

– Koñ parowy, – odpar³ Banks rozporz¹dza si³¹ trzech do czterech koni naturalnych, a si³a ta mo³e byæ jeszcze powiêkszon¹. Koñ parowy nie ulega ani zmêczeniu, ani chorobie. W ka³dej porze, w ró³nych strefach, czy to s³oñce, czy deszcz, czy æniegi, on zawsze biegnie niezmordowanie, nie nu³c siê nigdy. Nie boi siê nawet napadu dzikich zwierz¹t, ani uk¹szenia gadu, ani uk³ucia b¹ków lub innych jadowitych owadów. Nie potrzebuje on ani dodania ostrogi, ani bicia wo³ńnicy i snu mu nie potrzeba. Koñ parowy zrobiony rêk¹ cz³owieka, doskonalszy jest od od wszelkich stworzeñ, które Opatrznoææ da³a na us³ugi cz³owiekowi; trochê oliwy lub t³uszczu, nieco wêgli lub drzewa, oto

czem się żywi. Zresztą wicie sami przyjaciele, że na półwyspie indyjskim nie brakuje drzew, a drzewo należy do każdego, kto je sobie bierze.

– Dobrze mówi! – wykrzyknął kapitan Hod, – hurra, koń parowy! Już widzę oczyma wyobraźni dom toczący się inżyniera Banksa, przebiegający główne drogi Indji, zagłębiający się w lasy, wnikający prawie aż do legowisk lwów, tygrysów, niedźwiedzi, panter, a my w ukryciu murów wyprawimy sobie łowy i polowania na dzikie zwierzęta, o jakich najsłynniejsi Nemrodowie pojęcia nawet nie mają! Ah, Banksie celinka mi pójnie do ust i żałuję, że się nie urodziłem o jakie pięćdziesiąt lat później.

– A to dlaczego mój kapitanie?

– Ponieważ za pięćdziesiąt lat marzenia twoje zostaną urzeczywistnione, dom parowy zostanie zbudowany.

– Już jest zbudowany, – odrzekł spokojnie inżynier.

– Jest gotów, a może i ty go wykonać?

– Tak, i jednej tylko może obawiałbym się rzeczy, to jest, czy nie przewyższa on twoich marzeń.

– W drogę, w drogę Banksie! – wykrzyknął kapitan Hod, – który zerwał się jak gdyby pod działaniem prądu elektrycznego. Był już gotowy tej chwili do odjazdu. Inżynier uspokoił go skinieniem ręki, później głosem poważniejszym zwrócił się do Edwarda Munro:

– Kochany Edwardzie, – rzekł, – jeżeli oddaję ruchomy dom na twoje usługi, jeżeli od dziś za miesiąc, gdy nadejdzie stosowna pora, przyjdę powiedzieć ci: Oto twój pokój, który z tobą może jechać gdzie zechcesz, oto twoi przyjaciele, Maucler, kapitan Hod i ja, którzy pragniemy tobie towarzyszyć w wycieczce na północ Indji, czy odpowiesz mi: Jedźmy Banksie, jedźmy i niech nas ma w opiece Bóg, czuwajcy nad podróżnikami?

– Tak jest, moi przyjaciele, – rzekł pułkownik Munro po chwilowym namyśle. – Banksie, oddaję do twojej dyspozycji potrzebny kwotę. Dotrzymaj przyrzeczenia, sprowadź nam ten idealny dom parowy, przeciągnij jeszcze marzenia Hoda, a zwiedzimy całe Indie.

– Hurra, hurra, hurra! – wykrzyknął kapitan Hod, – biada dzicyźnie na granicach Nepalu!

W tej chwili sierżant Mac Neil zwabiony okrzykami kapitana, stanął we drzwiach pomieszczenia.

– Mac Neil, – rzekł do niego pułkownik Munro, – jedziemy za miesiąc do północnych Indji, czy jedziesz z nami?

– Nie mogłoby być inaczej, mój pułkowniku, skoro Pan jedzie, – odpowiedział sierżant Mac Neil.

Rozdział III

Kilka s³ów w krótkoeci dadz¹ stan Indji w czasie, w którym to rozgrywa, a w szczególnoeci, jakim bunt Sipajów z r. 1857.

By³o to w r. 1600, za panowania królowej Elżbiety w œwiêtej ziemi Arjawarta, poœród ludnoeci dwu sto miljonowej, z której sto dwanaœcie milionów by³o religji Indów, kiedy siê zawi¹za³a kompanja indyjska, znana pod przewiskiem czysto angielskiem „Old John Company”.

By³a to z pocz¹tku zwyk³a spó³ka kupców handluj¹cych z Indjami wschodniemi, na czele których stan¹³ ksi¹ê Cumberlandu. W tym czasie juŸ w³adza Portugalczyków, niegdyœ potê¿na w Indjach, zaczyna³a upadaæ, to teŸ Anglicy wyzyskuj¹c tê okolicznoœæ, usi³owali zaprowadziæ pierwsze próby administracji politycznej i wojskowej w prezydenturze Bengalù, której stolica Kalkuta mia³a staa³ siê ogniskiem nowego rz¹du. Najprzód tedy 39. pu³k armji królewskiej wys³any z Anglji zaj¹³ prowincjê. St¹d pochodzi napis, który jeszcze dzieœ nosi na swoich standarach: „Primus in Indiis”.

JednakowoŸ prawie w tym samym czasie utworzy³o siê francuskie towarzystwo pod patronatem Colberta. Mia³o ono ten sam cel na widoku co i spó³ka londyñskich kupców. Z tego wespółzawodnictwa powsta³y naturalnie ró¿norodne tarcia i d³ugotrwa³e walki z zmiennym wynikiem, w których odznaczyli siê Dupleix, Labourdonnais i Lally Tollendal. Przed przemagaj¹cym naporem Anglików musieli Francuzi wreszcie opró¿niæ Karnatik, t. j. czêœæ pó³wyspu obejmuj¹c¹ czêœæ wybrzeŸa wschodniego.

Uwolniwszy siê od dotychczasowych wespółzawodników i nie obawiaj¹c siê niczego od Francji ani od Portugalji, stara³ siê lord Clive zdobyæ takŸe i Bengal, którego jeneralnym gubernatorem zamianowa³ lorda Harstingsa. W celu utworzenia sprê¿ystej i trwa³ej administracji, przeprowadzono równieŸ donios³e reformy. Gdy jednak ta potê¿na i ekspansywna Kompanja indyjska stanê³a u szczytu swej potêgi, ugodzi³ j¹ cios, który naruszy³ jej najwa¿niejsze podstawy bytu. Kilka lat póŸniej, w r. 1784 wyst¹pi³ Pitt z wnioskiem dalszych zmian pierwotnej organizacji Kompanji. Wed³ug tego wniosku mia³a g³ówna w³adza przejœæ w rêce radców koronnych, W nastêpstwie tego nowego porz¹dku rzeczy utraci³a Kompanja w r. 1813 monopol handlu w Indjach, a w r 1893 monopol handlu chiñskiego.

Wprawdzie Anglja nie potrzebowa³a juŸ staczaæ walk z obcemi mocarstwami na pó³wyspie, musia³a jednak prowadziæ wiele d³ugotrwa³ych wojen z poprzednimi w³aœcicielami kraju, b¹d³ teŸ z jego ostatnimi zdobywcami.

Tu naleŸy wojna w r. 1784, któr¹ lord Cornwallis prowadzi³ z Tippu Sahibem, który dnia 4. maja 1799 pad³ przy ostatnim ataku genera³a Harrisa na Seringapatam. Dalej wojna z Maharattami, szczepem w 18. wieku jeszcze bardzo potê¿nym, jak i wojna z Pindarrisami, którzy stawiali tak zaciêty opór. TakŸe z Gurkami z Nepalu, tymi dzielnymi góralami, którzy w r. 1857 okazali siê wiernymi sojusznikami Anglji, prowadzili oni przedtem d³ugie wojny. Na lata 1823/1824 przypada wreszcie wojna z Birmanami.

W r. 1828 byli Anglicy bezpoœrednio lub poœrednio panami pó³wyspu, a lord William Bentinck zapocz¹tkowa³ now¹ erê w administracji indyjskiej.

Od chwili reorganizacji siły zbrojnej Indji składała się armia indyjska z dwu zupełnie różnych kontyngentów, z wojsk europejskich i z krajowców (natives). Wojska europejskie tworzyły armię królewską, złożoną z pułków konnicy, piechoty i artylerji brytyjskiej na służbie Kompanji indyjskiej, wojska krajowe składały się z tubylczej piechoty i kawalerji pod dowództwem angielskich oficerów. Artylerja składała się prawie wyłącznie z Europejczyków.

Stan efektywny pułków armji królewskiej wynosił w armji bengalskiej po 1100 ludzi, w pułkach stojących w prezydenturze Bombaju lub Madrasu po 800-900; pułk konnicy liczył po 600 szabel. Około roku 1857. wynosiła ogólna siła wojsk krajowych około 200.000, angielskich zaś około 45.000 we wszystkich trzech prezydenturach razem.

Sipajowie, regularne wojsko pod dowództwem angielskich oficerów byli zawsze skłonni do zrzucenia jarzma europejskiej dyscypliny, narzuconej im przez zwycięzców. Już w r. 1806 zbuntował się, zdaje się, za namową syna Tippu Sahiba, garnizon Madrasu, stojący chwilowo w Vallore, wymordował straż polną 69. pułku armji królewskiej, podpalił kasarnie, powycinał w pień oficerów i ich rodziny, a nawet i chorych żołnierzy w lazaretach. Co jednak było przyczyną tego buntu, przynajmniej zewnętrzna? Rzekomo sprawa dotyczyła noszenia bród, sposobu czesania i kolczyków, w rzeczywistości jednak nienawidzieli ich do zdołbywcom.

To pierwsze powstanie rychło zostało stłumione siłami królewskiej armji obojującej w Ascol.

Powstanie 1857 roku również tak błażym powodem pozornie wywołane, przybrało daleko straszniejsze rozmiary i byłoby może obaliło potęgę Anglii w Indjach, gdyby wojska krajowe z prezydentury Madrasu i Bombaju były w niem udziałem.

Przedewszystkiem jednakże potrzeba zaznaczyć, że powstanie to nie miało charakteru narodowego, gdyż Hindusi wsi i miast nie brali w niem żadnego udziału. Zresztą powstanie to ograniczało się tylko na kraje na wschód niepodległe Indji centralnych, prowincje północno-wschodnie i królestwo Audh. Pendżab pozostał wierny Anglikom. Zostali wierni także Sikhsowie, ci robotnicy kasty niższych, którzy szczególnie odznaczyli się przy oblężeniu Delhi, Gurkowie i nakoniec Maharadżowie Gwalioru i Patali.

Na początku powstania stał lord Canning na czele administracji w charakterze jeneralnego gubernatora i może młody ten stan nie pojmował doniosłości tych rozruchów. Od kilku lat już gwiazda Anglii widocznie bladła na firmamencie indyjskim. W roku 1848 klęska i ustąpienie z Kabulu osłabiła jeszcze bardziej urok europejskich zdobywców. Usunięcie się armji angielskiej podczas wojny krymskiej nie było także korzystne dla jej opinji wojskowej. To też nadszedł moment, w którym Sipajowie wiedzący doskonale o wszystkim, co się działo nad brzegami morza Czarnego, pomyśleli, że powstanie wojsk narodowych ma widoki udania się. Potrzeba było tylko jednej iskielki, ażeby zapalić umysły już i tak dobrze przygotowane, podniecane pieczeniami i przypowieściami, poetów i bardów, brahmanów i „mulwisów”. Chwila ta nadeszła w roku 1857, kiedy to kontyngent armji królewskiej zmniejszono znacznie z powodu zewnętrznych zawiązań.

Na początku tegoż roku, Nana Sahib, czyli nabob Dandu-Pant, mieszkający blisko Kanpuru udał się do Delhi, później do Lucknow, w celu zapewne wywołania od dawna już przysposobionego powstania. Istotnie wkrótce pod odjeżdżającą Nany rozpoczęły się otwarte ruchy powstańcze.

Rząd angielski zaprowadzi w achenie w pułkach krajowców karabiny systemu Enfielda, wymagajce adunków napuszczanych tuszczem. Dnia jednego rozesza się pogoska, że tuszcz ten pochodzi z krów lub z œwiñ, stosownie do tego, czy naboje przeznaczone byy dla oñierzy indyjskich czy dla muzumanów, suczycych w armji krajowej.

W kraju, gdzie lud nawet nie ucywa mydła, dlatego, że wchodzi musi w jego skad tuszcz czy to poœwiœconych, czy te¿ nieczystych zwierzt, ucywanie naboï napuszczanych tuszczem, naboï, które trzeba byo rozgryzaæ zêbami, z trudnoœci mogó byæ wpro wadzone. Rząd uleg w œœci naleganiom, które mu czyniono, ale chocia¿ zmienia i przekszca karabiny i zapewnia, że adnego zakazanego tuszczu nie ucywa do fabrykacji naboï, nie przekona ani uspokoï nikogo w armji Sipajów.

24. lutego w Berampore, pułk 34. odmówi stanowczo ucywania tych adunków, w poowie marca jeden adjutant zosta zamordowany, a pułk rozpuszczony po rozstrzelaniu morderców rozniós zarzewie buntu po siednich prowincjach.

10. maja w Mirat, trochê dalej na pónoc od Delhi, 3., 11. i 20. pułk zbuntowaý siê, buntownicy zabili pułkownika i kilku oficerów ze sztabu, spldrowali miasto i w koñcu cofnli siê do Delhi. Tam radca, (król Indji wschodnich), potomek Timura poyczy siê z nimi. Opanowali arsena i wymordowali oficerów 54. pułku.

W Delhi, 11. maja, gubernator Praser i jego oficerowie zostali nielitoœciwie wymordowani przez powstañców z Mirat, nawet w paacu komendanta europejczyka, a 17. maja czterdziestu dziewiœciu jeñców, mœczyzn, kobiet i dzieci padó pod morderczym toporem. 20. maja, 26. pułk, stojcy koó Lahore zabija komendanta portu i sieranta (europejczyków). To ju¿ daó impuls do strasznych rzezi.

W Nourabad 28. maja, znowu nowe ofiary poœród anglo-indyjskich oficerów.

30. maja w okolicach Lucknowa zamordowano komendanta brygady, jego adjutanta i kilku innych oficerów.

31. maja w Bareili w krainie Rohilkhande pomordowano kilku oficerów, którzy nie mogli nawet siê broniæ.

Tego dnia w Schajahanpore Sipajowie 38. pułku wymordowali kilku oficerów, a nazajutrz oficerów: kobiety i dzieci, dognane w ucieczce do Aurungabad.

W pierwszych dniach czerwca w Bhopalu rzeÿ mieszkajcych tam europejczyków, a w Jansi, z namowy okrutnej zdezonizowanej Rani zabójstwa z bezprzyadnem okrucieñstwem.

Dnia 6. czerwca morduj zbuntowani Sipajowie 6 modych chorzych w Allahabad. Dnia 14. czerwca buntuj siê w Gwaliorze dwa pułki krajowców i morduj swych oficerów. 27. czerwca pada w Kanpurze pierwsza hekatomba ofiar obojga pci bez róznicy wieku, które zastrzelono lub potopiono, co byo prologiem do strasznej tragedji majcej szerzyæ w nastêpnych tygodniach strach i grozê. 1. lipca w Holkarze i Ugow zamordowanie 34 Europejczyków, oficerów i dzieci, poar i rabunek.

15. lipca druga masowa rzeź w Kunpurze. Tego to dnia padły ofiar setki dzieci i kobiet, a między nimi wzięcie lady Munro, z rozkazu Nany Sahiba, który wezwał do pomocy muzułmańskich rzeźników. Po tej strasznej rzezi ciała pomordowanych powrzucono do studni, która od tam stała się legendą.

26. wrzeź na placu miasta Lucknowa zwanym teraz „placem trupów”, mnóstwo rannych pociętych pałaszami i rzuconych jeszcze powrzucono w powietrze. Na koniec dużo innych mordów po różnych miastach i wsiach popełnianych nawiązano temu powstaniu cech niewidzianej dzikoci.

Ale i Anglicy odpowiadali się równie monetami z tej niby wychodzącej zasady, że muszą przejąć buntowników trwogą i przerażeniem, by im dać odczuć potęgę angielską.

Na początku powstania w Lahore sędzia audytor Montgomery i brygadjer Corbett potrafili rozbroić bez rozlewu krwi przed paszczą ziemi 8., 16., 25. i 40. pułk armii krajowej. W Moultan 62. i 29. pułk krajowców zmuszony był również złożyć broń bez oporu; to samo powtórzyło się z 24., 27. i 51. pułkiem w Peszawar.

Było to początek represali.

Oddziały wojska pod przewodnictwem pułkownika Nicholsona, pocięły się za pułkiem krajowców, który dążył ku Delhi; buntownicy zostali dopędzeni, pobici, rozpróśzeni a stu dwudziestu jeńców wróciło do Peszawar. Wszyscy zostali skazani na śmierć, ale tylko co trzeci miał być rozstrzelany. Dziesięć osób zostało wytoczonych na plac ćwiczeń, do każdego uwiązano jednego jeńca i cztery razy dały się ogień, pokrywając pole bezkaszcznymi kawałkami ciał ludzkich, pośród atmosfery zarażonej wyziewem palących się tych szczątków ciał ludzkich.

Ci męczennicy, według p. de Velbezen, ginęli z taką heroiczną obojętnością, jak Hindusi umieją zachowywać zwykle wobec śmierci.

– Panie kapitanie, – rzekł do jednego z oficerów, który przewodniczył wykonaniu wyroku, młody Sipaj, mający około dwadzieścia lat, głośno narzędzie śmierci, – panie kapitanie, nie potrzeba mię przywiązywać, nie mam wszak ochoty uciekać!

Była to straszna egzekucja, po której miało nastąpić tyle innych jej podobnych.

Rozkaz dzienny, który dnia tego brygadjer Chamberlain ogłosił wojsku krajowców po straceniu dwóch Sipajów z 55. pułku brzmiał następująco:

„Widzieliście wzięcie rannych do wylotu ciała i rozszarpanych w kawałki dwóch waszych kolegów; kara taka wymierzona zostanie każdemu zdrajcy, a sumienie wasze powie wam, jakie męki czekają go na drugim świecie. Ci dwaj zbrojnie skazani zostali na śmierć przez rozstrzelanie, a nie przez powieszenie, bo pragnę, by uniknęli zanieczyszczenia przez dotknięcie kata, a tem samem chciałem okazać, że rzadko, nawet w takich chwilach nie chce popełniać niczego, coby czyniło najłżejszy nawet zamach na wasze poglądy religijne i kastowe”.

30. lipca padło 1237 jeńców również na placu egzekucyjnym, a pięćdziesięciu innych uszło

œmierci od kuli tylko w ten sposób, że zamorzili się g³odem lub udusili w wiêzieniach, w których ich trzymano. 29. sierpnia na œemset siedemdziesi¹t Sipajów, którzy uciekli z Lahore, szeœciuset piêædziesiêciu dziwiêciu zosta³o nielitoœciwie wymordowanych przez ³o³nierzy armji królewskiej.

23. wrzeœnia, po wziêciu Delhi, trzech ksi¹¿êta z rodu królewskiego, przysz³y nastêpca i dwaj jego krewni udali siê do jenera³a Hudsona, który zaprowadzi³ ich pod eskort¹ tylko piêciu ludzi poœród piêciotysiêcznego groŸnego tłumy – wiêc jeden na tysi¹c. A jednak w po³owie drogi Hudson kaza³ zatrzymaæ wóz, na którym wieziono trzech jeñców, wsiad³ ko³o nich, rozkaza³ im obnaŸyæ sobie piersi i zastrzeli³ wszystkich trzech wystrza³ami z rewolweru. „ Ta krwawa egzekucja z rêki oficera angielskiego, powiada pan de Velbezen, mia³o wywo³aæ w PendŸabie najwiêkszy podziw”.

Po wziêciu Delhi trzysta jeñców zginê³o na szubienicy, czy te¿ rozstrzelanych dzia³ami, a z nimi dwudziestu dziwiêciu cz³onków rodziny królewskiej. choæ wprawdzie oblê¿enie Delhi oblêgaj¹cych równie¿ kosztowa³o dwa tysi¹ce sto piêædziesi¹t europejczyków i tysi¹c szeœæset osiemdziesi¹t szeœæ krajowców.

W Allahabad straszne wyprawiano mordy, nie tak poœród Sipajów, ale miêdzy ubog¹ ludnoœci¹, któr¹ fanatycy poci¹gnêli prawie bezwiednie za sob¹ do rabunków.

W Lucknow 16. listopada, dwa tysi¹ce Sipajów pokry³o cia³ami swemi przestrzeñ stu piêædziesiêciu metrów kwadratowych.

W Kanpurze po rzezi, pu³kownik Neil zmusza³ skazanych, zanim ich wyda³ szubienicy, do wylizania i oczyszczania jêzykiem, stosownie do ich rangi kastowej, ka¿dej plamy krwi, pozosta³ej w domach, gdzie mordowali przedtem swe ofiary. Znaczy³o to w oczach Hindusów karê œmierci poprzedziæ najwiêksz¹ hañb¹.

Podczas wyprawy do Indji œrodkowych, tralenie jeñców odbywa³o siê nieustannie a pod kulami karabinowymi ca³e mury cia³ ludzkich wali³y siê na ziemiê”.

9. marca 1858, przy napadzie na „ó³ty Dom”, podczas drugiego oblê¿enia Lucknowu, po strasznym zdziœci¹tkowaniu Sipajów, jeden z nich zosta³ ³ywcem upieczony przez Sikhs’ów, na co oficerowie angielscy w³asnemi patrzyli oczyma.

11-go piêædziesi¹t cia³ Sipajów zape³nia³o rowy pa³acu Begumy w Lucknowie.

Ogó³em w dwunastu dniach walki, trzy tysi¹ce krajowców skona³o czy to pod stryczkiem czy od kul, a miêdzy niemi trzysta œemdziesi¹t zbiegów, chc¹cych siê schroniæ na wyspie Hidaspe.

W ogóle nie liczy¹c Sipajów, którzy zginêli z broni¹ w rêku podczas tego strasznego odwetu, w jednej tylko kampanji w PendŸabie, nie mniej jak szeœæset dwudziestu œemiu krajowców rozstrzelano z rozkazu w³adz wojskowych, tysi¹c trzysta œemdziesi¹t szeœæ z rozkazu w³adzy cywilnej, a trzysta siedemdziesi¹t powieszono z rozkazu obu w³adz.

W pocz¹tku roku 1859 liczono nie mniej jak sto dwadzieœcia tysiêcy ³o³nierzy i oficerów krajowców, którzy zginêli, a wiêcej jak dwieœcie tysiêcy krajowców, którzy ³yciem przyp³acili to,

że brali lub przynajmniej byli podejrzewani o udział w powstaniu. Straszny odwet, przeciw któremu protestowa³ tak energicznie i nie bez s³usznocci p. Gladstone w parlamencie angielskim.

Dla wyjaśnienia naszego opowiadania, trzeba by³o roz³o³yla bilans nekrologii jednej strony i drugiej, by dać zrozumieć czytelnikom, jak straszna ¹dzia zemsty pozosta³a w sercach zwyciężonych jak i w sercach zwycięzców, którzy w dziesięć lat jeszcze później nosili ³obę po ofiarach mordu w Kanpurze (Cawnpore) i w Lucknow.

Czysto wojskowe wydarzenia ca³ej tej kampanji przeciw buntownikom sk³adaj¹ się z następujących wypraw, które tu w krótkości przedstawimy:

Pierwszą kampanja w Pendżabie, którą przyp³acono ³yciem sir Johna Laurence.

Później następuje oblężenie Delhi, tego ośrodka powstania, wzmocnionego tysiącami zbiegów, w którym Mohammed Schah Bahadour, obwołany został cesarzem Hindostanu. „Skończyć już raz z Delhi!” kategorycznie rozkazał gubernator generalny w ostatniej depeszy do głównego komendanta, a oblężenie rozpoczęte w nocy 13. czerwca, ukończyło się 19. listopada, przyczem generałowie sir Harry Barnard i John Nicholson stracili życie.

Równocześnie, kiedy Nana Sahib kazał się ogłosić „Peischwah'em” i koronował w cytadeli w Bilhour, generał Havelock posuwał się ku Cawnpore. Wszedł tam si³ 17. lipca, ale za późno już, żeby przeszkodzić ostatniej rzezi i pochwytać Nanę, który zdawał tymczasem umknąć z pięćcioma tysiącami ludzi i czterdziestu działami.

Następnie gen. Havelock podjął pierwszą wyprawę w królestwo Audh i 28. lipca przeszedł Ganges z tysiąc siedemset ludźmi i dziesięciu działami tylko, zwracając się ku Lucknow.

Sir Colin Campbell i generał-major sir James Outram wystąpił wtedy na widowisko. Oblężenie Lucknowu trwało ośmdziesiąt siedem dni i kosztowało życie sir Henryka Lawrence i generała Haveloka. Dalej Colin Campbell, będąc zmuszonym cofnąć się do Kawnpuru, który też na stałe opanował, przygotowywał się do drugiej wyprawy.

Podczas tego inne wojska oswobodziły Mohir, miasto w Indjach ośrodkowych i zrobiły wyprawę przez Malwę, która to wyprawa przywróciła znowu powagę Anglii w tym królestwie.

Na początku r. 1858, Campbell i Outram rozpoczęli drugą wyprawę w Audh z czterema dywizjami piechoty, którymi dowodzili generał-majorowie: sir James Outram, sir Edward Luger i brygadjerzy Walpole i Franks. Konnica była pod dowództwem sir Hope Granta inne oddziały pod Wilson'em i Robertem Napier, razem blisko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, do których jeszcze przyłączył się maharadża z Nepalu z dwunastu tysiącami Gurków. Ale armia powstańców Begumy liczyła nie mniej jak sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy a miasto Lucknow siedem do ośmiuset tysięcy mieszkańców. Pierwsza ułtarzka była 6. marca. 16-go po kilku potyczkach, w których padli kapitan sir William Peel i major Hudson, Anglicy zostali panami części miasta położonej nad Goumli. Pomimo tych korzyści, Begum i jej synowie opierali się jeszcze w pałacu Mousa-Bagh w północno-zachodniej stronie miasta a Moulvi, przywódca mahometańskich powstańców, schroniony w ośrodku miasta. odmówił poddania się. 19-go atak Outrama i szczęśliwa walka 21-go oddała w końcu

Anglikom w zupełne posiadanie to silne przedmurze powstania Sipajów.

W kwietniu powstanie chyliło się ku upadkowi. Podjęto jeszcze wyprawę do krainy Rohilkhande, gdzie w wielkiej liczbie skryli się zbiegli powstańcy. Bareilli, stolica królestwa była pierwszym celem wodzów armii królewskiej. Pierwsze kroki nie były bardzo szczęśliwe. Anglicy ponieśli nawet klęskę przy Judgespore. Brygadjer Adrien Hop został zabity. Ale w końcu miesiąca nadszedł Campbell, zajęł znowu Schap-Jahanpore i 5. maja napadł na Bareilli, zniszczył miasto ogniem i opanował je, nie zdobywszy jednak zamku w nim powstańców, którzy wszyscy uszli.

W tym czasie w Indiach rozpoczęła się kampania sir Hugh Rose. Generał ten w pierwszych dniach stycznia 1858 r. wyruszył ku Saugor przez królestwo Bhopal, uwolnił jego twierdzę, zdobył warownię w Gurakota, wymusił siłą przejście przez pasmo gór Vindhya w przesmyku Mandanpore, przeszedł przez Betwa, doszedł do Jansi, bronionego przez jedenastotysięcy powstańców pod rozkazami okrutnej Rani, osaczył je 22. marca podczas skwarnej urogi, wysłał 2000 ludzi z armii oblężniczej, by zamknąć drogę dwudziestotysięcznej armii powstańców pod wodzą Tania-Topi, pobił go na jego twierdzę, uderzył 2. kwietnia na miasto, wdarł się przez mury, wziął cytadelę, z której jednak Rani zdobyła ucieczkę, i przedsięwzięła zdobywanie warowni Calpi, gdzie Rani i Tania-Topi postanowili byli zginąć; zdobył ją po bohaterskim natarciu, dalej prowadził wojnę, ścigał Rani i jej towarzysza, którzy rzucili się do Gwalioru, zebrał swoje dwie brygady, do których przyłączył się jeszcze brygadjer Napier, zgłosił powstańców w Morar i powrócił do Bombaju po zwycięskiej walce.

Podczas potyczki fortu pod Gwalior poległa Rani. Okrutna ta królowa oddana zupełnie nabobowi, jego najwierniejsza towarzyszka podczas powstania, padła w ręce sir Edwarda Munro. Nana Sahib morduje lady Munro w Kanpurze, a królowa ginie z ręki pułkownika w Gwalior, oto dwaj ludzie, w których zbiegały się i buntowały i uciski wszelkie, dwaj ludzie, których zemsta miała straszne skutki, gdyby kiedy zeszli się ze sobą oko w oko.

Od tej chwili uważać można by o powstanie za stłumione, większy może jeszcze części królestwa Audh, gdzie jeszcze się tliło. Campbell tedy znowu wyprawia się, opanowuje ostatnie już pozycje powstańców i zmusza kilku przywódców znaczniejszych do poddania się. Jednakowoż jeden z nich, Beni Madho, nie został ujęty. Dochodziły wieści, jakoby ukrył się w Nepalu. Twierdzono też, że Nana Sahib, Balao Rao, jego brat i Begum z Audh szli z nim. Później rozszedła się pogłoska, jakoby szukali oni schronienia na Rapti, na granicy królestw Nepal i Audh. Campbell parł bezustannie za nimi, ale oni przeszli granicę dopiero w pierwszych dniach lutego 1859, brygada angielska, z której jeden pułk stał pod dowództwem pułkownika Munro, ścigał ich aż w Nepalu, Beni Madho został przy tym zabity, Begum z Audh i jej syn wzięci zostali w niewolę i uzyskali później pozwolenie przemieszczania w stolicy Nepalu. Co do Nany Sahiba i Balao Rao, myślało się, że nie żyją. Jednakże tak nie było.

Byłoby co byłoby straszliwe to powstanie zostało nareszcie stłumione. Tania-Topi wydany przez swego porucznika Man-Singh i skazany na śmierć, stracony został dnia 15. kwietnia w Sipel. Powstaniec ten, była to postać prawdziwie znakomita w wielkim dramacie powstania indyjskiego, jak mówi p. Velbezen, był to istotnie geniusz polityczny i zginął na rusztowaniu.

Jednakże koniec tego powstania Sipajów, które mogłoby być i pozbawiłoby Indji Anglików, gdyby

się by³o rozszerzy³o na ca³ym p³wyspie, mia³o spowodowaæ upadek Kompanji indyjskiej.

Już w końcu r. 1857 lord Palmerston zagrozi³ rozwi¹zaniem najwyższego komitetu dyrektorów, a 1. listopada 1858 r. proklamacja og³oszona w 20 jêzykach zwiastowa³a, że Wiktorja Beatryxa, królowa Wielkiej Brytanji objê³a ber³o Indyj, których w kilka lat p³Yniej mia³a zostaæ koronowan¹ cesarzow¹.

Odt¹d tytu³ gubernatora jeneralnego zamieniono na wice-króla. Si³a wojenna armji królewskiej liczy 37 pu³ków piechoty i 40 pu³ków jazdy; artylerja sk³ada się prawie wy³1cznie z samych Europejczyków.

Taki jest stan rzeczywisty p³wyspu pod wzglêdem militarnym i administracyjnym i taka liczba wojsk, która strzeże przestrzeni 400.000 mil kwadratowych rozleg³oœci.

„Anglicy, powiada s³usnie p. Grandidier, szczêliwi s¹, że natrafili w tym wielkim i wspania³ym kraju na naród ³agodny, pracowity, cywilizowany i z dawien dawna przyzwyczajony do jarzma. Ale niech uważaj¹, i ³agodnoœæ ma swoje granice, a jarzmo niech nie przygniata karków, bo g³owy podnios¹ się kiedyœ i zgruchoc¹ to jarzmo”.

Rozdzia³ IV

W GŁÊBI JASKIŃ ELLORY.

Nie ulega³o w¹tpliwœci, że Nana Sahib, jedyny może w owej epoce cyj¹cy z przywódców buntu Sipajów, zdo³a³ wymkn¹æ się z niedostêpnej swej kryjówki w Nepalu. Œmia³y, odważny, oswojony z największymi niebezpieczeŃstwami, umiej¹cy unikn¹æ pogoni i zatrzaæ wszelkie œlady, chytry i podstêpny, odważy³ się dotrzeæ aż do prowincji Dekkanu, wiedziony nieprzepart¹ i¹dz¹ zemsty, spotêgowanej jeszcze tak srogim ucemierzeniem powstania z r. 1857.

Tak, Nana Sahib poprzysi¹g³ œmierteln¹ zemstê zdobywcom Indji. By³ spadkobierc¹ Baji Rao, a gdy Peiszwah ten umar³ w roku 1851, Kompanja indyjska odmówi³a mu p³acenia pensji œmiu laków rupji (dwa miliony z³otych) do jakiej mia³ prawo. Oto co by³o pocz¹tkiem owej nienawiœci, maj¹cej tak okrutne sprowadziæ nastêpstwa.

Jakież by³y teraz widoki i nadzieje Nany Sahiba? Bunt Sipajów już od lat œmiu by³ zupe³nie st³umiony, miejsce Kompanji indyjskiej zaj¹³ rz¹d angielski, który silniejsz¹ d³oni¹ dzierży³ w³adzê w kraju niź stowarzyszenie kupców. Pu³ki utworzone z krajowców zosta³y zreorganizowane wedle nowych zasad i nawet œlad ducha buntu w nich się nie przechowa³. Czyżby zamierza³ próbowaæ wywo³æ powstanie narodowe najniższych klas ludnoœci Hindostanu?...

Poznamy wkrótce jego zamiary. To pewne jednak, że dowiedzia³ się, że doniesiono o obecnoœci jego w prowincji Aurungabad, że gubernator jeneralny zawiadomi³ o tem wicekróla w Kalkucie, i że na³ożono cenê za jego g³owê. Musia³ więc uciekaæ jak najprêdziej i ukryæ się znowu w tak bezpiecznym schronieniu, aby go nie zdo³a³y dosiêgn¹æ poszukiwania policji angielsko-indyjskiej.

W owej nocy z 6. na 7. marca, Nana nie straci³ ani godziny czasu. Zna³ on doskonale kraj j najniedostępniesze jego kryjóweki; postanowi³ więc udaæ siê do pieczar Ellory, odleg³ych o 25 mil od Aurungabad, aby tam spotkaæ siê z jednym ze swoich towarzyszy.

Noc by³a ciemna. Upewniwszy siê. że nie jest ociągany, fa³szywy fakir zwróci³ siê ku mauzoleum wzniesionem w pewnej odleg³oœci od miasta na czeœæ mahometanina Sha-Sufi, œwiêtego muzumãñskiego, którego szcz¹tkom przypisuj¹ moc dokonywania cudownych uzdrowieñ, Kap³ani, pielgrzymi i wszystko doko³a by³o pogr¹zone w g³êbokim œnie, móg³ więc przejeæ niespostrzeżony i niezapytywany przez nikogo.

Noc jednak nie by³a znów tak czarna, aby nie dostrzedz stercz¹cej zdala na skale granitowej 240 stóp wysokiej, niezdobytej fortecy Daulutabad. Patrz¹c na ni¹ nabob przypomni³ sobie, że jeden z jego przodków, cesarz Dekkanu, chocia³ kiedyœ uczyniæ stolic¹ swoj¹ rozleg³e miasto, wznosz¹ce siê niegdyœ u stóp tej fortecy. A by³oby to stanowisko niezdobyte, mog¹ce staæ siê œrodkowym punktem ruchu powstañczego w tej czêœci Indji. Lecz Nana Sahib spojrze³ teraz z groŸn¹ nienawiœci¹ na tê fortecê: by³a bowiem w posiadaniu Anglików.

Min¹wszy p³aszczyznê, wszed³ na grunt pagórkowaty, który zaczyna³ siê stawaæ coraz górzystszym. Nana Sahib bêd¹cy jeszcze w sile wieku, nie zwolni³ wcale kroku, wchodz¹c na strome pochy³oœci. chocia³ koniecznie przebyæ w tej nocy 25 mil angielskich, oddzielaj¹cych Ellore od Aurungabadu, bo tam dopiero móg³ odpocz¹æ bezpiecznie. I dla tego nie zatrzymywa³ siê ani w otwartych po drodze karawanserajach, ani w napó³ rozwalonych ruinach, gdzie móg³by przespae parê godzin.

Z wschodz¹cem s³oñcem obszed³ wieœ Raupah, w której wznosi siê bardzo skromny grobowiec Aurung Zeba, najwiêkszego i najznakomitszego z cesarzy mongolskich I w parê godzin doszed³ nareszcie do s³awnych pieczar, nosz¹cych nazwê Ellora, od ma³ej pobliskiej wioski tegoż nazwiska.

Wzgórze, w którym wydr¹żono te grotty, w liczbie trzydziestu, przedstawia siê w kszt³cie pó³ksiêżca. W pieczarach mieszcz¹ siê 4 wielkie œwi¹tynie, dwadzieœcia cztery klasztorów buddyjskich i kilka grot mniejszych rozmiarów. Z³omy bazaltu dobywane by³y rêk¹ cz³owieka. Lecz nie dla budowania arcydzie³ rozprószonych tu i ówdzie po pó³wyspie, architekci indyjscy w pierwszych wiekach ery chrzeœcijañskiej wydobywali st¹d kamieñ. Chodzi³o im tylko o wytworzenie próżni, aby wydr¹żenia te zamieniæ nastêpnie w kryjóweki odpowiednio do ich przeznaczenia.

Najosobliwsz¹ z czterech œwi¹tyñ. jest œwi¹tynia Kaïlasa. WyobraŸcie sobie z³om ska³y wysoki na sio dwadzieœcia stóp i maj¹ce szeœæset stóp obwodu, Z³om ten oddzielono od góry z nies³ychan¹ œmia³oœci¹, odosobniono na 360 stóp d³ugiej a 126 szerokiej przestrzeni, która powsta³a przez wydobywanie z³omów bazaltowych do kola ze ska³y.

Z³om ten odosobniony w ten sposób, architekci wy³abiali jak snycerz marmur lub koœæ s³oniow¹. Nazewn¹trz powyrzynali kolumny, piramidy, kopu³y i p³askorzeŸby, w których s³onie wiêksze od naturalnych zdawa³y siê dŸwigaaæ gmach ca³y. We wnêtrzu wykuli wielk¹ salê, otoczon¹ kaplicami, której sklepienie wspiera siê na oddzielonych od ca³oœci kolumnach. S³owem, z jednej bry³y ska³y, utworzyli œwi¹tyniê w swoim rodzaju jedyn¹ w ca³ym œwiecie, nie wybudowan¹ ale

wykut¹, godn¹ wespół³zawodniczyæ z najcudowniejszymi pomnikami Indji, któr¹ oemia³o można porównaæ z podziemnymi gmachami Egiptu.

Tê zupe³nie prawie opuszczon¹ teraz oewi¹tyniê uszkodzi³ czas w niektórych czêoeciach. P³askorzeÏby zaczynaj¹ siê zacieraæ, oeciany ulegaa zniszczeniu. Istnieje dopiero lat tysi¹c; by³oby to niczem, gdyby by³a dzie³em przyrody, lecz co jest dopiero pierwszym wiekiem dla tworców natury, to dla dzie³ ludzkiej rêki jest ju¿ zgrzybia³oeci¹.

Oko³o bocznej lewej oeciany wytworzy³y siê g³êbokie rozpadliny; jedn¹ z nich na wpó³ zakryt¹ grzbietem jednego z rzeÏbionych s³oni, podpieraj¹cych oewi¹tyniê, wsun¹³ siê Nana Sahib i nikt nie móg³ siê domyœleæ obecnoeci jego w Ellorze.

Rozpadlina, w któr¹ siê wsun¹³, tworzy³a rodzaj ciemnego korytarza oko³o podstaw oewi¹tyni, prowadz¹cego do krypty czyli cysterny s³u¹cej za zbiornik wód deszczowych, ale wtedy zupe³nie suchej. Dostawszy siê do rozpadliny, Nana Sahib gwizdn¹³ w umówiony widaæ sposób, gdy¿ niezw³ocznie odpowiedziano mu takim samym gwizdniêciem. A nie by³o to odbijaj¹ce siê echo, gdy¿ niebawem zab³ys³o oewiat³o w ciemnoeci i ukaza³ siê Hindus z latark¹ w rêku.

– Zgaa oewiat³o! – rzek³ Nana.

– Czy to ty, Dandu-Pancie – zapyta³ w odpowiedzi Hindus i zdmuchn¹³ latarkê.

– Ja, bracie.

– Czy¿by?...

– Najpierw jeœæ, rozmowa polem – odrzek³ Nana. Ani do jedzenia, ani do rozmowy oewiat³o nie potrzebne, weÏ mnie za rêkê i prowadÏ.

Hindus uj¹³ jego rêkê, wprowadzi³ go do ma³ej krypty i pomóg³ po³o¹zyæ siê na pos³aniu z suchej trawy, które sam opuœci³ przed chwil¹, zbudzony gwizdniêciem fakira.

Hindus ten, dobrze widaæ obeznany z ciemnym schronieniem i umiej¹cy siê w niem kierowaæ, znalaz³ prêdko swój ma³y zapas Ÿywnoeci, to jest chleb i kawa³ek pasztetu a raczej rodzaj siekaniny z kurcz¹t, zwanej „murgis”, bardzo rozpowszechnionej w Indjach i flaszka obejmuj¹c¹ pó³ kwarty ognistego p³ynu zwanego „arak”, który otrzymuje siê przez destylacjê soku kokosowego.

Nana Sahib jad³ i pi³ nie mówi¹c ani s³owa umiera³ ze znu¿enia i g³odu. Ca³e Ÿycie jego zeerodkowa³o siê w oczach, b³yszcz¹cych w ciemnoeci jak Ïrenice tygrysa.

Hindus siedzia³ nieruchomy, czekaj¹c a¿ nabobowi podoba siê przemówiaæ. By³ to Balao Rao, rodzony brat Sahiba.

Balao Rao, o rok starszy od Dandu-Panta, by³ tak nadzwyczaj do niego podobny, i¿ można by³o wzi¹æ jednego za drugiego. Pod wzglêdem moralnym niczem tak¿e nie ró¿nili siê od siebie. Obaj pa³ali jednakow¹ nienawiœci¹ do Anglików, odznaczeni siê jednakow¹, do zuchwalstwa posuniê¹ odwag¹, chytroeci¹ i podstêpnoeci¹, jednak¹ dzikoeci¹ i okrucieñstwem: by³a to jakby jedna dusza

w dwóch ciach.

Przez cały czas powstania nie rozczali się z sobą; po jego uemierzeniu obaj szukali schronienia na krańcach Nepalu i teraz żyli jedn wspóln myceł wywoania nowego powstania, nowej walki z nienawistnymi zaborcami.

Pokrzepiwszy się posiakiem, Nana wspar gowê na rku i zaton¹³ w mycelach, Balao Rao nie przerywa milczenia, mniemajc, e nabob chce zdrzemnae się trochê. Lecz Dandu-Pant nagle podniós gowê i chwytajc rke brata, rzek guchym gosem:

– Zauważyli obecnoae moj w prezydenturze Bombaju, a gubernator naoy cenê na moj gowê. Przyniesiono zapaciae dwa tysiace funtów szterlingów temu, kto wyda im Nanê Sahiba żywym czy umarzym.

– Dandu-Pancie, – odrzek Balao Rao, gowa twoja stokroae wiêcej warta! Dwa tysiace funtów to zaledwie wartoae mojej gowy, a zanim trzy miesiace upyn, najchêtniej 20.000 funtów zapaciliby za obie.

Tak, – odpowiedzia Nana, – za trzy miesiace, dnia 23. czerwca, to rocznica bitwy pod Plassey, której setna rocznica przypadajca w roku 1857, miaa stanowia kres panowania angielskiego i epokê wyswobodzenia dzieci soñca! Tak przepowiedzieli nasi prorocy, tak opiewali nasi bardowie. Za trzy miesiace sto dziesiê lat upynie, a jednak, bracie mój, jeszcze najeŹdzca depcze nasz hindusk¹ ziemiê!...

– Dandu-Pancie, – odrzek Balao Rao, – co nie powiodo się w r. 1857, moze udaê się w dziesiê lat póŹniej. W latach 1827., w 1837. i 1847. byy zaburzenia w Indjach; gorczka buntu co lat dziesiê ogarnia Hindusów, ulec¹ się z niej w tym roku kpiel w rzekach krwi Europejczyków.

– Niech Brahma nam pomaga i kieruje! – szepn¹³ Nana, a gdy chwila ta nadejdzie, za mêki nasze srozsze mi jeszcze odpacimy mczarniami. Biada! biada dowódczom wojsk królewskich, którzy nie zgineli pod ciosami Sipajów! Lawrence zgin¹³, Barnard zgin¹³, Hope zgin¹³, Napier zgin¹³, Havelock zgin¹³, ale kilku jeszcze żyje! Campbell, Rose żyj jeszcze, a szczególnie ten, którego najbardziej nienawidzê pu³kownik Munro, potomek tego krwawego mordercy, który pierwszy kaza przywi¹zywaê Hindusów do wylotów dzia i tak mordowaê, czowiek z którego rki poleg³a wierna i nieodstêpna towarzyszka moja, Rani z Jansi! Niech tylko wpadnie w moje rêce, a przekonaa się, czy zapomni³em mordów i okrucieñstwa pu³kownika Neil, rzezi Sekander Bogha, wyrzniêcia pa³acu Begum, Bareilli, Jansi, i Morar, wyspy Hidaspe i Delhi! zobaczy czy zapomni³em o tem, e on zaprzysig wydrzeê mi życie, zarówno jak ja poprzysigem zg³adziê go ze œwiata.

– Wszak opuœci³ s³ubê wojskow¹? – zapyta Balao Rao.

– Tak, ale na pierwszy odg³os powstania, wróci do szeregów... Jeeli powstanie się nie powiedzie, pójdê zamordowaê go w³asn¹ rk¹ w jego bungalowie w Kalkucie.

– Dobrze, a teraz?...

– Teraz, trzeba prowadzić dalej rozpoczęte dzieło. Tym razem będzie to powstanie narodowe. Niech tylko powstaną Hindusi po wsiach i miastach, a Sipaje nie omieszkają przychylić się do nich. Przebiegiem ośrodek i północną część Dekkanu i wszędzie znalazłem gotowość do zrzucenia obcego jarzma. Nie ma miasta ani wioski, gdziebyśmy nie mieli sprzymierzeńców gotowych do czynu. Bramani potrafią podniecić i sfanatyzować lud; poczucie religijne popchnie tym razem do poświęcenia się z nami sekciarzy Sziwy i Wisznu; na umówiony znak, w oznaczonym czasie, miliony Hindusów powstaną jak jeden człowiek i zgniotą, wypędzą wojsko angielskie.

– A wtedy Dandu-Pancie!... – zawołał Balao Rao, chwytając rękę brata.

– Wtedy Dandu-Pant, odrzekł Nana, nie będzie tylko Peischwah'em koronowanym w fortecy Bilhur, ale monarchem całej uświęconej ziemi indyjskiej.

Powiedziawszy to, skrzyłowa ręce na piersiach i zamilkł, a spojrzenie jego zdradzało, że nie myśli o przeszłości, ani o teraźniejszości, ale o przyszłości.

Balao Rao nie przerywa jego zadumy; kontent był, że dzika ta dusza rozpłomienia się własnym gorącym w niej płomieniem, a w razie potrzeby gotów był podniecić ten wewnętrzny ogień wszelkimi możliwymi sposobami. Nana Sahib nie miał ościślejszego z sobą towarzysza, gorętszego doradcy, namiętniej i gwałtowniej popychającego go do zamierzonego celu. Jak powiedzieliśmy wyżej, Balao Rao był drugim jego uosobieniem, drugim Nanem Sahibem.

Po krótkim milczeniu Nana podniósł głowę i wracając do obecnego położenia, zapytał:

– Gdzie nasi towarzysze?

– W jaskini Adjuntah, jak było umówione, że czeka na nas będą.

– A konie?

– Zostawiłem je niedaleko, na drodze prowadzącej z Ellory do Boregami.

– Czy Kalagani ich strzeże?

– Tak bracie – czuwa on bacznie, a konie dobrze utrzymane i dostatecznie wypoczęte czekają tylko na nas.

– A więc chodźmy, rzekł Nana, powinniśmy stanąć w Adjuntah przed wschodem słońca.

– Gdzieś udamy się stamtąd? – zapytał Balao Rao. Czy ta nagła ucieczka nie pokrzyłowa twoich planów?

– Nie, odrzekł Nana Sahib. Dotrzemy do gór Sautpurra, których najmniejsze zakręty i wąwozy są mi doskonale znane, tam możemy drwić sobie z wszelkich poszukiwań angielskiej policji. A zresztą to ziemia Bilhów i Gundów, wiernych naszych sprzymierzeńców, tam będą mogli oczekiwać przyjaznej chwili wśród górskiej ludności, zawsze gotowej do powstania.

– A więc ruszajmy! – zawo³a³ Balao Rao. A! przyobiecali 2.000 funtów szterlingów temu, coby cię odda³ w ich ręce! myœl¹, ¿e doœæ wyznaczycæ cenê na g³owê, aby j¹ schwytaæ!...

– O! nie dostan¹ jej – odrzek³ Nana, nie traemy chwili czasu, w drogê bracie mój!

Balao Rao szed³ pewnym krokiem przez ciasny kurytarz wydr¹¿ony pod pod³og¹ œwi¹tyni; doszed³szy do otworu kryj¹cego siê poza ogromnym grzbietem kamiennego s³onia, wysun¹³ ostro¿nie g³owê, rozejrza³ siê woko³o i dopiero przekonawszy siê, ¿e nigdzie nie ma nikogo, wyszed³ powoli z kryjówki. Potem przeszed³ ze dwadzieœcia kroków, znowu obejrza³ siê na wszystkie strony, a nie dostrzeg³szy nic podejrzanego, gwizdn¹³ daj¹c znak bratu ¿e, mo¿e wyjœæ.

Niezad³ugo dwaj bracia opuœcili tê sztucz¹ pó³ mili d³ug¹ dolinê, pe³n¹ galerji, sklepieñ, wydr¹¿eñ, w niektórych miejscach piêtrz¹cych siê bardzo wysoko. Unikali starannie tych bungalów, pe³nych zawsze pielgrzymów i podró¿nych wszelkich narodowoœci, przybywaj¹cych dla ujrzenia cudów Ellory i min¹wszy wieœ Rauzah, dostali siê na drogê ³cz¹c¹ Adjuntah z Boregami.

Odleg³oœæ z Ellory do Adjuntah wynosi³a 50 mil (oko³o 80 kilometrów), ale Nana Sahib nie by³ ju¿ teraz owym zbiegiem uciekaj¹cym piechot¹ z Aurungabad. Jak to powiedzia³ Balao Rao, na drodze czeka³y na nich trzy konie, strze¿one przez Kalagani³ego, wiernego s³ugê Dandu-Pant³a. Konie ukryte by³y w lesie, o milê od wioski. Jeden przeznaczony by³ dla Nany, drugi dla Balao Rao, trzeci dla Kalagan³iego i wkrótce te¿ pognali na nich w kierunku Adjuntah. W razie jakiegoœ spotkania nikt by siê nie dziwi³, widz¹c fakira jad¹cego konno, bo wiêksza czêœæ tych bezczelnych ¿ebraków w ten sposób ¿ebrze o ja³mu¿nê.

Zreszt¹ w tej porze roku, droga ta ma³o by³a uczêszczan¹; jechali wiêc prêd¹ko, nie obawiaj¹c siê niebezpiecznych spotkañ. Zatrzymywali siê tylko, aby daæ wytchn¹æ koniom i po¿ywiæ siê zapasami ¿ywnoœci, które Kalagani mia³ w worku przymocowanym do siod³a.

Grunt by³ równy i p³aski. Na wszystkie strony roztacza³y siê pola zaros³e krzakami i dopiero w pobli¿u Adjuntah droga stawa³a siê bardziej górzyst¹.

Przepyszne grotty Adjuntah, wspó³zawodnicz¹ce cudownoœci¹ z pieczarami Ellory, a mo¿e pod wzglêdem ca³oœci piêkniejsze jeszcze od nich, zajmuj¹ ni¿sz¹ czêœæ doliny, o jakie pó³ mili odleg³ej od miasta. Tak wiêc Nana Sahib nie potrzebowa³ przebywaæ Adjuntah, gdzie musia³o ju¿ byæ rozlepione og³oszenie gubernatora i gdzie móg³by byæ poznanym, W piêtnaœcie godzin po opuszczeniu Ellory, Nana i towarzysze jego zapuœcili siê w ciasny w¹wóz, prowadz¹cy do s³awnej doliny, której dwadzieœcia siedm œwi¹tyñ wykutych w skale wznosz¹ siê nad niezg³êbionemi otch³aniami.

Noc by³a przecieliczna, tysi¹ce gwiazd iskrzy³y siê na niebie, ale ksiê¿yc nie œwieci³. Wierzcho³ki olbrzymich banianów odbija³y siê czarno od zasianego gwiazdami firmamentu, najlêjszy wietrzyk nie unosi³ siê w powietrzu: ¿aden listek siê nie porusza³, ¿aden szelest nie dawa³ siê s³yszeæ, tylko strumieñ p³yn¹cy w g³êbi parowu szemra³ tajemniczo.

Cichy ten szmer uwydatnia³ siê coraz wiêcej i nareszcie zamieni³ siê w istny huk, gdy dojechali do wodospadu Sakkhond, spadaj¹cego z wysokoœci 50 s¹¿ni, szarpanego wystaj¹cemi kantami ska³

kwarcowych i bazaltowych. Wilgotny py³ wodny unosi³ siê w w¹wozie, i gdyby ksiê¹yc œwieci³, py³ ten b³yszcza³by siedmioma kolorami têczy, wœród tej piêknej wiosennej nocy.

Nana Sahib, Balao Rao i Kalagani przybyli do oznaczonego miejsca. Na zakrêcie w¹wozu ukaza³a siê dolina bogata w arcydzie³a budhyjskiej architektury. Tam na murach tych œwi¹tyñ, bogato zdobnych w kolumny, rozety, arabeski, werandy, zaludnionych olbrzymimi postaciami zwierzt¹ o fantastycznych kszt³ach, wœród których powydr¹¿ano ciemne celki, bêd¹ce niegdyœ mieszkaniem kap³anów, stró¹ów tych miejsc œwiêtych, artyœci mog¹ po dzie dzieñ podziwiaæ niektóre freski, wygl¹daj¹ce jakby wymalowane by³y wczoraj. Przedstawiaj¹ one uroczystoœci królewskie, procesje religijne, bitwy, w których przedstawiona jest broñ ówczesna, znana w Indjach w pocz¹tkach ery chrzeœcijañskiej.

Nana Sahib zna³ wszelkie kryjówki tych tajemniczych pieczar i niejednokrotnie w niebezpiecznych dniach powstania, on i jego towarzysze, œcigani przez wojska królewskie szukali w nich schronienia. Galerje podziemne ³cz¹ce je z sob¹, najciaœniejsze tunele przebite w skale, krête przejœcia krzy¹uj¹ce siê na wszystkich rogach i tysi¹czne rozga³êzienia tego labiryntu zna³ tak doskonale, ¿e nawet bez œwiat³a móg³ kierowaæ siê w nich i nie zb³dziaæ.

To te¿ pomimo ciemnoœci, jak cz³owiek pewny siebie, Nana zd¹¿a³ wprost do jednego z mniejszych wydr¹¿eñ, którego otwór ukryty wœród krzewów, zas³ania³a kupa du¹ych kamieni, jak siê zdawa³o oderwanych od ska³y skutkiem jej za³amania. Skrobn¹³ paznokciem po skale, by³ to znak jego obecnoœci w tem miejscu.

I w tej¿e chwili parê g³ów Hindusów ukaza³o siê z pomiêdzy zarœeli, powoli zaczê³y pojawiaæ siê inne, a za nimi ca³e postacie, które jak wê¹e wysuwa³y siê z poœród ska³ i utworzy³y oddzia³ z³o¹ony z czterdziestu dobrze uzbrojonych ludzi.

„W drogê! – zawo³a³ Nana Sahib.

I wierni ci towarzysze poszli za nim, nie ¿¹daj¹c t³umaczenia, nie pytaj¹c dok¹d ich prowadzi, gotowi oddaæ ¿ycie na jedno jego skinienie. Nie mieli koni, ale nogi ich mog³y iœæ w zawody z wierzchowcami.

Ma³y hufiec zag³êbi³ siê w w¹wóz ci¹gn¹cy siê nad przepaœci¹ i okr¹¿y³ grzbiet góry zwracaj¹c siê ku pó³nocy. W godzinê potem, dotarli do drogi wiod¹cej do Kandeisz, gin¹cej w przesmykach góry Sautpurra.

Z nadejœciem dnia minêli odnogê kolei ¿elaznej z Bombaju do Nagpore i g³ówn¹ linjê prowadz¹c¹ do Allahabad. W tej chwili przebieg³ pospieszny poci¹g z Kalkutty, rzucaj¹c na przydro¿ne baniany ca³e k³êby pary, a œwist lokomotywy przestrasza³ dzikie zwierzêta, kryj¹ce siê w gêstwinie,

Nabob zatrzyma³ konia i zawo³a³ grzmi¹cym g³osem, wyci¹gaj¹c rêkê ku uciekaj¹cym wagonom:

– Pêdÿ, pêdÿ potworze! – spiesz oznajmiæ wice-królowi Indji, ¿e Nana Sahib ¿yje jeszcze i ¿e tê kolej, szatañski wytwór ich r¹k przeklêtych, zatopi w strumieniach krwi najeÿdzców!”

Rozdział V

OLBRZYM STALOWY.

Niepodobna wyobrazić sobie większego os³upienia nad to, które ogarnę³o mę¿czyzn, kobiety i dzieci. tak Hindusów jak i Anglików, na wielkiej drodze z Kalkuty do Chandernagor. Dnia 6, maja równo ze wschodem s³oñca, z jednego z g³ównych przedmieœæ stolicy Indji, wœród dwóch szeregów ciekawych, cisznych siê z obu stron drogi, posuwa³ siê szczególniejszy wehiku³; jeœli mo¿na tak nazwaæ dziwny przyz¹d, przesuwaj¹cy siê po wybrze¿u Hougly.

Na czele, jako jedyny motor, posuwa³ siê spokojnie i tajemniczo olbrzymi s³oñ, maj¹cy 20 stóp wysokoœci, 30 d³ugoœci i odpowiedni¹ szerokoœæ. Tr¹ba jego by³a nieco odwiniêta niby wielki róg obfitoœci; wielkie z³ocene k³y wysuwa³y siê z ogromnej paszczy na kszta³t dwóch groŹnych kos. Na ciemno-zielonym dziwacznie upstrzonym korpusie, roztacza³a siê bogata jaskrawa draperja, przetykana srebrem i z³otem, zakoñczona przepyszni¹ frendzl¹ z torsad¹ i kwastami. Na grzbiecie tego s³onia wznosi³ siê rodzaj wie¿yczki, zakoñczonej na sposób indyjski okr¹gaw¹ kopu³¹, której œciany zaopatrzone by³y w grube szklane soczewki, podobne do okienek w œcianach kajut okrêtowych.

S³oñ ten ci¹gn¹³ poci¹g z³o¿ony z dwóch wagonów a raczej z dwóch domów, przenoœnych bungalów, z których ka¿dy osadzony by³ na czterech bogato rzeŹbionych ko³ach. Ko³a te, których tylko ni¿sza czêœæ by³a widoczna, porusza³y siê w bêtenkach zas³aniaj¹cych do po³owy podstawy ogromnych przyrz¹dów ruchu. Te dwa wozy ³¹czy³ ze sob¹ mostek zwodzony.

Jak to byæ mog³o, aby jeden s³oñ, choæby nadzwyczaj silny, mó³ uci¹gn¹æ dwa tak wielkie i ciê¿kie wagony, i to jak siê zdawa³o bez najmniejszego wysilenia! A przecie¿ tak by³o. Szerokie ³apy, zadziwiaj¹cego zwierzêcia podnosi³y siê i opada³y bezzwiednie z mechaniczn¹ regularnoœci¹ i w jednej chwili zwalnia³ lub przyspiesza³ biegu, choæ nie widaæ by³o „mahuta” (przewodnika) kieruj¹cego nim rêk¹ lub g³osem.

Oto co najpierw zdumiewa³o ciekawych, jak patrzyli z oddali, ale gdy zbli¿yli siê do olbrzyma, podziw ich nie mia³ granic.

Najpierw tedy dawa³ im siê s³yszeæ rodzaj miarowego mruczenia, podobnego wydawanemu przez tych olbrzymów fauny indyjskiej; nadto w pewnych ma³ych przystankach, z podniesionej w górê tr¹by bucha³y k³êby pary. A przecie¿ by³ to wyraŹnie s³oñ. Jego chropowata czarno-zielona skóra pokrywa³a widocznie ogromne koœci, jakimi natura obdarzy³a tego króla gruboskórców. Oczy jego jaœnienia³y blaskiem ¿ycia, cz³onki mog³y siê poruszaæ.

Gdyby jednak ktoœ z tych ciekawych dotkn¹³ rêk¹ ogromnego zwierzã, przekona³by siê wnet, ¿e jest to naœladownictwo, przedstawiaj¹ce nawet z bliska wszelkie pozory ¿ycia.

Jako¿ rzeczywicie s³oñ ten wyrobiony by³ z blachy stalowej, a we wnêtrzu jego kry³a siê lokomotywa. Co zaœ do poci¹gu, by³ to dom przenoœny, jak to przyrzek³ in¿ynier.

Pierwszy wagon, czyli dom, s³u¿y³ za pomieszkanie dla pu³kownika Munro, dla kapitana Hod, dla

Banksa i dla mnie. W drugim mieści³a siê s³u¿ba i sierzant Mac Neil.

Banks i pu³kownik Munro dotrzymali swoich przyrzeczeñ, tak wiêc dnia 6. maja mogliemy puœciæ siê w drogê tym zadziwiaj¹cym wekihu³em, aby zwiedziaæ pó³nocne okolice pó³wyspu indyjskiego.

Ale do czego¿ ten dziwny s³oñ? Co znaczy ta dziwna fantazja tak niezgodna z praktycznoœci¹ Anglików? Nikomu dot¹d ani w umyœle nie powsta³o, aby lokomotywie, czy to maj¹cej jechaæ po szynach kolei ¿elaznej, czy po wielkich traktach, nadawaæ ksza³t jakiegoœ czworono¿nego zwierza. Przyszajê, ¿e gdyœmy po raz pierwszy zobaczyli tê zadziwiaj¹c¹ maszynê, os³upielicemy z podziwu. Zarzuciliby przyjaciela Banksa niezliczonymi pytaniami, gdy¿ lokomotywa ta by³a zbudowana pod³ug jego planu i pod jego kierunkiem. Sk¹d móg³ mu przyjœæ tak niepojęty pomys³, aby ukryæ lokomotywê miêdzy stalowymi œcianami mechanicznego s³onia.

– Kochani przyjaciele, – odpowiedzia³ powa¿nie Banks, czy znacie rad¿ê z Buthanu?

– Otó¿ zanim umar³ rad¿a z Buthanu, ¿y³ inaczej jak inni. Przepada³ za wszelkiego rodzaju przepychem, nie odmawia³ sobie niczego, co mu tylko mog³o przyjœæ na myœl. Łama³ sobie g³owê, aby wymyœlaæ jakieœ niepodobieñstwo i gdyby umys³ jego by³ p³odniejszy w pomys³y, skarb jego opró¿ni³by siê bardzo prêdki. By³ nadzwyczaj bogaty, jak to niegdyœ bywali indyjscy nabobowie; posiada³ wielkie skrzynie pe³ne laków rupji. Nie zna³ ¿adnych trosk i chyba siê o to k³opota³, aby wydawaæ pieni¹dze nie w tak pospolity sposób jak jego koledzy miljonerzy.

Otó¿ raz przysz³a mu myœl, która go wielce niepokoi³a, a z której i sam Salomon móg³by byæ dumny, aby odbyæ podró¿ w sposób zupe³nie dot¹d nieznanym, ekwipa¿em o jakim nikt nie marzy³ nawet. Gdyby zna³ dzie³anie pary, by³by j¹ u¿y³ do swego pomys³u: nie znaj¹c, zwróci³ siê do mnie, gdy¿ znalicemy siê z sob¹. Sam mi narysowa³ plan swego oryginalnego ekwipa¿u i nie myœlcie, ¿e parskn¹³em œmiechem, s³uchaj¹c rad¿ê. Zrozumi³em, ¿e myœl tak wielka mog³a siê tylko zrodziæ w umyœle indyjskiego monarchy i zapagn¹³em gor¹co urzeczywistniaæ j¹ jak najprêdzej, z w³asnym i poetycznym mego kljenta zadowoleniem. Powa¿ny in¿ynier nie zawsze ma sposobnoœæ spotkania siê z fantastycznoœci¹, a fantazja rad¿y nie by³a niemo¿liw¹ do urzeczywistnienia; wiecie co ju¿ dokona³a technika, ale nie wiecie czego w przysz³oœci dokonaæ jeszcze mo¿e. Zabra³em siê wiêc do pracy i uda³o mi siê w os³onie z blachy stalowej w postaci s³onia ukryæ kocio³, mechanizm i tender lokomotywy dro¿nej, ze wszystkimi przynale¿ytoœciami. Tr¹ba tak urz¹dzona, ¿e mo¿e siê podnosiæ i opuszczaæ, pos³u¿y³a za komin, za pomoc¹ odpowiedniego przyrz¹du zaprz¹g³em nogi mego s³onia do kó³ maszyny, oczy urz¹dzi³em jak soczewki w morskiej latarni, aby tryska³y przez nie dwa strumienie elektrycznego œwiat³a i w ten sposób stworzy³em mego sztucznego s³onia. Jednak¿e nie dokona³em tego odrazu; nastrêcza³o siê wiele nie³atwych do pokonania trudnoœci. Ten motor, ta olbrzymia zabawka kosztowa³a mnie wiele trudów i bezsennych nocy, tak, ¿e nareszcie rad¿a trawiony gor¹czkow¹ niecierpliwœci¹, wiêksz¹ czêœæ¿ ¿ycia przepêdzaj¹c w moich warsztatach, umar³ zanim zdo³a³em wypróbowaa ostatnie ulepszenia i zanim s³oñ jego móg³ siê puœciæ w podró¿. Biedak nie mia³ nawet tej pociechy, aby choæ raz przejechaæ siê w swoim przenoœnym domu. Spadkobiercy jego nie tak bujnie obdarzeni wyobraŹni¹, spogl¹dali na moje dzie³o z zabobonn¹ trwog¹, uwa¿aj¹c je za wymys³ szaleñca, chêtnie wiêc pozbyli go siê za marne pieni¹dze. Teraz wiecie ju¿ kochani przyjaciele, jakim sposobem my jedni na ca³ym œwiecie, za to rêczyæ mogê, mamy do rozporz¹dzenia s³onia parowego o sile œemdziesiêciu koni.

– Brawo i brawo Banks! – wykrzykn¹³ kapitan Hod. Znakomity inżynier, umiejący być zarazem artyst¹ i poet¹ w żelazie i stali, to istny biały kruk.

– Gdy po ośmierni radży naby³em jego ekwipaży, nie mia³em odwagi zniszczyć mego s³onia i przywrócić lokomotywie jej zwyk³e kształty.

– I dobrze zrobi³ – rzek³ kapitan, pyszny i okazały jest ten twój s³oń. A jakież to zdziwienie wywo³a ten zwierz olbrzymi, gdy wieść nas będzie wśród równin i dżungli Hindostanu. Wielki jest pomys³ tego radży! – a my wprowadzimy go w wykonanie – wszak prawda pu³kownika?

Pu³kownik Munro prawie się ucieszył¹³, co było nieomylnym znakiem zezwolenia na projektowanie podróży.

Tak więc s³oń stalowy, to jedyne w swoim rodzaju zwierzę, ten sztuczny Lewiatan, miał stać się przenośnym domem czterech Anglików, zamiast s³użyć do przejazdów najbogatszego z radżów indyjskich. Jego liczny dwór i s³użby.

Lokomotywa drożna, do której Banks zastosował umiejętnie najnowsze naukowe udoskonalenia i wynalazki, była w ten sposób skonstruowana.

Cały mechanizm, walce (cylindry), skrzynki i pompa zasilająca, mimowody (ekscentryki) umieszczone zostały między czterema kołami, a po nad nimi kocioł z ogniskiem mającym sześćdziesiąt metrów przestrzeni. Umieszczone to było całkowicie na przedniej części korpusu stalowego s³onia, w którego tylnej części znajdował się tender przeznaczony na zbiornik wody i paliwa. Miał przestrzeń oddzielającą tender od kotła, ułatwiającą palaczowi jego zadanie. Po nad korpusem zwierza wznosił się kocioł, zbudowany tak, aby kule przebiegać jej nie mogły, tam przebywał maszynista, a w razie groźniejszej napaści wszyscy obecni schroniliby się do niej mogli. Tuż przed oczyma maszynisty mieściły się klapy bezpieczeństwa i manometr, wykazujący natężenie pary, a tuż pod ręką regulator dla regulowania pary i korba dla manewrowania w celu dowolnego zarządzenia ruchu naprzód czy wstecz. W kopule osadzone były grube szkła soczewkowate, przez które maszynista mógł widzieć roztaczając się przed nim drogę, a odpowiednio urządzony pedał dozwalał mu zmieniać i nadawać pociągowi żądany kierunek.

Resory z najlepszej stali przytwierdzone do osi w ten sposób podtrzymywały kocioł i tender, i żagodziły wstrząsienia, spowodowane nierównością gruntu. Wypróbowanej mocy koła urządzone s¹ w sposób niedopuszczający „ślizgania”.

Jak to powiedział Banks, nominalna siła maszyny odpowiada sile ośmdziesięciu koni, ale można ją podnieść do stu pięćdziesięciu, nie obawiając się eksplozji. Maszyna ta urządzona została według zasad systemu Fielda o podwójnym walcu. Szczelnie zamknięta skrzynka osłaniała cały mechanizm, nie dopuszczając kurzu szkodliwie oddziaływającego na wszystkie części składowe. Największą jej zaletą było, że potrzebowała mało a produkowała wiele i można było ją opalać zarówno węglem jak drzewem. Według oszacowania Inżyniera Banksa lokomotywa ta mogła przebiegać 25 kilometrów na godzinę, a po odpowiedniej drodze nawet 40 kilometrów.

Wielkie pochyłości lokomotywa ta przebywała z łatwością.

Dodaæ trzeba, że Anglicy pobudowali w Indjach tysi¹ce mil doskona³ych dróg, wybornie nadaj¹cych siê do podobnych lokomotyw. Sama Great Trunk Road przerynaj¹ca pó³wysep, ci¹gnie siê przez przestrzeñ 1.200 mil angielskich, czyli blisko dwa tysi¹ce kilometrów.

Lecz Banks nie sam¹ tylko dro¿n¹ lokomotywê, ale i poci¹gi nale¿¹ce do niej odkupi³ na rzecz pu³kownika Munro od spadkobierców naboba. Nic dziwnego, że rad¿a Buthanu kaza³ go urz¹dzaæ wed³ug swojej fantazji i na sposób indyjski. S³usznie nazwa³em go przenoœnym bungalowem, gdy¿ dwa sk³adaj¹ce go wagony, by³y najcudowniejszym okazem indyjskiej architektury.

WyobraŹmy sobie jakby dwie pagody bez minaretów, z dachami zaokr¹glonemi jak wydête kopu³y, z wystawami u okien wspieraj¹cemi siê na bogato rzeŹbionych filarach, ozdoby misternie wyrzynane z drogocennego ró¿nobarwnego drzewa i piêkne werandy, jedna z przodu, druga od ty³u. Zdawa³oby siê, że dwie te pagody przeniesione zosta³y ze œwiêtego wzgórza Sonnaghura, po³¹czone z sob¹ i zaprzê¿one w olbrzymiego stalowego s³onia mia³y biedz po drogach.

Nie doœæ na tem, cudowna ta lokomotywa mog³a zarówno biedz jak p³ywaæ. Ni¿sza czêœæ korpusu s³onia, w której zawarty by³ kocio³ i maszyna, stanowi³a zarazem ³ódkê z lekkiej blachy tak sprytnie obmyœlon¹, i¿ nadawa³a siê do p³ywania, wiêc w razie napotkania na drodze jakichœ rzek czy jezior, s³oñ, którego nogi opatrzone by³y odpowiednim przyrz¹dem, œmia³o rzuca³ siê w ich fale, ci¹gn¹c za sob¹ ca³y tabor, czyli tak nazwany przez Banksa „Steam-House” jak i my odt¹d nazywaæ go bêdziemy. Podwójne to zastosowanie stawa³o siê nieocenionem w tych obszernych przestrzeniach Indji, gdzie znajduje siê bardzo wiele rzek czekaj¹cych jeszcze na mosty.

Pod wzglêdem tedy zewnêtrznym jedyny len w swoim rodzaju poci¹g, odpowiada³ w zupe³noœci ¿¹daniu kapryœnego rad¿y Buthanu. Banks zastosowa³ siê do jego woli, nadaj¹c motorowi kszta³t s³onia, a wagonom pozór pagód, ale za to wnêtrze urz¹dzi³ na sposób angielski, odpowiedni do d³ugiej podró¿y.

Steam-House sk³ada³ siê z dwóch wagonów, szeœæ metrów szerokich, zatem przechodzi³y one poza ko³a, maj¹ce tylko piêæ metrów szerokoœci. Wagony zawieszzone by³y na bardzo d³ugich i ³atwo uginaj¹cych siê resorach, przez co nie podlega³y trzêsieniu i przesuwa³y siê równie lekko jak wagony kolejowe najdoskonalej dopasowane do dróg ¿elaznych.

Pierwszy wagon mia³ piêtnaœcie metrów d³ugoœci. Z przodu urz¹dzona by³a piêkna weranda, opieraj¹ca siê na lekkich kolumnach po nad balkonem, na którym dziesiêæ osób mog³o pomieœciaæ siê wygodnie. Z werandy tej wychodzi³y dwa okna i drzwi balkonowe, prowadz¹ce do salonu. W salonie tym obitym drogocennymi tkaninami jedwabnemi, sta³ piêkny stó³, biblioteka, wygodne sofki rozstawione pod œcianami; posadzkê pokrywa³ gruby dywan smyrneñski. Przed oknami pourz¹dzane by³y „talis” to jest rodzaj ekranów, skrapianych nieustannie pachn¹c¹ wod¹ a te rozacza³y mi³y ch³ód tak w salonie, jak w przyleg³ych przegrodzeniach, tworz¹cych pokoje. U sufitu zawieszona by³a „punka”, któr¹ automatycznie porusza³ bieg poci¹gu, a gdy ten¿e siê zatrzyma³, czynnoœæ tê spe³nia³ jeden ze s³u¿by. Poruszenie to wywo³ywa³o pr¹d powietrza, niezbêdnego dla och³odzenia temperatury, która tu w pewnych miesi¹cach roku dochodzi w cieniu do przesz³o czterdziestu piêciu stopni.

Naprzeciw okna balkonowego znajdowa³y siê drzwi artystycznie wykonane; prowadz¹ce do sali

jadalnej, oświetlonej nie tylko obszernymi oknami, ale i przez sufit ze szkła matowego. Na ośrodku stał stół jadalny, przy którym mogło się pomieścić ośmiu biesiadników, a że nas było tylko czterech, mogliśmy więc rozsiadać się wygodnie. Na bufecie w kredensach stały bogate srebra, kryształ i porcelana; zbytku tego domaga się bowiem komfort angielski. Dodam jeszcze, iż wszystkie przedmioty, podlegające łatwo uszkodzeniu lub stłuczeniu ustawione były w dobrze dopasowanych zagłębieniach, jak się to praktykuje na okrętach, przez co nie mogły być narażone na uderzenia, ani na upadek, choćby nawet pociąg zniewolony był puścić się na najgorsze drogi.

W głębi sali jadalnej były drzwi, wychodzące na korytarz, prowadzący do tylnego balkonu, także pokrytego werandą. Z tego korytarza wchodziło się do czterech pokoi, oświetlonych z boku; w każdym z nich stało łóżko, toaleta, szafa i sofa; były urządzone jak kajuty na najpiękniejszych okrętach transatlantycznych. Pułkownik Munro zajmował pierwszy pokój na lewo; drugi na prawo inżynier Banks. Z prawej strony naprzeciw pokojowi inżyniera, znajdował się pokój kapitana Hod; ja zamieszkałem pokój umieszczony naprzeciw pokojowi pułkownika Munro.

Drugi wagon miał dwanaście metrów długości i tu znajdował się balkon z werandą, z którego wychodziło się do obszernej kuchni, po dwóch stronach jej urządzone były składowe i spiżarnie obficie zaopatrzone. Poza kuchnię był pokój jadalny dla służby, oświetlony otworem urządzonym w suficie. Po rogach znajdowały się cztery kajuty przeznaczone dla sierżanta Mac Netla, dla maszynisty, dla palacza i służącego pułkownika Munro. Dalej ku tyłowi, dwie kajuty, jedna dla kucharza, druga dla służącego kapitana Hoda; lodownia, składowiska i potrzebne sprzęty, do których wchodziło się z tylnego balkonu.

Tak więc Banks nadzwyczaj rozumnie i wygodnie urządził oba mieszkania ruchomego domu. W zimie mogły być ogrzewane zapomocą przyrządu, który ciepło dostarczone przez maszynę rozprowadzał po pokojach, a oprócz tego urządzone były dwa kominki, jeden w salonie, drugi w sali jadalnej. Mogliśmy więc nie obawiać się ostrości zimnej pory roku, choćby u podnóża gór Tybetu.

Nie zapomnieliśmy zaopatrzyć się w zapasy żywności i w wyborne konserwy, których zapas mógł starczyć na cały rok dla nas i dla wszystkich osób, należących do podróży. Mieliśmy całą pudrę konserw mięsnych, doskonałe buljony i pasztety z „murgisów” czyli kurcząt indyjskich, których na całym półwyspie zjadają niezliczone ilości.

Nie zapomnieliśmy także o skondenzowanym mleku, które można przewozić jak najdalej i przechowywać bardzo długo. Chcąc otrzymać skondenzowane mleko, trzeba je poddać wyparowaniu, aby zgęstniało jak ciasto, które następnie zamyka się w szczelnie zachodzącej pudełku, obejmującej niespełna 450 gramów. Dodawszy do tego pięć razy tyle wody, otrzymamy trzy kwarty pienu, niczym nie różniące się od dobrego zwyczajnego mleka.

W strefach tak gorących, lód jest nie tylko nadzwyczaj użyteczny, ale prawie niezbędny; można go mieć na zawołanie za pomocą przyrządu Carrego, wywołującego obniżenie temperatury przez ulotnienie gazu amoniakowego. W tylnym rogu jednego wagonu urządzona była jakby lodownia, tak więc z pomocą ulatniania się amoniaku czy też ulotnienia eteru metalicznego, moglibyśmy choćby jak najdłużej przechowywać zapasy upolowanej przez nas zwierzyny. Tak suto zaopatrzeni nie potrzebowaliśmy obawiać się braku żywności.

Mielicemy takżę odpowiedni zapas napojów; doskona³e wina francuskie, kilka gatunków piwa, wódki i arak, aby na wszelki wypadek niczego nam nie zabrak³o. Moglicemy tedy podróżowa^æ bezpiecznie, tem bardziej, że nie zamierzalicemy oddala^æ si^ê bardzo od zamieszka³ych prowincji pó³wyspu. A Indje nie s¹ bynajmniej pustyni¹; byleby nie zabrak³o rupji, moźna tam dostaa^æ nietylko rzeczy niezbędných, ale nawet zadowolaa^æ zbytkowne wymagania. Tylko w razie, gdyby nam przysz³o zimowa^æ w okolicach pó³nocnych u podnóźa Himalajów, wtedy moźe musielibyemy poprzesta^æ na naszych podróżnych zapasach. W kaźdym razie bylicemy zup³nie spokojni, licz¹c na to, że praktyczny Banks nie da nam dozna^æ niedostatku.

Plan naszej podróży, z wyj¹tkiem nieprzewidzianých wypadków, by³ następuj¹cy:

Wyjehawszy z Kalkutty posuwa^æ si^ê dolin¹ Gangesu aź do Allahabad, następnie przebya^æ królestwo Audh aź do pierwszych przedgórzy Tybetu, zatrzymywa^æ si^ê w niektórych miejscowoœciach d³uźej lub krócej, by kapitan Hod móğ³ urz¹dza^æ sobie polowania i nareszcie dotrzea^æ aź do Bombaju.

Tak wi^êc zamierzalicemy przebya^æ przesz³o 900 mil drogi, ale jad¹c w wygodnym ruchomym domu i z dostateczn¹ s³uźb¹; któźby w takich warunkach ba³ si^ê odbya^æ podróź choa³by na oko³o œwiata?

Rozdzia³ VI

PIERWSZE ETAPY.

Dnia 6. maja, równo ze œwitem opuœci³em moje mieszkanie w hotelu Spencera, najpierwszym w Kalkucie; stolica Indji nie mia³a juź dla mnie tajemnic, zwiedzi³em wszystkie jej osobliwoœci. Odbywa³em pieszo przechadzki ranne, wieczorem spaceru w powozie po „strandzie” aź do fortu Williama, przesuwaj¹c si^ê w poœród przepysznych ekwipaży zamieszka³ych tam Europejczyków, mijaj¹cych pogardliwie równie wspania³e powozy indyjskich nabobów. Pozna³em ciekawe ulice kupieckie, s³usznie bardzo zwane bazarami; pola umar³ych na wybrzeźach Gangesu; pi^êkne ogrody botaniczne Hookera; widzia³em „pani¹ Kali”, ow¹ strasz¹ postaa^æ niewieœci¹ z czterema rêkoma okrut¹ bogini^ê œmierci, kryj¹c¹ si^ê w ma³ej kapliczce na jednym z tych przedmieœci, na których nowożytna cywilizacja spotyka si^ê co krok z miejscowem barbarzyñstwem. Napatrzy³em si^ê dowoli pa³acowi wicekróla, który si^ê wznosi naprzeciw okien hotelu; podziwia³em, ciekawy pa³ac Chowringhi Road i Town-Hold, poœwi^êcony pamieci wielkich ludzi naszej epoki, zbada³em szczegó³owo zaciekawiaj¹cy meczet Hougly; zwiedzi³em niejednokrotnie port zapchany najpi^êkniejszymi okr^êtami marynarki angielskiej; widzia³em wi^êc wszystko, co jest do widzenia w Kalkucie i nie mia³em tu d³uźej co robia^æ.

Tak tedy raniutko 6. maja, palki-ghari, rodzaj lichego powozu o czterech ko³ach, zaprz^êżony w par^ê koni, zajecha³ po mnie na plac rz¹dowy i zawióź³ przed bungalow pu³kownika Munro, a o sto kroków poza przedmieœciem, poci¹g nasz czeka³ na nas. Pakunki nasze by³y juź posk³adane w w³acciwych oddzia³ach. Zabieralicemy tylko rzeczy niezbędnie potrzebne. Kapitan Hod, który zabra³ cztery karabiny Enfielda, cztery dubeltówki do polowania, a prócz tego kilka pistoletów i rewolwerów, s³owem zapas broni, wystarczaj¹cy do uzbrojenia nas wszystkich, ani chocia³ s³ysza^æ o zmniejszeniu swego myœliwskiego arsena³u.

A w jak z^otym by³ humorze! Najprzód cieszy^o go to niezmiernie, że ukochanego swego pu³kownika wyrwa³ z tak smutnego osamotnienia, powtóre, że odbêdzie podró¿ do pó³nocnych prowincji jedynym w swoim rodzaju wehiku³em, a nareszcie, że bêdzie mia³ sposobnoœæ do tak niezwyk³ych polowañ w strefach himalajskich. Weso³oœæ jego nie mia³a granic, œmia³ siê i œciska³ nas za rêce z wszystkich si³.

Nadesz^a godzina odjazdu, kocio³ wrza³, maszyna gotowa by^a do ruchu, maszynista sta³ na swoim stanowisku, trzymaj¹c rêkê na regulatorze, rozleg³ siê wreszcie œwist, daj¹cy znak do odjazdu.

– Dalej! – zawo^aa³ kapitan Hod, podnosz¹c w górê kapelusz, – ruszaj w drogê stalowy olbrzymie!

I odt¹d cudowny nasz motor zatrzyma³ ju¿ tê nazwê: „stalowy olbrzym” doskonale do niego zastosowan¹.

Musimy jeszcze zapoznaæ was, czytelnicy, z personelem naszego ruchomego domu.

Maszynista Storr s³u¿y³ jeszcze przed paru miesi¹cami kompanji „Great Southern of India”, ale Banks, który go zna³ i cen³ wysoko. namówi³ go, aby przeszed³ do us³ug pu³kownika Munro, co bêdzie dlañ pod ka¿dym wzglêdem korzystniejsze. By³ to cz³owiek czterdziestoletni, doœwiadczony i bieg³y maszynista, który nastêpnie wielkie mia³ nam oddaæ us³ugi.

Palacz nazywa³ siê Kalut. Pochodzi³ z tej klasy Hindusów, tak poszukiwanych przez kompanje kolei ¿elaznych, umiej¹cych znosiæ podzwrotnikowy upa³ Indji, po³1czony z gor¹cem pochodz¹cem od kot³a. T¹ sam¹ w³œciwoœci¹ odznaczaj¹ siê Arabowie, którym kompanje transportowe morskie powierzaj¹ obowi¹zki palaczy podczas przep³ywania morza Czerwonego.

Tam, gdzie Europejczycy rozp³ynêliby siê z gor¹ca, oni poc¹ siê tylko.

S³u¿¹cym pu³kownika Munro by³ trzydziestopiêcioletni Hindus z plemienia Gurków, nazwiskiem Gumi. S³u¿y³ w tym pu³ku, który na dowód karnoœci zgodzi³ siê bez oporu na u¿ywanie owych nowych ³adunków, których zaprowadzenie by³o pierwszym powodem, a przynajmniej pozorem do buntu Sipajów. Nizki, szczup³y, zwinny, bezgranicznie przywi¹zany i wierny, nie zdejmowa³ nigdy czarnego munduru swej brygady, który zdawa³ mu siê tak niezbêdnym jak w³asna skóra.

Obydwaj, sier¿ant Mac-Neil i Gumi byli dusz¹ i cia³em oddani pu³kownikowi, dla niego nie cofnêliby siê przed ¿adnym poœwiêceniem. Walczyli obok niego we wszystkich bitwach staczanych w Indjach, pomagali w bezowocnych dot¹d usi³owaniach odszukania Nany Sahiba, a odt¹d nie odstêpywali go w jego samotnem ustroniu.

S³u¿¹cy kapitana Hod by³ Anglikiem czystej krwi, weso³y, rozmowny, równie zapamiêta³y myœliwy jak i jego pan. Nie chcia³by zamieniaæ swego stanowiska za ¿adne dostojêństwo, Przebieg³y i rzutki, usprawiedliwia³ zupe³nie swoje nazwisko Fox, które znaczy lis; zabi³ 37 tygrysów, o trzy mniej ni¿ jego kapitan, pociesza³ siê tem, że jeszcze doœæ jest tygrysów w Indjach, potrafi wiêc wyzyskaæ sposobnoœæ dorównania kapitanowi liczb¹ zabitych tygrysów.

Nakoniec musimy jeszcze wymienić naszego kucharza, murzyna, którego państwo roztaczało się w tylnej części drugiego wagonu, pomiędzy dwoma spiżarniami. „Pan Parazard”, jak go nazywaliśmy, w różnych już strefach spełnia swoje powołanie; przygotowuje sosy, potrawy, paszety i był przekonany że nie zajmuje się bynajmniej podrzędnymi zajęciami, ale ważnym spełnieniem posannictwa. Trzeba było patrzeć na niego, z jakim namaszczeniem przesuwając rękę od jednego do drugiego rondla, wydzielając sól, pieprz i przeróżne przyprawy ze szczytów chemika, pracującego w swoim laboratorium. Ale był dobrym kucharzem i dobrym człowiekiem, więc się z niego nie wyśmiewano.

Tak więc było nas dziesięć osób; sir Edward Munro, Banks, kapitan Hod i ja, a w drugim wagonie Mac Neil, Storr, Kalut, Gumi, Fox i pan Parazard.

Stalowy olbrzym niosł nas i nasze ruchome domy ku północy półwyspu.

Ale byłbym zapomniawszy jeszcze o dwóch psach, Fan i Blak, których przymioty myśliwskie kapitan Hod cenił bardzo wysoko.

Bengal jest jeżeli nie najciekawszy, to przynajmniej najbogatszy z prezydentur Hindostanu, jest to prowincja bardzo gęsto zaludniona i można ją uważać za prawdziwy kraj Hindusów. Ciłgnie się ku północy, aż do nieprzebranych grzbietów Himalajów. Według planu naszej podróży, mieliśmy ją tylko ukończenie przejechać.

Gdy Banks zapytał pułkownika Munro, w jakim kierunku mamy podróżować, tenże odpowiedział:

– Rób co chcesz, kochany Banksie, zupełnie spuszczam się na ciebie, dla mnie jest zupełnie obojętnym, w którą stronę udamy się. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: gdy dojedziemy do Benares, gdzie zamierzasz udać się stamtąd?

– W kierunku północnym! – zawołał kapitan Hod, – drogą prowadzącą przez królestwo Audh, do pierwszych podgórz Himalajów.

– Dobrze więc, moi przyjaciele, – odrzekł pułkownik, – może wtedy zapytam... ale do czasu pójdzie o to mówić... zanim to nastąpi, jedźcie, gdzie i jak chcecie.

Ta odpowiedź pułkownika Munro zadziwiła mnie nieco, wyraźnie miał jakby ukrytą myśl. Czyżby dlatego tylko zgodził się na tę podróż, iż spodziewał się, że może przypadek odkryje mu, czego mimo najusilniejszych poszukiwań nie mógłby wynaleźć? Czy spodziewał się, że jeżeli Nana Sahib żyje, to najpewniej wytropi go gdzieś w północnych Indjach? Czy żywił jeszcze nadzieję, że będzie mógł pomóc okrutnej ośmierci? Nie wiedziałem, co zamierzał, ale byłem przekonany, że ukrywa jakieś zamiary i że Mac Neil przypuszczony jest do tajemnicy.

W pierwszych godzinach poranka, zasiedliśmy wszyscy w salonie Steam-House. Drzwi i oba okna werandy były otwarte, a punka poruszająca powietrze chłodziła temperaturę, Olbrzym stalowy posuwał się do przodu umiarkowanie z prędkością jednej mili na godzinę, gdy tak zyczyliśmy sobie, pragnąc dobrze rozejrzeć się w przebywanych okolicach.

Gdyśmy mijali przedmieścia Kalkuty, pobiegło za nami wielu Europejczyków, zdziwionych widokiem naszego niezwykłego wehikułu oraz tłumy Hindusów, przypatrujących mu się z podziwieniem i zarazem trwogą. Wszyscy przechodnie zatrzymywali się zdumieni; nie tyle przepyszniemi wagonami, ile widokiem olbrzymiego słońca, który je ciśnie buchając kłębami pary.

O dziesiątej podano do stołu w sali jadalnej; rozprawiliśmy się z przyrządzonym przez pana Parazardem obiadem, które nam wszystkim bardzo smakowało.

Droga, którą jechaliśmy, ciągnęła się lewym brzegiem rzeki Hougly, t. j. zachodnie ramię Gangesu, przez t. zw. Sunderbund. Cała ta przestrzeń jest formacji alluwialnej.

– To, co widzisz, kochany Mauclerze, – rzekł do mnie Banks, – jest to podbój świętej rzeki, dokonany na równie świętej zatoce bengalskiej; jest to dzieło czasu. Nie znalazłby tu może ani garści innej ziemi nad naniętą przodem Gangesu od granic Himalajów. Rzeka ta, ocierając się o góry, zabiera ich części, aby utworzyć z nich grunta tej prowincji, w której urządziła sobie ożysko.

– Aby je porzucać często dla innego! – dodał kapitan Hod. – Ach! ten Ganges to grymaczek, fantastyk, dziwak pierwszej klasy, Na wybrzeżach jego wzniesiono miasto; otóż w kilka wieków później miasto stoi w dolinie, wybrzeża wyschły, a rzeka zmienia kierunek i ujście. Tak się stało z miastami Rajmahal i z Gaur; niegdyś kapryśna ta rzeka oblewała je swymi falami, dzieci umierają z pragnienia w pored wyschłych pól ryżowych.

– Czyż i dla Kalkuty nie należy obawiać się podobnego losu? – zapytał em.

– Bardzo łatwo może to nastąpić, – odrzekł kapitan Hod.

– Ba! od czegoż my inżynierowie? – rzekł Banks. – W razie potrzeby potrafimy poskromić wybryki Gangesu, porządząmy tamy, włożymy mu kaftan jak warjatowi.

– Wielkie to szczęście dla ciebie, kochany Banksie, że Hindusi nie są, że w podobny sposób wyrażasz się o ich świętej rzece, pewnie nie uszłoby ci to na sucho.

– Zapewne, – odrzekł inżynier, – bo dla nich Ganges jest synem bóstwa, jeżeli nawet nie samym bóstwem, więc cokolwiek uczyni, w ich oczach jest dobrem i szlachetnym.

– Czy nawet i te febry, cholera i zarazy, jakie szerzy po tym kraju? – zapytał kapitan Hod. – Dziwna rzecz jednak, że nie oddziałują to na zdrowie tygrysów i krokodyli, widają mięsożerne te stworzenia nie podlegają zarazie, a to zabójcze powietrze dodaje im jeszcze siły.

A zwracając się do swego ułczego, sprzątniętego ze stołu, zawołał:

– Fox!

– Słucham kapitanie.

– Wszak na wybrzeżach Gangesu zabijacie swego trzydziestego siódmego?

– Tak, panie kapitanie, o dwie mile od Port-Canning. By³o to wieczorem...

– Doceæ tego, – przerwa³ kapitan, wychylaj¹c szklankê grogu, – znam dobrze historjê twego trzydziestego siódmego, wola³bym dowiedzieæ siê coce o trzydziestym ósmym.

– Kiedy jeszcze nie zabity, kapitanie.

– Nie bój siê, zabijesz go, zarówno jak ja mego czterdziestego pierwszego.

W miarê naszego posuwania siê, Hougly, która pod Kalkutt¹ ma przesz³o kilometr szerokoœci, coraz wiêcej zwê¹za swe ³o¹ysko. W górê od Kalkuty wody jej p³yn¹ w poœród doceæ niskich wybrze¹y; tam bardzo czêsto powstaj¹ straszne cyklony, pustoszc¹ce ca³¹ prowincjê. Ca³e dzielnice zostaj¹ zniszczone, setki domów rozpadaj¹ siê w gruzy, ogromne plantacje obraca cyklon w perzynê, tysi¹ce trupów zalega miasta i wioski, oto skutki tych strasznych zjawisk, z których najokropniejszym by³ cyklon w 1844. roku.

Klimat Indji dzieli siê na trzy pory: na porê d¹z¹yst¹, zimow¹ i gor¹c¹; ostatnia trwa najkrócej, ale te¹ jest najciê¹sz¹ do przebycia. Najgro¹Ńniejsze miesi¹ce s¹: marzec, kwiecieñ i maj. W tej porze roku, szczególnie w maju; w niektórych godzinach dnia kilkogodzinne wystawienie siê na upa³ s³oneczny zagra¹za œmierci¹, szczególnie Europejczykom. Nieraz wtedy, nawet w cieniu, termometr wskazuje sto szeceæ stopni Farenheita (oko³o 41 Celsjusza).

Jednak¹e dziêki szybkiemu biegowi Steam-House, ruchowi powietrza, wywo³anego uderzeniami punki i wilgotnej atmosfêrze, przechodz¹cej przez nieustannie zraszane maty okienne, gor¹co nie dokucza³o nam zbytecznie.

Oko³o pierwszej po po³udniu dojechalicemy do Chandernagor. Zwiedza³em ju¹, poprzednio tê miejscowoœæ, która jedna ju¹ tylko z ca³ej prezydentury Bombaju nale¹y do Francji i powiewa nad ni¹ jej trójkolorowo chor¹giew. Chandernagor, dawny wspó³zawodnik Kalkuty, dzieæ bardzo chyli siê ku upadkowi. Nie wolno miastu utrzymywaæ wiêcej nad piêtnastu ¹o³nierzy dla w³asnej obrony; handel i przemys³ upad³, bazary opustosza³y, warownia opuszczona.

Poci¹g nasz omin¹³ miasto i zatrzyma³ siê o trzy mile dalej pod palmowym lasem i spokojnie spêdzilicemy noc w naszych kajutach. Podczas tego wypoczynku Banks kaza³ odnowiæ zapas paliwa, bo choæ nie wiele jeszcze spotrzebowano wêgla, drzewa i wody, chcia³ aby zawsze mieæ ich tyle, ile potrzeba na przeci¹g szeceædziesiêciu godzin.

Nazajutrz rano, 7. maja, puœcilicemy siê w dalsz¹ drogê, po dwóch dniach, zbli¹zalicemy siê do Burdwan, który 9. maja zamierzalicemy zwiedziæ.

Gdyemy jechali wzd³u¹ toru kolei ¹elaznej, która przez Burdwan ³¹czy Rajmahal z dolin¹ Gangesu i stamt¹d ci¹gnie siê a¹ do Benares, przebieg³ w pêdnie ko³o nas poci¹g pospieszny z Kalkuty. Podró¹ni cisnêli siê do okien wagonów z okrzykami podziwu.

Okolica, przez któr¹ przeje¹d¹alicemy w nastêpnych 2 dniach by³a zape³nie p³ask¹ i przez to dosyæ monotonn¹. Tu i ówdzie ko³ysa³y siê pod wp³ywem wiatru smuk³e palmy kokosowe, który to gatunek

drzew znika im bardziej zbliża się okolica ku miastu Burdwan. Ten rodzaj palm jest przyjacielem wybrzeża morskiego i udaje się tylko, jeżeli ma choćby odrobinę morskiego powietrza. Dlatego rośnie on tylko na wiskim pasie nadbrzeżnym a we wnętrzu kraju go się nie napotyka.

Rocelinnocę wśródowa Indji jest mimo to mniej zajmująca i różnorodna. Kraj po obu stronach Gangesu tworzy niejako olbrzymią szachownicę pól ryżowych, rozciągających się na olbrzymiej przestrzeni. Tu jednak dominowała zieleń, a ziemia na tym ciepłym i wilgotnym gruncie z jego bujną roselinnocę zapowiadają się bardzo dobrze.

Następnego dnia maszyna o oznaczonej godzinie buchnęła ostatnim kółkiem pary z punktualnością której mógłby jej zazdrościć każdy pocąg pospieszny i zatrzymała się przed bramami miasta Burdwan.

Pod względem administracyjnym miasto to jest stolicą okręgu angielskiego, ale cały obwód powiatowy jest własnością maharadzy, opłacającego rządowi nie mniej ni więcej, tylko dziesięć milionów rocznej daniny. Miasto składa się po większej części z niskich domków, oddzielonych szerokimi ulicami, wysadzone mi drzewami. Ulice te są tak szerokie, iż nasz Steam-House mógł najwygodniej przesuwać się po nich. Zatrzymaliśmy się na stacji w cichym ustroniu, pełnym cienia i świeżości. Nasz stalowy wywołanie i tu wielkie wrażenie, był to podziw porażony z przestachem. Ze wszech stron nadbiegali bengalczyki z gołymi głowami, jedynym ubraniem mężczyźni rodzaj chusty opasanej dokoła bioder, kobiety zaś były od stóp do głów owinięte w białe płaszcze „sarri”.

– Jednej tylko obawiam się rzeczy, rzekł kapitan Hod, a to żeby maharadza nie chciał kupić naszego olbrzyma stalowego i żeby nie ofiarował za niego tak wielkiej sumy, że prawie czuliśmy się zmuszeni sprzedać go jego wysokość!

– O nigdy! – wykrzyknął Banks. Zrobilibym mu innego słońca, gdyby chciał, a ten byłby tak silny, że mógłby uciągnąć całą jego stolicę i nawet całą jego państwo. Ale naszego nie sprzedałibyśmy za żadną cenę, czyż nie prawda Munro?

– Za żadną cenę w świecie – odrzekł pułkownik tonem, który zdradzał, że nawet miliony nie potrafiłyby go do tego skusić.

Zresztą niepotrzebnie obawialiśmy się o naszego słońca.

Maharadza nie był w mieście. Odwiedził nas tylko jego „kandar” czyli przyboczny sekretarz, który pragnął poznać wnętrze naszego wehikułu. Zezwoliliśmy na to chętnie, za co wywdzięczając się, poprowadził nas do przeciętnych ogrodów i parku pałacowego. Mogliśmy tu przypatrzeć się najrzadszym okazom podzwrotnikowej roselinnocę; strumienie i stawy przerzynały przeciętne murawy; w parku były fantastycznie porozrzucone przeciętne kioski, w zwierzyńcu biegały oswojone sarny, jelenie, daniela, słońce, tygrysy, pantery, lwy, niedźwiedzie mieściły się w przepysznie urządzonej menażerii.

– Tygrysy trzymane w klatkach niby jakie ptaki! – krzyknął Fox – a to ośmiem i litość bierze... nieprawdaż panie kapitanie?

– Prawda, mój Foxie; gdyby je zapytano co woli pocziwe te zwierzêta, wola³yby pewnie hasaa swobodnie po dżunglach... choæby z narażaniem siê na strza³y karabinów z wybuchaj¹cemi kulami.

– Pojmujê to doskonale panie kapitanie – odrzek³ wzdychaj¹c Fox.

Nazajutrz 10. maja, opuœciliœmy Burdwan, puszczaj¹c siê w dalsz¹ drogê.

Nasz we wszystko zaopatrzony Steam-House przekroczy³ tor kolejowy i zwróci³ siê wprost do Ramghur, miasta leż¹cego w odleg³oœci oko³o 75 km.

Przez obranie tej drogi pozostawiliœmy co prawda po prawej stronie doœæ wielkie miasto Mourchedabad, które jednak ani w swej angielskiej ani indyjskiej czêœci nie przedstawia nic zajmuj¹cego, dalej miasto Monghiz, rodzaj indyjskiego Birminghamu, po³ożonego na przedgórzu dominuj¹cem nad korytem rzeki; Patrnê, stolicê królestwa Behar, oerodek handlu i wywozu opium.

Podczas tej czêœci podróży przyspieszyliœmy nieco tempo jazdy naszego olbrzyma a jego wyborny trab przekona³ nas naocznie o wspania³em urz¹dzeniu naszych ruchomych domów. Zreszt¹ droga by³a dobra i nadawa³a siê do tej próby. Mo¿e drapieżne zwierzêta ulêk³y siê olbrzymiego s³onia spowitego w k³êby dymu i pary.

Przynajmniej nie widzieliœmy ku niema³emu zdumieniu kapitana Hod ani jednego drapieżnego zwierzêcia w dżunglach tego kraju. Ten jednak¿e nie skarzy³ siê zbyt, bo nie tu zaraz w Bengalu, lecz w pó³nocnych okolicach Indji chcia³ daæ upust swej życzliwej myœliwskiej.

Dot¹d nie jeŹdziliœmy prêdziej jak piêtnaœcie mil na dwanaœcie godzin. Dnia 15. maja zatrzymaliœmy siê pod Ramghur, prawie o 50 mil od Burdwan, a 18-go o sto kilometrów dalej, pod ma³em miastem Chittra. Do tego czasu ¿aden wa¿niejszy wypadek nie zdarzy³ siê w naszej podróży. Dnie by³y gor¹ce, ale na naszej werandzie upa³ nie dokucza³.

Wieczorem maszynista Storr i palacz Kalut czyœcili koció³ i rewidowali maszynê pod czujnym okiem Banksa. Ja zaœ, kapitan Hod i s³u¿¹cy jego Fox, zabieraliœmy wy¿³y i udawaliœmy siê na polowanie w pobliżu obozowiska. Strzelaliœmy do ptactwa i drobnej zwierzyny. Hod, jako myœliwy, za nic mia³ takie polowanie, ale jako smakosz, rozkoszowa³ siê urz¹dzaniami przez pana Parazard przysmakami z ubitej zwierzyny, zw³aszcza, ¿e przez to oszczêdzaliœmy nasze zapasy.

Czasem zatrzymywali siê Fox i Gumi, by narêbaæ drzewa lub przynieœæ œwież¹ wodê, bo przez ca³y dzieñ trzeba by³o nape³niaæ tender. Z tego powodu Banks obiera³ jako miejsca postoju brzegi strumieni lub poblizê lasów. Zaopatrywanie siê w potrzebne materja³y odbywa³o siê stale pod dozorem inżyniera, który sam stara³ siê o wszystko.

Po ukoñczeniu tego wszystkiego zapalaliœmy sobie wonne cygara „cherouts” z Manilli i paliliœmy je rozmawiaj¹c o kraju, który Hod i Banks znali przecie¿ doskonale. Kapitan gardzi³ zwyczajnym cygarem i wci¹ga³ swemi silnymi p³ucami wonny dym przez szlauch d³ugoœci 20 stóp z fajki, „houkah”, któr¹ s³u¿¹cy mu starannie nape³nia³.

Pragnêliœmy bardzo, by pu³kownik Munro towarzyszy³ nam w tych ma³ych wycieczkach; zawsze

wybieraj¹c siê, namawiali^omy go, aby szed³ z nami, ale odmawia³ zawsze stanowczo i zostawa³ ze swoim sierżantem Mac Neil'em. Potem wychodzili obydwaj i przechadzali siê po drodze, nie oddalaj¹c siê zbyt daleko. Nie wiele mówili z sob¹, zna^o jednak by³o, że siê rozumiej¹ doskonale i nie potrzebuj¹ s³ów do wymiany my^oli. Obydwaj byli zatopieni we wspomnieniach, których nic nie mog³o zatrze^o w sercu i umy^ole pu³kownika. Obecnie wspomnienia te potêgowa³y siê jeszcze w miarê, jak zbliżali siê do miejsca bêd¹cego niegdy^o widowni¹ krwawego powstania. Widocznie nie sam żal rozstania siê z nami sk³oni³ pu³kownika Munro do towarzyszenia nam w tej wycieczce do Indji pó³nocnych, ale jak^o my^ol ukryta, jakie^o tajone zamiary, które zapewne dopiero pó³niej poznamy. Ja, kapitan Hod i inżynier Banks, wszyscy^omy byli pod tym wzglêdem jednego zdania i z niepokojem zadawali^omy sobie pytanie: czy te³ s³oñ stalowy pêdz¹cy po drogach pó³wyspu nie goni mo³e za jakim^o strasznym dramatem.

Rozdzia³ VII

PIELGRZYMI NAD RZEKĄ PHALGOU.

Behar stanowi³ niegdy^o cesarstwo Magada. Za czasów Buddystów by³ to rodzaj ziemi o^owiêtej, pe³nej o^owi¹tyñ i monasterów. Ale od wielu ju³ wieków bramini zajêli tu miejsce kap³anów Buddy: zagarnêli „viharas'y” i wyzyskuj¹c wiarê swych wyznawców, żyj¹ ich kosztem. Ze wszech stron o^oci¹gaj¹ tu wierni: bramini tutejsi wespółzawodnicz¹ ze o^owiêtemi wodami Gangesu, z obrz¹dkami Jaggernautu, z pielgrzymkami do Benares i mo³na o^omia³o powiedzie^o, że s¹ panami okolicy. A piêkny to i bogaty kraj ze swymi niezmiernymi i ³anami ry³u o szmaragdowej zielono^oci i wielkimi plantacjami maku, z licznymi wioskami rozrzuconymi po kobiercach zieleni, kryj¹cemi siê w cieniu palm, mangowców, daktyli, na które przyroda zarzuci³a jakby nierozwik³an¹ sie^o ljan. Nasz Steam-House przesuw³ siê w po^oród zaciemnionych gajów, zawsze o^owie³ych, dziêki wilgoci gruntu. Kieruj¹c siê wed³ug roz³o^oonej mapy, nie obawiali^omy siê zab³1dzenia. O^owist naszego s³onia miêsza³ siê z og³uszaj¹cym krzykiem skrzydlatego ptactwa, a dym jego otacza³ gêstemi k³êbami ogromne banany, których z³otawy owoc przeo^owieca³ przez niego jak gwiazdy z poza lekkich chmurek.

Ale jaki straszny upa³. Zaledwie odrobina wilgotnego powietrza przedziera siê przez maty naszych okien. Gor¹ce wiatry „hot winds” nasycone zarazem skutkiem przesuwania siê po rozleg³ych równinach wschodu, pal¹ce swe tchnienie wyziewa³y na wioski. Czas ju³, aby musson czerwcowy z³agodzi³ atmosferê; ogniste s³oñce rzuca tak pal¹ce promienie, że uderzenie ich jest o^omiertelne.

To te³ ca³a okolica przedstawia siê jak pustynia, sami nawet „rajoci” jakkolwiek oswojeni z żarem s³onecznym nie s¹ w stanie nawet pracowa^o w polu. My mogli^omy odbywa^o podró³ jedynie dziêki ocienionej drodze i bezpiecznemu schronieniu w naszym przenocnym bungalowu, ale palacz nasz Kalut musia³ by^o nawet nie z platyny, bo nawet platyna roztopi³aby siê, ale chyba z czystego wêgla, że nie roztopi³ siê stoj¹c przed rozpalon¹ krat¹ swego kot³a. Dzielny Hindus mê³nie opiera³ siê dzia³aniu ognia, wyrobi³ wida^o w sobie inn¹ naturê, nadaj¹c¹ siê do życia na platformie lokomotywy pêdz¹cej po relsach o^orodkowych Indji.

Termometr zawieszony na o^ocianie sali jadalnej wskazywa³ sto sze^oo stopni Fahrenheit'a (41

stopni C.) dnia 19. maja, to też tego wieczoru nie mogliemy odbyæ zwyk³ej naszej higienicznej przechadzki, zwanej tu dos³ownie „hawakana”. Nazwa ta znaczy dos³ownie „jeœæ powietrze”, czyli, ¿e po duszeniu siê w ci¹gu dnia zwrotnikowym skwarem, idzie siê oddychaæ letniem i czystym powietrzem wieczornem.

– Panie Maucler, rzek³ do mnie sier¿ant Mac-Neil – czas ten przypomina mi ostatnie dni marca, kiedy to sir Hugh Rose z baterj¹ z dwóch dzia³ jedynie z³o¿on¹, próbowa³ zrobiaæ wy³om w murach otaczaj¹cych Lucknow. Od szesnastu dni, jak przeszliœmy Betwê, konie nasze ani razu nie by³y rozsiod³ane bilitemy siê w poœród olbrzymich murów granitowych jakby miêdzy gorej¹cemi œcianami hutniczego pieca, Pomiêdzy szeregami naszymi chodzili „chitsisowie” roznosz¹cy wodê w skórzanych naczyniach i gdy myœmy nabijali broñ i strzelali, oni lali nam wodê na g³owê, inaczej padalibyœmy ra¿eni skwarem s³onecznym. O! pamiêtam to doskonale i si³y mnie opuszcza³y, czaszka moja p³onê³a, upada³em... Spostrzeg³ to pu³kownik Munro, i chwytaj¹c buk³ak z r¹k chitsisa, wyla³ z niego wodê na moj¹ g³owê. a nie by³o jej ju¿ wiêcej ani kropli... O panie! takich rzeczy nigdy siê nie zapomina... toæ za ka¿d¹ kroplê tej wody, chêtnie odda³bym kroplê krwi mojej, ale choæbym i ¿ycie poœwiêci³ dla mego pu³kownika, jeszcze pozosta³bym mu d³u¿nym.

– Czy nie zwróci³œ uwagi sier¿ancie Mac-Neil, ¿e od czasu naszego wyjazdu, pu³kownik Munro jest jeszcze smutniejszy i wiêcej zamýcelony ni¿ zwykle, zdawa³oby siê, ¿e...

– Tak, panie – odrzek³ prêdko przerywaj¹c mi, ale to rzecz naturalna; coraz wiêcej zbli¿amy siê do Lucknowa i Kanpuru, gdzie Nana Sahib kaza³ tak okrutnie mordowaæ... O! nie mogê mówiaæ o tem, zaraz krew uderza mi do g³owy... Mo¿e lepiej by³oby inne strony obraæ za cel naszej podró¿y, nie zwracaæ siê ku prowincjom, gdzie bunt najbardziej szala³. Za blisko tu jesteœmy miejsc bêd¹cych widowni¹ tak niedawno zasz³ych okropnoœci, aby siê nie nasuwa³y ¿ywo bolesne wspomnienia.

Mo¿emy zmieniaæ kierunek podró¿y, jeœli chcesz, Mac-Neil; powiem to panu Banks i kapitanowi.

– Ju¿ zapóŹno – odrzek³ sier¿ant. Zdaje mi siê zreszt¹, ¿e pu³kownik chce koniecznie po raz ostatni mo¿e zwiedziaæ okolice, w których toczy³a siê ta straszna wojna, a szczególnie miejscowoœæ, w której lady Munro tak okropn¹ zginê³a œmierci¹.

– Je¿eli tak, nie mo¿na siê sprzeciwiaæ pu³kownikowi i nie ma co myœleæ o zmianie planu podró¿y. Czêsto staje siê nam wielk¹ pociech¹ i ulg¹ w cierpieniu, je¿eli mo¿emy zap³akaæ na grobie ukochanych...

– Tak, na grobie! Ale jest¿e grobem owa studnia w Kanpurze, w któr¹ wrzucono zw³oki tylu ofiar? Czy¿ ona podobna do tych pomników, utrzymywanych z pobo¿n¹ czci¹ na naszych szkockich cmentarzach, zdobnych kwiatami i ocienionych drzewami, na których wyryte jest nazwisko ukochanej nam zmar³ej istoty! Doprawdy, lêkam siê, aby boleœæ mego pu³kownika nie przesz³a w bezgraniczn¹ rozpacz!... Ale powtarzam, ¿e ju¿ zapóŹno myœleæ o zmianie kierunku podró¿y, zapewne teraz pu³kownik nie zgodzi³by siê na to. Sta³o siê, procemy tylko Boga, aby nie wypuszcza³ nas z swej œwiêtej opieki.

Widocznie Mac-Neil zna³ zamiary pu³kownika, i zapewne nie sama chêæ zobaczenia jeszcze Kanpuru, sk³oni³a go do opuszczenia Kalkutty. Obecnie jakoby nieprzeparty magnes poci¹ga³ go ku

widowni przerażaj¹cego dramatu. Niepodobna by³o temu przeszkodziæ.

Wtedy przyszed³o mi na myœl zapytaæ sier¿anta Mac-Neila, czy on ze swej strony wierzy³, ¿e Nana Sahib nie ¿yje lub czy dot¹d ¿ywi chêæ pomszczenia dokonanych przez niego okrucieñstw.

– Nie wierzê, i¿by Nana Sahib umar³, odpowiedzia³, bo choæ nie mam ¿adnych danych, na których móg³bym oprzeæ moje przekonania, nie przypuszczam, aby móg³ umrzeæ, nie poniós³szy jeszcze na tej ziemi sprawiedliwej kary za swoje zbrodnie. Nic nie wiem, nikt mi nic nie powiedzia³, ale jest to jakieœ przecucie niedaj¹ce siê st³umiaæ... Ach, panie, nie jest¿e to piêkny cel ¿ycia, staraæ siê zostaæ narzêdziem sprawiedliwej kary Bo¿ej!. Oby tylko nie zawiod³y mnie przecucia, a kiedyœ...

Ruchem znacz¹cym dokoñczy³ swe myœli, widocznie pan i s³uga pojmowali siê i dope³niali wzajemnie.

Powtórzy³em treœæ tej rozmowy Banksowi i kapitanowi Hod i obaj zgodzili siê, ¿e nie mo¿na zmieniaæ planu podró¿y. Zreszt¹ nigdy nie mieliœmy zamiaru udania siê do Kanpuru, lecz przebywszy Ganges w Benares zwróciæ siê wprosi na pó³noc, przez wschodni¹ czêœæ królestw Audh i Rohilkhandy. Nie byliœmy pewni czy rzeczywiœcie pu³kownik Munro bêdzie chcia³ zwiedziaæ Lucknow i Kanpur, postanowiliœmy jednak nie sprzeciwiaæ mu siê w niczem.

Co do Nany Sahiba, by³ on tak g³oœnym. ¿e gdyby zawiadomienie o jego ukazaniu siê w prezydenturze Bombaju zgadza³o siê z prawd¹, bylibyœmy ju¿ zapewne coœ s³yszeli, o nim, kiedy przeciwnie wszystko kaza³o wnosiaæ, ¿e rz¹d by³ wprowadzony w b³¹d. Je¿eli jednak by³o w tem coœ prawdy i pu³kownik Munro mia³ jakieœ ukryty zamiar, dziwnem mog³o siê zdawaæ, ¿e nie najzaufañszego swego przyjaciela, jakim by³ Banks, ale Mac-Neil'a wybra³ za powiernika; powodem tego by³o zapewne, i¿ wiedzia³ z góry, ¿e Banks wszelkimi si³ami odwodziæ go bêdzie od zgubnych a bezu¿ytecznych poszukiwañ, kiedy przeciwnie sier¿ant jeszcze go do nich podnieca³.

Dnia 19. maja, min¹wszy miasteczko Chitra, znajdowalicoœmy siê o czterysta piêædziesi¹t kilometrów od Kalkuty. Nazajutrz, gdy ju¿ noc zapad³a, Stalowy Olbrzym dowióz³ nas w okolice Gaya, gdzie zatrzymalicoœmy siê na wybrze¿ach œwiêtej rzeki Phalgou (Falgu) dobrze znanej pielgrzymom. Przenoœone nasze domki zajê³y miejsce nad brzegami rzeki w poœród zieleni drzew, prawie o dwie mile od miasta. Zamierzalicoœmy zatrzymaæ siê tu trzydzieœci szeœæ godzin, to jest dwie noce i dzieñ, bo miejscowoœæ ta zas³uguje na dok³adniejsze ogl¹dniêcie. Nazajutrz, 21. ju¿ o czwartej rano, aby unikn¹æ po³udniowego skwaru, Banks, kapitan Hod i ja po¿egnawszy siê z pu³kownikiem, skierowalicoœmy nasze kroki ku Gaya.

Zapewniam¹, ¿e 150.000 pobo¿nych przybywa rok rocznie do tego ogniska braminizmu i rzeczywiœcie droga do miasta zapchana by³a t³umem mê¿czyzn, kobiet, starców i dzieci d¹¿¹cych do œwiêtego miejsca. Nie zra¿a³y ich wcale trudy d³ugiej pielgrzymki od spe³nienia religijnego obowi¹zku.

Banks zwiedza³ ju¿ dawniej krainê Behar; przy sposobnoœci badania gruntu pod kolej ¿elazn¹, dot¹d nie zbudowan¹. Zna³ wiêc dobrze tê okolicê i niepodobnaby znaleœæ lepszego przewodnika. Z obawy, aby kapitan Hod ulegaj¹c myœliwskiej namiêtnoœci, nie od³oczy³ siê od nas i nie zab³dzi³, Banks nak³oni³ go, ¿e nie wzi¹³ z sob¹ ¿adnych przyrz¹dów do polowania.

Gdy już dochodziliśmy do miasta, które słusznie mogłaby nazwać „świętym miastem”, zatrzymaliśmy się przed świętym drzewem, wokół którego gromadzili się pielgrzymi różnego wieku i płci w kornej, ubóstwieńczej postawie.

Drzewo to, być może „pipal” o olbrzymim pniu, lecz choć większa część jego opadła już skutkiem starości, nie mogło liczyć więcej jak dwa lub trzy wieki życia, jak stwierdził Louis Rousselet podczas swej podróży odbytej po Indiach Radżów. Hindusi nadali religijną nazwę „drzewa Buddy” temu ostatniemu przedstawicielowi świętych pipalów, oceniających przez długie wieki to miejsce, z którego najpierwszy miał być zasadzony na pięćset lat przed erą chrześcijańską. Prawdopodobnie fanatycy bijący mu korne pokłony, przekonani byli, że sam Buddha zasadził to drzewo. Rośnie ono obecnie na ruinach tarasu tuż obok świątyni, wzniesionej z cegły, zdającej się sięgać odległej starożytności.

Obecność trzech Europejczyków wśród tylu tysięcy Hindusów była niebardzo miłym przez nich widziana okiem; nie mówili nic, ale niepodobna nam było dostać się na taras ani do ruin świątyni, tak zastępy tłoczonych się pielgrzymów utrudniały przystęp do nich.

– Gdyby był tu jakiś bramin, rzekł Banks, łatwiejsza byłaby sprawa i może moglibyśmy zwiedzić najświętsze zakątki świątyni.

– Jaki! zapytałem – bramin miałby być mniej zgorzłym fanatykiem niż jego wierni?

– Cóż chcesz mój drogi – odpowiedział, surowość zgorzalców nie umie najczęściej oprzeć się chęci dostania kilku rupji – a potem przecięł i ci bramini muszą z czegoś żyć.

– Obeszoby się bez nich na świątynie! – zawołał kapitan Hod, który niekoniecznie słusznie nie podzielał tolerancji swych współziomków dla Hindusów, ich obyczajów, przesądów, zwyczajów i przedmiotów ich czci. Obecnie w Indiach najwięcej obchodziło go polowanie i nad ludność wsi i miast wyżej cenili dzikie mięsożerne zwierzęta, kryjące się w lasach.

Gdyśmy opuścili święte drzewo, Banks przeprowadził nas drogą wiodącą do Gaya. W miarę zbliżania się do świętego grobu, zwiększały się tłumy nieustannie. Wkrótce ukazała się nam Gaya na szczycie skały, którą opasywała jakby wieńcem, malowniczymi swymi budowlami.

Główną uwagę turystów zwraca tu świątynia Wisznu. Jest to gmach nowoczesny, odbudowany przez królową Holkaru. Największą osobliwością tej świątyni są ciałdy pozostawione przez Wisznu, gdy rządził osobliwie na ziemi, aby stoczyć bój ze złym duchem Maya. Walka między bogiem a szatanem musiała się skończyć zwycięstwem pierwszego; złym duch został pokonany, a odłam kamienia, zachowany w Wisznu-Pad, na którym odcisnęły się ciałdy przeciwnika, daje wymowne świadectwo o sile zwycięzcy.

Ale kamień ten sami tylko Hindusi godni są oglądać – żaden Europejczyk nie może dostąpić tak wielkiego zaszczytu. Może, aby dostrzedz te cudowne ciałdy, trzeba patrzeć oczyma oślepej wiary w ich istnienie i autentyczność – czego brakuje wędrowcom z zachodu. Tym razem ofiarowane przez Banksa rupje nic wskórać nie mogły – choć nie miałbym rzeczyć czy większa ich liczba nie zmniejszała by surowego bramina.

Pomimo, że nie mogliemy ujrzeæ cudownego g³azu, nie za³owalicemy jednak naszej. wycieczki do œwiêtego miasta i do Wisznu-Pad. Niepodobna opisaæ bez³adnej mieszaniny œwi¹tyñ, dziedziñców, wiharasów, jakie trzeba nam by³o okr¹æ i przechodziæ, aby siê dostaæ do tej œwi¹tyni; sam Tezeusz, trzymaj¹cy w rêku nitkê Arjadny, móg³by jeszcze zab³dziaæ w tym labiryncie.

Nareszcie zeszl¹emy ze ska³y Gaya; kapitan Hod nie posiada³ siê ze z³oœci, że bramin nie ust¹pi³ i nie chcia³ nam dozwoliæ wejœæ do wnêtrza Wiszny-Pad i chcia³ mu koniecznie wyp³ataæ za to jakiegoœ figla.

– Dajże pokój! – zawo³a³ Banks, czyż nie wiesz, że Hindusi nie tylko uwaŹaj¹ swych braminów za ludzi znakomitego rodu, ale nawet za istoty wyŹsze, maj¹ce jak¹œ wspólnoœæ z bóstwem.

Gdyœmy doszli do tej czêœci Phalgou, która oblewa ska³ê Gaya, roztoczy³y siê przed nami niezliczone t³umy najróŹnorodniejszych pielgrzymów. W tym bezprzyk³adnym t³umie ocierali siê o siebie mêŹczyŹni i kobiety, starcy i dzieci, mieszkañcy miast i wsi, bogaci nabobowie i najbiedniejsi rajoci, Vajszjasi, kupcy i rolnicy, Kszatrjasi, dumni miejscowi wojownicy, Sudrasi, nêdźni wyrobnicy, do róŹnych sekt naleŹ¹cy, parjasi, biedacy, wyjêci z pod prawa, których spojrzenia kalaj¹ przedmiot na jaki siê zwróc¹, jednym s³owem wszystkie klasy i wszystkie kasty istniej¹ce w Indjach. Jedni przybyli w palankinach, inni w powozach ci¹gnionych przez wielkie wo³y z garbami. Jedni leŹ¹ przy swoich wielb³dach, drudzy przywêdrowali pieszo, a nieustannie nadci¹gaj¹ jeszcze coraz nowe t³umy. Tu i ówdzie powznoszono namioty, tam znowu sza³asy z ga³êzi, a nareszcie i wyprêŹone wo³y s³uŹ¹ pielgrzymom za tymczasowe mieszkanie.

– Co za ciŹba! – rzek³ kapitan Hod.

– O zachodzie s³oñca woda Phalgou stanie siê niesmaczn¹ i wstrêtn¹ do picia – rzek³ Banks.

– A to czemu? – zapyta³em.

– Bo to s¹ œwiête wody i ca³y ten t³um podejrzanej czystoœci bêdzie siê w niej k¹paæ, jak wyznawcy Gangesu w jego wodach.

– Czy obozowisko nasze leŹy w dole rzeki? zapyta³ kapitan.

– Przeciwnie – ale nie obawiaj siê kapitanie.

– No to dobrze, boæ niepodobna poiaæ naszego Stalowego Olbrzyma tak zanieczyszczon¹ wod¹.

Przesuwalicemy siê poœród tysi¹cznych t³umów, œciœnionych na niezbyt wielkiej przestrzeni. Niemile razi³ uszy przykry odg³os ³añcuchów i dzwonek³ów – wydawali go Źebracy w ten sposób wzywaj¹cy dodawania ja³muŹny. T³oczy³y siê tu najrozmaitsze okazy Źebracji zgrai, wyzyskuj¹cej mi³osierdzie udanymi ranami. Oprócz nich by³o tu pe³no fanatyków, okrytych rzeczywistymi ranami i dobrowolnie pokaleczonych. Niektórzy z tych fakirów postanowili sobie ca³¹ drogê, jak¹ przebyæ mieli, zmierzyæ w³asnym cia³em. Rzucali siê na ziemiê, podnosili i znowu padali, wyci¹gniêci jak d³udzy, stanowi¹c z siebie jakby ³añcuch pomiarowy i tym sposobem przebyli ca³e setki mil. Tam znowu inni dawali swym paznokciom róœæ przez w³asn¹ rêkê, inni chodzili posypani popio³em, inni

znowu wywichnêli sobie ramiona przez ci¹g³e ich skrêcanie.

Tam znowu wierni, upojeni hangiem – p³ynem z opium, pomiêszanym z odwarem korzeni, byli zawieszani na żelaznych hakach za ramiona do drzew i zostawali w tem po³ożeniu, dopóki cia³o nie oderwa³o siê w³asnym ciêżarem i nie wpad³o w fale Phalgou. Tam inni znowu na czeœæ Sziwy poprzebijali sobie nogi, jêzyki i cia³o na wskróœ, a ciek¹c¹ krew z tych ran zlizywa³y wêżę. Widowiska takie tylko odraz¹ napawa³y widzów. Ileż to jeszcze rodzajów dobrowolnych mêczarni, okropniejszych jedna od drugiej, moŹna tu by³o widzieæ.

– ChodŹmy! – rzek³em zdjêty wstrêtem.

– Czekajmy, – odpowiedzia³ Banks, – otóŹ i godzina modlitwy.

W tejże chwili bramin ukaza³ siê wœród t³umu i wzniós³ praw¹ rêkê w kierunku s³oñca, kryj¹cego siê dot¹d poza ska³¹ Gaya.

Pierwszy ukazuj¹cy siê promieñ s³oñca sta³ siê has³em dla pielgrzymów; t³umy zupe³nie prawie nagie rzuci³y siê w tonie œwiêtych wód. Z pocz¹tku zanurzali siê tylko, wkrótce jednak œwiête te zanurzenia zmieni³y siê w zwyk³e k¹pielne pl¹sy, w których trudno by³o dopatrzeæ siê jakiejœ religijnej cechy. Nie wiem, czy wtajemniczeni, powtarzaj¹c ustêpy dyktowane im przez braminów za umówion¹ cenê, myœleli o oczyszczeniu duszy czy cia³a; widzia³em tylko, że nabierali wodê w rêkê, wylewaj¹c j¹ nastêpnie na cztery g³ówne strony œwiata, poczem pryskali ni¹ sobie w twarz, a nakoniec kaŹdy wrywa³ sobie choæby jeden w³os za kaŹdy pope³niony grzech. Ilu teŹ, pomyœla³em sobie, jest takich, którzyby powinni wyjœæ z wody z g³ow¹ ³ys¹ jak kolano?

Czas by³o wracaæ do naszego obozowiska, gdzie wszyscy zasiedlicemy do przygotowanego œniadania; reszta nadzwyczaj skwarnego dnia przesz³a spokojnie. Nad wieczorem kapitan wyszed³ na polowanie i przyniós³ kilka sztuk dobrej zwierzyny, a Storr, Kalut i Gumi przygotowali zapas wody i paliwa. Równy ze œwitem mieliœmy ruszyæ w dalsz¹ drogê.

O dziewi¹tej juŹ kaŹdy z nas by³ w swoim pokoju; zapada³a noc spokojna, ale ciemna. Gête chmury zas³ania³y gwiazdy, powietrze stawa³o siê ciêŹkie; nawet po zachodzie s³oñca upa³ siê nie zmniejszy³.

Tak by³o duszno, że nie mog³em zasn¹æ. O pó³nocy jeszcze nie zamkn¹³em oka, a tak szczerze pragn¹³em przespaaæ siê choæ parê godzin przed jutrzejsz¹ podróŹ¹ – ale sen nie przychodzi³, a rozkazaæ mu nie moŹna. Mog³a byæ pierwsza po pó³nocy, gdy zdawa³o mi siê, że s³yszê jakœ szmer coraz wyraŹniej, dochodz¹cy od wybrzeŹy Phalgou. Najpierw pomyœla³em, że zapewne pod wp³ywem powietrza, nasyconego elektrycznoœci¹, burzliwy wiatr zaczyna zrywaæ siê od wschodu; bêdzie on zapewne gor¹cy, ale przynajmniej poruszy warstwy powietrza, przez co stanie siê ³atwiejszem do oddychania.

Mylne by³o to przypuszczenie, gdyŹ ga³êzie drzew otaczaj¹cych nasze obozowisko ani zadrza³y.

Wychyli³em g³owê przez otwarte okno i zacz¹³em nads³uchiwaæ; s³ysza³em ci¹gle jakœ oddalony szmer, ale nic dojrzeæ nie mog³em. Zwierciad³o wód Phalgou by³o zupe³nie g³adkie, nic nie

porusza³o spokojnej, ciemnej jego powierzchni. Tak więc szmerów nie pochodzi³ ani z rzeki, ani z powietrza.

Nie dostrzeg³szy nic podejrzanego, po³o³ży³em się napowrót i znu³ony zacz¹³em nareszcie usypia^æ. Chwilami dochodzi³ mnie jeszcze odg³os tego niewyt³ómaczonego szmeru, ale nareszcie zasn¹³em na dobre.

We dwie godziny pó³Yniej, gdy ju³ pierwsze blaski jutrzzenki zacz^æ3y œwita^æ w ciemnoœci, zosta³em nagle przebudzony. Przywo³ywano in³yniera.

– Panie Banks!

– Czego chcecie odemnie?

Pozna³em g³os maszynisty, który wszed³ na korytarz. Zerwa³em się pr^êdko i przyodziawszy się spiesznie, wybiegiem z pokoju. Banks i Storr stali ju³ na przedniej werandzie. Pu³kownik Munro uprzedzi³ mnie, a Hod nadszed³ niebawem.

– Co się sta³o takiego? – pyta³ in³ynier.

– Patrz pan, – odrzek³ Storr.

Dzień się robi³, mo³na więc by³o widzie^æ wybrze³a Phalgou i cz^êœæ drogi, roztaczaj¹cej się daleko przed nami. Jakie³ by³o nasze zdziwienie, gdyœmy dostrzegli setki Hindusów, zalegaj¹cych gromadkami wybrze³a i drog^ê.

– To wczorajsi pielgrzymi, – rzek³ kapitan Hod.

– Ale có³ oni tu robi¹? – zapyta³em.

– Zapewne oczekuj¹ wschodu s³o³ñca, aby znów u³ya^æ k¹pieli w œwi^êtej wodzie, – odpowiedzia³ kapitan.

– O nie! – odrzek³ Banks, – k¹piel mogliby odby^æ w Gaya, a je³eli tu przyszli, to...

– To zapewne nasz Stalowy Olbrzym wywar³ swoje zwyk³e wra³enie! – wykrzykn¹³ kapitan Hod.
– Dowiedzieli się wida^æ, ³e olbrzymi s³o³ñ, kolos, jakiego nigdy w ³yciu nie widzieli, znajduje się tak blisko i przyszli go zobaczy^æ i podziwia^æ.

– Gdyby³ o to chodzi³o! – odpar³ Banks trz^ês¹c g³ow¹.

– Czego³ się obawiasz, Banksie? – zapyta³ pu³kownik.

– L^êkam się, aby ci fanatycy nie chcieli zagrodzi^æ nam drogi i nie dozwoli^æ przejecha^æ.

– W takim razie trzeba nam by^æ ostro³nymi, od tych dzikich fanatyków mo³na spodziewa^æ się wszystkiego.

– Masz zupe³n¹ s³usznoœæ pu³kowniku, – odpowiedzia³, poczem zwracaj¹c siê do palacza, doda³:

– Kalut, czy ognisko gotowe?

– Tak, panie.

– Wiêc rozpal pod kot³em.

– Pal, pal, Kalucie, – zawo³a³ kapitan, – niech s³oñ nasz puœci na nich swój dym i parê.

By³o ju¿ w pó³ po czwartej, za pó³ godziny najdalej maszyna mog³a byæ gotow¹ do biegu. Rozpalono ogieñ, drzewo buchnê³o p³omieniem, czarny dym bucha³ z olbrzymiej tr¹by s³onia, któr¹ czêœciowo os³ania³y ga³êzie drzew.

W tej¿e chwili zbli¿y³o siê kilka gromadek Hindusów i w ca³ym t³umie powsta³ ruch! Zaczêli coraz wiêcej zbli¿aæ siê do naszego poci¹gu. Pielgrzymi stoj¹cy w pierwszych rzêdach podnosili rêce w górê, wyci¹gaj¹c je w kierunku naszego s³onia, pochylali siê, przyklêkali, twarzami padaj¹c na ziemiê. By³y to objawy największej admiracji. My, stoj¹c na werandzie, oczekiwaliœmy zaniepokojeni, do czego doprowadzi ten fanatyzm, Mac-Neil przy³czy³ siê do nas i milcz¹c przygl¹da³ siê Hindusom.

O czwartej kocio³ wrza³ ju¿ i sycza³ i g³oœne to syczenie Hindusi brali widocznie za gniewny ryk nadprzyrodzonego s³onia. Manometr wskazywa³ teraz ciœnienie piêciu atmosfer, a Storr wypuszcza³ parê klapami i mog³o siê zdawaæ, ¿e wychodzi ona przez skórê olbrzymiego gruboskórca.

– Mo¿emy ruszyæ – rzek³ maszynista.

– Dobrze, tylko jak najostro¿niej, aby kogoœ nie przejechaæ, – odrzek³ Banks

By³ ju¿ prawie zupe³nie dzieñ; droga ci¹gn¹ca siê nad wybrze¿em Phalgou by³a prawie ca³kciem zajêta przez t³umy pielgrzymów, nie myœl¹cych ust¹piæ nam z drogi. W takich warunkach trudno by³o posuwaæ siê i nie zgnieœæ kogoœ ko³ami lokomotywy. Z rozkazu Banksa rozleg³ siê trzykrotnie œwist lokomotywy, na co pielgrzymi odpowiedzieli przeraŹliwym wyciem.

– Na bok! na bok! – krzykn¹³ in¿ynier, rozkazuj¹c maszyniœcie otworzyæ nieco regulator.

Da³ siê s³yszeæ syk pary rzucaj¹cej siê do cylindrów, ko³o maszyny obróci³o siê do po³owy, z tr¹by s³onia buchnê³y k³êby czarnego dymu.

T³um na chwilê rozst¹pi³ siê nieco, regulator zosta³ otwarty do po³owy. Wzmocni³ siê ryk olbrzymiego s³onia i poci¹g zacz¹³ siê posuwaæ w poœród szeregów Hindusów. którzy jak siê zdawa³o, nie myœleli ust¹piæ siê z drogi.

– Ostro¿nie, Banksie, – zawo³a³em.

Albowiem, wychyliwszy siê poza werandê, widzia³em, i¿ kilkunastu tych fanatyków rzuci³o siê na drogê, chc¹c wyraŹnie zostaæ zgniecionymi przez ko³a ciê¿kiej maszyny.

– Bacznocææ! wstańcie i odsuńcie siê! – wo³a³ pu³kownik Munro, daj¹c im rêk¹ znak, żeby powstałi.

– A to niedo³êgi! – zawo³a³ kapitan Hod, widocznie bior¹ nasz¹ maszynê za wóz Jaggernauta i chc¹ zostaæ zmiãd¹zeni pod stopami œwiêtego s³onia.

Na znak Banksa maszynista zatrzyma³ parê. Widocznie fanatyczni pielgrzymi postanowili nie ruszyæ siê rozci¹gniêci na drodze, a zgromadzony t³um dzikimi okrzykami zachêca³ ich do wytrwania, Maszyna sta³a, Banks namyœla³ siê co robiæ. A¹ nagle przysz³a mu jakœc myœl.

– Zobaczymy! – zawo³a³.

Otworzy³ kurek do czyszczenia cylindrów; przera³liwy œwist rozleg³ siê w powietrzu, gête strumienie pary spuœci³y siê na ziemiê.

– Wiwat! wiwat! – krzykn¹³ kapitan, – nie ¹zaj³uj im pary, przyjacielu Banksie, nie ¹zaj³uj!

Pomys³ by³ doskona³y; dotkniêci parz¹cemi strumieniami pary, fanatycy zerwali siê jak „oparzeni”. Pragnêli byæ zmiãd¹zeni, ale nie spaleni. T³um cofn¹³ siê tak, ¹ze droga by³a wolna.

– Naprzód! gór¹ nasi! – wo³a³ kapitan, œmiej¹c siê i klaszcz¹c w d³onie.

Olbrzym Stalowy sun¹³ w prostym kierunku i znik³ wkrótce z oczu os³upia³ych t³umów, jakby twór jakicœ fantastyczny, w gêtech ob³okach pary.

Rozdzia³ VIII

KILKA GODZIN W BENARES.

Sta³a tedy otwarta przed nami szeroka droga, maj¹ca doprowadziæ nas przez Sasseram, na prawym brzegu Gangesu, a¹ do Benares. Jechalicemy z prêdkoœci¹ dwu i pó³ mili na godzinê i mielicemy obozowaæ wieczorem o dwadzieœcia piêæ mil od Gaya, w pobli¹u ma³ego miasteczka Sasseram.

Wogóle drogi w Indjach omijaj¹ o ile mo¹zna rzeki i wody dla unikniêcia stawiania mostów, których budowa na tych gruntach formacji alluwialnej jest bardzo kosztown¹. Gdzie nie da³o siê tak przeprowadziæ drogi, aby rzeka jej nie przecina³a, urz¹dzone s¹ starodawne promy, które nie zdo³a³y jednak unieœæ naszego poci¹gu – ale szczêœciem mogliemy siê bez nich obejœæ.

Tego w³acenie dnia wypada³o nam przebyæ bystry pr¹d rzeki Sony, wpadaj¹cej do Gangesu; dokonalicemy tego bez trudnoœci. Stoñ nasz zamieni³ siê w przyrz¹d ¹eglarzski; spuœci³ siê wolno do rzeki po lekko spadzistem wybrze¹u i utrzymywa³ na jej powierzchni, szerokimi ³apami uderza³ wodê jakby ³opatkami ko³a rozpêdowego, ci¹gn¹c za sob¹ ca³y poci¹g.

Kapitan nie posiada³ siê z radoœci.

Dom ruchomy! – wo³a³ z uniesieniem, – dom, który jest zarazem powozem i statkiem parowym! to mi rzecz... brak mu tylko skrzyde³, aby unieoæ siê w powietrze i bujaæ w przestrzeni.

– Przyjdzie i to z czasem, przyjacielu, – odrzek³ powa¿nie in¿ynier.

– O! wiem, ¿e to nast¹pi niezawodnie, – rzek³ równie powa¿nie kapitan, – ale jedna rzecz nie mo¿e nast¹piæ, to jest, abyemy zmartwychwstali po dwustu latach dla widzenia wszystkich tych cudów. Wiesz, przyjacielu, jakkolwiek na œwiecie nie weso³o, zgodzi³bym siê jednak ¿yæ tysi¹c lat, z prostej ciekawoœci, jak te¿ to bêdzie za dziewiêæ przesz³o wieków.

Przebywszy wspania³y most wznosz¹cy siê o 80 stóp nad ³o¿yskiem Sony, zatrzymaliemy siê na noc w okolicach Sasseram, by zaopatrzywszy siê w drzewo i wodê, ruszyæ ze œwitem w dalsz¹ drogê.

Program ten wykonaliemy w zupe³noœci i nazajutrz 22. maja, nim nadesz³y te skwarne godziny upa³u, które zwykle powoduje s³oñce, ruszyliemy znowu ze œwitem w dalsz¹ podró¿.

Przebywaliemy ci¹gle kraj bogaty i doskonale uprawiony, jaki przedstawia siê w pobli¿u cudownej doliny Gangesu. Odzie spojrzeæ, widaæ by³o wioski, rozrzucone wœród niezmiernych ³anów ry¿u, w cieniu palm i drzew mangowych, z grubemi, gête sklepienie tworz¹cemi liœciami; bardzo tu wiele innych wspania³ych drzew. Nie ztrzymaliemy siê nigdzie. a jeœli gdzieœ zagradza³y nam drogê wozy zaprzê¿one w wo³y, (zwane tu zebu), doææ by³o dwóch lub trzech gwizdniêæ, aby siê usunê³y na bok, a poci¹g nasz przesuwa³ siê z wielkiem zadziwieniem rajotów.

W dniu tym mog³em siê przypatryæ ogromnym polom zasadzonym ró¿ami; znajdowaliemy siê bowiem w pobli¿u Ghazipore, tego g³ównego punktu wyrobu esencji i olejku ró¿anego.

Pyta³em Banksa, czy nie móg³by mi opowiedzieæ jak siê wyrabia te tak poszukiwane pachnid³a, które, zdaje siê, s¹ ostatniem s³owem w sztuce perfumerji.

– Oto cyfry, mój przyjacielu, – odrzek³ mi Banks, – które ci oka¿¹, jak kosztownym jest podobny wytwór. Czterdzieœci funtów ró¿i poddaje siê powolnej destylacji na wolnym ogniu, co wytwarza oko³o trzydziestu funtów wody ró¿anej. Wod¹ t¹ zalewa siê znów nowe 40 funtów liœci ró¿anych i znowu destyluje siê je, dopóki mieszanina ta nie zredukuje siê do 20 funtów. Potem wystawia siê j¹ przez dwanaœcie godzin na œwie¿e nocne powietrze, a nazajutrz z tego wszystkiego znachodzi siê skrzep³e na powierzchni tego p³ynu co? uncjê pachn¹cego olejku. Tak wiêc z 80 funtów ró¿i, czyli jak utrzymuj¹ z 200.000 kwiatów ró¿i, otrzymuje siê jedn¹ uncjê olejku. Biedne ró¿e! Jakie¿ krocie ich padaj¹ ofiar¹!... To te¿ nie mo¿na siê dziwiæ, ¿e nawet w miejscu produkcji uncja esencji ró¿anej kosztuje 40 rupji, czyli 100 z³otych.

– Ah! – odrzek³ kapitan Hod, – gdyby na zrobienie jednej uncji alkoholu potrzeba by³o 80 funtów winogron, jak¹¿by to cen¹ op³acano grog!

Dnia tego przep³ynêliemy tak¿e Karamnaka, jeden z dop³ywów Gangesu. Hindusi zrobili z tej niewinnej rzeczki coœ jakby w rodzaju Styksu, po którym nie dobrze ¿eglowaæ i którego brzegi ciesz¹ siê tak kiepsk¹ reputacj¹, jak brzegi Jordanu lub Morza Martwego. Cia³a, które wrzuca siê do

tej rzeki, zanosi ona prosto do bramańskiego piekła. Nie zbijam ja wcale tej wiary, ale twierdzeniu, jakoby wody tej piekielnej rzeki by³y niesmaczne lub niezdrowe, stanowczo zaprzeczam, bo s¹ one doskona³e.

Wieczorem dnia tego przebywszy okolice bardzo jednostajne pośród rozleg³ych ³anów maku i ogromnych plantacji ry¿u, obozowaliśmy na prawym brzegu Gangesu, naprzeciw prastarej Jeruzolimy Hindusów, œwiêtego ich miasta Benares.

– Zatrzymamy siê tu dwadzieœcia cztery godzin, – rzek³ Banks.

– Jakê daleko jesteœmy teraz od Kalkuty? – zapyta³em.

– Blisko 350 mil, – odpowiedzia³ Banks, – a przyznasz, ¿e ani d³ugoœæ drogi, ani trudy podró¿y nie da³y nam siê odczuæ.

Ganges! Czy¿ istnieje rzeka, któraby przywodzi³a na pamiêæ równie poetyczne legendy, i czy¿ nie zdaje siê, jakoby w nim streszcza³y siê prawie ca³e dzieje Indji? Czy¿ jest w œwiecie dolina podobna do tej, która mieszczy wspania³e ³o¿ysko Gangesu, rozacza siê na przestrzeni piêsetmilowej, a nad któr¹ mieszka stumiljonowa ludnoœæ? Czy¿ jest na kuli ziemskiej miejsce, gdzieby wiêcej by³o nagromadzonych cudów od chwili pojawienia siê ras azjatyckich?

Co¿by to by³ œpiewa³ Wiktor Hugo o Gangesie, kiedy o Dunaju tak piêknie siê wyraża:

O tak! mo¿na huczeæ g³oœno i pysznie szumieæ, gdy siê ma:

Jak morze spokojn¹ falê

Gdy jak w¹¿ przez l¹du rozacza siê krainy

Przep³ywaj¹c zachodu i wschodu koñczyny!

Ganges ma swoje ba³wany, burze i cyklony, daleko straszniejsze ni¿ burze rzek europejskich. Ci¹gnie siê on jak jakieœ olbrzymi w¹¿ pośród najpoetyczniejszych okolic œwiata. P³ynie od zachodu na wschód, ale swoje Ÿród³a wywodzi on nie z jakichœ miernych pagórków – o nie! – jego pocz¹tek le¿y w najwy¿szym ³ańcuchu gór na kuli ziemskiej; z gór Tybetu spada on, poch³aniaj¹c wszystkie wpadaj¹ce do niego rzeki. Wyp³ywa z gór Himalaja!

Nazajutrz, 23. maja ze wschodem s³oñca zab³ys³y przed nami zwierciadlane fale Gangesu. Na bia³ym piasku nadbrze¿nym porozsiada³y siê gromady aligatorów, napawaj¹c siê pierwszymi promieniami s³oñca; trzyma³y siê nieruchomo zwrócone ku s³oñcu, jakby najwierniejsi sekciarze Brahmy. Ale kilka cia³ nie¿ywych, niesionych fal¹, przerwa³o im to milcz¹ce uwielbianie. Cia³a te, które pr¹d unosi ze sob¹, powiadaj¹ niektórzy, ¿e p³yn¹ albo na plecach, gdy to mêtczyzna, a na piersiach gdy kobieta, ja jednakowi¿ mogê poœwiadczyæ, ¿e twierdzenia te s¹ mylne. W tej¿e chwili potwory rzuca³y siê na tê zdobycz, której codziennie dostarcza³y im p³yn¹ce wody na pó³wyspie i zanurza³y siê z niemi w g³¹b wody.

Kolej ¿elazna z Kalkuty, nim siê rozdzieli w Allahabad, by pêdziaæ pó³nocno-zachodem ku Delhi,

a po³udniowo-zachodem ku Bombajowi, biegnie nieustannie prawym brzegiem Gangesu. Na stacji Mogul-Seraï, od której bylicemy tylko o kilka mil oddaleni, od³icza siê ramiê, które przekraczaj¹c rzekê, idzie do Benares i przez dolinê Goumti biegnie do Jaunpore, przebiegaj¹c jakie szeœædziesi¹t kilometrów przestrzeni.

Benares leży zatem na lewym brzegu, ale nie w tem miejscu mielicemy przep³yn¹æ Ganges, mia³o to nast¹piæ w Allahabad.

Olbrzym stalowy sta³ tedy na obranem wczoraj stanowisku, a gondole, które czeka³y przy brzegu, mia³y nas odwieœæ do œwiêtego miasta, które nadzwyczaj pragn¹³em zwiedziaæ.

Pu³kownik Munro zna³ dobrze Benares z kilkakrotnego w niem pobytu, nic go wiêc tam nie nêci³o. Jednak z pocz¹tku zamierza³ nam towarzyszyæ, i dopiero po niejakiem namyœle zmieni³ zdanie i z samym tylko sierżantem Mac-Neilem wybra³ siê na wycieczkê nad brzeg rzeki. Kapitan Hod sta³ dawniej pu³kiem w Benares i mia³ tu znajomych kolegów, których postanowi³ odwiedziaæ. Tak wiêc tylko ja i pragn¹cy s³użyæ mi za przewodnika Banks wybralicemy siê zwiedziaæ miasto.

Kiedy mówi³em, że kapitan Hod by³ z pu³kiem w Benares, to wiedzieæ należy, że armja królewska nie ma zazwyczaj garnizonów w miastach indyjskich, ale roz³ożon¹ jest w t. zw. „cantonnements” pod miastem, które póŹniej staj¹ siê miastami angielskimi; tak jest w Allahabad jak i w Benares, i tak po innych róŹnych miejscach, gdzie nietylko żo³nierze, ale i urzêdnicy, przemys³owcy, kapitaliœci najchêtniej przemieszkuj¹.

Tak tedy kaŹde wielkie miasto dzieli siê zwykle na dwie czêœci; dzielnica zamieszкана przez Europejczyków odznacza siê wszelkimi wygodami i europejskim zbytkiem, druga zaœ zamieszкана przez krajowców zachowuje najzupe³niej miejscowy koloryt, zwyczaje i obyczaje.

Tak siê rzecz ma i w Benares. Czêœæ, zamieszкана przez Europejczyków jest Secrole, którego bungalowy, aleje, koœcio³y nie maj¹ nic ciekawego do widzenia. Znajduj¹ siê tam takŹe znakomite hotele poszukiwane przez turystów.

Secrole jest to jedno z tych miast, któreby fabrykant jakœ z Stanów Zjednoczonych móg³ zapakowaæ w paki i gdzieœ na innym miejscu znowu rozstawiæ. Nic tam ciekawego do widzenia. Dlatego teŹ Banks i ja wsiad³szy do ³odzi, przep³ynêlicemy Ganges ukocenie, tak, aŹeby odrazu mieæ ca³y widok tego wspania³ego amfiteatru, jaki przedstawia Benares.

– Benares – rzek³ mi Banks, jest dla Hindusów najœwiêtszem miastem; jest ono tem dla nich, czem Mekka dla mahometan. Ktokolwiek choæby dwadzieœcia cztery godzin w niem przeży³, zapewni³ juŹ sobie jak¹œ cz¹stkê wiekuistej szczêceliwoœci. Łatwo poj¹æ, jak niezliczone t³umy podobna wiara sprowadza do miasta, któremu Brahma tak wielkie nada³ przywileje i jak liczna je zamieszkuje ludnoœæ.

Wedle twierdzeñ niektórych, Benares ma istnieæ juŹ przesz³o trzydzieœci wieków; by³oby zatem prawdopodobnie za³oŹone w czasie, kiedy Troja upad³a. Wywiera³o ono zawsze wielki wp³yw nie tak polityczny jak moralny na Hindostan i by³o ogniskiem religji buddhyjskiej aŹ do dziesi¹tego wieku; póŹniej nast³y rewolucje religijne, brahmanizm zgniót³ dawn¹ religjê i Benares zosta³o

stolic¹ brahmanów, ogniskiem przyci¹gaj¹cem wiernych, i zapewnij¹ te², że trzysta tysięcy pielgrzymów zwiedza je rok rocznie.

Œwiête miasto ma jeszcze swego rad²ê, ksiêcia w mieœcie œwiêtem. Ksi¹ê ten ma docæ lich¹ pensjê wyznaczon¹ przez Anglików i zamieszkuje przepiêkny pa³ac w Ramnagur nad Gangesem. Jestto prawdziwy nastêpca królów Kaci, (Benares tak siê dawniej nazywa³o), ale nie ma ju² dzie²êadnego wp³ywu, z czego w ka²dym razie nie bardzoby siê smuci³, gdyby tylko pensja jego wiêsz¹by³a jak jeden lakh rupji, czyli oko³o dwieœcie piêædziesi¹t tysięcy z³otych, co stanowi³o drobnostkê dla dawniejszego naboba.

Benares, jak wszystkie prawie miasta w dolinie Gangesu, dotkniête by³o wielkim powstaniem z roku 1857. W tym czasie garnizon jego sk³ada³ siê z 57-go pu³ku piechoty krajowców, z korpusu kawalerji regularnej i z p³ pu³ku sikhsów. Wojsko królewskie mia³o tylko p³ baterji artylerji europejskiej. Ta garstka ²o³nierzy nie mog³a nawet marzyæ, że rozbroi krajowców, to te² w³adze wyczekiwa³y z niecierpliwoœci¹ przybycia pu³kownika Neila, który ju² zd¹êa³ ku Allahabad z 10-tym pu³kiem armji królewskiej. Pu³kownik Neil wszed³ do Bonares tylko z dwustu piêædziesiêcioma ²o³nierzami i zarz¹dzi³ zaraz paradê na placu æwiczeñ.

Gdy Sipajowie siê zbrali, dano im rozkaz, by z³o²zyli broñ. Odmówili temu wrêcz. Wszczê³a siê tedy walka miêdzy nimi a piechot¹ pu³kownika Neil. Do powstañców przy³czyli siê wnet tak²e i kawalerzyœci nieregularni, p³Ÿniej Sikhsowie, którzy mniemali, że s¹ zdradzeni.

Na to p³baterja da³a ognia, zasypa³a powstañców gradem kul i pomimo dzielnoœci i przewagi powstañcy zostali rozprószeni.

Potyczkê tê stoczono za miastem, w samem zaœ mieœcie przysz³o ledwie do ma³ej próby powstania ze strony muzumanów, którzy wywiesili zielon¹ chor¹giew, ale te² wnet wszystko zosta³o st³umione.

Od tego dnia, przez ca³y ju² czas trwania powstania Benares zachowa³o siê spokojnie nawet w chwilach, gdy powstanie zdawa³o siê braæ górê w zachodnich prowincjach.

Banks opowiada³ mi o tych szczegó³ach, podczas kiedy ³od³Ÿ nasza przesuwa³a siê spokojnie po wodach Gangesu.

– Kochany przyjacielu – rzek³ mi – zwiedzimy tedy Benares, ale choæ to stolica bardzo dawna, nie ma w niej pomników liczy¹cych wiêcej nad trzy wieki istnienia. Powodem tego walki religijne, w których ²elazo i ogieñ strasz¹ odegra³y rolê. W ka²dym razie jest to miasto godne widzenia inie po²êa³ujesz twojej po niem przechadzki.

Wkrótce gondola nasza zatrzyma³a siê w takiej odleg³oœci, i² mogliœmy z zatoki b³êkitnej jak neapolitañska, przyrzeæ siê dobrze amfiteatrowi domów piêtrz¹cych siê nad dolin¹ i szeregom nat³oczonych pa³aców, których kompleks grozi zawaleniem siê skutkiem nieustannego podmywania ich podstawy przez wody rzeki. Uwieñczeniem tej przeœlicznej panoramy jest pagoda chiñskiej architektury, poœwiêcona czci Buddy, oraz istny las wie²yc, iglic, minaretów i piramidek zdo¹cych meczety i œwi¹tynie, przewy²szaj¹cy je z³ocony szczyt œwi¹tyni Sziwy i dwie ma³e

strza³y meczetu Aurung-Zeba.

Zamiast wysi¹œæ tu² przy schodach wiod¹cych na pomost, Banks kaza³ p³yn¹æ³ odzi ko³o wybrze²cy k¹pi¹cych siê w wodach rzeki.

Tu znalaz³em powtórzenie scen z Gaya, lecz w innym guœcie. Zamiast zielonych lasów jak w Phalgou by³o tu t³em widoku œwiête miasto. Zreszt¹ prawie sceny te same. Tysi¹ce pielgrzymów zalega³y wybrze²e, tarasy, schody i schodz¹c dwoma lub trzema rzêdami, pobo²nie zanurzali siê w wodzie. Nie nale²cy tylko myœleæ, ²e k¹piel ta ich nic nie kosztowa³a. Na najni²szych stopniach schodów stali strażnicy w czerwonych turbanach ze szpad¹ przy boku i ²dali op³aty; obok nich przemycelni bramini sprzedawali ró²ne przedmioty religijne i dewocjonalja.

Oprócz pielgrzymów k¹pi¹cych siê, by³o tak²e bardzo wielu przekupni zajmuj¹cych siê czerpaniem œwiêtej wody, aby j¹ nastêpnie sprzedawaæ w odleg³ych prowincjach pó³wyspu. Rêkojmie autentycznoœci stanowi dla kupuj¹cych pieczêæ braminów. Zdaje siê jednak, ²e pod tym wzglêdem praktykuje siê tu oszustwo na wielk¹ skalê, gdy² handel cudown¹ wod¹ przybra³ kolosalne rozmiary.

– Chybaby wody Gangesu nie wystarczy³y na tak kolosalne zapotrzebowanie – rzek³ Banks.

– K¹piele te staj¹ siê zapewne powodem licznych wypadków? – zapyta³em, bo nie widzê nigdzie ²adnych œrodków ostro²noœci ani wytrawnych p³ywaków, powstrzymuj¹cych zapêdy i ratuj¹cych nierozwa²nych zagorzalców uniesionych pr¹dem fali.

– Wypadki zatoniêcia zdarzaj¹ siê bardzo czêsto – odrzek³ Banks, ale nikt o to siê nie troszczy, bo choæ cia³o pójdzie na dno, Brahma ocali duszê.

– A krokodyle? – zapyta³em.

– Krokodyle zazwyczaj trzymaj¹ siê zdala, przestraszone zgie³kiem i wrzaw¹ – odpowiedzia³ mi Banks. Nie tych to potworów lêkaæ siê potrzeba, ale raczej z³oczyñców, którzy skradaj¹ siê i zanurzeni w wodzie, porywaj¹ kobiety i dzieci, wydzieraj¹c im kosztownoœci, jakie maj¹ przy sobie. Opowiadaj¹ o jednym takim oszuœcie, który ubrany w przyprawion¹ sztucz¹ g³owê, udawa³ d³ugi czas krokodyla i tym sposobem zebra³ sobie piêkn¹ sumkê; zajêcie to pop³atne ale i bardzo niebezpieczne i istotnie zosta³ te² w koñcu zjedzony przez prawdziwego aligatora i znaleziono z niego tylko sztucz¹ g³owê ze skóry, która p³ywa³a po powierzchni wody.

Zreszt¹ jest i doœæ takich zagorza³ych fanatyków, którzy umyœlnie szukaj¹ œmierci w falach Gangesu i czyni¹ to nawet z pewnem obliczeniem na efekt; tak naprzyk³ad wi¹ci¹ sobie oko³o cia³a jakby ró²aniec z pró²nych lecz pootwieranych baniek. Woda wciskaj¹c siê do wñêtra tych²e, zanurza poma³u ofiarê przy hucznych oklaskach pobo²nych widzów.

Łód³Y nasza wkrótce dowioz³a nas przed schody Manmenka Ghât. Tam wznosz¹ siê jedne nad drugimi stopy drewna, na których posk³adano cia³a tych wszystkich ludzi, którzy za ²ycia mieli pewne obawy o wieczn¹ szczêœliwoœæ; gdy² spalenie zw³ok na tem œwiêtem miejscu jest bardzo po²dane przez wiernych, tote² stopy p³on¹ dzieñ i noc. Bogacze z dalekich okolic ka² siê przenosiæ do Benares jak tylko dotkniêci zostaj¹ jak¹œ nieuleczaln¹ chorob¹, gdy² Benares bezsprzecznie jest

miejszem, z którego najlepiej puszczaæ siê w podró¿ na drugi œwiat. Je¿eli nieboszczyk mia³ tylko lekkie, powszednie grzeszki na sumieniu, to dusza jego unoszona dymem z Manmenki, pójdzie prosto na miejsce wiekuistej szczêliwoœci.

Je¿eli zaœ by³ wielkim grzesznikiem, to dusza jego bêdzie musia³a na nowo odrodziæ siê w ciele jakiego brahmina maj¹cego przyjœæ na œwiat. Nale¿y siê spodziewaæ, ¿e je¿eli po drugim wcieleniu ¿ycie jego bêdzie wzorowe, to ju¿ zostanie przypuszczony niezawodnie do udzia³u w niebiañskich szczêliwoœciach w niebie Brahmy.

Resztê tego dnia poœwiêciliœmy zwiedzaniu miasta, jego g³ównych pomników i bazarów z ciemnymi sklepami, urz¹dzonemi na sposób arabski. Tam to sprzedaj¹ owe œliczne i kosztowne muœliny i „kinkob”, rodzaj materji jedwabnej przetykanej z³otem, stanowi¹cej g³ówny wytwór przemys³owy miasta Benares. ¯al mi by³o nosz¹cych palankiny, choœ zdawa³o siê, ¿e upa³ nie dokucza³ im zbyt mocno; byli z nim oswojeni, a wreszcie biedacy cieszyli siê, ¿e zarobi¹ kilka rupji.

Lecz zupe³nie inaczej by³o z jakimœ Hindusem a raczej Bengalczykiem, o ¿ywych oczach i chytrej fizjognomji, który nie kryj¹c siê nawet z tem bardzo, szed³ za nami krok za krokiem podczas ca³ej naszej wycieczki.

Wysiadaj¹c na wybrze¿u Manmenka podczas rozmowy z Banksem wymówi³em g³oœno nazwisko Munro. Bengalczyk, który przypatrywa³ siê naszej ³odzi, drgn¹³ us³yszawszy je. Wtedy nie zwraca³em na to zbyt du¿ej uwagi, przypomnia³em to sobie jednak, widz¹c, ¿e œledzi nas krok za krokiem. Ani na chwilê nie spuszcza³ nas z oczu, id¹c ci¹gle parê kroków naprzód lub za nami. Nie mog³em wiedzieæ, czy mia³ dobre lub z³e wzglêdem nas zamiary, ale nie ulega³o w¹tpliwoœci, ¿e nazwisko pu³kownika Munro nie by³o mu obojêtnem.

Palankin nasz zatrzyma³ siê przed szerokimi schodami o stu stopniach, prowadz¹cemi z wybrze¿a do meczetu Aureng Zeb.

Dawniej pobo¿ni nie inaczej jak na klêczkach przebywali te schody, jakby naœladuj¹c wiernych wchodz¹cych na Santa Scala w Rzymie, by³o to wówczas, gdy wznosi³a siê tu œwi¹tynia Wisznu, w której miejscu stoi teraz meczet zdobywcy.

Chcia³bym by³ spojrzeæ na Benares ze szczytu jednego z minaretów tego meczetu, którego budowa uwa¿an¹ jest za cud architektury. Wysokoœæ ich wynosi 132 stóp, a œrednica zaledwie dorównywa œrednicy fabrycznego komina; jednak mimo to znajduj¹ siê w nich krêcone schody prowadz¹ce na szczyt, ale wstêp po nich jest ju¿ wzbroniony, i nie bez s³usznœci. Ju¿ bowiem dwa te minarety pochylaj¹ siê widocznie, a ¿e zapewne nie s¹ obdarzone ¿ywotnoœci¹ wie¿y pizañskiej, wiêc ³atwo mog¹ siê zawaliæ.

Gdyœmy wychodzili z meczetu Aureng-Zeb, Bengalczyk sta³ przy drzwiach; tym razem zmierzy³em go oczyma, a on spuœci³ wzrok ku ziemi. Nie mówi³em o tem dot¹d nic Banksowi, chc¹c siê naprzód przekonaæ czy to podejrzanæ zachowanie siê Bengalczyka potrwa jeszcze d³u¿ej.

W tem œwiêtem mieœcie wznosz¹ siê setki pagód, meczetów i wspania³ych pa³aców, z których najpiêkniejszy jest w³asnoœci¹ króla Nagporu. Ma³o który z rad¿ów nie stara siê o to, aby mieæ

choæby kawa³ek gruntu w œwiêtem mieœcie i wszyscy zje¿d¿aj¹ siê tu na religijne uroczystoœci Mela.

Za ma³o mieliemy czasu, by m³c zwiedziaê wszystkie te zabudowania, ograniczy³em siê zatem na zwiedzeniu jeszcze œwi¹tyni Bicheszwar, gdzie siê znajduje lingam Sziwy. Jestto nieksta³tna bry³a kamienna któr¹ uwa¿aj¹ za czêœæ cia³a jednego z najdzikszych bog³w mitologii indyjskiej; przykrywa ona studniê, której woda posiada jak powiadaj¹, w³asnoœæ cudown¹. Widzia³em tak¿e Mankarnika czyli œwiête Ýród³o, gdzie k'pi¹ siê pobo¿ni dla wiêkszego zysku brahminów; tak¿e Man-Mundir, obserwatorjum zbudowane dwieœcie lat temu przez kr³³a Akbara, a w którym wszystkie narzêdzia s¹ sporz¹dzone z kamienia.

S³ysza³em tak¿e o pa³acu ma³p, którego wszyscy turyœci nie zaniedbuj¹ zwiedziaê. Pary¿anin myœla³by naturalnie, ¿e znajdzie siê przed s³awn¹ klatk¹ jak w Jardin des Plantes, jednakowo¿ tak nie jest.

Pa³ac ten jest to œwi¹tynia Dourga-Khound, po³o¿ona po za przedmieœciem. Budowa jej siêga IX. w. i nale¿y do najdawniejszych zabytków miasta. Ma³py nie s¹ bynajmniej pozamykane w klatkach, ale chodz¹ swobodnie po podw³orzach, skacz¹ z jednego muru na drugi, wdrapuj¹ siê na szczyty olbrzymich mangowców i z krzykiem wydzieraj¹ sobie przynoszone przez odwiedzaj¹cych przysmaki.

I tu, jak wszêdzie, brahmini pobieraj¹ pewne datki, dziêki którym ich zaw³d najwiêksze w Indjach przynosi korzyœci.

Znu¿eni upa³em s³onecznym, nad wieczorem pomyœlelicemy o powrocie do Steam-House. Jedlicemy œniadanie i obiad w Secrole, w jednym z najlepszych hoteli angielskiego miasta, a jednak ¿a³owalicemy kuchni pana Parazard.

Gdy powróciliœmy do gondoli oczekuj¹cej nas u stóp Gatu, aby powróciæ na prawy brzeg Gangesu, znów Bengalczyk sta³ na wybrze¿u. Wskoczy³ do ³³dki, w której go jakœ Hindus oczekiwa³ i odp³yn¹³. Czy¿by zamierza³ p³yn¹æ za nami a¿ do naszego obozowiska? Tak siê zdawa³o.

– Banksie, rzek³em cicho, czy zwróci³eœ uwagê tego Bengalczyka? Szpieguje on nas ci'gle i nie odstêpuje ani na krok

– Widzê to dobrze – i nie us³o mojej uwagi, ¿e œledzi nas od chwili, gdy us³ysza³ wymówione przez ciebie nazwisko pu³kownika.

– Czy¿by nie nale¿a³o...

– O nie! – przerwa³ Banks; lepiej niech nie wie, ¿e go podejrzewamy... ale oto oddali³ siê i znik³.

Rzeczywiœcie ³³dka Bengalczyka znik³a w nat³oku ró¿noksta³tnych ³³dzi przesuwaj¹cych siê po ciemnych wodach Gangesu.

Banks zwróci³ siê do kieruj¹cego nasz¹ gondol¹ i zapyta³ obojêtnym g³osem:

– Czy znasz tego Bengalczyka?

– Nie – widzę go tylko pierwszy raz w życiu odpowiedział.

Zapadła już noc. Łodzie poukładane w rozpięte chorągwie, oświetlone różnobarwnymi lampkami, napędzane wiosłami i grzawkami, krzyżowały się i mijaly setkami po rzece. Na lewym brzegu wznosiły się ognie sztuczne, pięknie urozmaicone, które przypominały mi, że jesteśmy niedaleko niebieskiego państwa, gdzie one są tak bardzo lubiane. Trudno opisać to widowisko, które istotnie jest niezrównane. Z jakiego powodu obchodzono tę noc uroczystość, która zdawała się być zainicjowana, a w której brali udział Hindusi wszystkich kast, nie mogłem się dowiedzieć. W chwili, kiedy się skończyła, gondola dopłynęła już do drugiego brzegu.

Wszystko to znikło wkrótce jak widzenie, a nie trwało dłużej jak błyski tych ogní sztucznych, które na chwilę rozświetliły przestrzeń i zgasły w ciemnej nocy. Ale w Indjach, jak mówiłem czczą trzysta milionów bogów, pół-bogów, świętych i pół-świętych różnego rodzaju, a rok za małym nawet ma godzin, minut i sekund, żeby mogły być poświęcone każdemu z tych bóstw.

Wróciwszy do obozowiska, zastaliśmy już pułkownika Munro i sierżanta Mac-Neila. Banks zapytał zaraz sierżanta, czy nie zaszło coś nowego podczas naszej nieobecności.

– Nic zupełnie, – odpowiedział.

– Czy nie widziałeś jakiejś podejrzanej postaci, snującej się w pobliżu?

– Nikogo. Czy jest powód przypuszczać...

– Jakiego Bengalczyk odwiedzi nas przez cały czas pobytu w Benares, – odrzekł inżynier; – nie podoba mi się to szpiegowanie.

– Nie wiem, trzeba będzie czekać.

– Będziemy się mieli na baczności, – odrzekł sierżant.

– Któż by ów szpieg?

– Jakiego Bengalczyk, którego uwagę zwróciło nazwisko pułkownika Munro.

– Czego on może chcieć od nas?

Rozdział IX

ALLAHABAD.

Sto trzydzieści kilometrów oddziela Benares od Allahabad. Droga ciągnie się prawie nieustannie prawym brzegiem Gangesu, między rzeką a koleją żelazną.

Storr kupi³ węgiel w cegie³kach i na³adowa³ nim tender, tak więc s³oń nasz mia³ na kilka dni zapewnion¹ żywnoœæ. Celicznie oczyszczony, jak gdyby co dopiero wyszed³ z warsztatu fabrykanta, wyczekiwa³ niecierpliwie chwili odjazdu. Nie uderza³ on, co prawda, w ziemiê ³apami z niecierpliwocci, ale pewne drżenie kó³ zwiastowa³o natêżenie pary nape³nij¹cej stalowe jego p³uca.

Dnia 24. maja poci¹g nasz ruszy³ bardzo rano z prêdkoœci¹ trzech do czterech mil na godzinê. Waden wypadek nie wydarzy³ siê w nocy; Bengalczyk siê nie pokaza³.

Nadmieniaæ muszê, że z wojskow¹ punktualnoœci¹ trzymaliœmy siê programu, oznaczaj¹cego godziny wstawania, udawania siê na spoczynek, œniadania, obiadu, wypoczynku i wiedliœmy życie równie regularne jak w Kalkucie. Coraz nowe krajobrazy przesuwa³y siê nam przed oczyma, choæ zdawa³o siê, że mieszkanie nasze nie rusza siê z miejsca. Tak przyzwyczailiœmy siê do tego nowego rodzaju życia, jak pasażerowie do życia na pok³adzie okrêtu, tylko, że ci¹g³a zmiana widoków nie mêczy³a nas nuż¹c¹ jednostajnoœci¹.

O godzinie jedenastej okaza³ siê na p³aszczyŹnie ciekawy zabytek mongolskiej architektury: mauzoleum wzniesione na czeœæ dwóch osób œwiêtych dla muzu³manów, Kassima Solimana ojca i syna.

W pó³ godziny póŹniej ujrzelicœmy ważn¹ fortecê Chunar, której malownicze szańce wieńcz¹ niezdobyt¹ ska³ê, wznosz¹c¹ siê prostopadle na 150 stóp nad Gangesem.

Nie myœlelicœmy wcale zatrzymywaæ siê, by zwiedziaæ tê fortecê, jedn¹ z najznakomitszych w dolinie Gangesu, a która urz¹dzon¹ jest w taki sposób, iż w razie napadu oszczêdziæ moŹna kul i prochu, gdyż od³amy ska³ tak s¹ u³ożone, że moŹnaby je w jednej chwili rzuciaæ na przypuszczaj¹cych szturm i zgnieœæ tym ciêżarem.

U stóp fortecy roztacza siê dolina tejŹe nazwy, której ³adne domki kryj¹ siê wœród zieleni.

Ko³o Benares, jak widzieliœmy, znajduje siê duŹo miejscowoœci, które Hindusi uwaŹaj¹ za najœwiêtsze na œwiecie, a dobrze policzywszy, znalaz³oby siê parêset takich „najœwiêtszych” miejsc na przestrzeni pó³wyspu. I forteca Chunar zawiera w obrêbie swoim takie cudowne miejsce, jest to marmurowa tablica, na której jakœ bóg codziennie przychodzi sobie spocz¹æ. Wprawdzie bóg ten jest niewidzialny, ale teŹ i nie staraliœmy siê go zobaczyæ.

Wieczorem olbrzym stalowy zatrzyma³ siê ko³o Mirzapore, by tam przepêdziaæ noc.

Choæ temu miastu nie braknie œwi¹tyñ, ale za to ma róŹne fabryki i port dla wy³adowania bawe³ny, produkowanej w okolicy. Kiedyœ miasto to bêdzie bogatym punktem handlowym.

Nazajutrz 25. maja, oko³o drugiej godziny po po³udniu, przep³ynêlicœmy w bród ma³1 rzeczkê Tonse, która w tej porze roku mia³a ledwie na stopê wody.

O godzinie pi¹tej przekroczylicœmy miejsce, gdzie do³icza siê linja kolejowa z Bombaju do Kalkuty. Niedaleko ujœcia rzeki Jumy do Gangesu podziwialiœmy przepiêkny Źelazny wiadukt

kolejowy, którego 16 wspania³ych ³uków, opartych na filarach wysokości 60 stóp wznosi się ponad tym dop³ywem. Bez trudności przebyliśmy most pontonowy, d³ugości 1 kilometra, ³icz¹cy oba brzegi Gangesu a wieczorem zatrzymaliśmy się w pobliżu jednego z przedmieść miasta Allahabad.

Dzień 26. maja mia³ być poświęcony na zwiedzanie tego wielkiego miasta, w którym jak promienie rozchodz¹ się drogi kolei żelaznych na ró¹żne strony Hindostanu. Jest ono przeciętnie po³o¹żone na najbogatszym gruncie między dwoma ramionami Jummy i Gangesu.

Przyroda zdawa³a się przeznaczać je na stolicę Indji angielskich, siedzibę zarz¹du i rezydencję wicekróla. I kto wie, czy nie przyjdzie kiedyś do tego, jeżeliby cyklony zbyt¹ uszkodzi³y Kalkuttę, teraz¹niejsz¹ stolicę, jak to przewiduje wiele poważnych umys³ów.

Allahabad leży w samym środku Indji, podobnie jak Paryż jest środkowym punktem Francji. Prawda, że Londyn nie leży w samym środku Zjednoczonego Królestwa, toteż Londyn nie ma tego zdecydowanego pierwszeństwa nad Liverpoolem, Manchesterem, Birmingham, jakie ma Paryż nad wszystkimi miastami Francji.

– Czy od Allahabad skierujemy się już prosto na północ? – zapyta³em Banksa.

– Tak – odpowiedzia³, miasto to stanowi krańcowy zachodni kres pierwszej części naszej wycieczki.

– A! przecież! – zawo³a³ kapitan Hod, bardzo to piękna rzecz wielkie miasta, ale stokrój¹ wolę rozleg³e równiny. Gdybyśmy tak ci¹gle trzymali się kierunku kolei, wyjechalibyśmy jeszcze na koniec na jej szyny i nasz olbrzymi s³oń stalowy sta³by się prost¹ lokomotyw¹. Cóż by to było za poniżenie dla niego!

– B¹d¹ spokojny, kapitanie – odrzek³ inżynier – nigdy do tego nie przyjdzie i niezad³ugo wkroczymy w twoje ulubione okolice.

– Więc skierujemy się wprost do granicy indochińskiej, omijaj¹c Lucknow?

– Moim zdaniem, trzeba¹by unikać tego miasta, a szczególnie Kanpuru, które posiada tyle tak strasznych wspomnień dla pu³kownika Munro.

– Powiedz mi, kochany Banksie – zapyta³ kapitan Hod – czy podczas pobytu w Benares nie dowiedzia³ę się niczego o Nana Sahibie?

– Nic zupełnie – zdaje mi się, że i tym razem wprowadzono w b³ gubernatora Bombaju i że Nana Sahib wcale się nie pojawi³ w tej prezydenturze.

– Tak się zdaje, inaczej jużby więcej mówiono o tym starym buntowniku – odpowiedzia³ Hod.

– W każdym razie pragnę jak najspieszniej opuścić tę dolinę Gangesu, która był³a widowisk¹ tak strasznych mordów podczas buntu Sipajów. Strzeżmy się nade wszystko wymówić nazwę choćby jednego z tych miast wobec pu³kownika, a najbardziej imię Nany Sahiba. Pozostawmy go jego myślom.

Nazajutrz Banks towarzyszy³ mi znowu w kilkugodzinnej wycieczce do Allahabad, które zwiedzić pragn¹³em. Potrzeboby by³o conajmniej ze trzy dni, żeby dobrze zobaczyć te trzy miasta, z których sk³ada się Allahabad, zreszt¹ nie ma tam nic tak ciekawego do widzenia jak w Benares, chociaż ono także zalicza się do oświętych miast.

O czêœci indyjskiej nie da się nic powiedzieć, jest to po prostu nagromadzenie niskich domków, rozsiad³ych wśród ciasnych uliczek, na których tu i ówdzie rosn¹ wspania³e tamaryndy.

Miasto angielskie nie odznacza się także żadn¹ osobliwoœci¹. S¹ tu piękne, szerokie i regularnie wytkniête ulice, wielkie place, bogate domy i pa³ace, wszystko czem odznacza się musi miasto, przeznaczone kiedyœ na wielk¹ stolicê.

Wszystko razem po³o¿one jest pœród obszernej równiny, odgraniczonej od pó³nocy i po³udnia Jumm¹ i Gangesem. Tê równinê nazywaj¹ „równin¹ ja³mu¿ny³”, ponieważ ksi¹¿êta indyjscy rozdawali tam od najdawniejszych czasów swoje datki ubogim. Wed³ug Rousseleta, cytuj¹c ustêp z „Vie de Hionen Thsang” jest wiêksz¹ zas³ug¹ dać na tem miejscu jeden pieni¹¿ek, jak gdzieindziej sto tysiêcy.

Bóg chrzeœcijañski wynagradza tylko stokrotnie. Jest to wprowadzie sto razy mniej, ale we mnie wzbudza jakoœ wiêcej zaufania.

Jeszcze s³ówko o fortecy w Allahabad, która jest godn¹ widzenia. Jest ona zbudowana na zachód od „doliny ja³mu¿ny³” i wznosi œmia³o swe wysokie mury; w œrodku fortecy wznosi się pa³ac, dzie obrócony na arsena³, a niegdyœ ulubiona siedziba su³tana Akbara, dalej ma³a œwi¹tynia, której jednak Hindusi, którym wzbraniaj¹ przystêpu do fortecy, nie mog¹ zwiedzaæ, pomimo, ¿e jest to jedno z najœwiêtszych miejsc na œwiecie.

Banks opowiedzia³ mi o legendzie przywi¹zanej do fortecy w Allahabad, która przypomina bardzo legendy biblijne o odbudowaniu œwi¹tyni Salomona w Jerozolimie.

Kiedy su³tan chocia³ budowaæ fortecê w Allahabad, odmówi³y mu kamienie pos³uszeñstwa. Gdy tylko wzniesiono jakœ mur, zaraz rozpada³ się sam przez się. Zapytano wyrocziê. Wyrocznia odpowiedzia³a jak zwykle, ¿e potrzeba jakiejœ dobrowolnej ofiary, a¿eby przeb³agaæ rozgniewany los. Jakœ Hindus ofiarowa³ się, zosta³ spalony na stosie i warowniê ukoñczono. Hindus ten nazywa³ się Brog i dlatego to dzie jeszcze miasto nazywaj¹ Brog-Allahabad.

Banks poprowadzi³ miê do ogrodów Kousrou, za¿ywaj¹cych zas³u¿onej s³awy. Tam pod cieniem wspania³ych tamarynd, wznosi się kilka grobowych pomników muzum³añskich. W jednym spoczywa³ su³tan Kousrou, którego nazwê nosz¹ te ogrody. Na jednej ze œcian z bia³ego marmuru jest inkrustowana olbrzymia d³oñ. Tu ju¿ byli dla nas uprzejmiejsi jak w Gaya i pozwolono nam j¹ ogl¹daæ.

Ale te¿ nie jest to jak w Gaya odcisk nogi bóstwa, ale rêki zwyk³ego œmiertelnika, siostrzeñca Mahometa.

Podczas powstania z 1857. roku w Allahabad równie¿, jak i w innych miastach Gangesu pop³ynê³y strumienie krwi. Walka armji królewskiej przeciw powstañcom stoczona na polach œwiczeñ w

Benares, wywo³a³a powstanie wojsk krajowców a w szczególności 6-go pu³ku armji Bengalskiej. Zaraz z pocz¹tku zamordowano o¹emiu chor¹ych, a¹ w końcu, dzięki energicznemu zachowaniu się kilku europejskich artylerzystów, Sipajowie z³o¹yli broń.

Lecz daleko gro¹niejszy by³ przebieg powstania po¹ród wojsk roz³o¹onych na le¹ach. Krajowcy (natifs) przy³czyli się do buntu, wy³amano bramy i drzwi więzień, zrabowano doki, spalono mieszkania Europejczyków. Dopiero pu³kownik Neil przybywszy z wojskiem, obali³ rz¹d tymczasowy ustanowiony przez jakiegoś muzu³manina, ucemierzy³ bunt i zaw³adn¹³ prowincj¹.

Podczas tej krótkiej wycieczki, obydwaj z Banksem rozgl¹dalicemy się bacznie, czy nas kto¹ nie o¹edzi jak w Benares, ale nie dostrzeżlicemy nic podejrzanego.

– Jednak mimo to musimy mieć się na baczności – odrzek³ Banks – szkoda, że nie mogliemy podró¹owa¹ incognito, bo nazwisko pu³kownika a¹ nadto znane tu krajowcom.

O szóstej zeszlicemy się wszyscy w Steam-House na obiad. Sir Edward Munro, który wyszed³ przed paru godzinami, wróci³ ju¹ także i oczekiwa³ nas. Równocześnie z nami wróci³ kapitan Hod, który odwiedzi³ dawnych swoich kolegów w garnizonie na le¹ach.

Dostrzeg³szy, że pu³kownik Munro jest je¹eli nie smutniejszy, to przynajmniej wi¹cej zamysłony jak zwykle, zwróci³em na to uwag¹ Banksa. Zdawa³o się, że w oczach jego p³onie jak¹o¹ ogień, który ³zy, jakie wyla³, dawno ju¹ powinny by³y zgasia¹.

– Masz s³usznoc¹ – odrzek³ in¹ynier, widocznie nie jest to bez powodu, ale co takiego mog³o zaj¹oc¹?

– Mo¹eby¹ się zapyta³ Mac-Neila?

– Zapewne – on mo¹e co¹ wie o tem...

I in¹ynier wyszed³szy z salonu, uda³ się do izdebki sier¹anta, ale go w niej nie by³o.

– Gdzie jest Mac-Neil – zapyta³ Goumiego – który w³acenie zabiera³ się do nakrywania sto³u.

– Opu¹eci³ nasz obóz – odpowiedzia³.

– Czy dawno?

– Przed przesz³o godzin¹ – i to z rozkazu pu³kownika Munro.

– Czy nie wiesz, dok¹d i p¹co poszed³?

– Nie wiem nic – odpowiedzia³.

– Nie zasz³o tu nic nowego podczas naszej nieobecności?

– Nic a nic.

– Nie wiem, co to może być – rzek³ do mnie Banks – ale najniezawodniej jest w tem co^o. Ha, czekajmy cierpliwie!

Podano do sto³u. Zwykle pu³kownik Munro bra³ żywy udział³ w rozmowie podczas obiadu. Lubia³, gdy^oemy mu opowiadali o naszych wycieczkach, co^oemy widzieli i jak spędzili^oemy dzień. Ja zawsze uważa³em, by nie wspomnie^o nawet o czem^o takim, coby mu przypomnia³o bunt Sipajów. I zdaje mi się, że on to zauważy³, lecz czy te^ż czu³ dla mnie za to jak¹o wdzięczno^oo? Zreszt¹ by³o to nie³atw¹ rzecz¹, mówią o takich miastach, jak Benares lub Allahabad, które by³y widowni¹ buntu, by nie potr¹cia^o o podobne wspomnienia.

Pu³kownik dżię nie pyta³ o nic ani Banksa ani mnie, milcza³ podczas ca³ego obiadu, cz^osto spogl¹da³ ku drodze prowadz¹cej do miasta, wyra^Źnie oczekiwa³ niecierpliwie powrotu Mac-Neila.

Obiad przeszed³ nudnie, kapitan Hod spojrzeniem zapytywa³ Banksa, co jest powodem tego. Lecz Banks wiedzia³ nie wiele wi^ocej od niego.

Po obiedzie, zamiast jak zwykle wypocz¹o i przedrzema^o się, pu³kownik zeszed³ ze schodów, uszed³ kilka kroków po go^oci^oncu, raz jeszcze utkwi³ wzrok w przestrze^oń, poczem zwracaj¹c się do nas, rzek³:

– Czy nie chcieliby^oecie wszyscy towarzyszy^o mi do pierwszych domów miasta?

Zerwali^oemy się wszyscy od sto³u, by i^oo za pu³kownikiem, który post^opow³o zwolna, nie mówi¹c ani s³owa.

Uszed³szy ze sto kroków, sir Edward Munro zatrzyma³ się przed s³upem stoj¹cym na prawej stronie drogi, na którym by³o przylepione jakie^o ogłoszenie.

– Czytajcie – rzek³.

By³o to owe rozporz¹dzenie wydane ju^ż przed dwoma miesi¹cami, w którym nak³adano cen^o na g³ow^o Nany Sahiba, donosz¹c o obecno^oci jego w prezydenturze Bombaju.

Banks i Hod nie potrafili ukry^o niezadowolenia, jakiego doznali. Dot¹d bowiem tak w Kalkucie, jak w ci¹gu podró^ży udawa³o im się trzyma^o go w niewiadomo^oci o tem og³oszeniu; nieszczę^oliwy przypadek zniszczy³ przezorne ich zabiegi.

– Banksie – zawo³a³ pu³kownik – porywaj¹c go za rêkê, ty wiedzia³o^o o tem og³oszeniu?

Banks nic nie odpowiedzia³.

– Wiedzia³o^o ju^ż od dwóch miesi^ocy – mówi³ dalej pu³kownik, że zawiadomiono o obecno^oci Nany Sahiba w prezydenturze i nie powiedzia³o^o mi tego?

Banks milcza³, nie wiedz¹c co odpowiedzie^o.

– Prawda kochany pu³kowniku! – zawo³a³ kapitan Hod – wiedzieli^oemy, ale pocó^ż mieli^oemy ci o

tem mówią? Czyli jest pewność, że ogłoszony fakt jest prawdziwym? Pociąg mieliśmy daremnie wznawiać tak bolesne wspomnienia, rozdrażniać niezagojone rany twojego serca?

– Czyli zapomnieliście – zawo³a³ pu³kownik – unosz¹c się, że do mnie tylko, bardziej jak do każdego innego należy wymierzyć sprawiedliwość temu cz³owiekowi? Wiedz o tem Banksie, że dlatego jedynie zgodzi³em się na tę podróż maj¹c¹ przenieść mi¹ na północ Indji, bo ani godziny nie wierzy³em, że Nana Sahib nie żyje, że ani na chwilę nie zapomni³em o ci¹ł¹ym na mnie obowi¹zku matki. Opuszcza³em Kalkuttę ożywiony jedn¹ tylko myśl¹, jedn¹ nadzieją, że z pomocą Bo³ podróż ta zbliży mi¹ do celu, jaki sobie wyznaczy³em. Nie myli³o mi¹ przecucie. Bóg dozwoli³ mi zobaczyć i przeczytać to ogłoszenie, wiem teraz, że nie na północy ale na południu należy szukać Nanę Sahiba, i tam też szukać go będzie.

Przekonaliśmy się więc, że jakże ukryta myśl powodowa³a dzieć bardziej jeszcze jak kiedykolwiek pu³kownikiem Munro. Wypowiedzia³ nam to dzieć wyraźnie.

– Pu³kownik – rzek³ Banks – nie mówi³em ci nic o tem ogłoszeniu, bo nie wierzy³em w obecność Nany Sahiba w prezydenturze Bombaju. Nie ulega wątpliwości, że tym razem rząd został wprowadzony w b³d. Ogłoszenie rozlepiono 6-go marca, a dot¹d nic nie potwierdzi³o obecności naba.

Pu³kowniki nie odpowiedzia³ nic – tylko zwróci³ wzrok ku drodze do miasta.

– Wkrótce dowiemy się prawdy – rzek³ po chwili – pos³a³em Mac-Neila do Allahabad z listem do gubernatora, aby mnie zawiadomi³, czy rzeczywiście Nana-Sahib był widziany w której z zachodnich prowincji, czy jest w nich jeszcze, lub czy znowu znik³.

– A jeżeli rzeczywiście go widziano i fakt ten jest prawdziwy, to cóż zamýlasz uczynić? – zapyta³ Banks – ujmuj¹c rękę pu³kownika.

– Udam się za nim natychmiast! – odrzek³ sir Edward Munro. Szukać go będzie wszędzie w imię najwyższej sprawiedliwości, gdyż jest to moim obowi¹zkiem.

– Jestto twoje niez³omne postanowienie?

– Tak Banksie!... Bezemnie odb¹d¹cie dalsz¹ podróż – ja dzieć jeszcze udam się na poci¹g do Bombaju.

– Niech i tak będzie, ale my cię nie odst¹pimy – rzek³ Banks – wszak prawda – doda³, zwracaj¹c się do nas.

– O tak kochany pu³kownik – zawo³a³ kapitan Hod – nie puścimy cię samego! Zamiast na dzikie zwierzęta, będziemy polować na tego ³otra.

– Pu³kownik, doda³em, wszak i mnie pozwolisz przy³czyać się do waszego grona.

– A więc kochani przyjaciele – odpar³ Banks dzieć wieczór wszyscy opuścimy Allahabad, aby...

– Zupe³nie niepotrzebnie! – odezwa³ siê z boku powaŹny g³os.

Odwróciliœmy siê wszyscy; Mac-Neil sta³ przed nami z gazet¹ w rêku.

– Czytaj pu³kowniku – rzek³ – oto co gubernator kaza³ mi oddaæ w twoje rêce.

Sir Edward Munro zacz¹³ czytaæ, co nastêpuje:

„Gubernator prezydentury Bombaju zawiadamia wszystkich, Źe rozporz¹dzenie og³oszone dnia 6-go marca, odnoœnie do naboba Dandu Pant, utraci³o moc obowi¹zuj¹c¹, poniewaŹ Nana Sahib zosta³ wczoraj zabity w w¹wozie g³ór Sautpurra, w którym ukrywa³ siê ze swoim oddzia³em. To Źsamoœa jego osoby nie podlega tym razem najmniejszej w¹tpliwœoci, gdy Ź zosta³ poznany przez mieszkañców Kanpuru i Lucknowu. Brak³o mu palca u lewej rêki, a wiadomo, Źe Nana Sahib odci¹³ go sobie w³ówczas, gdy odbyciem udanego pogrzebu chcia³ utwierdzaæ pog³oskê o swojej œmierci. Tak wiêc Indje nie potrzebuj¹ juŹ obawiaæ siê okrutnika, sprawcy tak okrutnego rozlewu krwi.”

Pu³kownik odczyta³ to st³umionym g³osem i wypuœci³ z rêki gazetê.

My milczeliœmy, niezaprzeczalna tym razem œmieræ Nany Sahiba uwalnia³a nas od wszelkiej obawy na przysz³oœa.

Pu³kownik Munro, po kilku chwilach milczenia przesun¹³ rêk¹ po czole, jakby chcia³ rozpêdziaæ bolesne wspomnienia, poczem zapyta³:

– Kiedy opuœcimy Allahabad?

– Jutro równo ze œwitem – odrzek³ inŹynier.

– Kochany Banksie – rzek³ sir Munro – czy nie moglibyœmy siê zatrzymaæ parê godzin w Kanpurze?

– Czy Źyczysz sobie tego?

– Tak jest, chcia³bym... chcê raz jeszcze... raz ostatni zwiedziaæ Kanpur.

– Bêdziemy tam za dwa dni – odrzek³ inŹynier.

– A p³Źniej? – zapyta³ pu³kownik Munro.

– P³Źniej udamy siê w dalsz¹ podr³Ź na p³noc Indji – odpowiedzia³ Banks.

– O! tak! na p³noc! na p³noc! – powt³rzy³ pu³kownik Munro, lecz g³osem, który miê wzruszy³ a Ź do g³êbi serca.

Zdawa³o siê nam, Źe sir Edward Munro pomimo urzêdowych zapewnieñ nie dowierza³ jeszcze ci¹gle, Źe Nana Sahib zgin¹³ w potyczce z wojskiem angielskim. Czy nie myli³y go przeczcucia? Przysz³oœa mia³a nam tego dowieœa.

Rozdział X

VIA DOLOROSA.

Królestwo Audh było niegdyś jednym z najpotężniejszych na półwyspie, a po dzień dzień jest jednym z najbogatszych w Indjach. Państwo to miało monarchów to silnych, to słabych. Jeden z ostatnich Wajad-Ali-Schah, niedoświadczeniem swoim przyczynił się do wzięcia królestwa swego do posiadłości Kompanji, dnia 6. lutego 1857. roku. Nastąpiło to na parę miesięcy przed wybuchem powstania i na tem to terytorjum miały miejsce najstraszniejsze rzezie, równie krwawym skutkiem odwetem.

Od owego czasu dwa miasta nabyły smutnego rozgłosu: Lucknow i Kanpur.

Lucknow jest stolicą, Kanpur jednym z najdawniejszych miast dawnego królestwa.

Do Kanpuru pragnęliśmy się udać pułkownik; a po podróży wzdłuż prawego brzegu Gangesu, serodkiem szerokiej równiny zarosłej drzewami indygowców, przybyliśmy tam rankiem 29. maja.

Przez dwa dni olbrzym stalowy bieg z przeciwną szybkością trzech mil na godzinę i tym sposobem przebyliśmy dwieście pięćdziesiąt kilometrów oddzielających Kanpur od Allahabad.

Znajdowaliśmy się teraz blisko tysiąc kilometrów od Kalkuty, punktu wyjścia naszej podróży.

Kanpur liczy około 60.000 mieszkańców, jest położony na prawym brzegu Gangesu na wąskim pasie ziemi, mającym pięć mil długości. Jest tu też obóz, liczący siedem tysięcy żołnierzy.

Jakkolwiek jest to miasto bardzo stare, gdyż jak utrzymują, początek jego sięga jeszcze ery przedchrześcijańskiej, nie posiada jednak pomników godnych widzenia. Toteż nie wiedzieliśmy nas tam żadne uczucie ciekawości, lecz zatrzymaliśmy się w tem mieście tylko dla spełnienia życzenia sir Edwarda Munro.

Opuściliśmy nasz obóz dnia 30. maja, towarzysząc pułkownikowi na tej krzyżowej drodze, której stacje po raz ostatni przebywać postanowił.

Powtórzyłem w krótkości, co mi opowiedział Banks dla zrozumienia dalszego ciągu mojej powieści.

– W chwili wybuchu powstania, miasto to liczyło tylko 250 żołnierzy armji królewskiej, przeciw trzem pułkom piechoty, dwóm pułkom kawalerji i jednej baterji artylerji z armji Bengalskiej,

Prócz tego mieszkała w niem znaczna liczba Europejczyków, urzędników, przemysłowców i t. d., razem pięćdziesiąt żołnierzy i dzieci wojskowych armji królewskiej, stojącej garnizonem w Lucknow.

Pułkownik Munro od kilku lat mieszkał w Kanpurze i tam poznał młodą panią, z którą się ożenił.

Miss Laura Honlay, by³a angielsk¹, zachwycaj¹ca, g³êboko wykszta³cona, odznacza³a siê wznios³ym charakterem, szlachetnym sercem i wielk¹ si³¹ charakteru, s³owem by³a godn¹ podziwu i mi³oœci cz³owieka jak pu³kownik Munro, który te¿ j¹ czci³ i uwielbia³.

Mieszka³a ona z matk¹ w bungalowu, w okolicach miasta i tam j¹ poœlubi³ sir Edward Munro w 1855 roku.

We dwa lata po œlubie, gdy w 1857 roku w Mirat wybuch³y pierwsze zaburzenia, pu³kownik musia³ natychmiast wracaæ do pu³ku i zostawiæ ¿onê i matkê jej w Kanpurze, polecaj¹c im, aby siê niezw³ocznie przygotowa³y do wyjazdu do Kalkuty, gdy¿ przewidywa³, ¿e pobyt w Kanpurze mo¿e staæ siê niebezpiecznym. Niestety! dalsze wypadki a¿ nadto usprawiedliwi³y obawy pu³kownika.

Wyjazd Mrs. Honlay i lady Munro opóŹni³ siê na nieszczêœcie, co poci¹gnê³o za sob¹ okropne nastêpstwa, gdy¿ zasz³y wypadki czyni¹ce go niemo¿liwym.

Dowódc¹ dywizji angielskiej by³ wtedy uczciwy i odwa¿ny jenera³ sir Hugh Wheeler, który sam jako prawy ¿o³nierz nie przypuszcza³ zdrady i sta³ siê ofiar¹ chytrej podstêpnoœci Nany Sahiba.

Nabob ten mieszka³ wtedy w pa³acu swoim w Bilhour, dziesiêæ mil od Kanpuru, i od dawna udawa³, ¿e zostaje w najlepszych stosunkach z Europejczykami.

Wiadomo ci zapewne, kochany Mauclerze, ¿e pierwsze próby buntu wybuch³y w Mirat i w Delhi. Wiadomoœæ o tem przysz³a 14. maja do Kanpuru, i tego¿ zaraz dnia Sipajowie objawili swoj¹ nieprzychyln¹ postawê.

Wtedy Nana Sahib ofiarowa³ sw¹ pomoc rz¹dowi. Jenera³ Wheeler uwierzy³ w dobr¹ wolê tego oszusta i zezwoli³, aby jego ¿o³nierze zajêli gmach skarbu.

Tego zamego dnia, nieregularny pu³k Sipajów, w marszu do Kanpuru, pod samymi bramami miasta wymordowa³ swych europejskich oficerów.

Wtedy dopiero zrozumiano ogrom niebezpieczeñstwa; jenera³ da³ rozkaz wszystkim Europejczykom, aby siê schronili do koszar, gdzie by³y ¿ony i dzieci 32-go pu³ku z Lucknow. Koszary znajdowa³y siê w pobli¿u drogi do Allahabad, jedynej drogi, sk¹d mog³a nadejœæ pomoc.

Tamto uda³y siê lady Munro i jej matka. Przez ca³y czas tego dobrowolnego wiêzienia m³oda ta kobieta okazywa³a poœwiêcenie bez granic dla swoich nieszczêliwych towarzyszek. Pielêgnowa³a je w³asnymi rêkoma, wspiera³a z w³asnej kieszeni, dodawa³a odwagi s³owem i przyk³adem, i wtedy to okaza³o siê – jak powiedzia³em – ¿e by³o to wielkie, szlachetne serce, bohaterska kobieta.

Tymczasem arsena³ oddano stra¿y ¿o³nierzy Nany Sahiba. Wtedy ten zdrajca wywiesi³ sztandar powstañczy i za jego namow¹ dnia 7. czerwca Sipajowie napadli na koszary, w których nie by³o i trzystu ¿o³nierzy zdatnych do boju.

Dzielnymi ci ¿o³nierze bronili siê jednak, pod gradem kul nieprzyjacielskich, choæ wyniszczeni chorobami, umierali prawie z g³odu i pragnienia, gdy¿ zabrak³o ¿ywnoœci a woda w studniach powysycha³a.

Opór ten trwa³ do 27. czerwca.

Wtedy Nana Sahib zaproponowa³ kapitulacjê, jenera³ Wheeler pope³ni³ znowu b³1d nie do darowania i pomimo zaklêæ lady Munro, która go b³aga³a, by dalej siê broni³, podpisa³ kapitulacjê.

Na mocy tej kapitulacji mê¿czyŹni, kobiety i dzieci, razem oko³o piêæset osób, miêdzy którymi znajdowa³a siê lady Munro i jej matka, wsiad³o do ³odzi, które mia³y Gangesem przewieœæ je do Allahabad.

Ledwie ³odzie odbi³y od brzegu, gdy w tem Sipajowie poczêli dawaæ ognia i gradem kul karabinowych i kartaczy obsypali odp³ywaj¹cych. Niektóre ³odzie zatonê³y, inne popalono, jedna ³od³ tylko odp³yn¹æ prêdziej i mo¿na by³o mieæ nadziejê, ¿e jad¹cy ni¹ ocalej¹, ale ¿o³nierze Nany Sahiba dopêdzili j¹ i przyci¹gnêli do l¹du.

Na tej w³acenie ³odzi znajdowa³a siê lady Munro z matk¹.

Rozdzielono jeñców, mê¿czyzn rozstrzelano natychmiast, kobiety i dzieci zamkniêto z temi, które dnia 27. czerwca uniknê³y œmierci.

Dwieœcie tych nieszczêeliwych ofiar, skazanych na d³ugie konanie, zamkniêto w bungalowie Bibi-Ghar, którego nazwa naby³a odt¹d smutnego rozg³osu.

– Jakim sposobem doszed³eœe do wiadomoœci tych smutnych szczegó³ów? – zapyta³em Banksa.

– Opowiada³ mi to jeden stary sier¿ant z 32-go pu³ku armji królewskiej, który zdo³a³ umkn¹æ jakimœ cudem i z kilku innymi zbiegami zosta³ jak najgoœcinniej przyjêty przez radçê z Reischwarah, jednej z prowincji królestwa Audh.

– A có¿ siê sta³o z lady Munro i jej matk¹?

– Kochany przyjacielu – odrzek³ Banks – nie mamy ju¿ dok³adnych wiadomoœci o tem, co siê dalej sta³o, ale ³atwo przypuœciæ dalsze nastêpstwa.

Sipajowie byli panami Kanpuru a¿ do 15. lipca, a podczas tych dziewiêtnastu dni, dziewiêtnastu wieków, nieszczêeliwe ofiary wyczekiwa³y ka¿dej godziny pomocy, która niestety mia³a przyjeæ ju¿ za póŹno.

Od niejakiego czasu ju¿ jenera³ Havelock, wyszed³ z Kalkutty i zd¹¿a³ na pomoc do Kanpuru, a pobiwszy buntowników w kilku miejscach, wkroczy³ tam siedmnastego lipca.

Ale dwa dni przedtem, skoro tylko Nana Sahib dowiedzia³ siê, ¿e wojska królewskie, pobiwszy w kilku potyczkach buntowników, przeprawi³y siê przez rzekê Pandu-Naddi i ci¹gn¹ na pomoc nieszczêsnemu miastu, postanowi³ straszni mordami zaznaczyæ ostatnie godziny swojego panowania.

Wobec najeŹdzców Indji wszystko zdawa³o mu siê dozwolonem.

Kilku męskich jeńców z Bibi-Ghar kaza³ stawiać przed siebie i zamordować w³ asnych oczach.

Pozosta³y tylko kobiety i dzieci, a w ich liczbie lady Munro i jej matka. Plutonowi Sipajów wyda³ rozkaz wystrzelania wszystkich przez okna bungalowu.

Zaczęto spe³niać wyrok, lecz że nie odbywa³o się to docie³ prędko wedle życzeń Nany Sahiba, który już musia³ cofać się, więc zawezwa³ ten krwiożerczy ksi¹żę rzeźników muzum³mańskich swoim żo³nerzom do pomocy... teraz już mordowano jak w rzeźni.

Nazajutrz zamordowano i żyj¹ce jeszcze ofiary, dzieci i kobiety powrzucono do pobliskiej studni, a gdy nadeszli żo³nierze Havelocka, studnia ta przepe³niona by³a ci³ami a³ po ocembrowanie i dymi³a się jeszcze!

Wtedy to rozpocz¹³ się straszny odwet. Pewna liczba powstańców, pomocników Nany Sahiba dosta³a się w moc genera³a Havelocka, a ten wyda³ ów straszny rozkaz, którego s³ów nigdy nie zapomnê:

„Studnia, w której spoczywaj¹ œmiertelne szcz¹ki nieszczêeliwych kobiet i dzieci pomordowanych z rozkazu Nany Sahiba, zostanie starannie przykryt¹ ziemi¹ w kształcie grobowca. Jeden oddzia³ żo³nierzy europejskich spe³ni dzie³ wieczorem ten pobożny uczynek. Dom ten i pokoje, w których pope³niono mordy, nie bêd¹ ani myte ani bielone przez rodaków pomordowanych ofiar, ale ka³da kropla niewinnej krwi zostanie oczyszczon¹ a raczej zlizan¹ jêzykami skazańców, stosownie do stopnia ich winy i ich rangi. Przed spe³nieniem wyroku œmierci, ka³dy skazany us³yszawszy wprzódy odczytany sobie wyrok, zaprowadzony zostanie do tego domu i zmuszony do oczyszczenia jakiejœ czêœci pod³ogi. Należy starać się o to, żeby czyn ten uczyniać jak najbardziej oburzaj¹cym uczucia religijne skazanego; a jeżeli bêdzie potrzeba, nie ża³ować bicia; po spe³nieniu tych oczyszczeń, powiesiać ka³dego na szubienicy postawionej ko³o tegoż domu”.

– Taki by³ rozkaz dzienny – rzek³ Banks – g³ęboko wzruszony. Zosta³ on wykonany w ca³em swoim brzmieniu, punkt za punktem, lecz nie wróci³ życia pomordowanym ofiarom! Gdy pu³kownik Munro nadszed³ we dwa dni póŹniej ze swoim pu³kiem, chcia³ wyszukać zw³oki swej żony i matki, lecz niepodobna by³o je rozpoznać wœród por¹banych i poszarpanych ci³ nieszczêeliwych ofiar!”

Oto co mi opowiedzia³ Banks przed wjazdem naszym do Kanpuru, a teraz pu³kownik szed³ zobaczy³ znowu miejsce, bêd¹ce niegdyœ widowni¹ tylu nies³ychanych mordów.

Najprzód chcia³ zobaczy³ bungalow, gdzie mieszka³a lady Munro, gdzie spêdzi³a swoj¹ m³odoœæ gdzie j¹ pozna³ i pokocha³ i gdzie zamienili ostatni uœcisk poŹegnalny.

Bungalow ten sta³ nieco poza przedmieœciem w pobliżu koszar i oficerskich kwater. Teraz stercza³y z niego zczernia³e zgliszcza, ko³o których leża³y usch³e drzewa; oto wszystko, co zosta³o z mieszkania. Pu³kownik nie pozwoli³ nic odnawiać, bungalow pozosta³ w takim stanie, do jakiego go przyprowadzi³a rêka podpalaczy przed szeœciu laty.

Ca³¹ godzinê spêdziliœmy wœród ³ych ruin; pu³kownik w milczeniu przechodzi³ te miejsca, które budzi³y w nim tyle wspomnień. Myœl jego przywo³ywa³a na pamiêæ te b³ogie chwile szczêœcia,

które straci³ na zawsze.

Przed oczyma jego duszy sta³a postać m³odej dziewczicy, szczęśliwej w tym domku, gdzie ujrza³a pierwsze światło dzienne, gdzie on ją pozna³; niekiedy zamyka³ oczy, aby ją lepiej widzieć oczyma swej duszy!

Wtem nagle zwróci³ się ku nam, i jakby gwałtem wyrwyj¹c się z tych miejsc, wyszed³ a my za nim.

Banks spodziewa³ się, że pułkownik przestanie już na zwiedzaniu bungalowu... Lecz nie! on postanowi³ wychylić co do kropli gorzkiej, jak¹ go napawa³o to smutne miasto. Po zwiedzeniu mieszkania lady Munro, chciał³ koniecznie widzieć koszary, w których tyle ofiar wytrzyma³o straszne oblężenie.

Koszary te sta³y poza miastem, a teraz budowano kościół³ na tym miejscu; tam to odbywa³y się pierwsze krwawe sceny straszliwej tragedji. Tam żyły – cierpiały i konały lady Munro i jej matka, a do chwili kiedy skutkiem kapitulacji wydane zostały w ręce Nany Sahiba razem ze wszystkimi nieszczęśliwymi ofiarami, które ten zdrajca przyrzek³ ca³o dostawić do Allahabad.

Pośród nowych nieskończonych budynków widać jeszcze było szczątki murów obronnych, stawianych przez generała Wheelera.[3]

Pułkownik sta³ dłużej milcz¹co i nieruchomo przed temi ruinami. Pamięci jego przedstawiały się straszliwe sceny, których ona była świadkami. Po bungalowie, gdzie lady Munro żyła szczęśliwie i wesoło, patrzył na koszary gdzie tyle cierpiał! pozostawało jeszcze tylko do zwiedzenia Bibi-Ghar, to mieszkanie, które Nana zmienił na więzienie i gdzie stała owa studnia, którą aż po brzegi zapełniały ciała nieszczęśliwych ofiar mordy.

Spostrzegłszy, że pułkownik zwraca się w tę stronę, Banks ujął jego dłoń, chcąc go zatrzymać. Sir Edward spojrzął na niego i rzekł z przerażającym spokojem:

– Chodźmy tam!

– Edwardzie, proszę cię...

– Więc zostańcie, pójdę sam.

Trudno było się opierać.

Poszliśmy więc ku Bibi-Ghar, otoczonego obecnie pięknym ogrodem. Wznosi się tam także szereg kolumn w stylu gotyckim, otaczających miejsce, gdzie była ta pamiętna studnia, której otwór pokryto teraz wielkimi płytami. Jest to jakby piedestał, na którym wznosi się posąg z białego marmuru, przedstawiający Anioła Litoci, jedno z ostatnich twórców dynastji rzymskiej Marochetti.

Pamiętnik ten pomnik wykonany jest według rysunku pułkownika inżynierji Yule, a wzniesiony kosztem lorda Canninga, generalnego gubernatora Indji podczas powstania w 1857 roku.

Tu już, przed t¹ studni¹, gdzie dwie kobiety matka i córka pad³y pod razami rzeźników i na pó³ływe może zosta³y wrzucone, pu³kownik Munro, mimo ca³ej mocy woli i si³y charakteru, nie mó³g zapanowaæ nad swoim bolem, pad³ na kolana i zap³aka³.

Sierżant Mac-Neil ukl¹k³ przy nim i p³aka³ tak³e.

Serce nam siê œciska³o, patrz¹c na tak bezbrzeżn¹ boleœæ, której przynieœæ ulgi nie by³o w naszej mocy. Ah! gdyby on znajdowa³ siê pomiêdzy Ÿo³nierzami, którzy pierwsi przyszli do Kanpuru, pierwsi weszli do Bibi-Ghar po tej strasznej rzezi, by³by skona³ z boleœci.

Oto co opisuje jeden z angielskich oficerów wed³ug dzie³a Rousseleta:

„Ledwie weszliœmy do Kanpuru, gdy co prêdziej poczêliœmy szukaæ nieszczêeliwych kobiet, o których wiedzieliœmy, Ÿe by³y w rêkach okrutnego Nany Sahiba, lecz zaraz opowiedziano nam o tej strasznej rzezi. Trawieni strasznym pragnieniem odwetu i przenikniêci do g³êbi uczuciem boleœci i straszliwych mêczarñ, jakie musia³y wycierpieæ nieszczêeliwe ofiary, na pó³ szaleni pêdziliœmy na to smutne miejsce mêczeñstwa, a to coœmy zobaczyli wzbudza³o w nas jak¹œ dziwn¹, prawie dzik¹ Ÿ¹dzê zemsty. Skrzep³a krew pomieszana z ró³znymi szcz¹tkami pokrywa³a pod³ogê i dochodzi³a nam a³ po kostki, d³ugie sploty miêkkich jak jedwab w³osów, kawa³ki podartych sukien, ma³e dziecinne trzewiczki, po³amane zabawki, wszystko to zmieszane z krwi¹ – obryzgane mury nosiły œlady krwawego konania. Podnios³em ma³ ksi¹Ÿeczkê do modlenia, w której na pierwszej stronie napisane by³y te smutne wyrazy: „23. czerwca opuœci³yœmy okrêt... 7-go lipca w niewoli u Nany... fatalny dzieñ!” – Lecz nie na tem koniec, daleko straszniejszy czeka³ nas widok! widok tej studni okropnej, g³êbokiej a w¹zkiej, zapchanej a³ do góry por¹banemi kawa³kami tych drogich nam istot!”

Sir Edward Munro nie by³ tam w pierwszych chwilach, kiedy Ÿo³nierze Hawelocka odebrali miasto! Przyby³ dopiero dwa dni po mordach! A teraz mia³ przed oczyma już tylko miejsce, gdzie sta³a studnia, grób bez imion, króry mieœci³ w sobie dwieœcie ofiar Nany Sahiba!

Nakoniec Banks zdo³a³ z sierżantem Mac-Neilem si³ i moc¹ odprowadziæ pu³kownika.

Prawdopodobnie nie zapomina³ on nigdy wyrazów, które jak¹œ angielski Ÿo³nierz wyry³ ostrzem bagnetu na krawêdzi studni:

„Remember Cawnpore!” – „Pamiêtaj o Kanpurze!”

Rozdzia³ XI

ZMIANA MUSSONU.

O jedenastej wróciliœmy do naszego obozowiska i co³atwe do zrozumienia, pilno nam by³o jak najspieszniej opuœciæ Kanpur: na nieszczêœcie drobne uszkodzenia w maszynie zniewala³y nas pozostaaæ i dopiero nazajutrz ze œwitem puœciliœmy siê w drogê.

Zostawa³o mi wiêc pó³ dnia, czas ten postanowi³em u³yaæ najlepiej, zwiedzaj¹c Lucknow.

Zamiarem Banksa by³o wcale nie zbliżać się do tego miasta, w którym Munro znowu by³by się znalazł³ poceród wspomnień wojny. I mia³ s³usznocę! By³oby to znowu za wiele bolesnych wzruszeń dla pu³kownika.

W po³udnie zatem wsiad³em na kolej, która ³czy Kanpur z Lucknowem, i za dwie godziny stan¹³em w tej stolicy królestwa Audh, któr¹ pragn¹³em zwiedzić tylko pobieżnie.

Znalaz³em istotnie to, co już nieraz s³ysza³em o pomnikach tego miasta, zbudowanych za panowania cesarzy muzu³mańskich w XVIII. wieku.

Twórc¹ ich by³ jakicę francuz z Lyonu, nazwiskiem Martin, by³ on prostym żoł³nierzem w armji Lally-Tolendalla w roku 1730 i ulubieńcem króla; i on to by³ twórc¹, kierownikiem, a nawet mo³na powiedzieć budowniczym tych tak zwanych cudów stolicy Audh. Rezydencja urzędowa panuj¹cego Kaiserbagh, dziwaczna miêszanina wszystkich stylów, jakie tylko mog³y się wylêgn¹æ w wyobraŹni kaprala; wszystko tu obliczone na zewnêtrzny efekt, wewn¹trz nic, a i ten zewnêtrzny strój to tylko miêszanina, coe trochê chińskiego, indyjskiego, maurytańskiego i europejskiego.

Inny znowu pa³ac, mniejszy trochê, Farid Bakch, równie³ dzie³o Martina i równie³ dziwacznie wygl¹da.

Zupe³nie inaczej rzecz się ma z pa³acem Innambara; jest on zbudowany w œrodku fortecy, przez Kaihiatoullê, pierwszego budowniczego w Indjach w XVII. wieku, i jest rzeczywiœcie przepyszny; przedstawia imponuj¹cy widok ze swemi tysi¹cami dzwoniczek, które zdo³bi¹ jego wie³yczki.

Nie mog³em opuœciæ Lucknowu (czyt. Lakknow), nie zwiedziwszy naprêd pa³acu Constantin, równie³ dzie³a francuskiego kaprala, który z tego powodu nosi te³ nazwê „Palais de la Martinière”. Przy tej sposobnoœci chcia³em zobaczyæ po³o³ony w pobli³u ogród Secunder Bakh, gdzie rozstrzelano Sipajów za obrabowanie grobu tego prostego żoł³nierza, nim zdo³ali uciec z miasta.

Zreszt¹ nietylko nazwisko Martina jest jedynem francuskim nazwiskiem, cieszc¹em się w Lucknow wielkim powa³aniem. Stary podoficer francuskich strzelców, nazwiskiem Duprat, odznaczy³ się w czasie buntu Sipajów takim mêtstwem, że buntownicy chcieli go zrobiæ swym wodzem. Mimo przyrzeczonych mu skarbów i mimo gróŹb na wypadek odmowy, Duprat odrzuci³ propozycjê i pozosta³ wierny Anglikom. Poniewa³ jednak przy atakach Sipajów, którym nie uda³o się nak³oniæ go do zdrady, by³ on szczególnie nara³ony, znalazł³ te³ rych³¹ œmieræ w jednej z bitw z nimi.

„Psie niewierny” – wo³ali Sipaje, nawet wbrew twej woli musisz byæ naszym!” Nale³ã do nich – ale już jako trup.

Zwiedzi³em jeszcze przepyszny park, to zielone zdobne w kwiaty obramowanie wielkiego miasta, liczc¹cego oko³o pó³ miliona mieszkańców, przejecha³em na grzbiecie s³onia jego g³ówne ulice i wspania³y bulwar Hazzat Gaudj, poczem wróci³em na dworzec i wieczorem tego samego dnia by³em w Kanpurze.

Nazajutrz 31. maja udalicemy się o œwicie w podró³.

– A! przecieź, – zawo³a³ kapitan Hod, – przecieź raz już skończylicemy z Allahabadami, z Kanpurami, z Lucknowami i inne mi wielkimi miastami, o które tyle dbam, co i³o³nierz o próżny nabój.

– O tak, skończy³o siê z miastami – odrzek³ Banks, – a teraz pojedziemy w prostej linii ku pó³noy i do gór Himalaja.

– Brawo! – krzykn¹³ weso³o kapitan. – Dla mnie prawdziwemi, najpiêknieszemi Indjami nie s¹owe prowincje najeźone miastami i gęsto zaludnione Hindusami, ale te przestrzenie, na których i³yj¹ swobodnie moi przyjaciele, s³onie, lwy, tygrysy, pantery, lamparty, niedŹwiedzie, bawo³y i wêźe! to jedyna, prawdziwie godna zamieszkania czêœæ pó³wyspu... Skoro poznasz te okolice, kochany Mauclerze, nie bêdziesz i³a³owa³ cudów doliny Gangesu.

– W twem towarzystwie nie bêdê nigdy niczego i³a³owa³, kapitanie.

– Jednakowoź, – rzek³ Banks, – s¹ jeszcze w okolicach pó³nocno-wschodnich ciekawe miasta, jak, Delhi, Agra, Lahore...

– Eh! kochany inŹynerze, nie warto i mówiaê o tych nêdznich mieœcinach! – zawo³a³ Hod.

– Nêdznich mieœcinach! – powtórzy³ Banks, – ale i to s¹ wspania³e miasta! B¹dŹ jednak spokojny, Mauclerze, – doda³ zwracaj¹c siê do mnie, – bêdê siê stara³, abyœe móg³ zwiedziaê te miasta, nie krzyiuj¹c myœliwskich planów kapitana.

– Ah to wybornie! – rzek³ kapitan, – to od dzieœ dopiero zacznie siê dla mnie prawdziwa podróź! Potem zawo³a³ donocnym g³osem: „Fox!”

– Jestem panie kapitanie! – rzek³ s³u¹cy jego staj¹c i oddaj¹c uk³on wojskowy.

– Fox, opatrz i przygotuj dubeltówki, karabiny i rewolwery.

– Już opatrzone i przygotowane.

– Wyczyœæ zamki!

– Już oczyszczone.

– Wiêc wszystko w porz¹dku?

– Wszystko.

– Niech i jeszcze bêdzie w wiêkszym porz¹dku, je i eli to mo i ebne!

– Bêdzie panie kapitanie.

– Niezad³ugo do listy stanowi¹cej twoj¹ chlubê i chwa³ê, przybêdzie trzydziesty ósmy.

– Trzydziesty ósmy! – powtórz³ Fox i oczy jego zaiskrzy³y siê ogniem. – Przygotujê mu kulê, na któr¹ nie powinien siê ułalaæ.

– Dobrze Fox, a teraz oddal siê.

Fox odda³ znowu uk³on wojskowy i oszed³ zamkn¹æ siê w swojej zbrojowni.

Oto plan tej drugiej czêœci naszej podró¿y, plan, który wcale ju¿ nie mia³ ulec zmianie, chyba w niespodziewanych jakichœ wypadkach.

Siedmdziesi¹t piêæ kilometrów drogi mieliœmy siê posuwaæ wzd³u¿ Gangesu, w kierunku pó³nocno-wschodnim, a potem ju¿ zwróciæ siê prosto na pó³noc, wzd³u¿ rzeki Goutmi, dop³ywu Gangesu, przez co mogliœmy omin¹æ te liczne rzeki, wyp³ywaj¹ce z prawego i lewego brzegu do Gangesu przez Biswah, przez królestwo Audh i Rohilkhande ku góróm Nepalu.

In¿yner tak nakreœli³ plan naszej podró¿y, aby zapobiec wszelkim trudnoœciom. Wprowadzie w pó³nocnym Hindostanie mog³o byæ trudno o wêgiel, lecz drzewa pewnie nie zabraknie. Nasz s³oñ stalowy bêdzie móg³ doskonale posuwaæ siê po szerokich i dobrze utrzymanych drogach, w poœród najpiêkniejszych lasów pó³wyspu indyjskiego.

Prawie siedmdziesi¹t kilometrów drogi oddziela³o nas od ma³ej mieœciny Biswah. Postanowiono, ¿e posuwaæ siê bêdziemy z umiarkowan¹ prêdkoœci¹, aby z ³atwoœci¹ mo¿na by³o zatrzymaæ siê czy to dla przypatrzenia siê jakim piêknym krajobrazom, czy ze wzglêdu na myœliwych, ¿eby mogli polowaæ. W ten sposób móg³ kapitan Hod z Foxem, do których przy³1cza³ siê Goumi ³atwo kr¹¿yæ doko³a, podczas gdy nasz s³oñ stalowy powoli szed³ naprzód. Mnie zostawiono wolnoœæ towarzyszenia kapitanowi w tych myœliwskich wycieczkach, lecz ¿e nie by³em tak zapalonym myœliwym jak oni, nie zbyt czêsto im towarzyszy³em.

Od czasu jak zmieniliœmy kierunek podró¿y, pu³kownik Munro obcowa³ wiêcej z nami. Zdała od miast i doliny Gangesu, poœród niezmiernych pól i lasów zdawa³ siê mniej znêkany i przygnêbiony. A jednak pewnie nie zapomni³ ani na chwilê, ¿e olbrzym stalowy wiedzie nas ku pó³nocy Indji, gdzie zdawa³o siê ci¹gn¹æ go jakieœ nieuniknione przeznaczenie. Czy to przy obiedzie, czy w wieczornych pogadankach, przeci¹gaj¹cych siê niekiedy póŹno w noc, rozmowa jego by³a daleko wiêcej o¿ywion¹ jak dot¹d.

Mac-Neil przeciwnie, od owej bytnoœci przy studni w Kanpurze sta³ siê daleko posêpniejszym jak dawniej. Czyłby sam widok Bibi Gharu o¿ywi³ w nim nadziejê i ¿¹dzê zemsty, które spodziewa³ siê ugasiaæ?

– Nie panie, – rzek³ raz do mnie. – Nana Sahib ¿yje... niepodobna, aby go nam zabili!

Pierwszy dzieñ podró¿y przeszed³ jak najspokojniej, nawet kapitanowi i Foxowi nie nadarzy³a siê sposobnoœæ ubicia choæby drobnej zwierzyny. By³a to rzeczywiœcie rzecz niezwyk³a i mo¿na by³o przypuszczaæ, ¿e pojawienie siê naszego stalowego s³onia odstrasza³o dzikie zwierzêta tych równin.

Jechaliœmy tu¿ obok d¿ungli, bêd¹cych zwykle siedliskiem tygrysów i innych dzikich

mięsożerców; ani jeden się nie pokazał, choć podczas gdyśmy wolno się posuwali, nasi dwaj myśliwi nieraz więcej jak na milę lub dwie oddalali się od pociągów. Wtedy radzi nie radzi musieli zabierać Blaka i Fana i z ich pomocą polować na drobne zwierzęta, o które pan Parazard codziennie się dopomina. Nasz pan kuchmistrz gniewa się na Foxa, gdy tenże użala się na brak tygrysów, panter, gepardów i innych podobnych zwierząt, rusza wtedy pogardliwie ramionami, mówi:

– Mniejsza o nie, albo to można jeść?

Dnia tego obozowaliśmy w cieniu olbrzymich banianów; noc była równie cicha i spokojna jak dzień poprzedzający, nawet ryk dzikich zwierząt nie zakłócał ogólnej ciszy. Nasz słoń spoczywał, nie wydając żadnego głosu, ogniska pogaszono, a nawet dla dogodzenia kapitanowi, Banks nie puścił do oczu stalowego słońca prądu elektrycznego, które z tego powodu świeciły jak dwie wielkie latarnie. Nawet i to nie pomogło, żadne zwierzę nie pokazało się.

Tak trwało przez dwa dni następne 1-go i 2-go czerwca. Kapitan był w rozpacz.

– Zamieniono mi moje królestwo Audh – powtarza, – przeniesiono je do Europy; nie ma ani jednego tygrysa, zupełnie jak w dolinach Szkocji.

– Może, kochany kapitanie, – odrzekł pułkownik Munro, – że po ostatnich obawach zwierzęta oddaliły się gdzieś daleko, ale nie smuć się, jak tylko zbliżymy się do stóp gór Nepalu, będziesz mógł zadowolić swą myśliwską namiętność.

– Tem się tylko pocieszam, – odrzekł kapitan Hod – inaczej trzeba by nasze kule przetopić na drobny oerut.

Dzień 3-go czerwca był nadzwyczaj skwarny; gdyby nie wielkie drzewa, ocieniające drogę, byłibyśmy się chyba literalnie popiekli w naszym ruchomym domu. Termometr wskazywał 48 stopni w cieniu, nie zawiewał nawet najmniejszy wietrzyk. Może to palące powietrze było powodem, że dzikie zwierzęta nie porzuciły swoich nor nawet i w nocy.

Nazajutrz już ze wschodem słońca, horyzont był od strony wschodniej nieco zachmurzony. Przedstawiał nam wtedy przepyszny widok zjawiska mirażu, które w jednych częściach Indji nazywają „seekote”, czyli zamki powietrzne, w innych znowu „dessasur”, czyli złudzenia wzrokowe.

Nie pokazała nam się, jak to najczęściej bywa, złudna powierzchnia wody z odbiciami w jej prześrodkach przedmiotami, ale całe sąsiedztwo niewielkich wzgórz, na których wznosiły się najfantastyczniejsze pałace i zamki, na podobieństwo starożytnych schronień burgrafów, na krańcach doliny Renu.

W jednej chwili zostaliśmy przeniesieni w romańskie okolice starej Europy, ale o pięć lub sześć wieków w tył, w przeszłość średniowiecza.

Zjawisko mirażu przedstawiało się tak wyraźnie że można było uwierzyć w jego rzeczywistość. Toteż stalowy nasz olbrzym z całym przyrządem tegoczesnej techniki, pędził ku jakiemuś grodowi

XI. stulecia, wydawa³ mi siê daleko niew³acniejszym, ni³ gdy otoczony k³êbami pary, przebiega³ krainy Wisznu i Brahmy.

– Stokrotne dziêki, wspania³a przyrôdo! – zawo³a³ Hod, – przecie³ po tylu minaretach, meczetach, pagodach, kopu³ach, raczy³acê okazaæ nam jakie³ stary gród z czasów feudalnych, roztaczaj¹c przed naszymi oczyma romañskie i gotyckie cuda!

– Jaki³ poetycki zapa³ ogarn¹³ przyjaciela Hoda! – zawo³a³ Banks, – czy nie po³kn¹³ on jakiej ballady przed cenianiem!

– Ćmie³ siê i szyd³ sobie kolego Banksie, ale patrz! Oto przedmioty na pierwszym planie zwiêkszaj¹ siê! krzaki zmieniaj¹ siê w drzewa, pagórki w góry.

– A gdyby tu by³y koty, zmieni³yby siê w tygrysy, wszak tak kapitanie?

– Ach jakby to by³o dobrze, kochany Banksie! – zawo³a³ kapitan. – Ale otó³ moje przeceliczne nadreñskie pa³ace rozwiewaj¹ siê, nastaje rzeczywistoœæ, prosty krajobraz królestwa Audh, w którym nawet dzikie zwierzêta nie chc¹ mieszkaæ!

S³oñce ukazuj¹c siê od wschodniej strony horyzontu, zmieni³o za³amywanie siê œwiat³a. Wzgórza i wznosz¹ce siê na nich zamki i miasta rozwia³y siê jak pa³ace z kart za dmuchniêciem, przekszta³caj¹c siê w p³aszczyznê.

– Poniewa³ zjawisko znik³o ju³, unosz¹c za sob¹ poetyck¹ werwê kapitana Hod, czy chcecie przyjaciele moi, wiedzieæ co ono zapowiada? – rzek³ Banks.

– Prosimy, kochany in³ynierze, – zawo³a³ kapitan Hod.

– Oto bardzo blisk¹ zmianê temperatury. S¹ to pierwsze dniê czerwca, w których zawsze w tych stronach nastêpuj¹ zmiany klimatyczne, a z nimi perjodyczne deszcze.

– Kochany in³ynierze, w naszym domu jesteœmy dobrze schronieni, czy³ nie prawda? a zatem nie bojê siê choæby potopowego deszczu; wola³bym go nawet, ni³ te upa³y...

– W takim razie bêdziesz zadowolony, deszczu tylko co nie widaæ, ju³ pierwsze chmury zaczynaj¹ siê zbieraæ w po³udniowo-zachodniej stronie.

Banks nie myli³ siê, nad wieczorem mg³y nagromadzi³y siê w zachodniej stronie horyzontu, co wskazywa³o, ³e musson w nocy zmieni swój kierunek. To Ocean Indyjski przesy³a³ tak przez ca³y pó³wysep swoje gête mg³y nasycone elektrycznoœci¹, niby owe puszki boga wiatrów Eola, w których trzyma³ zamkniête wichry i burze.

Tego³ dnia pojawia³y siê inne jeszcze zjawiska, dobrze zrozumia³e dla ka³dego Anglo-Hindusa. Tumany nader zbitego kurzu k³êbi³y siê na drodze podczas biegu poci¹gu; wprowadzie sam obrót kó³ wagonów i motoru mó³ spowodowaæ podobne wzbijanie siê kurzu, ale nie by³by on tak gête i tak zbity. Zdawa³o siê, ³e jest to coœe jakby tumany delikatnego pierza, tañcz¹cego ko³o wprawionej w ruch maszyny elektryzuj¹cej; grunt zaœ mo³naby porównaæ z ogromnym zbiornikiem, w którym od

d³u¿szego czasu nagromadzi³a siê elektrycznoœæ. Prócz tego, kurz ten przybiera³ ¿ó³tawe odb³yski, a w ka¿dym najdrobniejszym py³ku jace³ maleñki œwietlany punkcik. Zdawa³o siê chwilami, ¿e nasz ca³y poci¹g przesuwa siê wœród p³omieni – które przecie¿ nie parzy³y, i ani kolorem ani ¿ywoœci¹ nie przypominaj³y znanych ogników œw. Elma. Storr opowiada³ nam, ¿e widzia³ niejednokrotnie poci¹gi, przebiegaj¹ce miêdzy takimi podwójnymi murami œwietlanego py³u, co Banks potwierdzi³. Podczas nastêpnego kwadransu mog³em dok³adnie obserwowaæ to dziwne zjawisko przyrody przez okna naszej wie¿yczki, sk¹d mog³em widzieæ drogê na odleg³oœæ 5–6 kilometrów. Bezdrzewna droga by³a zakurzona i œwietlona jaskrawo prostopad³ymi promieniami s³oñca. Teraz zdawa³o mi siê, ¿e gor¹co atmosfery jest wiêksze jak ¿ar, buchaj¹cy z naszego ogniska maszynowego; w ka¿dym razie by³o ono nie do zniesienia i nawp³ó³ uduszony uciek³em pod nasz¹ dobroczyn¹ punkê.

Oko³o siódmej wieczorem nasz Steam-House zatrzyma³ siê na kraju wspania³ego lasu banianowego, który zdawa³ siê ci¹gn¹æ w nieskoñczonoœæ ku pó³nocy. Œrodkiem ci¹gnê³a siê wielka szeroka droga, obiecuj¹ca nam nazajutrz ³atw¹ i mi³¹ drogê pod piêknym zielonym sklepieniem.

Baniany, te olbrzymy flory indyjskiej, s¹ to prawdziwi praojcie rodziny roœlinnej, pradziadowie otoczeni dzieæmi i wnukami, które wychodz¹c od g³ównego korzenia rosn¹ prosto woko³o g³ównego pnia, choæ oddzielone zupe³nie, i niki¹ w górze wœród rozros³ych ga³êzi rodzica. Wygl¹daj¹ jakby wylêg³e pod tem gêstem liœciem pisklêta pod opiekuñczym skrzyd³em matki. Z tego powodu te kilkunastokrotne lasy przedstawiaj¹ nader ciekawy widok. Stare drzewa wygl¹daj¹ jakby odosobnione filary, podtrzymuj¹ce olbrzymie sklepienie, którego delikatne ¿y³ki i ga³¹zki wspieraj¹ siê znowu na m³odych banianach, które znowu z kolei zamieni¹ siê z czasem w filary.

Tego wieczora przygotowaliœmy siê do d³u¿szego wypoczynku, gdy¿ je¿eliby dzieñ nastêpny by³ tak gor¹cy jak dzisiejszy, Banks zamierza³ obozowaæ w lesie i dopiero z nadziej¹ nocy puœciæ siê w dalsz¹ podró¿.

Pu³kownik Munro zgadza³ siê chêtnie na spêdzenie kilkunastu godzin w tym piêknym i cieniowym lesie, gdzie panowa³a cisza i spokój. Wszyscy radzi byli temu wypoczynkowi, jedni, bo byli rzeczywicie zmêczeni, drudzy, bo pragnêli spotkaæ ju¿ raz jakiegoœ zwierz¹ godnego strza³u. Łatwo odgadn¹æ, którzy to byli ci ostatni.

„Fox, Goumi, – wo³a³ kapitan Hod, – dopiero siódma godzina, zrobmy ma³¹ wycieczkê na polowanie, nim noc zapadnie. – Mo¿e pójdziesz z nami, panie Maucler?”

– Kochany kapitanie, – rzek³ Banks, zanim zdo³a³em odpowiedzieæ, – czy nie lepiej zrobi³byœ gdybyœ nie oddala³ siê od obozowiska. Niebo jest bardzo groŸne, a je¿eli burza wybuchnie, trudno ci bêdzie nas znaleœæ; móg³byœ zab³¹ziaæ. Lepiejby mo¿e jutro...

– Tak jutro w bia³y dzieñ, – zawo³a³ kapitan Hod, – a teraz w³acenie czas najlepiej sprzyja na podobne wyprawy.

– Wiem to kapitanie, ale nadchodz¹ca noc wcale nie jest bezpieczna. W ka¿dym razie nie oddalaj siê zbyt daleko od nas, za godzinê zapadnie zapewne czarna noc a móg³byœ nie trafiæ do obozowiska.

- B¹d^Ÿ spokojny, dopiero siódma godzina, wróć^ê najdalej za dwie godziny.
- Id^Ÿ więc kapitanie, – rzek³ pu³kownik, ale nie zapominaj o przestrożach Banksa.
- Dobrze pu³kownik!

Tak więc kapitan Hod, Fox i Goumi wyszli uzbrojeni w wyborne dubeltówki i znikli wkrótce w cieniu przydrożnych banianów. Ja zaś tak by³em zmęczone ca³odziennym upa³em, że wola³em pozostać w Steam-House.

Z rozkazu Banksa nie zgaszono zupełnie ognia, tylko posunięto go w g³¹b ogniska, aby zachować w kotle ciśnienie jednej lub dwóch atmosfer, a to dlatego, aby być przygotowanym na wszelki wypadek.

Storr i Kalut zajęli się przygotowaniem zapasu paliwa, strumień p³yn¹cy z lewej strony drogi dostarczy³ im wody, a pobliskie drzewa opa³u na tender. Pan Parazard sprz¹ta³ resztki ze sto³u i rozmyśla³ nad urz¹dzeniem jutrzejszego obiadu.

By³o jeszcze dość jasno; pu³kownik Munro, Banks, sierżant Mac-Neil i ja poszliśmy wypocząć nad brzegiem strumienia, pr¹d wody orze^Ÿwia³ nadzwyczaj duszne powietrze. S³ońce nie zas³o jeszcze; blask jego dziwnym odbiciem zabarwia³ b³êkitnawo ca³e masy mg³y gromadzącej się stopniowo pod zenitem; o ile można by³o dojrzeć przez liście, by³y to chmury cię¹kie, grube, gęste, jakby kryjące w sobie samych jak¹o³ si³ê poruszają¹c¹, gdy¹ żaden wiatr ich nie porusza³.

Gawędziliśmy przesz³o do ósmej; od czasu do czasu Banks wstawa³ i rozgl¹da³ się po obszerniejszym widnokręgu, podchodzi¹c aż na skraj lasu; wracaj¹c niespokojnie kręci³ g³ow¹. Raz poszliśmy za nim; zaczyna³o już ociemniać się pod sklepieniem banianów. Stan¹wszy przy brzegu lasu, ujrza³em niezmiern¹ równin^ê, ci¹gn¹c¹ się ku zachodowi, aż do szeregu s³abo rysuj¹cych się w oddali wzgórz, jakby s¹cz¹ych się z chmurami.

Obraz nieba przeraża³ strasznym jakimś spokojem. Najlżejszy powiew nie porusza³ liści drzew; nie by³ to ów spokój uspionej przyrody, tak uroczo opiewany przez poetów, ale jakieś cię¹ki, chorobliwy sen. Zdawa³o się że jakieś utajone natężenie kryje się w powietrzu, daj¹ce się porównać do parowej skrzynki kot³a, w której gdy para jest zanadto ościeniona, gotuje się wybuch.

Jako¹ wybuch ten nast¹pi³ niebawem.

Chmury zwiastuj¹ce burzę by³y bardzo wzniesione nad sob¹, jak to zwykle bywa nad równinami i przedstawia³y grube, krzywymi liniami ostro zarysowane kontury; zdawa³y się nadymać, zmniejszać liczb¹ a wzrastać w objętość. Niezad³ugo wszystkie zlej¹ się w jedn¹ masę, która jeszcze stanie grubsza i gęściejsza! Już ma³e chmurki przyci¹gane zlewa³y się jedna z drug¹ i tonę³y w ogólnej jednej masie.

Oko³o w p³ do dziesiątej zygzakowata b³yskawica o bardzo ostrych k¹tach przedar³a czarn¹ chmurę na d³ugość 2.500 do 3.000 metrów a w sześćdziesiąt piąt¹ sekund później rozleg³ się d³ugi przeci¹g³y huk grzmotu, w³oeciwy tego rodzaju b³yskawicom i trwaj¹cy oko³o piętnaście sekund.

– Dwadzieścia jeden kilometrów, – rzek³ Banks, popatrzysz na zegarek, – jest to prawie maximum odleg³oœci, z jakiej grzmot dos³yszeæ mo¿na. Ale nie opañniajmy siê z powrotem; burza ju¿ wybuch³a a niebawem i tu nadejdzie.

– A kapitan Hod? – rzek³ Mac Neil

– Grzmot nakazuje mu wracaæ, – odpowiedzia³ in¿ynier, – spodziewam siê, ¿e us³ucha.

W piêæ minut póŹniej bylicemy ju¿ w Steam-House i zajêlicemy miejsca na werandzie przed salonem.

Rozdzia³ XII

WÇERÓD FALI OGNI.

Indje, tak jak pewna czêœæ Brazylji, szczególnie Rio-Janeiro, s¹ ze wszystkich na œwiecie krajów, najwiêcej wystawione na gwa³towne burze. We Francji, w Anglji, w Niemczech, w ca³ej tej czêœci œrodkowej Europy obliczaj¹ przeciêtnie w przeci¹gu roku dwadzieœcia dni, w których daje siê s³yszeæ huk piorunów, na pó³wyspie Indyjskim zaœ licz¹ ich przesz³o piêædziesi¹t w roku.

Tak siê rzecz ma w ogólnoœci dzisiaj, jednak z powodu towarzyszc¹cych grzmotowi okolicznoœci, nale¿a³o siê spodziewaæ bardzo gwa³townej burzy.

Powróciwszy do Steam-House, spojrz³em na barometr; s³upek rtêci obni¿y³ siê nagle o dwa cale; z dwudziestu dziewiêciu spad³ na dwadzieœcia siedm (750 mm). Zwróci³em na to uwagê pu³kownika.

– Niepokoi mnie nieobecnoœæ kapitana i jego towarzyszy – rzek³ mi; burza grozi wybuchem, noc zapada, ciemnoœæ siê zwiêksza. Myœliwi zapêdzaj¹ siê zwykle dalej ni¿ obiecuj¹, a nawet dalej ni¿by chcieli – jak tu trafiæ wçeród takiej ciemnoœci.

– Szaleñcy! – zawo³a³ Banks – nie chcieli us³uchaæ g³osu rozs¹dku... Czy¿ nie lepiej zrobiliby, nie oddalaj¹c siê od nas?

– Zapewne – odrzek³ pu³kownik, ale sta³o siê – teraz trzeba zrobiaæ, co siê tylko da, aby mogli powróciæ.

– Czy nie ma sposobu wskazaæ im sygna³em gdzie jesteœmy? – zapyta³em.

– Owszem – odrzek³ Banks; mo¿na zapaliæ nasze latarnie elektryczne, rzucaj¹ce nadzwyczaj silne œwiat³o, które jest widoczne z wielkiej odleg³oœci. – Zajmê siê tem niezw³ocznie.

– Wyborna myœl – kochany in¿ynierze – zawo³a³em.

– Mo¿e pan pu³kownik ka¿e – to pójdê poszukaæ kapitana Hod? – rzek³ Mac-Neil.

– Nie mój stary, zostań, jego być nie znalazł, i sam zab³dzi³być niezawodnie – odrzek³ pu³kownik.

Banks zaj¹³ się nastawieniem przyrz¹du elektrycznego, i wkrótce dwoje oczu Stalowego Olbrzyma zająca³o jakby latarnie elektryczne, rzucaj¹c wi¹zki o³wiat³a wpo³śród rozga³ęzionych banianów. Nie ulega w¹żliwo³eci, że jasny ten blask musia³ rozchodzić się daleko i móg³ stać się gwiazd¹ przewodni¹ dla naszych my³liwych.

W tejże chwili zerwa³a się gwa³towna burza. Huragan rozdziera³ szczyty drzew, pochyla³ m³ode baniany ku ziemi, gwi¹d¹c w³śród s³upów banianowych jak gdyby przesuw³a się przez piszcz³ki organów.

Wszystko to by³o straszliwie gwa³towne. Grad po³amanych ga³ęzi i deszcz suchych li³eci zasyp³a drogę i dach naszego Steam-House, który pod temi pociskami wydawa³ jakiego³ g³uchy, ponury odg³os. Musielicemy się schronić do salonu i pozamykać wszystkie okna. Deszcz nie pada³ jeszcze.

– Jest to rodzaj „tofanu” – rzek³ Banks. Hindusi nazywaj¹ „tofanami” nag³e i gwa³towne uragany – pustoszc¹ce szczególnie okolice górzyste; s¹ one postrachem mieszkańców.

Storr – zawo³a³ Banks, czy pozamyka³ecie starannie otwory w wierzy?

– Tak panie in¹żynierze, z tej strony nie ma się czego obawiać.

– Gdzie jest Kalut?

– Uk³ada paliwo w tenderze.

– Jutro z³atwo³eci¹ będziemy mogli się zaopatrzyć w drzewo, zbieraj¹c tylko le¹ce doko³a ga³ęzie; wichur oszczędza nam roboty.

– Kalut – czy masz dostateczny zapas wody?

– Tak panie – nie potrzebujemy obawiać się jej braku.

– Dobrze – wracaj co prędzej!

Maszynista i palacz zajęli swoje miejsca w drugim wagonie.

B³yskawice ukazywa³y się jedna za drug¹, g³uche grzmoty rozlega³y się nieustannie. Tofan nic uie och³odzi³ powietrza, by³ to wichur gor¹cy, dusz¹cy, który piek³ jak p³omień buchaj¹cy z ogniska.

Sir Edward Munro, Banks, Mac-Neil i ja raz po raz wychodziliemy z salonu na werandę; wysokie ga³ęzie banianów wydawa³y się jakby czarna koronka rozpostarta na rozp³omienionem niebie. Po ka¹dej b³yskawicy w kilka sekund dawa³ się s³yszeć huk grzmotu; jeszcze jeden nie ucich³, a już zaczyna³ się rozlegać drugi.

– Dziwna rzecz, że nie wracaj¹ pomimo takiej burzy – rzek³ pu³kownik Munro.

– Może kapitan i jego towarzysze znaleźli schronienie w jakiej grocie lub w wypróchnia³em drzewie i dopiero nad ranem powróc¹, rzek³ sierżant. Banks przeczo wstrz¹sn¹³ g³ow¹, nie zdawa³ siê dzieliæ przypuszczeñ Mac-Neila. By³o ju¿ ko³o dziewi¹tej; deszcz ulewny pocz¹³ laæ w po³¹czeniu z wielkim gradem, odbijaj¹cym siê od³osem o pokrycie naszego Steam-House jakby g³oœne bicie b³bna. Niepodobna by³o s³yszeæ w³asnego s³owa, choæ grzmoty nie hucza³y w przestrzeni. Posiekane gradem liœcie banianów rozlatywa³y siê w powietrzu na wszystkie strony.

Nie mog¹c daæ siê s³yszeæ, Banks wskaza³ nam rêk¹ grad uderzaj¹cy o grzbiet naszego s³onia. Za ka¿dem uderzeniem dawa³ siê widzieæ b³ysk; zdawa³o siê, ¿e to krople roztopionego metalu spada³y z nieba i uderzaj¹c o metal wydawa³y œwietlane blaski. Zjawisko to dowodzi³o, do jakiego stopnia atmosfera przesycona by³a elektrycznoœci¹; ca³a przestrzeñ przedstawia³a siê jakby w ogniu.

Banks skin¹³ na nas, abyœmy wrócili do salonu i zamkn¹³ drzwi prowadz¹ce na werandê; niebezpiecznie by³o staæ na powietrzu i wystawiaæ siê na wy³adowanie elektrycznoœci. Teraz znaleźlicemy siê w zupe³nej ciemnoœci, któr¹ jeszcze powiêksza³y ci¹g³e b³yskawice z dworu; jakie¿ by³o nasze zdziwienie, gdyœmy spostrzegli, ¿e nawet œlina nasza b³yszcza³a p³omieniem œwiat³em. Dowodzi³o to jak ogromnie bylicemy przesi¹kniêci otaczaj¹cym nas fluidem.

„Pluicemy ogniem” mo¿na powiedzieæ, u¿ywaj¹c wyra¿enia, jakim okreœlaj¹ to rzadko pojawiaj¹ce siê ale zawsze przera¿aj¹ce zjawisko. Wœród takiego ogólnego palenia, gdy ogieñ jest wewn¹trz, ogieñ zewn¹trz i s³yszy siê te nieustanne grzmoty i uderzenia piorunów, najodwa¿niejsze serce musi biæ silniej.

– Ach, a oni! gdzie oni? – wo³a³ pu³kownik Munro.

– Tak, gdzie oni!... – rzek³ Banks.

– Strasznie nas to niepokoi³o, niemogliœmy nic uczyniæ na ratunek kapitana i jego towarzyszy, którym tak straszne grozi³o niebezpieczeñstwo.

Je¿eli mogli znaleœæ jakie schronienie, to tylko pod drzewami, a wiadomo jakie to niebezpieczne schronienie podczas burzy. Wœród tak gêstego lasu jak¿e¿ mogli siê trzymaæ w oddaleniu o piêæ lub szeœæ metrów od drzew, jakto zalecaj¹ osobom zaskoczonym burz¹ w lesie.

W³acenie myœl¹³em o tem, gdy nagle rozleg³ siê gwa³towniejszy jeszcze huk piorunu, nastêpuj¹cy w jakie pó³ minuty po b³yœniêciu.

Steam-House zadrga³ gwa³townie i zdawa³o siê, ¿e uniós³ siê w górê. S¹dzi³em, ¿e siê przewróci.

Jednoczeœnie rozszed³ siê w przestrzeni przenikaj¹cy odór saletrowych wyziewów i najniezawodniej woda zbierana podczas tej nawałnicy, zawiera³aby w sobie znacz¹ iloœæ kwasu saletrowego.

– „Piorun uderzy³!” – rzek³ Mac-Neil.

– Storr! Kalut i Parazard! – krzykn¹³ Banks.

Wszyscy trzej wbiegli do salonu; szczęściem cali i zdrowi.

Inżynier otworzył prędko drzwi prowadzące na werandę i wybiegł na nią.

„Patrzcie!... tam!” – wołał.

O jakie dziesięć kroków leżał zdruzgotany ogromny banian. Przy blasku elektrycznego światła było jasno jak w dzień. Ogromny roztrzaskany pień padł na inne drzewa, odarty działaniem gwałtownego uderzenia piorunu z góry na dół czyściuteńko z kory, która porwana trębła, jak wlewiła się w powietrze.

– O maty wos piorun nie ugodzi w nasz Steam-House! – zawołał Banks. Zawsze jednak pewniejsze w nim schronienie jak pod drzewami.

W tym jakiego krzyki dały się słyszeć; czyżby nasi towarzysze wracali nareszcie?

– „To głos Parazarda” – rzekł Storr.

Jakoż rzeczywiście, kucharz, który stał pod werandą ostatniego wozu, przywoływał nas na gwałt.

Poszliśmy tam niezwłocznie.

O jakie sto metrów w tył na prawo od naszego obozowiska, las banianowy stał w ogniu. Promień ogarniał najwyższe szczyty drzew; pożar szerzył się gwałtownie, zbliżając się co raz więcej do nas.

Niebezpieczeństwo było bliskie i groźne. Długa posucha i wysoka temperatura trwająca przez trzy gorące miesiące, wysuszyły drzewa, krzaki, trawy, i te stały się przez to nadzwyczaj łatwo zapalne; w takich warunkach w Indiach pożar często ogarnia i pochłania całe lasy.

Pożar szerzył się gwałtownie; gdyby dosięgnął naszego obozowiska, oba wagony spłonęłyby w kilka minut, gdyż ich cienkie ściany nie zdążyłyby oprzeć się promieniom, jak ściany kas ogniotrwałych, pokryte grubą żelazną blachą.

Staliśmy wszyscy wobec tego niebezpieczeństwa. Pułkownik rzekł spokojnie:

– Twoja to rzecz – kochany Banksie – myśleć o naszym ocaleniu!

– Tak pułkowniku – ale niema innej rady; nie możemy stłumić pożaru, musimy od niego uciekać.

– Czy piechot? – zapytał.

– Nie wcale – naszym pociągami.

– A kapitan Hod i jego towarzysze? – zapytał Mac-Neil.

Nic nie możemy uczynić dla nich – rzekł Banks; jeżeli nie wróc przed naszym odjazdem, wyruszymy bez nich!

– Nie możemy ich tak opuścić – rzekł pułkownik.

– Kochany pułkowniku, musimy jechać, żeby uratować pociąg, gdy ten stanie w bezpiecznym miejscu, powrócimy i cały las przeszukamy, byle ich tylko znaleźć.

– Rób jak chcesz, Banksie, – rzekł pułkownik, widząc, że rzeczywiście niema innej rady.

– Storr! – zawołał Banks, – wracaj do maszyny, a ty Kalucie do kotła i wzmocnij ogień!

– Jakie ciśnienie?

– Dwóch atmosfer, – odrzekł mechanik.

– W przeciwnym razie dziesięciu sekund trzeba je podnieść do czterech! Idźcie, idźcie co prędzej! Maszynista i palacz nie tracili chwili czasu. Wkrótce kłęby czarnego dymu buchały z trzema słońcami, mieszały się z potokami deszczu, z którego olbrzym nasz zdawał się sobie uładować. Błyskawicom, które przerywały przestrzeń, odpowiedziały kłębami iskier: para syczała głośno, nie lękając się burzy.

Sir Edward Munro, Banks i ja pozostaliśmy na tylnej werandzie, śledząc postęp leżącego pożaru, który był gwałtowny i przerażający. Płomień się rozciągał od pnia do pnia, a ogień dochodził po nich coraz do dalszych pni. W przeciwnym razie pięciu minut pożar przesunął się o 50 metrów dalej, a rozszalałe burzliwe miotane promienie wznosiły się tak wysoko, że na wszystkie strony krzyżowały się z błyskawicami.

– Za pięć minut musimy ruszyć stąd, gdyż inaczej pożar wszystko pochłonie – rzekł Banks.

– Pożar ten posuwa się szalenie szybko, – rzekł em.

– My jeszcze prędzej popędzimy jak on!

– A! gdyby tylko Hod i jego towarzysze byli z nami! – rzekł pułkownik.

– Ach! prawda! gwizdawki, gwizdawki co prędzej! – wołał Banks, – może ów wist jej posłysz!

I pobiegłszy do wierzycki zagwizdał tak gwałtownie, a ów wisty te tak ostremi, przenikającymi tonami napełniały powietrze, że odbijały one wyraźnie nawet od huków grzmotów i mogły być daleko słyszane.

Można sobie wyobrazić, lecz trudno opisać nasze położenie.

Z jednej strony konieczność jak najprędzej ucieczki, z drugiej strony obowiązek czekania na nieobecnych towarzyszy.

Banks powrócił na tylną werandę. Pożar był już tylko o jakie 50 stóp od Steam-House. Bar ognia był już prawie nie do wytrzymania, a powietrze tak palące, że lada chwila nie będzie można niem oddychać. Iskry i oderwane kawałki pionowego drzewa padały już aż na nasz pociąg; szczęściem, że

gwa³towna ulewa chroni³a go czêœciowo, ale i ona nicby nie pomog³a, gdyby poŹar bardziej siê jeszcze zbliŹy³.

Maszyna nie przestawa³a ostrym gwizdem przerzynaæ powietrze, jednak ani Hod, ani Fox, ani Goumi nie wracali. Wtem maszynista zbliŹy³ siê do Banksa.

– Lokomotywa w porz¹dku, – rzek³.

– A wiêc w drogê! – zawo³a³ Banks, – tylko nie jedŸmy za prêdki, lecz tylko tak, aby ogieñ nie móg³ nas dosiêgn¹æ.

– Ach czekaj jeszcze! czekaj Banksie, – rzek³ pu³kownik, który nie móg³ zdecydowaæ siê na to, aby opuœciæ obozowisko przed powrotem towarzyszy.

– Jeszcze trzy minuty pu³kownika, – odpowiedzia³ zimno Banks, – ale ani chwili d³uŹej! za trzy minuty poŹar ogarnie ty³ poci¹gu!

Up³ynê³y dwie minuty. Niepodobna juŹ by³o ustaæ na werandzie ani rêk¹ dotkn¹æ rozpalonych blach, które od gor¹ca poczyna³y siê kurczyæ. Staæ d³uŹej jeszcze by³oby juŹ szaleñstwem.

– W drogê Storr! – krzykn¹³ Banks.

– Ach! – krzykn¹³ sierŹant.

– OtóŹ i oni! – zawo³a³em uradowany.

Z prawej strony drogi ukazali siê: kapitan Hod i Fox, nieœli oni Goumiego jakby jakieœ nieruchome cia³o i zatrzymali siê przed tylnym wejœciem do poci¹gu.

– Nie Źyje! – zawo³a³ Banks

– Ÿyje, tylko piorun uderzy³ i zdruzgota³ jego karabin, – odrzek³ kapitan – i ma sparaliŹowan¹ lew¹ nogê.

– Dziêki Bogu, – rzek³ pu³kownik Munro.

– Banksie dziêkujê ci, gdyby nie twoje gwizdanie, bylibyœmy nie znaleŸli nigdy naszego obozowiska.

– W drogê! – wo³a³ Banks, – w drogê.

Hod i Fox wskoczyli spiesznie do poci¹gu, a Goumiego, który wcale nie straci³ przytomnoœci, z³oŹylicemy w jego izdebce.

– Jakie jest ciœnienie? – zapyta³ Banks mechanika.

– Prawie piêciu atmosfer, – odpowiedzia³.

– W drogê! – powtórzy³ Banks.

By³o pó³ do jedenastej; Banks i Storr poszli do wierzyczki. Otworzono regulator, para rzuci³a siê do cylindrów i poci¹g zacz¹³ posuwaa³ siê poma³u przy potrójnem oœwietleniu, pochodz¹cem od poŹaru lasu, naszych latarñ elektrycznych i b³yskawic.

W krótkich s³owach opowiedzia³ nam kapitan dzieje ich wycieczki. Nie napotkali Źadnej zwierzyny: wraz ze zbliŹaj¹c¹ siê burz¹ ciemnoœæ zaskoczy³a ich nadzwyczaj nagle, a gdy us³yszeli pierwszy grzmot, znajdowali siê wtedy przesz³o o trzy mile od obozowiska. Chcieli wracaæ, lecz zb³dzili poœród grup banianów, które wszystkie tak do siebie podobne, a nie by³o nigdzie Źadnej œcieŹki, któraby wskazywa³a im drogê.

Wkrótce rozszala³a siê gwa³towna burza; byli tak daleko, Źe œwiat³o elektryczne nie dochodzi³o do nich, nie mogli wiêc kierowaæ siê pod³ug niego. La³ ulewny deszcz pomiêszany z gradem, przed którym nie mieli gdzie siê schroniaæ.

Wtem nagle huk grzmoty rozleg³ siê przy wielkiem rozœwietleniu, grom uderzy³. Goumi pad³ ko³o kapitana u nóg Foxa. Z dubeltówki jego pozosta³a tylko sama kolba, a wszystkie najdrobniejsze cz¹stki metalu zosta³y z niej oddarte.

Towarzysze byli pewni, Źe straci³ Źycie. Szczêœciem tak nie by³o, lewa noga zosta³a tylko ubezw³adniona, choæ nietkniêta wprost piorunem; nie móg³ post¹piæ kroku, trzeba go by³o nieœæ. Prosi³ towarzyszy, aby ratowali siê sami, a jego zostawili i póŹniej pomyœleli o zabraniu go do Steam-House, ale nie chcieli na to siê zgodziaæ. Wziêli go tedy jeden za nogi, drugi za ramiona i tak dalej ruszyli w ciemny las. Dwie godziny b³dzili po lesie, nie wiedz¹c, w któr¹ udaæ siê stronê, a Ź przeraŹliwy œwist lokomotywy wskaza³ im kierunek ku Steam-House, i w kwadrans potem przybyli wszyscy trzej w³acenie w chwili, gdyœmy mieli ruszyæ z miejsca. A by³ to juŹ najwyŹszy czas.

Poci¹g nasz bieg³ spiesznie, ale i poŹar przysuwa³ siê gwa³townie, a na domiar niebezpieczeñstwa wiatr zmieni³ kierunek. Zamiast jak dot¹d z boku, d¹³ teraz z ty³u i rozdmuchiwa³ jeszcze poŹar, który rozszerza³ siê z kaŹd¹ chwil¹. Pal¹ce siê ga³êzie i iskry pada³y wœród tumanów gor¹cego popio³u podnosz¹cego siê od ziemi, jak gdyby niewidzialny krater wyrzuca³ je w powietrze. PoŹar moŹnaby istotnie porównaa³ do szybko p³yn¹cego strumienia lawy, niszc¹cego co tylko spotka na swej drodze.

Zaczêlicœmy tedy przyspieszaæ, choæ by³o niebezpieczne na tej nieznaney drodze, która zalana deszczem i tak by³a popsut¹, Źe maszyna tylko z wielk¹ trudnoœci¹ mog³a siê posuwaa³.

O pó³ do dwunasej rozleg³ siê znowu straszny huk grzmotów. Piorun udêrzy³! Wszyscyœmy wykrzyknêli, bo zdawa³o siê nam, Źe Banks i Storr, kieruj¹cy biegiem poci¹gu z kopu³y, zostali poraŹeni. Dziêki niebu omyliliœmy siê, piorun uderzy³ w ucho naszego s³onia, szczêœciem, Źe maszyna wcale nie by³a uszkodzon¹. Nasz stalowy olbrzym jakby chocia³ odpowiedziaæ na ten pocisk, zarycza³ g³œœniej i zacz¹³ spieszniej biec.

– Vivat! vivat! – zawo³a³ kapitan Hod; – Źywy s³oñ by³by pad³ bez Źycia, a ty stalowy olbrzymie drwiesz sobie z burzy i piorunu i nawet zatrzymaæ siê nie raczysz. Vivat, vivat!

Boj¹c siê napotkaæ na jakieœ silne przeszkody na drodze, Banks pospiesza³ tylko o tyle, aby nas ogieñ nie dosiêgn¹³. Z werandy na której siedzieliœmy, mo¿na by³o widzieæ wielkie przesuwa¹c siê cienie wœród blasku ognia i b³yskawic. By³y to dzikie zwierzêta.

Przezorny kapitan pochwyci³ za broñ, w przewidywaniu, ¿e mo¿e jakieœ zwierz rzuci siê na poci¹g, szukaj¹c w nim schronienia.

Jako¿ rzeczywicie próbowa³ tego ogromny tygrys, ale chc¹c skoczyæ, wpad³ miêdzy dwie wielkie odroœce banianów w chwili, gdy w³acenie g³ówne drzewo padaj¹c, tak je silnie œcisnê³o, ¿e tygrys siê udusi³.

– Biedny tygrys – zawo³a³ Fox.

– O tak, bardzo biedny, on powinien by³ zgin¹æ szlachetnie od kuli – rzek³ kapitan Hod.

O pierwszej rano niebezpieczeñstwo i tak ju¿ wielkie, sta³o siê jeszcze gro¿niejszym.

Pod dzia³aniem wichru po¿ar rozszerza³ siê po obu stronach drogi, musieliœmy przesuwaæ siê miêdzy dwoma ogniami, Banks przyspiesza³ bieg maszyny. Biegliœmy z prêdkoœci¹ szeœciu do siedmiu mil na godzinê.

Miejscami przestrzeñ miêdzy dwoma ogniami by³a tak w¹ska, i¿ tu¿, tu¿ ko³o nich trzeba by³o siê przesuwaæ. Ko³a skrzypia³y przera¿liwie, sun¹c siê po rozpalonych wêglach zalegaj¹cych ziemiê... przejechaliœmy przecie¿! O drugiej rano burza siê zmniejszy³a, ale las pali³ siê ci¹gle za nami. Po¿ar nie mia³ ustaaæ dopóki nie poch³on¹³ ostatniego baniana.

Gdy nasta³ dzieñ, mogliœmy siê zatrzymaæ dla wytchnienia po tylu wstrz¹saj¹cych wra¿eniach; burza ucich³a zupe³nie. Banks obejrza³ starannie naszego s³onia, ale oprócz kilku przedziurawieñ wielkiego swego ucha nie dozna³ ¿adnych uszkodzeñ.

Któ¿ nie wie, ¿e podobne uderzenie piorunu by³oby zabi³o na miejscu ka¿de ¿yj¹ce zwierzê, a po¿ar ogarn¹³by nie mog¹cy uciekaæ poci¹g.

Po po³udniu zatrzymaliœmy siê znowu w pobli¿u Rewah.

Rozdzia³ XIII

BOHATERSKIE CZYNY KAPITANA HODA.

Pó³ dnia i nastêpuj¹c¹ noc wypoczywaliœmy spokojnie.

Teraz ju¿ nie królestwo Audh roztacza³o przed nami swe bogate równiny, Steam-House posuwa³ siê po urodzajnym jeszcze ale wyrwami pooranym gruncie Rohilkhandu, którego stolic¹ jest Bareille. Kraj ten obejmuje kwadrat, którego bok ma d³ugoœæ 150 mil i przer¹niêty jest mnóstwem dop³ywów rzeki Kogry. Tu i ówdzie wznosz¹ siê grupy okaza³ych mangowców; gête d¹ungle stopniowo ustêpuj¹

miejsca uprawie gruntów.

Tu po zdobyciu Delhi zerodkowa³o się powstanie; tu zgin¹³ jeden z najlepszych przyjació³ pu³kownika Munro.

Grunt tych okolic nadawa³ się bardzo do biegu naszego poci¹gu. Drogi by³y szerokie i równe, mieliemy po nich przebyæ kilkaset kilometrów, by dotrzeæ do pierwszych przedgórz³¹cz¹ych równinê z górami Nepalu.

Ale za to musieliemy już teraz liczyæ się z deszczami.

Musson, panuj¹cy w pierwszych miesi¹cach roku od pó³nocnego wschodu do pó³udniowego zachodu, zmienia kierunek. Czas deszczów nastaje nieco pó³niej i jest daleko gwa³towniejszy na wybrze³ach, niż w g³êbi pó³wyspu, ponieważ chmury wyczerpuj¹ się zanim dochodz¹ ærodkowych czêœci Indji. Nadto kierunek deszczów zmienia się nieco skutkiem zapy, jak¹ staj¹ się dla nich wysokie góry. Na wybrze³ach Malabaru musson rozpoczyna się w maju, zaæ w prowincjach ærodkowych i pó³nocnych daje się odczuæ dopiero w kilka tygodni pó³niej, zwykle w czerwcu.

A by³ to w³acenie czerwiec, moglibyemy wiêc przewidywaæ czekaj¹ce nas nieprzyjemnoœci.

Pocziwy nasz Gumi, tak niemile rozbrojony przez piorun, mia³ się już daleko lepiej, parali³ nogi by³ tylko chwilowy i z czasem znik³ zupe³nie. Widzia³em, że ma odt¹d sta³¹ urazê do piorunów.

Przez dzieñ 6. i 7. czerwca kapitan Hod polowa³ pomyœlnie z wespół³dzia³em Fana i Blacka. Zabi³ parê antylop, nazywanych przez krajowców „nilgaus”. S¹ to owe niebieskie wo³y hindusów, które nale³a³oby raczej nazwaæ jeleniami, gdy³ daleko podobniejsze s¹ do nich niż do rodziny boga Apisa. Zas³uguj¹ te³ raczej na nazwê szarych niż niebieskich, gdy³ barwa ich przypomina raczej szare chmury niż b³êkitne niebo. Utrzymuj¹ jednak, że niektóre z tych piêknych zwierz¹t z ma³emi ostremi i prostemi ro³kami, a pod³u³n¹ lekko zaokr¹glon¹ g³ówk¹, zmieniaj¹ barwê prawie na niebiesk¹ barwy, któr¹ przyroda zdaje się odmówi³a wszelkim czworonogom, nawet i „niebieskim lisom”, których futro jest raczej czarne.

W ka³dym razie nie by³y to jeszcze dzikie drapie³ce, o jakich marzy³ kapitan Hod i choæ „nilgaus” nie jest zajad³y, jest jednak niebezpieczny, kiedy zraniony rzuca się na myœliwego.

Pan Parazard by³ bardzo zadowolony z tego ³upu, i przyrz¹dza³ nam z zabitych dwóch nilgausów nader smaczne potrawy i pieczenie.

Posuwaliemy się coraz dalej, choæ deszcze popsuy³ drogi a b³ota i wezbrane strumienie nie pozwala³y na poœpiech, w ka³dym razie spodziewaliemy się zd¹czyæ jeszcze przed koñcem czerwca w góry, które mia³y nam s³u³yc za miejsce wypoczynku przez kilka letnich miesiêcy.

Tego³ w³acenie dnia, gdy ruszyliemy, kapitan Hod ³a³owa³ bardzo straconej sposobnoœci do strza³u, a by³o to tak:

Wzd³u³ drogi ci¹gnê³y się gête bambusowe d³ungle, jakie czêsto znajduj¹ się ko³o tych wiosek, które wydaj¹ się jakby osadzone w koszu kwiatów. Nie by³y to jeszcze owe prawdziwe d³ungle, jak

Hindusi nazywaj¹ nagie, ja³owe równiny, poprzerzynane szaremi krzakami. Przebywalioemy jeszcze kraj urodzajny i uprawne pola, na których tu i ówdzie by³y rozrzucone ³any ryżu. Olbrzym stalowy przesuwa³ się spokojnie, kierowany biegiem³¹ ręk¹ maszynisty Storra rzucaj¹c swój¹ parę, jakby piękne kity bia³ych piór, które wiatr rozwiewa³ po ga³ęziach przydrożnych bambusów.

W tem nagle jakioś zwierz wskoczy³ z zadziwiaj¹c¹ szybkości¹ na kark naszego s³onia.

– Czita! czita! – zawo³a³ mechanik.

– Na ten krzyk kapitan Hod wyskoczy³ na balkon i pochwyci³ strzelbę, która zawsze sta³a w pogotowiu.

– To czita – wo³a³ także.

– Strzelaj¹że, kapitanie – zawo³a³em.

– Mam jeszcze czas! – odrzek³, trzymaj¹c zwierza na celu.

Czita jest to rodzaj lamparta, w³oeciowego tylko Indjom; jest mniejszy od tygrysa ale prawie równie groźny z powodu swej nadzwyczajnej zwinności i si³y.

Pu³kownik Munro, Banks i ja staliemy na werandzie oczekuj¹c strza³u kapitana.

Widocznie lampart szuka³ się na widok naszego s³onia; rzuci³ się o³mią³o na niego, myś¹l¹c, że zatopi w nim swoje pazury lub zę³by, ale zamiast żywego mięsa, napotka³ stalow¹ blachę, której ugry³ć nie zdo³a³. Rozgniewany tem niepowodzeniem pochwyci³ d³ugie uszy s³onia i pewnie chcia³ już zeskoczy³, gdy w tem nas ujrza³.

Kapitan trzyma³ ci¹gle wycelowan¹ ku niemu dubeltówkę, nie spieszc¹ się z wystrza³em, jak myś¹liwy pewny, że nie chybi w danej chwili.

Zwierz rykn¹³ i wyprostowa³ się; zrozumia³ zdaje się groź¹ce niebezpieczeństwo, ale nie chcia³ widać uciekać przed niem; a może upatrywa³ stosownej chwili, aby się rzuci³ na nas.

Jakoż wdrapa³ się na g³owę s³onia, obj¹³ ³apami jego tr¹bę, s³u¹c¹ za komin, z którego bucha³y k³ęby pary.

– Strzelaj¹że kapitanie! – zawo³a³em.

– Mam jeszcze czas! – odpar³ tenże – po chwili doda³, zwracaj¹c się do mnie?

– Czy nigdy nie zabi³će czity? – Mauclerze?

– Nigdy – odrzek³em.

– A czy masz ochotę zabiać j¹?

– Nie chcia³bym pozbawiać cię tej przyjemności – kapitanie.

– Ba! nie wielki to kęs dla myśliwego! – we^Ź dubeltówkę i celuj poniżej ³opatki. Jak chybisz, to go w locie zastrzelę.

– Niech i tak będzie.

– Fox poda³ mi dubeltówkę, wycelowa³em wedle wskazówek Hoda i strzeli³em.

Lekko zraniony zwierz rzuci³ się wielkim skokiem ponad wieżyczkę mechanika, wskoczy³ na pierwszy dach Steam-House. Kapitan, choć tak znakomity strzelec, nie mia³ czasu pochwycić go w skoku.

– Foxie! Foxie! – wo³a³ kapitan i obaj wybiegli z werandy na wieżyczkę.

Czita wskoczy³a tymczasem na drugi dach i w chwili, kiedy kapitan mia³ dać ognia, lamaprt zeskoczy³ na ziemię i znik³ w zaręczach.

– Wstrzymaæ, wstrzymaæ! – wo³a³ Banks na mechanika, który w jednej chwili powstrzyma³ parę i zahamowa³ ko³a poci¹gu.

Kapitan i Fox zeskoczyli na drogę i rzucili się w g¹szcz, żeby tropić cię.

Kilka chwil minę³o. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością wystrza³u... Napró³no! Dwaj myśliwi powrócili z próżnymi rękami.

– Umkn¹³! – zawo³a³ kapitan.

– To moja! – odrzek³em – szkoda, że ty nie strzela³eś kapitanie, nie by³byeś chybi³.

– Ale i ty nie chybi³eś – tylko strza³ nie pad³ w w³ażeciwe miejsce.

Kapitanie – rzek³ Fox, nie będzie to mój trzydziesty ósmy, ani pana czterdziesty pierwszy.

– Ba – odrzek³ Hod z nieco przesadzon¹ obojętności¹, jak możesz porównywaæ cię z tygrysem. Gdyby to by³ tygrys, kochany Mauclerze, pomimo ca³ej przyja^Źni nie zdoby³bym się na tę ofiarę, aby ci ust¹piąć strza³u.

– No, chod^Źcie do sto³u, kochani przyjaciele – rzek³ pu³kownik, a dobre ceniadanie was pocieszy.

– A to tem więcej – rzek³ Mac-Neil, że to wina jedynie Foxa.

– Moja wina? – zawo³a³ zdziwiony tem oskar³eniem.

– Nie inaczej, dubeltówka, któr¹ poda³eś panu Mauclerowi, by³a nabita tylko cęrutem.

I pokaza³ drugi nabój wyjęty z dubeltówki, z której strzela³em. Rzeczywiście by³ to tylko cęrut,

jakim strzelaj¹ na kuropatwy.

– Fox! – krzykn¹³ kapitan.

– Co pan kapitan rozkaże?

– Dwa dni aresztu za karę.

– Według rozkazu, panie kapitanie.

I schyliwszy głowę poszedł do swojej izdebki z mocnym postanowieniem nie opuszczenia jej przez 48 godzin. Wstydzi się niewymownie swej pomyłki, nie cemia podnieść oczu.

Nazajutrz korzystając z wypoczynku, który wyznaczono na pół dnia, kapitan Hod, Gumi i ja poszliśmy na polowanie. Deszcz padał całe rano, ale od południa niebo się wyjaśniło i można było spodziewać się kilku godzin pogody.

Tym razem Hod nie zamierzał polować na dzikie zwierzęta, ale na dziczyznę, w celu zaopatrzenia naszej spiżarni, gdyż pan Parazard zawiadomił go, że już straszne w niej pustki i liczy na to, że „jasny pan” zechce obmyśleć środki, aby temu zaradzić.

Wskutek tego wezwania, kapitan namówił nas do udziału i wzięwszy Blaka i Fana, poszliśmy na polowanie. Przez parę godzin nie zabililiśmy niczego, wprawdzie zrywały się stada spłoszonych kuropatw i zajęcy, ale tak daleko, że pomimo dobrych chęci naszych psów, nie można było wziąć ich na cel. Dlatego kapitan był w bardzo złym humorze; na domiar złego, na tej rozległej przestrzeni, zasianej zagrodami i wioskami, nie mógł się spodziewać spotkania z jakimś dzikim zwierzem, któryby mu wynagrodził ucieczkę wczorajszego lamparta. Myślał także o tym jak minę zrobi pan Parazard, gdy nas zobaczy wracających z próżnymi torbami.

A przecież nie było to naszą winą; do godziny czwartej nie mieliśmy sposobności dania choćby jednego strzału; wiatr był nieprzyjemny, zwierzyna zrywała się zbyt daleko.

– Nie idzie nam jakoś – rzekł kapitan; wyjeżdżajcie z Kalkuty, obiecuję ci przepyszne polowania, ale wyraźnie los sprzysięgł się przeciwko nam i nie pozwala mi dotrzymać słowa.

– Nie rozpaczaj, kochany kapitanie i nie troszcz się o mnie – bo ja głównie tylko dla ciebie ubolewam nad naszym niepowodzeniem... Powetujemy je sobie w górach Nepalu.

– O tak! – odrzekł, tam na pierwszych stokach Himalajów spotkamy daleko przyjemniejsze warunki. Założę się, że nasz tak głośno syczący parłociąg i wszystkie jego przyrządy, a szczególnie ten olbrzymi słoń, daleko więcej odstraszą dzikie zwierzęta niż zwykłe pociągi i tak będzie dopóki będzie w biegu. Miejmy nadzieję, że w dniach czy w godzinach spoczynku, będziemy szczęśliwi... Ale ów lampart to istny warjat... musiał umierać z głodu, skoro się rzucił na naszego stalowego olbrzyma i godzinę był zginął od kuli... A! przeklęty Fox! nigdy mu tego nie zapomnę! Która godzina?

– Pięta dochodzi.

– Już! – i nie daliśmy jeszcze ani jednego wystrzału.

– Dopiero o siódmej mamy wracać do Steam-House; może jeszcze...

– O nie! nie mamy szczęścia – zawołał kapitan, a wiesz przecież, że przyswoje mówi: „lepszy ut szczęścia niż cetnar rozumu”.

– Ależ silna wola i wytrwałość mogli dokonać cudów – odpowiedziałem. Dajmy sobie sowo, kapitanie, że nie wrócimy z próżnymi rękami. Czy zgoda?

– Czy zgoda! – zawołał. Ciemniej temu, kto się cofnie?

– Wybornie! – odrzekłem.

– Słuchaj, Maucler, zabiję choćby wiewiórkę albo mysz leon, ale to pewne, że nie wrócę z niczem.

Kapitan Hod, Gumi i ja nie przestawaliśmy tedy uganiać się za jakimś dymem z wytrwałości godniejszej sprawy – daremnie, nie mogliśmy podejść najpospolitszego nawet ptaka; zdawało się, że zmówi się, aby uciekać przed nami. O wpół do siódmej jeszcze żaden z nas ani razu nie wystrzelił; na jednoby nam wyszło, gdybyśmy zamiast broni mieli w ręku łaski.

Spojrzałem na kapitana; szedł zacisnawszy zęby grube zmarszczki na czole pomiędzy brwiami zwiastowały tłumioną złość i niezadowolenie. Mruczał pod nosem różne orzeczenia i groźby przeciw wszelkim skrzydlatym i czworonożnym stworzeniom, za to, że ani jeden ich egzemplarz nie chciał się pokazać. Wyraźnie dubeltówka paliła mu palce; to ją zarzucał na ramię, to brał w rękę, jakby koniecznie chciał strzelić do czegoś, byle się pozbyć fatalnego naboju.

Gumi rzekł do mnie, patrz na kapitana.

– Jeżeli tak dalej będzie – kapitan pęknie ze złości.

– Mał mi go – odrzekłem – zapłaciłbym chętnie ze trzydzieści szylingów za najpospolitszego gołębia, gdyby jakąś litościwa ręka puściła go skądś kapitanowi. Uspokoiłby się przynajmniej.

Ale znajdowaliśmy się teraz na zupełnie pustej przestrzeni wśród niezmiierzonych ścianów ryżowych, nigdzie ani śladu ludzkiej istoty, więc za żadną cenę nie moglibyśmy zdobyć choćby sztuki drobiu.

Mrok zaczął zapadać; za jaką godzinę będzie tak ciemno, że niepodobna będzie zajmować się dłużej tak bezowocnym polowaniem. Chociaż więc postanowiliśmy nie wracać z próżnymi torbami, trzeba było myśleć o powrocie lub chociaż noc spędzić w dolinie, co znowu zaniepokoiłoby bardzo pułkownika i Banksa, a prócz tego zbierało się bardzo na deszcz.

Kapitan, natychmiast wzrok, spojrzał szybko na prawo i na lewo i szedł o jakie dziesięć kroków naprzód, w kierunku nie zbliżającym nas wcale do Steam-House. Chciałem przyspieszyć kroku i powiedzieć mu, że trzeba nam dać za wygraną i wracać, gdy wtem z prawej strony posłyszałem

szelest skrzyde³. Podniós³szy g³owê, ujrza³em unos¹cego siê jakiegoś wielkiego bia³ego ptaka. Zanim kapitan Hod mia³ czas odwrócić g³owê, wycelowa³em, strza³ siê rozleg³ i ciê³ki ptak spad³ tu³ przy ry³owem polu.

Fan poskoczy³, pochwyti³ ubitego ptaka i wierne psisko zaniós³o go kapitanowi.

– A przecie³!... – zawo³a³ kapitan – jeżeli pan Parazard nie bêdzie zadowolony, to niech³e siê sam w³o³y do rondelka!...

– Ale czy ptak ten nadaje siê do kuchni? – spyta³em.

– A niezawodnie, szczególnie gdy niema nic lepszego – odrzek³ kapitan.

– Wielkie to szczê³cie, panie Maucler, i³ nikt nie widzia³, że go pan zastrzeli³ – rzek³ Gumi.

– Dlaczego? – przecie³ nie dopuści³em siê żadnego karygodnego czynu.

– Tak, ale zabi³će pan pawia, a w ca³ych Indjach ptak ten jest czczony jak œwiêto³e i strzela³e do niego nie wolno.

– Pal licha wszystkie œwiête ptaki i tych co je uœwiêcaj¹! – zawo³a³ kapitan. Dla zadoœæuczynienia zjemy go z wielk¹ skruch¹ – ale i z dobrym apetytem.

Rzeczywiêcie w Indjach, w tym kraju braminów, od czasu pojawienia siê pawia, jeszcze za czasów wyprawy Aleksandra, uchodz¹ one za œwiête ptaki i s¹ otoczone jak najwiêkaz¹ czci¹.

Hindusi uczynili pawia god³em bogini Sarawasti, która opiekuje siê urodzinami i ma³żeñstwami. Niewolno strzela³e ani jakimb¹d¹ sposobem wytêpia³e tych ptaków pod nader surowymi karami, zatwierdzeniem prawem angielskim.

Przeœliczny by³ paw, z którego zabicia kapitan Hod tak siê ucieszy³; mia³ wielkie, ciemno-zielone skrzyd³a, z metalowym po³yskiem, jakby obwiedziane z³ot¹ obwód¹k¹, pyszny i wielki ogon rozk³ada³ siê jak wachlarz.

– No wracajmy! – krzykn¹³ kapitan. Jutro pan Parazard uraczy nas pawiem, na przekór wszystkim indyjskim braminom.

– Jesteœ przecie³ nareszcie zadowolony – kapitanie.

– Tak, z ciebie, ale z siebie bynajmniej. Los mi stale dzie³e nie sprzyja³... – musi siê poprawia³e na drugi raz.

Zwróciliœmy siê nareszcie ku obozowisku, odleg³emu teraz blisko o trzy mile. Szlic³emy dro³yn¹ wœród d³ungli bambusowych, ja z kapitanem obok siebie, Gumi parê kroków za nami, nios¹c zabitego pawia. Œciemni³o siê mocno, musieliœmy szuka³e drogi. Wtem nagle w gêstwinie na prawo rozleg³ siê w powietrzu straszny ryk; ryk ten tak miê przerazi³, że zatrzyma³em siê mimowolnie.

Kapitan pochwyci³ miê za rêkê.

– Tygrys! – zawo³a³ i zakl¹³ potêłnie. Kroæstotysiêcy indyjskich piorunów! nasze dubeltówki s¹ tylko œerótem nabite.

Rzeczywiœcie żaden z nas nie mia³ nabojów z kulami i nie by³oby nawet czasu nabiaæ broni, gdyż nie up³ynê³o dziesiêæ sekund od pos³yszanego ryku, gdy wyskoczywszy z zaroceli, zwierz stan¹³ na drodze o jakie dwadzieœcia kroków od nas.

By³ to okaza³y tygrys, z rodzaju tak zwanych przez Hindusów „Eater men”, zjadacz ludzi, dziki krwiożerca, poch³aniaj¹cy setki ofiar. Straszne by³o nasze po³ożenie. Patrzy³em na tygrysa, poch³ania³em go wzrokiem i przyznajê, że dubeltówka drż³a mi w rêku. By³ d³ugi na dziesiêæ do dziesiêciu stóp, ciemno-pomarańczowy, w czarne i bia³e prêgi. I on patrzy³ na nas, a jego kocie oczy b³yszcza³y w pó³cieniu. Gor¹czkowo krêci³ ogonem; przysiad³ i unosi³ siê, jakby gotuj¹c siê do skoku.

Hod nie traci³ zimnej krwi. Wycelowa³ do tygrysa, szepcz¹c nie daj¹cym siê opisaæ g³osem:

– Œerót! œerót na kuropatwy... i zabijż¹e tu nim tygrysa... jeœli nie trafiê w same oczy, jesteœmy...

Nie dokoñczy³; tygrys zbliż³a siê z wolna.

Gumi, przyczaiwszy siê za nami, celowa³ takż¹e, ale jego broñ by³a nabita jeszcze drobniejszym œerótem, a moja chwilowo wcale nie. Chcia³em dobyæ nabój z ³adownicy.

– Ani siê rusz, szepn¹³ kapitan, tygrys rzuci³by siê prêdko, a tego należ¹y siê w³acenie obawiaæ i unikaæ o ile moż¹na.

Wszyscy trzej staliœmy nieruchomo. Tygrys z wolna zbliż³a siê ku nam. Przed chwil¹ krêci³ g³ow¹, teraz by³a ona nieruchom¹; wpatrywa³ siê w nas ci¹gle, ale jakby z pode³ba. Otwarte szczêki pochyli³ ku ziemi, jakby wietrz¹c jej wyziewy.

Wkrótce by³ już tylko o dziesiêæ kroków od kapitana, który sta³ silnie, nieruchomy jak pos¹g. Zdawa³o siê, że ca³e życie jego zœerodkowa³o siê w oczach. Straszna gotuj¹ca siê walka, z której żaden z nas nie mia³ wyjœæ żywym, nie przyspiesza³a nawet bicia jego serca.

Zdawa³o siê teraz, że tygrys rzuci siê nareszcie. Post¹pi³ jeszcze piêæ kroków; potrzebow³em ca³ego wysi³ku woli aby nie zawo³aæ na kapitana!..

A strzelajż¹e!...

Zapanowa³em jednak nad sob¹. Kapitan powiedzia³, że jedynym œrodkiem ocalenia, jest strzelaæ tak celnie, aby tygrysowi wypaliaæ oczy, a ażeby tego dokonaæ, trzeba by³o strzelaæ tuż przed nim.

Tygrys post¹pi³ jeszcze trzy kroki i gotowa³ siê do skoku. W tejż¹e chwili roz³eg³ siê g³oœny wystrza³ a tuż za nim g³oœny huk. Huk ten nasi¹pi³ już w ciele zwierza, który po trzech czy czterech wstrz¹œenieniach i bolesnym ryku pad³ nieżywy na ziemiê.

– Istny cud i – krzykn¹³ kapitan; wiêc broñ moja by³a kul¹ i to eksploduj^{1c1}!... A! tym razem dziêki ci Foxie, dobrze siê spisa^{3eœ}.

– Czy byæ mo^{¿e}? – zawo^{3a3}em.

– Patrzaj – odrzek³ – wykrêcaj^{1c} nabój z lewej lufy.

By³ to nabój z kul¹ – zrozumielicemy teraz.

Kapitan mia³ podwójny karabin i dubeltówkê jednego kalibru; otó[¿] Fox pomyli³ siê, karabin nabi³ œerótem, a dubeltówkê nabojem z kul¹ wybuchaj^{1c1}. Pomy³ka ta wczoraj uratowa^{3a} czitê, ale za to dziœ ocali^{3a} nam Ÿycie.

W pó³ godziny potem bylicemy w Steam-House. Hod kaza³ przywo^{3aæ} Foxa i przy nim opowiedzia³ nasz¹ przygodê.

– Panie kapitanie – rzek³ ten^{¿e} – powinienem wiêc byæ skazany na cztery dni aresztu, skoro omyli^{3em} siê dwa razy.

– Prawda – odpar³ kapitan, ale skoro skutkiem tej omy³ki zabi^{3em} czterdziestego pierwszego, wiêc uznajê za stosowne darowaæ ci gwinejê.

– A wiêc i ja zgadzam siê na to – odpowiedzia³, chowaj^{1c} pieni¹dz do kieszeni. Oto jak siê odby^{3o} spotkanie kapitana z czterdziestym pierwszym tygrysem.

Dnia 12. wieczorem, poci^{1g} nasz zatrzyma³ siê pod ma³¹ jak^{1œ} mieœcin¹, a nazajutrz puœciliby³ siê w dalsz¹ drogê, dla przebycia 150 kilometrów, oddzielaj^{1c}ych nas jeszcze od gór Nepalu.

Rozdzia³ XIV

JEDEN PRZECIW TRZEM.

Za kilka ju[¿] dni mieliby³ nareszcie przebyæ pierwsze pochy^{3oœci} tych okolic pó³nocnych Indji, które stopniowo dosiêgaj¹ najwy[¿]szych wy[¿]yn œwiata. Dot^{1d} zmiany gruntu by^{3y} tak nieznaczne, Ÿe stalowy nasz olbrzym nie czu³ ich prawie.

Czas by³ burzliwy, nadewszystko d[¿]d[¿]ysty, ale œrednia temperatura czyni^{3a} go znoœniejszym; drogi nie popsu^{3y} siê jeszcze i opiera^{3y} siê nale[¿]ycie szerokim i ciê[¿]kim ko^{3om} poci^{1gu}. Jeœli gdzieniegdzie, skutkiem wybojów, ko^{3a} zapada^{3y} siê g^{3ê}biej, Storr przyspiesza³ bieg lekkim poruszeniem regulatora, co by^{3o} dostatecznym do przebycia przeszkody.

Dot^{1d} bylicemy najzupe^{3niej} zadowoleni z naszego sposobu podró[¿]owania, z motoru obmyœlonego przez Banksa, oraz z wygód, jakie zapewnia³ nam nasz ruchomy dom.

Coraz to nowe krajobrazy przesuwaj^{3y} siê przed naszym wzrokiem. Nie by^{3y} to ju[¿] te niezmiernie p³aszczyny, rozci^{1gaj}ce siê od doliny Gangesu. Szczyty Himalajów tworzy^{3y} od pó³nocy jakby

olbrzymi¹ ramê, o któr¹ opiera³y siê chmury gnane po³udniowo-zachodnim wiatrem. Nie mo³na jeszcze by³o dojrzae malowniczego profilu ³añcucha tych gór, rysuj¹cego siê o jakie 8000 metrów ponad powierzchn¹ morza, ale w miarê zbli³ania siê do granicy tybetañskiej, kraj przybiera³ coraz dzikszy¹ postaæ, d³ungle zajmowa³y coraz wiêksze przestrzenie ze szkod¹ pól przeznaczonych pod uprawê.

Takê flora tej czêœci Indji by³a zupe³nie odmienna. Palmy ust¹pi³y miejsca wspania³ym banianom, krzewistym mangowcom, dostarczaj¹cym tej krainie najlepszych owoców, kêpom bambusów, których ga³êzie wznosi³y siê o sto stóp ponad ziemi¹. Pojawia³y siê tu takê piêkne mangowce z szerokimi kwiatami, nasycaj¹ce powietrze przenikaj¹c¹ woni¹, przepyszne klony, kilka gatunków dêbów, kasztany z owocami naje³onemi kolcami jak morskie zwierokrzewy, drzewa kauczukowe, z których sok wyp³ywa³ jakby przez otwarte ³y³y, a obok nich skromniejsze wzrostem, ale jaœniej¹ce œwietniejszemi barwami, geranje, rododendrony, drzewa wawrzynowe, rosn¹ce ca³emi zagonami wzd³u³ drogi.

Tu i ówdzie jakœ wioska z lepiankami ze s³omy tub trzciny, dwie lub trzy zagrody ukryte wœród drzew, ukazywa³y siê jeszcze niekiedy, ale coraz wiêkszy¹ iloœci¹ mil oddzielone od siebie. Ludnoœæ zmniejsza³a siê w miarê zbli³ania siê do wy³zyn. Ponad temi rozleg³emi krajobrazami roztacza³o siê szare i mgliste niebo; ulewne deszcze pada³y coraz czêœciej; od 13. do 14. czerwca nie by³o ani jednego dnia pogodnego; w takich dniach nie opuszczalicoemy salonu Steam-House, szukaj¹c rozrywki w czytaniu, rozmowie, lub wreszcie w paleniu cygar i w grze w wista. Naturalnie, ³e w takich dniach strzelby nasze pró³nowa³y ca³kowicie.

Dnia 17. czerwca zatrzymalicoemy siê w pobli³u bungalowu, przeznaczonago wy³cznie na wypoczynek dla podró³nych. Wypogodzi³o siê nieco, a stalowy olbrzym, który tak niezmordowanie pracowa³ przez cztery dni, domaga³ siê, jeœli nie wypoczynku, to przynajmniej starannego obejrzenia. Mielicoemy zatem spêdziæ tu pozostaj¹ce pó³ dnia i nadchodz¹c¹ noc.

Taki dom zajezdny nazywaj¹ tu karawanserajem; wznosi siê on przy wielkich drogach publicznych w kszt³cie czworobocznego budynku, otaczaj¹cego wewnêtrzny dziedziniec; cztery wie³yczki, zdobi¹ce go zwykle po rogach, nadaj¹ mu ca³kiem wschodni¹ postaæ. Ka³dy taki karawanseraj jest zaopatrzony w odpowiedni¹ liczbê s³u³by, sk³adaj¹cej siê z tak zwanego „bhisti”, obowi¹zanego nosiæ wodê, z kucharza, zadowolniaj¹cego ma³o wymagaj¹cych podró³nych, poprzejaj¹cych na kurczêtach lub jajach, i z „khansama”, to jest dostawcy ³ywnoœci, z którym wprost mo³na siê umawiaæ o po³ywienie, zazwyczaj bardzo tanio sprzedawane.

„Peon”, to jest nadzorca karawanseraju, jest to agent szanownej kompanji, do której nale³y wiêksza czêœæ tych zak³adów, zostaj¹cych pod dozorem okrêgowego in³yniera.

Takie karawanseraje podlegaj¹ dziwnej ale œciœle zachowanej regule: ka³demu podró³nemu wolno przebywaæ w nich 24 godzin, lecz jeœli pragnie zabawiaæ d³u³ej, powinien mieæ na to pozwolenie od nadzoruj¹cego in³yniera, w przeciwnym razie pierwszy lepszy przybywaj¹cy Anglik czy Hindus ma prawo ³daæ, aby mu ust¹pi³ miejsca.

Zaledwie zatrzymalicoemy siê, wywar³ nasz olbrzym stalowy niezwyk³e wra³enie, to jest zwróci³ na siebie powszechn¹ uwagê; przyznaæ jednak trzeba, ³e obecni goœcie karawanseraju spogl¹dali na

niego z pogard¹, zbyt jednak przesadzon¹, aby by³a rzeczywist¹. Wprawdzie nie byli to zwykli œmiertelnicy podró¿uj¹cy dla interesów lub przyjemnoœci, ani oficerowie angielscy wracaj¹cy do pu³ków stoj¹cych nad granic¹ nepalsk¹, ani te¿ kupcy indyjscy, ci¹gn¹cy karawan¹ ku stepom Afganistanu. By³ to ni mniej ni wiêcej tylko ksi¹¿ê Guru Singh w swej w³asnej osobie, syn niepodleg³ego rad¹cy Guzaratu, tak¿e bêd¹cy równie¿ rad¹cy, podró¿uj¹cy z wielk¹ okaza³oœci¹ i przepychem po pó³nocnej czêœci indyjskiego pó³wyspu.

Ksi¹¿ê ten zaj¹³ nietylko trzy czy cztery sale karawanseraju, ale zamkn¹³ wszelki przystêp do niego, gdy¿ doko³a roz³o¿y³a siê towarzysze¹ca mu s³u¿ba.

Dot¹d nie zdarzy³o mi siê jeszcze spotkaæ rad¹cy, podró¿uj¹cego z licznym pocztem dworzan i s³u¿by, to te¿ skoro tylko zajêliœmy wygodne stanowisko o jakie œwieræ mili od karawanseraju, w przeœlicznej miejscowoœci nad brzegiem mile szemrz¹cego strumyka, pod cieniem wspania³ych pandanusów, ja, kapitan Hod i Banks, poszliœmy zwiedziaæ obozowisko ksiêcia Guru Singh.

Syn rad¹cy nigdy sam nie ruszy siê z miejsca. Doprawdy, nie zazdrozczê tym wszystkim, którzy nie mog¹ ruszyæ siê z miejsca bez poruszenia zaraz setek ludzi. Lepiej byæ pieszym wêdrowcem, z kijem w rêku, z t³umoczkiem na plecach i przerzucon¹ przez ramiê dubeltówk¹, ni¿ ksiêciem podró¿uj¹cym w Indjach, z ca³ym ceremoniam³em jaki nakazuje tak wysokie stanowisko.

To nie cz³owiek, udaj¹cy siê z jednej miejscowoœci do drugiej, to ca³a mieœcina zmieniaj¹ca swe geograficzne po³o¿enie – rzek³ œmiej¹c siê Banks.

– Wolê nasz Steam-House – odrzek³em i nie zamienia³bym siê z tym synem potê¿nego rad¹cy.

– Kto wie – odrzek³ kapitan – czy i ten ksi¹¿ê nie wola³by naszego przenoœnego domu, ni¿ swój k³opotliwy tabor.

– A niech tylko dobrze zap³aci, a urz¹dzê mu nie dom ale pa³ac parowy – rzek³ Banks – ale zanim to nast¹pi, zobaczmy jak te¿ on urz¹dzi³ siê w swoim obozie.

Orszak ksiêcia sk³ada³ siê z nie mniej jak piêciuset osób. Zewn¹trz karawanseraju, na p³aszczyŹnie ocienionej wielkimi drzewami, sta³o dwieœcie wozów uszykowanych symetrycznie, tworzc wielkie obozowisko. Do jednych zaprzê¿one by³y wo³y zebu, do innych bawo³y, trzy przepyszne s³onie dŹwiga³y bogate palankiny, oprócz tego sta³o gotowych dwadzieœcia wielb³¹dów, pochodz¹cych z krajów na wschód od Indusu. Karawanie tej nie brak³o ani muzykantów zachwycaj¹cych uszy jego wysokoœci, ani zabawiaj¹cych go sztukmistrzów i kuglarzy. Orszak ten uzupe³nia³o trzystu tragarzy i dwustu halabardników, których ¿o³d wyczerpa³by ka¿dy skarbiec, prócz skarbcza niezale¿nego rad¹cy indyjskiego.

Muzykanci grali na tamburynie, cymba³ach, tamtam i nale¿eli do tej szko³y, zastêpuj¹cej dŹwiêki ha³asem; rzêpolili tak¿e na gitarze i skrzypcach, które nigdy nie by³y nastrajane.

Pomiêdzy kuglarzami znajdowali siê tak zwani „sapwallach” czyli poskromiciele wê¿ów, „slutisowie”, bardzo biegli we w³adaniu szabl¹; akrobaci tañcz¹cy na niewyprostowanej linii z pyramid¹ garnków na g³owie a z rogami bawolemi u nóg i sztukmistrze umiej¹cy zamieniaæ wed³ug

łyczenia widzów jadowite „kobry”, stare skóry wêłów, lub teł jadowite wêłe uczyniaé nieszkodliwemi.

Bajadery zaé należa³y do klasy owych œlicznych „bundelisek” tak poszukiwanych przez wyprawiaj¹cych wieczory, podczas których zabawiaj¹ zebranych œpiewami i tañcem. By³y one ubrane bardzo przyzwoicie, w szaty muœelinowe haftowane z³otem lub w plisowane spódniczki i szerokie szarfy, które tañcz¹c przerzucaj¹ nader zrêcznie; prócz tego stroi³y je bogate klejnoty, branzolety, pierœcienie na palcach r¹k i nóg a przy kostkach mia³y srebrne dzwoneczki. W takich ubraniach wykonywuj¹ s³ynny taniec wœród jaj z niezrównan¹ zrêcznoœci¹ i wdziêkiem. Taniec ten spodziewa³em siê zobaczyæ, gdyby nas radża zaprosi³.

Prócz tego znajdowa³a siê w obozie niezliczona liczba mêłczyzn, kobiet i dzieci, nie wiem juł jakie spe³niaj¹cych obowi¹zki. MêłczyŹni byli udrapowani w d³ugi kawa³ materji, zwany „dhoti” lub teł mieli na sobie koszulê, zwan¹ „angarkah” i d³ugie bia³e szaty „lamah”, co wygl¹da³o bardzo malowniczo.

Kobiety mia³y na sobie „choli”, rodzaj łakietu z krótkimi rêkawami, oraz „sari” odpowiadaj¹ce mêskim dhoti, które owijaj¹ zrêcznie oko³o siebie, a koniec malowniczo zarzucaj¹ na g³owê.

Czekaj¹c na godzinê obiadow¹, Hindusi rozci¹gniêci pod drzewami, palili cygara zawiniête w zielone liœcie lub tak zwane „garguli”, rodzaj mieszaniny z tytoniu, melasy i opium. Inni łuli mieszaninê z liœci betelù, rodzaju orzechów i gaszonego wapna, maj¹c¹ w³asnoœci u³atwiaj¹ce trawienie, co jest bardzo zbawienne w skwarным klimacie Indji. Wszyscy ci ludzie, przywykli do łycia karawanowego, łyli w zupe³nej zgodzie, nie okazuj¹c najmniejszego oływienia, chyba tylko podczas jakiejœ uroczystoœci. Byli oni jak cz³onkowie wêdrownych trup teatralnych, którzy zapadaj¹ w najzupe³niejsz¹ apatiê, skoro tylko nie s¹ na scenie.

Gdyœmy doszli do obozowiska, Hindusi oddali nam pozdrowienie „salam”, k³aniaj¹c siê ał do ziemi, wiêszoœæ wo³a³a: „Sahib! sahib!” co znaczy: panie, panie! Odpowiedzielicemy przyjaznym skinieniem.

Spodziewa³em siê, łe ksi¹łê Guru Singh zechce urz¹dzaé dla nas zabawê, jakich zwykle nie sk¹pi¹ radłowie. Dziedziniêc bungalowu nadawa³ siê doskonale do tañca bajader, do sztuk akrobatów i kuglarzy, i przyznajê, łe szczerze pragn¹³em tego widowiska pod cieniem wspania³ych drzew, które daleko wiêcej by mnie zajê³o nił jakiejœ przedstawienie w naszych ciasnych i zamkniêtych teatrach, wœród p³óciennych i drewnianych œcian i dekoracji.

Wspomnia³em o tem moim towarzyszom, którzy choæ podzielali moje pragnienia, nie spodziewali siê jednakłe, by siê spe³ni³y.

– Radłga Guzaratu – rzek³ mi Banks – jest jednym z tych niepodleg³ych, co zaledwie chcieli siê poddaé po poskromieniu buntu Sipajów, w ci¹gu którego zachowywa³ siê bardzo dwuznacznie. Nie lubi on Anglików, wiêc zapewne i syn jego nie zechce nic zrobiaé dla naszej przyjemnoœci.

– No! – zawo³a³ kapitan Hod – to obejdziemy siê bez jego zabawy.

Jakoż rzeczywistość nie pozwolono nam nawet zwiedzić wnętrza obozowiska. Może książe Guru Singh oczekiwa³ urzędowych odwiedzin pułkownika Munro, ale ten ani myśla³ o tem. Powróciliśmy do siebie, gdzie oczekiwa³ nas wyborny obiad, sporządzony przez pana Parazard. Jednakże główn¹ jego podstaw¹ były konserwy, gdyż od kilku już dni ci¹g³e niepogody nie pozwalały na polowanie.

Nazajutrz dnia 18. czerwca wszystko było gotowe tak, żeśmy następnego dnia mogli odjechać równo ze świtem. O piątej Kalut zaczął palić; nasz s³oń wyprężony stał o jakie 50 kroków od pociągu; maszynista przysposabia³ zapas wody. My zaś przechadzaliśmy się przez ten czas nad brzegiem rzeki. Wtem zbliżyła się ku nam gromadka Hindusów.

Było ich pięciu czy sześciu, strojnych w bogate szaty, w jedwabne tuniki, w bogato zdobite haftowane turbany. Towarzyszyło im dwunastu żołnierzy uzbrojonych w karabiny i pasze. Jeden z nich miał wieniec z zielonych liści, co dowodziło obecności jakiejś znakomitej osoby.

Znakomitości¹ był książe Guru Singh, młodzieńcza trzydziestopięcioletni, o dumnej postawie, doskonały typ potomków tych legendowych radców, w których rysach zachował się jeszcze charakter macharattów.

Książe nie raczył nawet zauważyć nas i zbliżyć się wprost do naszego olbrzymiego s³onia, którego w³acenie Storr zamierzał wprawiać w ruch. Choć starał się nie okazać tego, jednakże przyglądał mu się z pewną ciekawości¹.

– Kto zbudował tę maszynę? – zapytał Storra?

Maszynista wskazał stojącego wśród nas inżyniera. Książe Guru Singh doskonale mówił po angielsku.

– Więc to pan?.. – rzekł przez zęby, zwracając się do Banksa.

– Tak to ja... – odrzekł tenże.

Mówiono mi, że była to fantazja zmarłego radcy Butanu.

– Rzeczywiście.

– I pocóż – rzekł książe – niegrzecznie wruszając ramionami, pocóż kazał ci¹gnąć się maszynami, mogł¹c mieć na usługi s³onie z ciałami i kołami.

– Zapewne dlatego – odparł Banks – że s³oń ten jest silniejszy, jak wszystkie te, które posiadał zmarły książe.

– Oh! – rzekł Guru Singh, pogardliwie wysuwając wargę, silniejszy!

– I to o wiele – powiedziało Banks.

– Ani jeden z posiadanych przez pana s³oni nie zdołałby zmusić naszego, aby wbrew swej woli ruszył choć jedn¹ ³ap¹, dorzucił kapitan, któremu bardzo się nie podobało niegrzeczne i wyniosłe

zachowanie siê ksiêcia.

– Co, co? – zapyta³ Guru Singh.

– Przyjaciel mój powiedzia³, co i ja potwierdzam, ze ten sztuczny zwierz mo¿e stawiaæ opór sile dziesiêciu par koni, a pañskie trzy s³onie sprzê¿one razem, nie zdo³a³yby go ruszyæ na krok z miejsca.

– Zupe³nie temu nie wierzê – odrzek³ ksi¹¿ê.

– I w tem mylisz siê pan najzupe³niej – rzek³ kapitan Hod.

– A jeœli wasza wysokoœæ przeznaczy odpowiedni¹ sumê, obowi¹zujê siê wystawiaæ mu s³onia o sile dwudziestu najsilniejszych s³oni, jakie pan posiada.

– To siê tylko tak mówi – odrzek³ oschle Guru Singh.

– I tak siê rzeczywicie robi – odpowiedzia³ Banks.

Ksi¹¿ê zaczyna³ siê niecierpliwiaæ; widaæ by³o, ¿e nie znosi³ oporu.

– Czy mo¿naby zaraz zrobiaæ próbê? – zapyta³ po chwili namys³u.

– A mo¿na – odrzek³ in¿ynier.

– A nawet, doda³ ksi¹¿ê, próbê mo¿na po³czyæ z wysokim zak³adem, jeœli tylko nie cofniesz siê z obawy przegrania, jakby to zapewnie uczyni³ i wasz s³oñ, gdyby mia³ wspó³ubiegaæ siê z moimi.

– Stalowy olbrzym mia³by siê cofn¹æ przed walk¹! – krzykn¹³ kapitan Hod – kto œmie to mówiaæ?..

– Ja – odrzek³ Guru Singh.

– I jaki¿ ksi¹¿ê stawi³byœ zak³ad? zapyta³ in¿ynier, krzy¿uj¹c rêce na piersiach.

– Cztery tysi¹ce rupji – odrzek³ ksi¹¿ê, jeœli masz do przegrania tak¹ sumê.

Wynosi³o to oko³o 10.000 z³.; zak³ad to nie ma³y. Kapitan by³by chêtnie trzyma³ i podwójny zak³ad, ale skromne jego fundusze nie pozwala³y na to.

– Odmawiasz! – rzek³ jego wysokoœæ, dla którego 4.000 rupji by³o bagatel¹, boisz siê ryzykowaæ marnej sumy?

Przyjmujê! – rzek³ przysuwaj¹c siê pu³kownik Munro, a to jedno jego s³owo mia³o swoj¹ wartoœæ.

– Pu³kownik Munro zak³ada siê wiêc o 4.000 rupji? – zapyta³ ksi¹¿ê.

– Nawet i o 10.000 rupji, jeœli ksi¹¿ê chcesz, odpowiedzia³ pu³kownik.

– Zgoda! – odpowiedzia³ Guru Singh!

Inżynier uœcisn¹³ d³oñ pu³kownika, jakby dziêkuj¹c mu za ocalenie od upokorzenia wobec dumnego rad¹cy, dostrzeg³em jednak, że przez chwilê brwi jego œci¹gnê³y siê i pomyœla³em sobie, czy czasem nie przeceni³ si³y swego przyrz¹du.

Co do kapitana, radoœæ b³yszcz³a w jego oczach zaciera³ weso³o rêce i rzek³ przysuwaj¹c siê do naszego s³onia:

– Baczoœæ stalowy olbrzymie, masz stan¹æ w obronie honoru naszej starej Anglji; ufam, że wyjdiesz zwyciêzc¹ !

Ca³a s³u¹ba naszego poci¹gu uszykowa³a siê po jednej stronie drogi; Hindusi przybiegli, aby patrzeæ na gotuj¹c¹ siê walkê.

Banks opuœci³ nas i wszed³ do wie¹zy, aby wraz ze Storrem powiêkszyæ si³ê pary buchaj¹cej k³êbami z tr¹by Stalowego Olbrzyma.

Jednocześnie na skinienie ksiêcia Guru Singh, kilku z jego s³u¹by uda³o siê do karawanseraju, sk¹d przyprowadzili trzy s³onie, oswobodzone z podró¹nych ciê¹arów. By³y to przepyszne zwierzêta pochodz¹ce z Bengalu, wiêksze znacznie od s³oni Indji po³udniowych. Przyznam siê, że widok tych wspania³ych zwierzt w ca³ej sile zaniepokoi³ mnie nieco. „Mahutowie” siedz¹cy na ich olbrzymich karkach, kierowali s³onie rêkami i podniecali g³osem.

Gdy s³onie przechodzi³y przed jego wysokoœci¹, najwiêkszy z trzech, istny olbrzym, zatrzyma³ siê, przykl¹k³, poczem podniós³ tr¹bê i pozdrowi³ ksiêcia jak dobrze wytresowany dworak. Nastêpnie z obu towarzyszami zbli¹zy³ siê do stalowego olbrzyma i zaczêli przygl¹daæ mu siê z podziwieniem ale i z pewn¹ obaw¹.

Jako zaprz¹g przytwierdzono do tenderu grube ³añcuchy. Serce bi³o mi silnie; kapitan szarpa³ w¹sy, nie móg³ ustaæ spokojnie. Co do pu³kownika Munro, by³ jak najspokojniejszy, mo¹ze nawet obojêtniejszy od ksiêcia Guru Singh.

– Jesteœmy gotowi – rzek³ Banks, skoro podoba siê waszej wysokoœci...

– Podoba mi siê ju¹ – odrzek³.

I zaraz skin¹³ rêk¹; mahuci wydali odpowiedni œwist, i w tej chwili trzy s³onie, szarpn¹wszy maszynê silnie i jednozgodnie posunê³y j¹ o parê kroków.

Krzykn¹³em mimowolnie; Hod tupn¹³ nog¹ ze z³oœci.

Zahamuj ko³a! – zawo³a³ in¹zynier, zwracaj¹c siê do maszynisty, który natychmiast spe³ni³ rozkaz.

Stalowy olbrzym stan¹³ i nie ruszy³ siê wiêcej, pomimo, że s³onie podniecane przez mahutów, czyni³y najwiêksze wysi³ki, aby go poruszyæ z miejsca. Daremnie, zdawa³o siê, że przyrós³ do gruntu.

Ksi¹ ġê Guru Singh przygryz³ usta do krwi; Hod radoœnie klaska³ rêkami.

– Naprzód! – krzykn¹³ Banks,

– O! tak!... naprzód!... naprzód! – wo³a³ kapitan.

Otworzono szeroko regulator, ogromne k³êby pary buch³ny tr¹b¹, podniesione ko³a zacz³ny siê obracaæ, i pomimo szalonego oporu jaki stawia³y s³onie, zosta³y poci¹gniête i musia³y iœæ w ty³, ryj¹c g³êboko ziemiê.

– Go ahead! Go ahead! – wo³a³ kapitan.

A olbrzym stalowy bieg³ naprzód, a ġ przepyszne s³onie ksiêcia popada³y na ziemiê; wlók³ je tak ze dwadzieœcia kroków, nie czuj¹c tego nawet. Wiwat! wiwat! wiwat! – krzycza³ kapitan Hod nie bêd¹c ju ġ panem swego uniesienia. Moġnaby do tych trzech s³oni przy³czyæ ca³y karawanseraj jego wysokoœci, a nasz stalowy olbrzym tyle zwaġa³by na niego, co na jedno piórko.

Pu³kownik da³ znak rêk¹; Banks zamkn¹³ regulator, s³oñ nasz stan¹³.

Wtedy trzy s³onie jego wysokoœci przedstawia³y pocieszny widok; ich tr¹by porusza³y siê niespokojnie, macha³y ³apami w powietrzu, krêc¹c siê jakby olbrzymie chrz¹szcze przewrócone na grzbiet. Ksi¹ ġê, zawstydzony i z³y odszed³ nie czekaj¹c koñca.

Odprzêġono s³onie, podnios³y siê, wyraŹnie jakby upokorzone poraġk¹. Gdy wracaj¹c, przechodzi³y ko³o stalowego olbrzyma, najwiêkszy z nich, mimo nawo³ywañ kornaka, ugi¹³ kolano i pozdrowi³ go tr¹b¹, jak pierwiej ksiêcia Guru Singh.

W kwadrans póŹniej Hindus „Kamdar” t. j. sekretarz jego wysokoœci przyby³ do naszego obozowiska, przynosz¹c pu³kownikowi worek, zawieraj¹cy przegrany zak³ad, 10.000 rupji.

Pu³kownik odebrawszy, rzuci³ go z pogard¹, mówi¹c: dla s³uġby jego wysokoœci! Poczem najobojêtniej zwróci³ siê ku Steam-House.

Trudno by³oby lepsz¹ daæ naucz¹kê pysza³kowi, rzucaj¹cemu nam tak pogardliwe wyzwanie.

Niebawem przyprzêġono naszego stalowego olbrzyma do poci¹gu i ruszyliœmy prêd¹ko wœród okrzyków zdziwionych Hindusów. Wkrótce straciliœmy z oczu karawanseraj ksiêcia Guru Singh.

Nazajutrz Steam-House zacz¹³ siê wspinaæ na pierwsze wynios³oœci ³cz¹ce równiny z podnóġami Himalajów. Nasz stalowy olbrzym, ³cz¹cy w sobie si³ê 80 koni, z ³atwoœci¹ przebywa³ strome, pod górê pn¹ce siê drogi, nie potrzeba nawet by³o dodawaæ pary.

Tak wiêc wznosiliœmy siê coraz wyġej; panorama rozszerza³a siê ci¹gle, a ku po³udniowi horyzont roztacza³ siê coraz dalej. Krajobrazy by³y tak urocze i zachwycaj¹ce, ġe nieraz zatrzymywaliœmy siê po parê godzin, aby siê im napatrzeæ do woli.

Ta jazda pod górê, przerywana d³uġszymi i krótszymi wypoczynkami, trwa³a od 19. do 26.

czerwca.

– Tylko trochę cierpliwości – mówi³ kapitan Hod, a nasz poci¹g dowi³oż³hy nas na sam szczyt Himalajów.

– Trochę przesadzone ¹danie, kolego rzek³ – in¹żynier.

– Pewny jestem, ¹eby tego dokaza³, odrzek³ unosz¹c si¹e kapitan.

– Zapewne, gdyby niebawem nie stan¹³ temu na przeszkodzie brak drogi możliwej do przebycia i z warunkiem zaopatrzenia si¹e w dostateczny zapas paliwa, którego nie znalaz³by w¹er¹od lodowców, a nadto jeszcze brak na takiej wysokości powietrza potrzebnego do oddychania. Ale poc¹o¹ż mieliby¹emy wdziera¹e si¹e w strefy tak niemo¹żliwe do zamieszkania? Zatrzymamy si¹e raczej w jakiej¹o¹ś c¹elicznej miejscowości na skraju lasu, zalecaj¹cej si¹e zdrowem, orze¹Źwiaj¹cem powietrzem. Tym sposobem nasz przyjaciel, pu³kownik Munro, b¹e¹dzie m¹o¹g³ mniema¹e, ¹e przeni¹o³s³ swój bungalow z Kalkuty w góry Nepalu i zabawimy tam tak d³ugo, jak b¹e¹dzie ¹da³.

Od dwóch dni droga stawa³a si¹e coraz ci¹e¹sz¹ do przebycia z powodu wybojów spowodowanych deszczami; poci¹g zapuszcza³ si¹e w puste prawie okolice. Nigdzie nie by³o wida¹e wioski ani miasteczek; za¹edwie niekiedy jak¹o¹e osad¹e w¹er¹od nieskończonych lasów, lub tu i ówdzie jakie¹o¹ś odosobnione mieszkanie. Trzy czy cztery razy zdarzy³o nam si¹e spotka¹e po kilku górali, przypatruj¹cych si¹e naszemu s³oniowi z niewys³owionem zadziwieniem. Mo¹że patrz¹c na cudowny przyrz¹d wznosz¹cy si¹e ci¹gle ku wy¹ynom, s¹dzili, ¹e Brahmie przys³a fantazja przenie¹o¹e¹e jak¹o¹e ca³ pagod¹e na jakie¹o¹ś niedost¹e¹pnym szczyt gór nepalskich.

Nareszcie dnia 25. czerwca Banks krzykn¹³ do maszynisty: Stój! i tu by³ kres pierwszej cz¹e¹ści naszej podr¹o¹ży po Indjach p³o¹cznych. Poci¹g zatrzyma³ si¹e na rozleg³ej polance w pobli¹żu strumienia, którego przejrzyste wody mia³y zaspakaja¹e nasze gospodarskie potrzeby przez czas kilkumiesi¹ęcznego pobytu. Mo¹żna by³o ogarn¹a¹e st¹d wzrokiem nader rozleg³e przestrzenie.

Rozdzia³ XV

PAAL TANDIT.

Musimy opu¹o¹cić na chwil¹e pu³kownika Munro, oraz jego towarzyszy: in¹żyniera Banksa, kapitana Hod i Francuza Maucler i przerwa¹e opis podr¹o¹ży, której pierwsza cz¹e¹ść, od Kalkuty do granicy indochi¹ńskiej kończy si¹e u podn¹o¹ża gór Tybetu.

Czytelnicy przypominaj¹ sobie zapewne zdarzenie, jakie mia³o miejsce w drodze do Allahabad. Numer gazety z dnia 25 maja doni¹o³s³ pu³kownikowi Munro o c¹emie ci Nany Sahiba. Lecz czy wiadomo¹e ta tylokrotnie podawana i odwo³ywana, tym razem by³a prawdziw¹? Czy maj¹c podane tak dok³adne szczeg¹o¹ły, sir Edward Munro m¹o¹g³by i tym razem w¹tpi¹a¹ i czy nie powinien by³ raczej wyrzec si¹e zemsty i wymierzenia kary buntownikowi z 1857 roku?

Os¹d¹Źcie sami.

Oto co zaszło w owej nocy z 7. na 8. marca, podczas której Nana Sahib w towarzystwie brata swego Balao Rao i najwierniejszych swoich towarzyszy broni jakoteż Hindusa Kalagani opuścił pieczary Adjuntah.

W sześćdziesiąt godzin później nabob wkroczył w ciśnie w wozy gór Sautpurry i znajdował się o sto mil od Adjuntah, w bardzo mało uczęszczanej części tej prowincji, zapewniając mu czasowo bezpieczne schronienie. Znajdował się on na granicy kraju Gundów, strasznego pokoienia dzikich plemion, niezupełnie ujarzmionych, które chciały podnieść do buntu.

Kraj ten obejmuje dwieście mil kwadratowych przestrzeni, z przeszło trzymilionową ludnością; ci mieszkańcy Gudwany uważani są za najdawniejszych tubylców, zawsze gotowych do buntu przeciw najeźdźcom.

Gudwana stanowi nader ważną część Hindostanu i w rzeczywistości zostaje tylko nominalnie pod panowaniem angielskim. Wprawdzie kolej żelazna z Bombaju do Allahabad przerywa tę krainę od południowego zachodu na północny wschód, a jedna jej część dochodzi aż ku środkowi prowincji Nagpore, ale mieszkańcy tu plemiona pozostają dzikimi, opierającymi się wszelkiej cywilizacji, nienawidzą jarzma europejskiego, a w górach niełatwo je dosięgnąć poskromić.

Wiedzą o tem dobrze Nana Sahib i dlatego tam w tajemniczości postanowił szukać schronienia, aby uniknąć poszukiwań angielskiej policji, i oczekiwał sposobnej chwili do wywołania nowego powstania. Gdyby to przedsięwzięcie mu się powiodło, gdyby Gundowie powstałi i połączyli się z nim, bunt mógłby przybrać wielkie rozmiary.

Na północ Gudwany leży Bundelkund, zajmujący całe górzyste okolice między górami Vindja a wielką rzeką Jumna. W kraju tym, pokrytym najwspanialszemi dziewiczymi lasami Hindostanu, żyje chytry i okrutny lud Bundelasów, u którego wszelkiego rodzaju przestępcy, czy to polityczni, czy kryminalni szukają i łatwiej znajdują schronienie. Tu na przestrzeni 28 tysięcy kilometrów kwadratowych mieszka dwa i pół miliona mieszkańców równie dzikich i barbarzyńskich jak przed wiekami; tu żyją jeszcze owi starzy partyzanci, którzy walczyli z najeźdźcami pod wodzą Tippu Sahiba: stąd pochodzą także Tugowie, ci śmieli dusiele, będący tak daleko postrachem Indji, fanatycy i mordercy, którzy bez przelania jednej kropli krwi, wymordowali niezliczoną liczbę ofiar; tu zgraje Pinderisów dopuszczały się bezkarnie najstraszniejszych mordów; tu także szuka schronienia Nana Sahib, zdołałszy zbiec przed pogonią zwycięskich wojsk angielskich, zanim zdołał się ukryć w niedostępnym schronieniu na granicy indochińskiej.

Na wschód od Gudwany leży Kundystan, czyli kraj Kundów. Także nazwę noszą dzicy sekciarze Tado Pennora, bożka ziemi i Mannek Soro, czerwonego byka walk, krwiożerczy zwolennicy „meriahów” czyli ofiar z ludzi, którym Anglicy tak gorąco pragnęli położyć koniec i w tym celu urządzali dalekie i trudne wyprawy przeciw tym barbarzyńcom. Nie ma tak strasznych okrucieństw i mordów, przed którymi cofnęliby się ci dzicy barbarzyńcy, jeżeli podnieca ich ku temu jakaś potężna i zuchwała ręka pod pozorem walki religijnej.

Na zachód Gudwany mieszka około dwu milionów Bilów: niegdyś był to lud potężny, dziećmi podzielony na klany, stracił na sile; zawsze prawie pijani wódką z drzewa „mowah”, ale silni, ościami, odważni, gotowi do rabunku i walki.

Tak więc Nana Sahib umia³ dobrze wybiera^æ miejsca i ludzi; wiedzia³ dobrze, że jeżeli mu się uda przeprowadzić swoje zamiary w tej ośrodkowej części półwyspu, nie będzie to już bunt wojska, ale wielkie powstanie narodowe, w którym wezm¹ udział³ wszystkie kasty Hindusów.

Chc¹c skutecznie oddzia³ywa^æ na ludność – trzeba by³o osiedlić się w kraju i korzystać z każdej nadarzaj¹cej się sposobności, a więc należa³o przede wszystkim znaleźć pewne, choć czasowe schronienie, któreby mógł opuścić, gdyby zaczyna³o stawać się podejrzanym.

Tem więc najpierw zaj¹³ się Nana Sahib. Hindusi, którzy towarzyszyli mu od Adjuntah, mogli przebywa^æ swobodnie w całej prezydenturze; z tej swobody mógłby by³ korzystać i Balao Rao, gdyby nie przeszkadza³o temu jego nadzwyczajne podobieństwo do brata. Obecnie, wierząc w ośmiere Nany Sahiba, zaprzestano poszukiwań, gdyby jednak spotkano gdzieś Balao Rao, wtedy wzięty za brata, zostałby niezawodnie pojmany, a tego przedewszystkiem należa³o unikać. Tak więc obaj bracia, idąc jeden myś¹, zmierzaj¹cy do jednego celu, musieli ukrywa^æ się w jednym schronieniu, ale o to nie trudno byłoby w niedostępnych wozach Sautpurry. Jakoż wskaza³ mu je jeden z towarzyszy mu Hindusów, Gund, znaj¹cy doskonale całą okolicę.

Na prawym brzegu strumienia wpadającego do Nerbuddy, znajdowa³ się opuszczony „paal” zwany paalem Tandit.

Paalem nazywa się tu mniej nawet niż wioseczka, kilka nędznych lepianek, często nawet jedno odosobnione mieszkanie; zajmuje je zwykle osiadła czasowo jakaś koczująca rodzina. Spaliwszy pewną liczbę drzew, aby powstałym z nich popiołem na krótki porę ułożyć ziemię, Gund z rodziną buduje sobie mieszkanie. Ponieważ miejscowość nie daje rękojmi bezpieczeństwa, dom przybiera postać małej forteczki przez otoczenie szeregiem palisad, mających ustrzedz go od niespodzianego napadu. Prócz tego wznosi paal w nadzwyczaj gęstych zarostach, tak że staje się prawie niewidzialnym.

Najczęściej taki paal stawia się w wozie na pochyłości wzgórza, wpośród nieprzeniknionych zarostów, tak, że trudno przypuścić, aby ludzie tam przebywać mogli; nie ma wcale żadnych dróg, prowadzących do paalu, a śladu ścieżek nie widać. Najczęściej dochodzi się do niego ścieżką wyrwy, utworzonej przez spadające z gór wody, tak więc nie pozostaje ślad stóp. W porze gorącej woda dochodzi do kostek, w zimowej po kolana. Prócz tego po obu stronach wozu gromadzi się odłamki skały, które za lekkim popchnięciem przygniotyby każdego kogoby pragnął dostać się do paalu, wbrew woli jego mieszkańców.

Jednakże, pomimo odosobnienia na tak niedostępnych wyżynach, Gundowie porozumiewają się z dwoma z jednego paalu z drugim. Z wysokości stromych wierzchołków Sautpurry umówione znaki rozchodzi się w przeciwnym kierunku kilku minut na dwadzieścia mil do końca. Będąc to zapalenie ognia na wierzchołku ostrej skały, będąc to całe drzewo zabycenie jak pochodnia, będąc to znów ogromny śnieg dymu wzniesie się pod obłoki. Jest to znak, że do doliny wtargnęli oddział żołnierzy z wojsk królewskich, lub poczet agentów policji angielskiej i przedziera się przez wozy śniegów gór, poszukując jakiegoś zoczyńcy, z którego mogłoby znaleźć tu schronienie. Tak dobrze znany góralom okrzyk wojenny, staje się wówczas hasłem popłochu i trwogi; każdy obcy wziętyby ten krzyk za hukanie nocnego ptaka lub syk jakiejś gadziny. Ale Gundowie wiedzą dobrze, że to jest znak ostrzegawczy, że należy mieć się na baczności lub uciekać, jeżeli paale zdają się niedość bezpieczne, opuszczają

je lub nawet pał¹, a sami wynajduj¹ sobie inne schronienia, które znów porzucąj¹ w razie groź¹cego niebezpieczeństwa, a przybyli po nies³ychanych trudnościach ajenci w³adzy, znajduj¹ tylko popió³ i zgliszczą.

W takim to paalu, zwanym Tandit, szuka³ schronienia Nana Sahib z towarzyszymi; doprowadzi³ go tam wierny mu Gund i osiedli tu dnia 12. marca. Natychmiast obaj bracia zajęli się zbadaniem miejscowości i wszystkich możliwych do niej przystępów, oraz jak daleko i w jakim kierunku można tę przestrzeń objąć okiem. Kazali wskazać sobie najbliższe siedziby i rozpytywali kto je zajmuje. Zbadawszy dobrze położenie paalu, kryjącego się wśród drzew i zaros³i, przekonali się, że niepodobna dostać się doń inaczej jak krętem śródziemnym strumienia, którym i oni tu doszli. Tak więc pał Tandit ³czy³ w sobie wszelkie rekojmie bezpieczeństwa, tem bardziej, że wznosi³ się ponad podziemiami, cięgnącymi się w paśmie gór sąsiednich, którymi można by³o uciec w razie niebezpieczeństwa.

Nana Sahib i brat jego znaleźli zatem bezpieczne schronienie. Ale Balao Rao nie poprzestaj¹c na zbadaniu obecnego stanu paalu Tandit, chciał³ poznać jeszcze jego przeszłość.

– Jak dawno pał ten został opuszczony? – zapytał Gunda.

– Przeszło od roku – odrzekł tenże.

– Kto go zamieszkiwał?

– Koczująca rodzina – która pozostawała tu tylko przez kilka miesięcy.

– Z jakiego powodu opuścili ten pał.

– Bo grunt nie zapewnia im dostatecznej żywności.

Czy od czasu ich oddalenia nikt tu nie szuka schronienia?

– Nikt.

– Nigdy nie postała tu noga angielskiego żołnierza lub szpiega policyjnego?

– Nigdy.

– Czy nigdy nie był tu jakiś obcy?

– Nie... z wyjątkiem jednej kobiety, od trzech lat błąkającej się w dolinie Nerbuddy.

– Cóż to za kobieta?

– Nie wiem tego – odrzekł Gunda; ani ja, ani nikt z całej okolicy nie umiałby powiedzieć kto ona i skąd przychodzi. Tego nawet nie można się by³o dowiedzieć czy jest Hinduską czy cudzoziemką.

Balao Rao pomyślał chwilę, potem zapytał znowu:

– Cóż porabia ta kobieta?

– Przychodzi tu i znów odchodzi, żyje tylko z ja³mu³ny. Okoliczni mieszkańcy otaczają ją jak¹o¹e zabobon¹ czci¹. Ja sam kilka razy dawa³em jej przytu³ek w moim paalu. Nikt nie s³ysza³ nigdy ani jednego s³owa z jej ust, zdaje się, że jest niemow¹. W nocy chodzi z zapalonem³ uczywem w r¹ęku; nikt nie nazywa jej inaczej jak „B³ędny Ognikiem”.

– Lecz jeżeli ta kobieta zna drogę do tego paalu, mog³aby przyje³æ tu podczas naszego pobytu, czyż wi¹ec z tej strony nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo? – zapyta³ Balao Rao.

– Bynajmniej; ta kobieta jest ob³¹kan¹. Nic nie my¹eli i nie rozumie; patrzy nie widzi¹c, s³ucha nie s³ysz¹c; j¹ęzyk jej niezdolny wymówia³ s³owo. S³owem jest jakby niewidoma, g³ucha, niema, rzeczy zewn¹êtrzne nie istnieją dla niej. To warjatka, a warjatka to ży¹cy trup.

W tej mowie, w³æciwej góralom hinduskim, Gund skre¹eli³ wierny obraz niepoj¹êtej istoty, którą zwano powszechnie w ca³ej dolinie „B³ędny Ognikiem” Nerbuddy.

Błada, piękna jeszcze, nie stara ale zestarza³a twarz tej kobiety, pozbawiona wszelkiego wyrazu, nie dozwala³a rozpozna³æ ani pochodzenia ani wieku. Zdawa³o się, że jej b³ędne oczy postrada³y życie umys³owe z powodu jakiej¹o strasznej sceny, na którą dot¹d patrzy³y „wewn¹êtrznie”.

Nieszkodliwa ta istota, pozbawiona rozumu, znalaz³a dobre przyjęcie w¹ród górali. Tak Gundowie, jak wszystkie dzikie ludy, uważają¹ ob³¹kan¹ych za istoty æwi¹te i nietykalne, które otaczają¹ zabobon¹ czci¹. To też gdzie tylko pojawi³ się B³ędny Ognik, przyjmowano ją go¹ecinnie; drzwi żadnego paalu nie by³y dla niej zamknięte. Dawano jej je¹ææ gdy by³a g³odna spoczynek, gdy by³a znu¹ona, nocleg jeżeli chcia³a spa³æ, i to nie czekają¹c s³ówka pro¹by lub podzi¹eki, których wymówia³æ nie mog³a.

Nik³by nie umia³ oznaczyć dok³adnie, sk¹d się wzię³a ta kobieta, ani kiedy pierwszy raz pokaza³a się w Gudwanie. Dlaczego chodzi³a zawsze z p³on¹c¹ ga³êzi¹, czy dla przy¹æwiecania sobie, czy dla odstraszenia dzikich zwier¹t? – nikt nie wiedzia³. Często nie pokazywa³a się przez ca³e miesi¹ce? gdzie obraca³a się wtedy? Czy opuszczają¹c w¹wozy Sautpurry, przebywa³a w w¹wozach Vindhya? czy może b³¹ka³a się po Malwie lub Bundelkundzie? któ¹ż to mógł³ wiedzia³æ. Nieraz, gdy d³ugo nie pokazywa³a się, mniemano, że zakończy³a nareszcie swoje n¹dzne życie – lecz wraca³a znowu nic a nic niezmieniona, jak gdyby na jej organizm, tak w¹t³y na pozór nie dzia³a³o g³ód, znu¹enie ani choroba.

Balao Rao s³ucha³ Hindusa z nadzwyczajn¹ uwag¹. Rozmy¹æla³ nad tem, czy okoliczno¹ææ, że B³ędny Ognik zna³ drogę do paalu Tandit, nie grozi im jakim¹o niebezpieczeństwem, gdyby znów przyby³a. Dlatego zapyta³ Gunda, czy on lub jego rodzina wie, gdzie przebywa B³ędny Ognik.

– Nikt tego nie wie – odpowiedzia³; już od p³ roku nie pokaza³a się; by¹æ może, że biedna nie żyje. Ale w ka¹dy razie możesz by¹æ spokojny. Nie jest to kobieta, ale żywa statua; nie widzia³aby was, nie s³ysza³a, nie wiedzia³aby kto jeste¹æcie. Gdyby tu wesz³a, zasiad³aby przy ognisku, zabawi³aby dzień lub dwa, poczem zapaliwszy zgaszon¹ ga³¹ÿ, odesz³aby, aby znów b³¹ka³æ się z chaty do chaty. Takie jest jej ca³e życie... Ale tym razem nie pokazuje się już od tak dawnego czasu,

że prawdopodobnie nigdy tu już nie wróci. Jak oddawna rozum jej, tak i ona musia³a już przejść do krainy śmierci.

Balao Rao uzn³a, że nie ma co wspominać o tem bratu i sam nie przywi¹zywa³ już do tego żadnej wagi.

Miesiąc up³yn¹³ od czasu ich przybycia do paalu Tandit, a B³ędny Ognik ani razu nie pojawi³ się w dolinie Nerbuddy.

Rozdział XVI

BŁĘDNY OGNIK.

Nana Sahib ukrywa³ się w paalu przez ca³y miesiąc, od 12. marca do 12. kwietnia. Chcia³ wywieść w pole w³adze angielskie, aby zaprzesta³y poszukiwań lub zwróci³y je na fa³szywe tory.

Wprawdzie obaj bracia nie wychodzili we dnie, ale za to wierni ich towarzysze przebiegali wioski i siedziby, zapowiadaj¹c mieszkańcom w tajemniczych s³owach pojawienie się „potężnego mult” p³oboga, p³cz³owieka i przysposabiali umys³y do narodowego powstania.

Z zapadnięciem nocy Nana Sahib i Balao Rao opuszczali swoje schronienie, zapuszczaj¹c się aż na wybrzeża Nerbuddy. chodzili od wsi do wsi, od paalu do paalu, oczekuj¹c chwili w której bez wielkiego niebezpieczeństwa b¹ mogli występować w posiad³ościach rad³ów, zawojowanych przez Anglików. Nana Sahib wiedzia³ dobrze, że wielu w³niezależnych rad³ów, nienawidz¹cych obcego jarzma, ch¹nie się z nim p³oczy, aby je z siebie zrzucić. Teraz jednak pragn¹³ najpierw pozyskać sobie ludność Gudwany.

Nadzieje go nie zawiod³y Barbarzyńscy Bilowie, koczuj¹cy Kundysi i Gundowie, wszyscy prawie równie dzicy jak polinezyjscy ludożercy gotowi byli do powstania na każde jego wezwanie. Przez przorność da³ się poznać tylko kilku wodzom najpotężniejszych plemion, móg³ jednak przekonać się, jak wielki w³yw wywiera³ sam już urok jego nazwiska na miliony Hindusów, zamieszkuj¹cych w³ętrze wy³yn Hindostanu.

Za powrotem do paalu, obaj bracia opowiadali sobie o wszystkim co widzieli, s³yszeli lub zrobili. Wracaj¹cy ze swych wycieczek towarzysze zapewniali ich, że duch buntu przeci¹ga³ jak burzliwy wiatr ponad dolin¹ Nerbuddy. Gundowie nie pragn¹li niczego goręcej, jak z swoim wojennym góralskim okrzykiem „kisri” rzucić się na wojskowe obozy prezydentury.

Ale odpowiednia chwila jeszcze nie nadesz³a. Nie do³ać by³o podburzyć ludność mieszkaj¹c¹ między górami Sautpurra i Vindhya, trzeba by³o, aby wzniecony po³zar szerzy³ się coraz dalej, aby wsie i miasta Bopalu, Malwy i Bundelkundu i rozleg³e królestwo Scindia, sta³y się jakby niezmiernym stosem po³arnym, czekaj¹cym tylko podpalenia. Ale pod tym wzgl¹dem przorny Nana Sahib nie chcia³ spuścić się na nikogo i pragn¹³ osobiście odwiedzić dawnych stronników powstania z 1858 roku, którzy nie wierzyli wcale w jego śmierć i spodziewali się, że lada dzień się uka³e.

W miesi'c po przybyciu do paalu Tandit, Nana Sahib uzna³, że może rozpocząć dziełanie; s'dzi³, że do tego czasu musiano uważać za fa³szyw¹ pog³oskê o pojawieniu się jego w prezydenturze. Wierni sprzymierzeńcy zawiadamiali go o wszystkich postanowieniach gubernatora z Bombaju, wydawanych w celu schwytania go. Rybak z Aurungabadu, dawny jeńiec Nany, pad³ pod morderczym jego ciosem i nikt się nie domyśla³, że uciekaj¹cy fakir by³ to nabob Dandu Pant, na którego g³owê na³ożono cenê. W tydzień póŹniej pog³oski ucich³y, pragn¹cy otrzymać 2000 funtów nagrody stracili wszelk¹ nadzieję o Nana Sahibie przestano mówić.

Nabob mógł³ zatem odbywać swe powstańcze wycieczki, nie obawiaj¹c się być poznanym. Przywdziewa³ ubiór gwebra, już to prostego rajota i sam lub z bratem zaczą¹³ zapuszczać się ku pó³nocy, na drug¹ stronê Nerbuddy, a nawet aż po zachodnie stoki gór Vindhya.

Szpieg, któryby śledzi³ wszystkie jego kroki, zaraz po 12. kwietnia znalaz³by go w Indorze, w stolicy królestwa Holkaru. Tu, zachowuj¹c najœcielejsze incognito, Nana Sahib znosi³ się z liczn¹ ludnoœci¹, zajê¹ w polach upraw¹ maku. Pod szat¹ hinduskiego wieœniaka ukrywali się tu zbiegowie z szeregów armji krajowców, Sipaje i inni dzielni i odważni fanatycy. – Stamt¹d dosta³ się do Suari, gdzie wznosz¹ się bardzo ciekawe starożytnie budowle. S¹ to tak zwane „topes”, grobowce, pokryte pó³kolistymi kopu³ami, tworzący g³ówn¹ grupê Saldhary w pó³nocnej stronie doliny.

Z tych grobowych pomników, z tych mieszkań umar³ych w których o³tarze poświęcone buddyjskim obrz¹dkom pokryte s¹ jakby kamiennymi parasolami, z tych mogi³ próżnych od tylu wieków, na g³os Nany Sahiba wysz³y setki zbiegów, ukrywaj¹cych się w tych ruinach przed strasznym odwetem Anglików; doœć by³o objaœnienia jednym s³ówkiem czego nabob od nich Ź¹da, a najniezawodniej na jedno skinienie zerwaliby się jak jeden cz³owiek, aby walczyć z najeŹdcami.

Dnia 30. kwietnia Nana Sahib po³czy³ się z bratem, któremu towarzyszy³ Kalagani, i dali się poznać wodzom plemion, których wiernoœci byli pewni. Odbyli wspólne narady o wybuchu i kierunku powstania i po d³ugich rozprawach postanowiono, że Nana Sahib i Balao Rao dziełać béd¹ na pó³udniu, a sprzymierzeńcy ich na pó³nocnych stokach gór Vindhya. Przed powrotem do doliny Nerbuddy chcieli obaj bracia zwiedzić królestwo Pannah. Udali się tam brzegiem rzeki Keyne, pod dachem olbrzymich „teków”, kolosalnych bambusów i nieprzebitej g¹szczy roœlin pn¹cych i ljan, pokrywaj¹cyah sw¹ bujn¹ wegetacj¹ ca³e Indje. Tu pozyskali dla buntu ubog¹ ludnoœć robotnicz¹, zajê¹ przy eksploatacji okolicznych kopalń djamentowych dla tamtejszego rad¹y. Rad¹a ten pogodzi³ się z swoim losem, narzuconym mu przez Anglików i wola³ być bogatym w³œcicielem dóbr, niż księciem bez w³adzy. A maj¹tek jego by³ naprawdê olbrzymi. Jego obszar djamentowy rozci¹ga³ się w pó³nocnej czêœci Panny na przestrzeni 30 kilometrów a przy wydobywaniu djamentów z jego kopalń, które w Benares i Allahabad bardzo ceniono, zatrudnia³ bardzo wielk¹ iloœć Hindusów. Wœród tych nieszczęœliwców, którzy musieli pracować z najwiêkszym wysi³kiem i których rad¹a kaza³ poprostu zabijać, jeżeli wydajnoœć kopalń się zmniejsza³a, musia³ Nana Sahib znaleźć tysi¹ce zwolenników, którzy byli zdecydowani walczyć i umrzeć za sw¹ ojczyznê i znalaz³ ich w rzeczywistoœci.

Zwiedzwszy inne jeszcze okoliczne miejscowoœci, dwaj bracia postanowili wrócić do paalu Tandit i tylko jeszcze po drodze wst¹pić do Bopalu, by go pozyskać dla powstania. Jest to znaczne miasto muzu³mańskie, stolica islamu w Indjach, którego „begum” pozosta³a wiern¹ Anglikom przez ca³y czas powstania.

Nana Sahib i Balao Rao przybyli do Bopalu w towarzystwie dwunastu Gundów dnia 24. maja; by³ to ostatni dzień uroczystości „Moharum”, któr¹ muzumanie odprawiaj¹ na cześć nowego roku. Obaj przywdziali ubiór „joguisów”, tych strasznych żebraków, uzbrojonych w sztylety z zaokr¹glonym ostrzem, któremi w szale zadaj¹ sobie rany, niebardzo jednak bol¹ce ani niebezpieczne.

Nie³atwi do poznania w tem przebraniu, szli za procesj¹ przez ulice miasta, wśród wielkiej liczby s³oni d¹wigaj¹cych tak zwane „tadžias”, rodzaj ma³ych ćwi¹tyń, wysokich na 20 stóp. Tu przy³czali się ju¹to do gromadek muzumanów, strojnych w bogate z³otem haftowane szaty i muślinowe zawoje, to do muzykantów, ¹o³nierzy, bajader, m³odzieńców poprzebieranych za kobiety; tak dziwna, różnorodna mieszanina nadawa³a ca³ej uroczystości cech¹ jakby karnawa³owej maskarady. Wśród tych licznych t³umów napotykali znacz¹ liczb¹ wiernych sprzymierzeńców i mogli niespostrzeżenie zamieniać z nimi pewne umówione znaki, zrozumia³e tylko dawnym powstańcom z 1857 roku.

Z nadejściem wieczora ca³y ten t³um zwróci³ się ku jezioru, znajduj¹cemu się za wschodniem przedmieściem miasta. Tam, w pośród og³uszaj¹cych wrzasków, wystrza³ów, ćwistu petard i blasku tysi¹ca pochodni, fanatyczny t³um wrzuci³ „tadžiasy” w fale jeziora; uroczystość Moharum skończy³a się.

W tejże chwili Nana Sahib uczu³, że ktoś po³o¹ły³ mu rękę na ramieniu; odwróci³ się, jakiego Bengalczyk sta³ obok niego. Pozna³ w nim jednego z dawnych towarzyszy broni z pod Lucknowa; zapyta³ go spojrzeniem.

Bengalczyk szepn¹³ mu kilka s³ów do ucha; twarz Nany Sahiba nie zdradzi³a jednak silnego wrażenia, jakie na nim wywar³y:

– „Pu³kownik Munro opuści³ Kalkuttę” – powiedział³ mu Bengalczyk.

– Gdzie jest?

– Wczoraj by³ w Benares.

– Dok¹d zamierza się udać?

– Do granic Nepalu.

– W jakim celu?

– Chce zabawić tam kilka miesięcy

– A następnie?

– Zamierza wrócić do Bombaju.

Wtem rozleg³ się gwizd w powietrzu; niebawem jakiego Hindusa wysun¹³ się z t³umu i zbliży³ się do naboba; by³ to Kalagani.

– „IdŹ natychmiast, staraj siê dopêdziaæ pu³kownika Munro, udaj¹cego siê na pó³noc i jakimb¹dŹ sposobem przy³¹czyæ do jego orszaku, choœby ci to przysz³o okupiaæ Źyciem. Nie odstêpuj go dopóki nie minie g³r Vindya i nie dotrze aŹ do doliny Nerbuddy. Wtedy, ale wtedy dopiero, opuœcisz go i dasz mi znaæ, gdzie siê znajduje.

Kalagani odpowiedzia³ skinieniem g³owy i znik³ w t³umie. Jedno spojrzenie naboba by³o dla niego nieodwo³alnym rozkazem. W dziesiêæ minut potem opuœci³ Bopal.

Balao Rao zbliŹy³ siê do brata, mówi¹c:

– Czas nam juŹ odejœæ.

– Tak, musimy przededniem wróciaæ do paalu Tandit, – odrzek³ nabob.

Obydwaj wraz z towarzyszami zwrócili siê ku pó³nocnemu wybrzeŹu jeziora i szli niem aŹ do pewnej odosobnionej zagrody, gdzie czeka³y na nich konie. By³y to nader bystre i silne rumaki, którym Hindusi daj¹ bardzo korzenn¹ strawê; s¹ one w stanie przebyæ 50 mil angielskich w ci¹gu jednej nocy. O godzinie ósmej pêdzili drog¹ wiod¹c¹ z Bopalu ku g³oram Vindya.

Przezornoœæ nakazywa³a nabobowi przybyæ do paalu Tandit przed œwitem, aby nie dostrzeŹono przejazdu jego przez dolinê. Pêdzili wiêc co koñ wyskoczy.

Nana Sahib i Balao Rao jechali obok siebie milcz¹c, obaj zajêci jedn¹ myœl¹. Wracali z wycieczek swoich wiêcej jak z nadziej¹, z pewnoœci¹, Źe dla swej sprawy zjednali licznych stronników. Ca³a ludnoœæ p³askowoyŹu œrodkowych Indji czeka³a tylko umówionego znaku; oddzia³y wojska porzrucane na tak rozleg³ej przestrzeni nie zdo³aj¹ odeprzeæ pierwszego zaraz napadu powstañców. Po ich wytêpieniu powstanie ogarnie ca³y kraj i wojska królewskie zostan¹ wymordowane przez miliony sfanatyzowanych Hindusów.

Obok tych wielkich planów, Nana Sahib myœla³ takŹe o szczêeliwym trafie, dziêki któremu bêdzie móg³ dostaæ w moc swoj¹ pu³kownika Munro. Pu³kownik opuœci³ przecie nareszcie Kalkuttê, w której nie móg³ go dosiêgn¹æ; odt¹d nabob bêdzie wiedzia³ o kaŹdym jego kroku. Kalagani potrafi sprowadziaæ go w dzikie okolice g³orskie, a tam wpadnie w jego rêce i nikt nie zdo³a uchroniaæ go od mêczarni, jak¹ gotuje mu zemst¹ Nany Sahiba.

Balao Rao nie wiedzia³ dot¹d nic, co Bengalczyk powiedzia³ jego bratu; dopiero dojeŹdŹaj¹c do paalu Tandit, w chwili gdy zatrzymali siê, aby daæ nieco wytchn¹æ koniom, Nana Sahib rzek³ do niego:

– Pu³kownik Munro opuœci³ Kalkuttê i zmierza ku Bombajowi.

– AleŹ droga do Bombaju ci¹gnie siê aŹ do wybrzeŹy Oceanu Indyjskiego! – zawo³a³ Balao Rao.

– Tym razem, droga do Bombaju doprowadzi tylko do g³ór Vindya! – odrzek³ Nana Sahib znacz¹co.

Balao Rao zrozumia³ tê odpowiedŹ

Konie puœci³y siê galopem wœród drzew wznos¹cych siê wzd³u¿ doliny Nerbuddy. By³a pi¹ta godzina rano; zaczyna³o dniaæ. Nana Sahib, Balao Rao i towarzyszy¹cy im Gundowie dojechali do krêtego ³o¿yska strumienia, doprowadzaj¹cego do paalu. Tu konie stanê³y; zostawiono je pod dozorem dwóch Gundów, maj¹cych odprowadziæ zmêczone rumaki do najbli¿szej wioski. Dwaj bracia i pozostali towarzysze zapuœcili siê w ciasne i krête ³o¿ysko.

G³êboka cisza panowa³a doko³a; pierwsze szmery dzienne nie zak³óca³y jeszcze nocnego spokoju. Wtem nagle rozleg³ siê wystrza³ a za nim coraz inne, którym towarzyszy³y okrzyki:

– Wiwat! wiwat! dalej, naprzód!

Ukaza³ siê oficer, a za nim 50 ¿o³nierzy armji królewskiej.

– Ognia! – zakomenderowa³, – niech ani jeden nie ujdzie!

I znowu rozleg³y siê celne strza³y wymierzone do gromadki Gundów, otaczaj¹cych Nanê Sahiba brata jego. Pad³o piêciu czy szeœciu Hindusów, inni rzucili siê w ³o¿ysko Nazuru, którym dostali siê do lasu.

– Nana Sahib! Nana Sahib! – wo³ali Anglicy, zapuszczaj¹c siê w w¹wóz. Wtedy jeden ze œmiertelnie ugodzonych podniós³ siê i zaciskaj¹c wzniesione d³onie, krzykn¹³:

– Œmieræ najeŸdzcom!

Wymówi³ to strasznym, przera¿aj¹cym g³osem i pad³ martwy.

– Jest to rzeczywiœcie Nana Sahib? – zapyta³.

– Tak, to on, – odpowiedzia³o dwóch ¿o³nierzy z oddzia³u, którzy doskonale znali naboba, poniewa¿ dawniej stall garnizonem w Kanpurze.

– W pogoñ za innymi! – zawo³a³ oficer i ca³y oddzia³ puœci³ siê w las w œlad za Gundami.

Zaledwie znikli w lesie, gdy jakœ cieñ zacz¹³ schodziæ ze ska³y, na której sta³ paal. By³ to B³êdny Ognik; mia³a na sobie d³ug¹ szar¹ szatê, przewi¹zan¹ w pasie sznurem.

W przeddzieñ wieczorem, ob³¹kana ca³kiem mimowolnie s³u¿y³a za przewodnika oficerowi angielskiemu z jego oddzia³em. Przybywszy dnia tego w dolinê, machinalnie zmierza³a ku paalowi, wiedziona jakimœ tajemnym instynktem. Tym razem jednak, dziwna ta istota powszechnie uwa¿ana za niemowê, szepta³a raz po raz jeden, jedyne wyraz, nazwisko mordercy z Kanpuru.

– Nana Sahib! Nana Sahib! – powtarza³a, jak gdyby niepojêtem jakimœ przecuciem obraz naboba zbudzi³ siê w jej pamiêci i stawa³ przed jej oczyma.

Oficer drgn¹³, us³yszawszy to nazwisko i odt¹d krok w krok szli za ob³¹kan¹. Co do niej, zdawa³o siê, ¿e nie widzi ani jego ani ¿o³nierzy; tak doszli do paalu. Czy¿by tu ukrywa³ siê nabob, na którego g³owê na³o¿ono tak wielki okup? pomyœla³ oficer, przedsiêwzi¹³ odpowiednie œrodki, kaza³ strzec

³o³yska Nazuru i cicho oczekiwaa^æ dnia. Gdy Nana Sahib ze swymi Gundami zapuœci³ siê w w¹wóz, dano ognia, celne strza³y ugodzi³y kilku szeregowych i samego przywódcê buntu Sipajów.

Tego³ dnia telegram zawiadomi³ gubernatora prezydentury Bombaju o tej potyczce: dzieniki roznios³y niebawem tê wiadomoœæ po ca³ym pó³wyspie i pu³kownik Munro wyczyta³ j¹ w gazecie w Allahabad z dnia 26. maja.

Tym razem nie mo³na by³o pow¹tpiewaa^æ d³u³ej o œmierci Nany Sahiba. Stwierdzono jego to³samoœæ i dzieniki mog³y pisa^æ na pewnej podstawie: „Odt¹d Indje nie potrzebuj¹ ju³ obawia^æ siê okrutnego rad³y, który by³ przyczyn¹ tak ogromnego rozlewu krwi i dopuœci³ siê tylu tak strasznych mordów”.

Opuœciwszy paal, ob³¹kana zesza w ³o³ysko Nazuru; zdawa³o siê, ³e z jej b³êdnych oczu buchaj¹ p³omienie wewnêtrznego ognia nagle w niej roz³arzonego, a usta ci¹gle powtarza³y machinalnie nazwisko naboba.

Tak dosza do miejsca, gdzie le³eli zabici; tu zatrzyma³a siê przed tym, w którym ³o³nierze poznali Nanê Sahiba. Twarz poleg³ego napiêtnowana by³a przera³aj¹cym wyrazem gro³by; zdawa³oby siê, ³e ten co ³y³ tylko zemst¹ i dla zemsty, po œmierci nawet nie przesta³ nienawidzie^æ.

Ob³¹kana uklêk³a przy nim i po³o³y³a rêce na przestrzelonem ciele, a krew p³yn¹ca z ran zboczy³a jej odzie³. D³ugo wpatrywa³a siê w niego, potem wsta³a poruszaj¹c przecz¹co g³ow¹ i posza wolno ³o³y³skim strumienia.

Ale teraz B³êdny Ognik szza znów jak zawsze bezmyœlnie i obojêtna na wszystko, oczy przesta³y b³yszcze^æ, usta nie powtarza³y z³owieszczonego nazwiska Nany Sahiba.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II

Rozdział I

NASZE SANATORJUM.

„Niezmierzoność wszechświata!” Wyborne to określenie, którego mineralog Hauy użył, opisując amerykańskie Andy, czyż nie dałoby się lepiej jeszcze zastosować do łańcucha gór Himalaja, których ogromu człowiek nie doświadczył jeszcze wymierzając z matematyczną precyzją?

Takie to uczucie budzi widok przyrody w tych niezmiernych wysokościach, gdzie mieliśmy pozostać kilka tygodni.

– Himalaje nie tylko nie dadzą się wymierzyć, tłumaczy nam Banks, ale nadto szczyty ich są niedostępne dla ludzi, ponieważ organizm nasz nie może być czynnym na takich wysokościach, gdzie powietrze jest za rzadkie do oddychania. Zdaje się więc, że nigdy najmilszy nawet człowiek nie doświadczył na najwyższym wierzchołku tego łańcucha.

Góry Himalaja są to skały z granitu, gnejsu, łupki mikowej, drugie na dwa tysiące pięćset kilometrów, od 72 południka do 95, ciągną przez dwie prezydentury: Agra i Kalkutta, dwa królestwa: Bouthan i Nepal – łańcuch, którego średnia wysokość jest wyższa o jedną trzecią od szczytu Mont-Blanc i obejmuje trzy różne strefy: pierwszą wysoką na 5 tysięcy stóp, gdzie w zimie dojrzewa zboże a w lecie ryż; drugą od pięciu do dziewięciu tysięcy stóp, gdzie śniegi topnieją na wiosnę; a trzecią od 9 tysięcy do 25 tysięcy stóp, pokrytą wiecznym lodem, który nawet w goręcej porze opiera się promieniom słonecznym; przez tę wyniosłość ziemi przeprowadza jedyną drogę do Tybetu, które wszystkie grożą niebezpieczeństwem i tylko z wielkimi trudnościami mogą być przebyte z powodu swych lawin i lodowców.

Ponad łańcuchem wznosi się siedem czy ośm osobnych szczytów ostrych, kończastych, wyższych nad 7 tysięcy metrów mieści w sobie Źródła Kogry, Jumy i Gangesu; są to Donkia i Kindżindżinga po 7000 m., Dhoudounga ośm tysięcy metrów, Dhawalagiri ośm tysięcy pięćset a szczyt Mount Everest na dziesięć tysięcy metrów. Jest to wysokość, z której wzrok patrzącego mógłby objąć obszar o takiej mniej więcej wielkości jak cała Polska.

Tak jest wysokość tego łańcucha, że gdyby zostały Alpy jeszcze na Alpy, Pireneje na Andy, toby jeszcze go nie przewyższyły.

Taki to olbrzym! a szczytu jego prawdopodobnie nie dotknie noga najmilszego nawet podróżnika. To są Himalaje!

– Więc olbrzymi ten łańcuch gór jest jeszcze niedokładnie zbadany? – zapytał.

– Tak – odrzekł inżynier. Himalaje są jakby rodzajem małej planety przyklepionej do naszego świata i nie chcę zdradzić swych tajemnic.

– Jednakże byś zwiadał o ile to doświadczyłoby o możliwym – odrzekł.

– Tak, nie zabrak³o podró¿ników, którzy mieli odwagê wdzieraæ siê na te prawie niedostêpne góry dla zdjêcia ich dok³adnych wymiarów i tak: Bracia Gerard, Webb, oficerowie Kirpatrik i Fraser, Hogdson, Herbert, Lloyd, Hooker, Cuningham, Strabing, Skinner, Johnson, Moorcroft, Themson Griffith, Vigne, Hugel, misjonarze Huc i Gabet, a w najnowszych czasach bracia Schlagintweit, pu³kownik Wangh, porucznicy Reuiller i Montgomery. Wed³ug nich najwy¿sz¹ z ca³ego ³añcucha a wiêc i na œwiecie jest góra Mount Everest; jednak¿e wtedy dopiero mo¿naby wymiary uwa¿aæ za matematyczne, gdyby zosta³y zdjête barometrycznie, a jak¿e¿ tego dokonaa skoro dot¹d nikt nie zdo³a³ wdrzeæ siê na najwy¿szy szczyt z barometrem w rêku.

– Ale nast¹pi to niezawodnie! zawo³a³ z zapa³em kapitan Hod, zarówno jak przyjdzie do tego, ¿e bêdziemy odbywali podró¿e do obu biegunów, pó³nocnego i po³udniowego.

– Niezawodnie!

– Zwiedzali najg³êbsze otch³anie oceanu!

– Bezw¹tpienia!

– Podró¿owali bezpiecznie do œrodka ziemi!

– Brawo Hod!

– A nawet odbywali podró¿ do ka¿dej z planet systemu s³onecznego! – wo³a³ kapitan Hod, którego nic nie mog³o wstrzymaæ w pêdnie fantazji.

– O, nie kapitanie – rzek³em – cz³owiek jak zwyk³y œmiertelnik i mieszkaniec ziemi, nie potrafi wznieœæ siê poza jej granice! Lecz poniewa¿ przykuty jest do jej skorupy, to niech¿e zna wszystkie jej tajemnice.

– Tak, to mo¿e i powinien! – odpar³ Banks. Wszystko co jest w granicach mo¿liwoœci mo¿e i powinno byæ zbadane; a póŹniej, gdy cz³owiekowi nic ju¿ nie pozostanie do badania na kuli ziemskiej...

– Zniknie razem z sferoid¹, która ju¿ nie bêdzie mia³a dla niego tajemnic – odpar³ kapitan Hod.

– O wcale nie! – przerwa³ Banks, ale bêdzie panowa³ nad ni¹ i potrafi wyci¹gn¹æ wiêksze korzyœci, ale te przypuszczenia zostawmy przysz³oœci. Poniewa¿ jednak jesteœmy obecnie w strefach himalajskich, wska¿ê ci kapitanie bardzo ciekawe i zajmuj¹ce do zrobienia odkrycie.

– Jakie¿ to, przyjacielu? – zapyta³ zaciekawiony.

– Misjonarz Huc wspomina w swoich opisach podró¿y o nadzwyczaj osobliwym drzewie, które w Tybecie nazywaj¹ „drzewem dziesiêciu tysiêcy obrazów”. Wed³ug legendy hinduskiej, Tong Tabok, reformator religii hinduskiej, zosta³ zamieniony w drzewo, a jego w³osy przemieni³y siê w liœcie tego œwiêtego drzewa, a na tych liœciach – misjonarz Huc zarêcza – ¿e widzia³ w³asnymi oczyma, lekkie delikatne ¿y³ki tworz¹ce wyraŹne napisy w tybetañskim jêzyku.

– Co! – zawo³a³em zdziwiony – widzia³ drzewo z drukowanemi liœciami?

– Tak – odrzek³ inżynier – drzewo, na którego liœciach s¹ jakby wydrukowane sentencje najczystszej moralnoœci.

Wartoby je sprawdziæ – rzek³em œmiej¹c siê.

– A wiêc sprawdzajcie kochani przyjaciele – powiedzia³ Banks. Jeœli takie drzewa istniej¹ w po³udniowej czêœci Tybetu, powinnyby tak¿e rosn¹æ i w wy¿szych strefach, na po³udniowych stokach Himalajów – mo¿ecie wiêc podczas waszych wycieczek szukaæ tego... jak¿e powiedzieæ... „moralisty”.

– K³aniam siê uni¿enie! – wo³a³ kapitan – przyby³em tu polowaæ a nie zaœ wdzieraæ siê na góry.

– Ej! przyjacielu – odrzek³ Banks, pewnie nie obejdzie siê bez tego ¿ebyœ choæby raz nie wdziera³ siê na góry.

– Nigdy, przenigdy! – odrzek³.

– A to dlaczego?

– Wyrzek³em siê zupe³nie drapania siê na góry.

– I odk¹d¿e to?

– Od owego dnia, kiedy ze dwadzieœcia razy ledwie nie skrêciwszy karku, zdo³a³em nareszcie wdrzeæ siê na szczyt góry Vrigel w królestwie Butanu. Twierdzono, ¿e ¿adna ludzka istota nie dotknê³a go jeszcze swemi stopami, mi³oœæ w³asna dodawa³a mi bodŸca, pragn¹³em pierwszy tego dokazaæ. Otó¿ wiecie co ujrza³em, stan¹wszy nareszcie u szczytu po przebyciu najgroŸniejszych niebezpieczeñstw?... otó¿ nastêpuj¹cy napis wyryty na skale: „Durand, dentysta, Pary¿, przy ulicy Caumartin, Nr. 14”. Od owej chwili przesta³em wdzieraæ siê na góry.

Pocziwy kapitan opowiada³ to z tak¹ pocieszn¹ min¹, ¿e niepodobna by³o wstrzymaæ siê od œmiechu.

Na pó³wyspie urz¹dzane s¹ w górach tak zwane „sanatorja”, stacje te s¹ nadzwyczaj uczêszczane podczas letniej kaniku³y przez bogatych kapitalistów, urzêdników i przemys³owców indyjskich, uciekaj¹cych od skwarów letnich panuj¹cych na równinach.

Do najznacniejszych z nich zalicza siê Simla. Jest to istna Szwajcarja ze swemi strumieniami, potokami i namiotami, rozrzuconymi pod cieniem ogromnych sosen i cedrów, dwa tysi¹ce metrów ponad powierzchni¹ morza.

Druga z kolei jest Dorjiling, le¿¹ca w przecudnem po³o¿eniu u stóp Kind¿ind¿ingi, piêæset kilometrów na pó³noc od Kalkuty; jest to jedno z najrozkoszniejszych miejsc na œwiecie. Podobnych sanatorjów jest bardzo wiele rozrzuconych w ró¿nych punktach gór himalajskich. Teraz przybywa³ do nich nasz Steam-House. Banks urz¹dzi³ wygodny kilkotygodniowy pobyt w górach zdala od ha³asu

Simli i Dordjilingu.

Wybrano cudowne miejsce. Na jednej z wyniosłości rozciąga się płaszczyzna prawie milę długo, a pół mili szeroka, pokryta kobiercem najpiękniejszej zieleni, ubarwionym bukietami fiołek. Rododendrony wielkości maczuch dębów i kamelie tworzą razem jakby najpyszniejsze klomby.

Tu natura nie potrzebuje pilnych robotników z Ispahanu lub Smyrny, by sporządzić ten zielony kobierzec z delikatnej roślinnej wełny. Parę tysięcy zarodków roślinnych naniesionych powolnym wiatrem, odrobina wody i trochę słońca wystarczą do utworzenia tej niezniszczalnej roślinnej tkaniny.

Grupy wspaniałych drzew porastają na tej równinie i zdają się jakby jakoby jakoby mała wedeta odcięta od armii ogromnych lasów pokrywających boki gór; cedry, dęby, pandanusy z ogromnymi liśćmi, klony, buki łączy się z bananami, magnoliami, japońskimi figami.

Niektóre z tych olbrzymów wznoszą swe konary wyżej jak sto stóp od ziemi – zdaje się jakby stała tu na to, by jakiegoś leśnego mieszkania ocienić; a oto wzniesienie Steam-House nadciągnęło, by uzupełnić ten krajobraz. Jego doskonale zaokrąglony dach odbija się na tle tej zieleni liści i gałęzi to cienkich i delikatnych o listkach malutkich i przejrzystych jak skrzydła motyli, to znowu długich i szerokich jak wiosła indyjskie. Wozy i maszyna ukryły się w gęstwinie zieleni i kwiatów, nic nie zdradza, że to wędrowny dom, ale zdają się, że to stała osada, przyrosła do ziemi, tak by nigdy już nie zmieniać położenia.

Trochę w tyle, szmerzący strumyczek srebrzy się i rozwija po prawej stronie obrazu, rzucając się wkońcu w kotlinę, którą ocieniają grupy drzew.

Z tej kotliny wypływa znowu, przepływa ścieka i kończy się szumiącym wodospadem rzucającym się w przepaść, której głębokości już oko ludzkie nie dojrza.

Tak oto umieściliśmy Steam-House dla naszej wygody i dla rozveselenia oczu.

Na prawo stał pierwszy dom i był tak zwrócony, że balkon werandy, okna salonu, jadalni i reszty wychodziły ku północy, gdzie w dali rysowały się czarnym szlakiem olbrzymie cedry na tle górskiego szczytu, pokrytego wiecznym cieniem.

Na lewo o dwadzieścia kroków od pierwszego, umieszczono drugi dom oparty o skały granitowe ozdobne promieniami słońca, tam rezydował Mac Neil i jego towarzysze; z komina wije się niebieski dymek, bo pan Parazard pracuje w swoim kuchennym laboratorium. W gębi między temi dwoma mieszkaniami stoi jakiegoś olbrzymi przedpotopowy zwierz – to nasz słoń stalowy.

Ustawiono go pod zielenią, z traw wzniesioną; myślałby kto, że gryza wysokie gałęzie – lecz on się nie rusza – wypoczywa i strzeże naszej zagrody. Pomimo olbrzymich rozmiarów wydaje on się wobec góry, która wznosi się o 6 tysięcy metrów ponad naszą równiną wcale nie wielkim.

– Jak mucha na fasadzie katedry! – zawołał kapitan łącznie.

– Istotnie – poza nim wznosi się bryła granitu, z której można wykłuć tysiące takich słoń jak

nasz, a bry³a ta jest tylko stopniem pośród tylu innych, które jak schody prowadzi¹ aż do szczytu ³ańcucha, nad którym króluje szczytem swoim kończasty olbrzym Dhawalagiri!

Czasami mg³y napędzone wilgotnymi wiatrami roz³o¹ się nad nasz¹ równin¹, a wtenczas oko dostrzega tylko morze chmur, na których powierzchni promienie s³ońca odbijaj¹ się dziwnymi barwami, wtenczas tak w górze jak w dole znika horyzont i zdaje się, że jesteśmy zawieszeni gdzieś w jakichś nadpowietrznych sferach między ziemi¹ i niebem. Ale wnet wiatr się zmienia, północny ch³ód przedziera się szczelinami ³ańcucha, wymiata wszystkie mg³y, morze pary rozchodzi się, a wznios³e szczyty Himalajów rysuj¹ się przedtem na oczyszczonym horyzoncie, ramy krajobrazu rozszerzaj¹ się a wzrok obejmuje znowu horyzont na przestrzeni 60 mil.

Rozdzia³ II

MATEUSZ VAN GUITT.

Nazajutrz, by³o to 26. czerwca, odg³os dobrze znanych mi g³osów obudzi³ mnie równo ze świtem. Wsta³em natychmiast.

Kapitan Hod i jego s³u¹cy Fox rozmawiali bardzo żywo w jadalnej sali. Podszed³em do nich. Za chwilę przyszed³ i Banks.

– Dzień dobry Banksie – zawo³a³ kapitan – wszak teraz już nie na chwilowy tylko wypoczynek, ale zatrzymamy się tu na kilka tygodni.

– Tak przyjacielu – odrzek³ inżynier, możesz urz¹dzać sobie choćby najd³u¹ższe polowanie, świst Olbrzyma Stalowego nie wezwie cię do powrotu.

– Czy s³yszysz, Foxie?

– S³yszê – panie kapitanie.

– Niech miê!... zawo³a³ kapitan, jeżeli opuśc³ê nasze sanatorium przed ubiciem pięćdziesi¹tego tygrysa. Ale wiesz co Fox, zdaje mi się, że ten pięćdziesi¹ty najtrudniejszy będzie do wytropienia.

– Wytropimy go jednakże panie kapitanie.

– Sk¹d¹że tak wnosisz kapitanie? – zapyta³em.

– Sam nie wiem, Mauclerze – jest to przecucie myśliwego, nic więcej.

– Więc dzieć zaraz udajesz się na polowanie? – zapyta³ Banks.

– Tak jest, trzeba najpierw zbadać grunt... czy tylko tygrysy nie wyemigrowa³y z tych okolic.

– Tygrysy mia³yby opuścić okolice Himalajów!... to jest niepodobieństwem – rzek³ Banks.

– Od jakiegoœ czasu nie mam szczêœcia... ale zobaczymy... Czy pójdiesz z nami Maucler? – doda³ kapitan, zwracaj¹c siê do mnie.

– A jak¿e, – odpowiedzia³em.

– A ty Banksie?

– Pójdê i s¹dzê, ¿e i pu³kownik Munro przy³czy siê do wyprawy – ale w charakterze amatora – tak jak ja.

– Dobrze, – odrzek³ kapitan – tylko zastrzegam sobie, ¿eby amatorowie byli dobrze uzbrojeni; nie chodzi tu przecie o przechadzkê z laseczk¹ w rêku, by³oby to ubli¿eniem dla dzikich zwierz¹t tej okolicy.

– Zgoda, – odrzek³ in¿ynier.

– Nie omyl¿e siê tym razem, – rzek³ kapitan do Foxa, – nie zapominaj, ¿e jesteœmy w krainie tygrysów. Przygotuj cztery karabiny Enfielda, dla pu³kownika, dla panów Banksa i Mauclera, oraz dla mnie, a nadto dwie dubeltówki z kulami wybuchaj¹cemi, dla ciebie i dla Gumi’ego.

Dzieñ ten mieliœmy poœwiêciæ rozpoznaniu lasu Tarryani, roz³o¿onego poni¿ej naszego sanatorium. Oko³o jedenastej po œniadaniu, opuœciliœmy Steam-House, pu³kownik, Banks, kapitan, ja, Fox i Gumi. Sier¿ant Mac-Neil, Storr, Kalut i kucharz pozostali w obozowisku dla dokoñczenia urz¹dzeñ.

Po dwumiesiêcznej podró¿y trzeba tak¿e by³o starannie zrewidowaæ i oczyœciæ Stalowego Olbrzyma, a nie by³o to ³atwym zadaniem dla palacza i maszynisty.

O wpó³ do pierwszej doszliœmy do krañca wy¿szej czêœci lasu, rozmawiaj¹c weso³o.

– Bacnoœæ! – zawo³a³ nagle kapitan Hod; – wkraczamy w dziedzinê tygrysów, lwów, panter, lampartów i innych równie szanownych zwierz¹t strefy himalajskiej! Dobrze jest têpiaæ dzikie zwierzêta, ale lepiej jeszcze nie daæ siê im rozszarpaæ, dlatego b¹dŹmy przezorni i nie oddalajmy siê od siebie.

Taka przestroga z ust równie œmia³ego myœliwca zas³ugiwa³a na uwagê; to te¿ obejrzelicoœmy broñ i ³adunki, aby nie daæ siê zaskoczyæ napadowi. Dodaæ trzeba, ¿e nale¿a³o siê obawiaæ nie tylko dzikich zwierz¹t, ale i wê¿ów, których najniebezpieczniejsze rodzaje kryj¹ siê w indyjskich lasach. Wê¿e zwane „belonga” oraz wê¿e-bicze i wiele innych s¹ nadzwyczaj jadowite; szœæ razy wiêksz¹ jest liczba osób, które corocznie staj¹ siê ofiar¹ ich uk¹szeñ, ni¿ liczba osób i zwierz¹t domowych, po¿artych przez dzikie zwierzêta. Przewornoœæ nakazuje tedy przechodniom zwiedzaj¹cym te strony, patrzeæ uwa¿nie, gdzie maj¹ postawiæ nogê lub oprzeæ rêkê i nads³uchiwaæ najl¿ejszego szmeru wœród traw i liœci.

Milczenie zalega³o las, nie s³ychaæ by³o ryku, ale szerokie œwie¿e œlady odbite na drogach lasu, dowodzi³y bytnoœci krwio¿erczych zwierz¹t.

Nagle na skrêcie alei stanêlicemy us³yszawszy okrzyk id¹cego przodem kapitana. O jakie dwadzieœcia kroków, na polance otoczonej wielkimi pandanusami, sta³a jakaœ budowa szczególniejszego kszta³tu. Nie by³ to dom, bo nie by³o ani komina ani okien; nie barak myœliwski, bo nie mia³ odpowiednich strzelnic ani otworów; z pozoru wygl¹da³ jakby grób hinduski, ukryty w g³êbi lasu.

By³ to wielki szeœcian zbudowany z grubych pni utkwionych mocno w ziemiê, po³1czonych w górze grub¹ lin¹ z pn¹czów. Dach by³ tak¹e u³o¹ony z pni i nader mocno spojony z œcianami. Widocznie budowniczem tego schronienia chodzi³o o to, aby by³o nadzwyczaj trwa³e i mocne. Ponad dachem unosi³y siê ruchome Ÿerdzie, od jednej z nich spuszcza³a siê d³uga pêtlica, skrêcona z bardzo grubych pn¹czów.

– Co to mo¹e byæ? – zapyta³em.

– Jest to poprostu pu³apka – rzek³ Banks – przypatrzywszy siê dobrze, ale zgadnijcie sami, na jakie myszy nastawiona.

– A! ³apka na tygrysy! – zawo³a³ Hod.

– Tak – a wejœcie zamkniête tarcic¹ podtrzymywan¹ pêtlic¹ z pn¹czów zawar³o siê skutkiem tego, Ÿe jakieœ zwierz poruszy³ zewn¹trz tê tarcicê.

– Pierwszy raz w Ÿyciu napotykam podobn¹ ³apkê w lasach Indji – doprawdy to niegodne myœliwego – rzek³ Hod.

– Ani te¹ tygrysa – doda³ Fox.

– Tak, ale skoro chodzi o wytêpienie tych dzikich zwierz¹t a nie o polowanie dla przyjemnoœci, trzeba siê uciekaæ do œrodków najprêdziej prowadz¹cych do celu. A zdaje mi siê, Ÿe ta pu³apka wybornie siê do tego nadaje.

– A poniewa¹ naruszona jest równowaga tarcicy podtrzymuj¹cej drzwi, zapewne jakieœ zwierz musia³ wpaœæ w pu³apkê – rzek³ pu³kownik Munro.

– Zaraz przekonamy siê o tem – rzek³ Hod, a jeœli mysz Ÿyje jeszcze...

Tu kapitan zrobi³ ruch jakby mia³ wystrzeliæ z karabinu; wszyscy pochwyciliœmy za broñ. Wtedy kapitan, Fox i Gumi zbli¹yli siê, aby obejœæ pu³apkê; ale nigdzie nie by³o najmniejszej szpary, przez któr¹ mo¹naby zajrzeæ do œrodka. Zaczêli bacznie nads³uchiwaæ; wewn¹trz panowa³a cisza jak w grobie. Kapitan przy³o¹y³ ucho do zapad³ej tarcicy, zas³aniaj¹cej wejœcie.

– Najlêjszy szmer nie zdradza pobytu jakiejœ Ÿyj¹cej istoty; pu³apka jest pró¹na – rzek³ do nas.

– B¹d¹ jednak ostro¹nym – rzek³ pu³kownik Munro – i odsun¹wszy siê o parê kroków, usiad³ na pniu. Zaj¹³em miejsce obok niego.

– Do dzie³a, Gumi! – zawo³a³ kapitan.

Gumi by³ niski, zwiczny, zręczny jak ma³pa, giętki jak lampart i zrozumia³ od razu, czego kapitan ź¹da. Jednym skokiem by³ na dachu pu³apki, chwyci³ się jednej źerdzi i opuszczaj¹c się do wisz¹cej pętlicy, ca³ym ciężarem pochyli³ j¹ aź ku tarcicy zas³aniaj¹cej wejście i podnosz¹cej się do góry. Teraz potrzebowałicemy tylko wspólnymi si³ami poci¹gn¹æ za sznur w przeciwn¹ stronę, aby pętlica zahaczona o tarcicę podnios³a j¹ i ods³oni³a wejście.

– Jeżeli możecie obejść się bezemnie – rzek³ kapitan – pozostanę tu przed wejściem, aby w razie pojawienia się tygrysa, powitać go kul¹.

– A czy by³by policzony jako czterdziesty drugi? – zapyta³em.

– A czemużby nie, jeżeli wyszed³szy z pu³apki, wolny już pad³by od mojej kuli – odrzek³ kapitan.

– Nie ³apcie ryb przed niewodem – rzek³ pu³kownik, kto wie czy znajdziemy tam tygrysa.

Po wielkich usi³owaniach uda³o nam się o tyle podnieść bardzo ciężk¹ tarcicę, że zrobionym otworem mógłby przejść największy zwierz – ale żaden się nie pokaza³. Może pos³yszawszy ha³as oko³o pu³apki, skry³ się w jej najdalszy k¹t, upatruj¹c stosownej chwili, aby nagle wyskoczyć, obalić przeszkadzaj¹cego ucieczce i znikn¹æ w g³ębi lasu. By³o to bardzo możliwe. Kapitan zbliży³ się ku otworowi, trzymaj¹c palec na kurku od karabina, chc¹c zajrzeć do g³ębi pu³apki.

Tarcica by³a już zupełnie podniesiona do góry, a ówiat³o szeroko wpada³o do środka.

W tejże chwili da³ się słyszeć lekki szelest, potem g³uche chrapanie a raczej nadzwyczaj silne ziewnięcie, które wyda³o mi się jakoś podejrzanem. Widocznie zwierz jakiego spa³ w pu³apce i zbudziliemy go nagle.

Kapitan Hod podszed³ jeszcze kilka kroków ku otworowi, celuj¹c do czegoś ruszaj¹cego się w ciemności.

W tem da³ się słyszeć jakiegoś ruch we wnętrzu pu³apki; poczem rozleg³ się okrzyk przerażenia i jakiegoś człowieka wyskoczy³ z niej, wo³aj¹c po angielsku:

– Na mi³ość bosk¹! nie strzelać!

Niezmiernie zdziwieni, machinalnie opuściliemy sznur i zaraz tarcica opad³a z g³uchym ³oskotem, zas³aniaj¹c znów wejście.

Cz³owiek, który ukaza³ się tak niespodzianie, zbliży³ się do celuj¹cego do niego kapitana, mówić trochę poetycznym g³osem:

– Chciej pan opuścić broń, bo widzisz przecie, że nie masz do czynienia z tygrysem.

Po chwili wahania kapitan nada³ swemu karabinowi nie tak groźny kierunek.

– Z kimże mam zaszczyt mówić? – zapyta³ Banks – podchodź¹c ku nieznanemu.

– Nazywam się Mateusz Van Guitt i jestem głównym dostawcą gruboskórców, gadów, pająków i wszelkiego rodzaju dzikich zwierząt do menażerji w Londynie i w Hamburgu.

Poczęm zwracać się ku nam, dodać:

– A panowie?

– Pułkownik Munro i jego towarzysze podróży – rzekł Banks.

– A! – wybraliście się panowie na spacer po lasach Himalajów! – rzekł dostawca zwierząt. Nie ma co mówić, ośliczna przechadzka... Moje uszanowanie.

– Cóż to znowu za oryginał! pomyśleliśmy; czy czasem uwięziony w tej pułapce, nie dostał pomieszania zmysłów?... – Jak tu się przekonasz, czy zdrow na umyśle, czy warjat?

Niebawem jednak mieliśmy lepiej poznać tego dziwnego człowieka, który uważa się za przyrodnika.

Jego mój pan Mateusz Van Guitt, dostawca zwierząt do menażerji, miał lat około pięćdziesiąt i nosił okulary. Gładka twarz jego, mrugające oczy, olbrzymi nos, nieustanne poruszenia ciałem i najdziwniejsze miny i ruchy zastosowane do każdego wymówionego słowa – wszystko to czyniło z niego wyborny typ starego prowincjonalnego aktora. Jak się później od niego dowiedzieliśmy, był on dawniej profesorem historii naturalnej, lecz gdy nareszcie uprzykrzyło mu się uczyć zoologii teoretycznej, przybył do Indji próbować zoologii praktycznej. Nowe zajęcie szło mu bardzo dobrze i nareszcie został dostawcą wielkich przedsiębiorstw w Hamburgu i w Londynie, w których zwykle zaopatruje się wszelkie menażerje publiczne i prywatne.

I teraz przybył do Tarryani, ponieważ otrzymał większe zamówienia dla Europy. Ale dlaczego znajduje się w pułapce, z której mamy go wypłoszyli? Na to zapytanie Banksa odpowiedział z towarzyszeniem pociesznych ruchów patetycznym, nadętym stylem:

– Było to wczoraj. Słońce dokonało już połowy swego dziennego obrotu. Wtedy przyszedł mi myśleć zwiedzić jedną z moich pułapek na tygrysy, które sam urządzam. Opuściłem więc mój kraal, nie zbyt stąd odległy, i który mam nadzieję, zechce panowie zaszczyścić swymi odwiedzinami. Poszedłem sam, nie chcąc odrywać moich ludzi od pilnych i ważnych zajęć – ale była to wielka nieroztropność. Doszedłem do mojej zasadzki, zobaczyłem, że kłapa nie opadła, a zatem, że żaden zwierzę się nie zapało, a chcąc się przekonać, czy się co nie uszkodziło wewnątrz, ciasnym otworem wleźliśmy do środka.

I ręką zrobił ruch jakby węża przesuwającego się wśród trawy.

– Znalazłszy się wewnątrz, mówił dalej Mateusz Van Guitt, widziałem, że awieram mięsa, którego wyziewy miały być przynętą dla dzikich zwierząt, leżąca nienaruszona i już zamierzając opuścić zasadzkę, gdy mimowolnym ruchem ręki opuściłem kłapę przez co zamiast tygrysa, sam wpadłem w zastawione sidła. Co prawda z początku widziałem tylko komiczną stronę mego wypadku. Zostałem zamknięty w więzieniu i nie było strażnika, któryby mógł drzwi otworzyć, ale pocieszałem się

myśl¹, że nie widzi¹c mnie powracaj¹cego, s³użba pozosta³a w kraalu pospieszy mi z pomoc¹. Ale godziny up³ywa³y, a nikt nie przychodzi³; nareszcie zapad³ wieczór, g³ód zacz¹³ mi dokucza^æ porz¹dnie. Co tu pocz¹æ – nie mog³em jak tygrys je^ææ surowego mi^æsa, aby g³ód zaspokoia^æ, postanowi³em wi^æc zasn¹æ. W nocy g³uche milczenie zaleg³o las; spa³em wi^æc smacznie i by³bym mo¹że d³ugo jeszcze si^ê nie obudzi³, gdyby nie odg³os spowodowany podnoszeniem si^ê ci^êżkiej klapy. Podnios³a si^ê nareszcie; strumienie ^æwiat³a zala³y ciemn¹ moj¹ sypialni^ê, ju¹ż zamierza³em wybiec na zewn¹trz, gdy wtem, o zgrozo! ujrza³em zwrócone ku mej piersi zabójcze narzędzie. Jedna sekunda by³bym pad³ ^æmiertelny ugodzony ciosem i godzina oswobodzenia by³aby zarazem ostatni¹ mego ¹ycia godzin¹. Szcz^æeciem pan kapitan raczy³ pozna^æ we mnie stworzenie nale¹ce do rodzaju ludzkiego, teraz wi^æc powinienem tylko podzi^êkowa^æ panom za uwolnienie z wi^êzienia.

Wypowiedzia³ to tak zabawnym tonem i z tak uciesznymi ruchami, że zaledwie zdo³alioemy wstrzyma^æ si^ê od ^æmiechu.

– Jak to ju¹ż mia³em przyjemno^ææ oznajmia^æ panom, kraal mój le¹ży co najwi^êcej o dwie mile st¹d i by³bym bardzo szcz^æeliwy, gdyby^æcie raczyli zaszczycia^æ go swoj¹ obecno^æci¹.

– Z przyjemno^æci¹ odwiedzimy pana – rzek³ pu³kownik Munro.

– Jako my^æliwych, zaciekawia nas bardzo urz¹dzenie kraalu – rzek³ kapitan.

– My^æliwi! powtórzy³ Mateusz Van Guitt, my^æliwi! a wyraz jego twarzy przekonywa³ wymownie, że zbyt ma³y mia³ szacunek dla synów Nemroda. Zapewnie dla tego polujesz pan na dzikie zwierz^êta, aby je zabija^æ? – doda³ zwracaj¹c si^ê do kapitana Hod.

Ma si^ê rozumia^æ – i jedynie dlatego, odpowiedzia³ ten¹że.

– Ja za^æ staram si^ê jedynie je chwyt^æ – odrzek³ z niewys³owion¹ dum¹ Van Guitt.

– W takim razie nigdy nie staniemy si^ê wespół³zawodnikami! – odpowiedzia³ ^æmiej¹c si^ê kapitan.

Dostawca pokr^êci³ g³ow¹ – widocznie nie lubi³ my^æliwych, ponowi³ jednak uprzejmie swoje zaproszenie. W³acenie zamierzalioemy uda^æ si^ê do kraalu, gdy da³y si^ê s³ysze^æ g³osy nadchodz¹cych Hindusów; nadchodzi³o ich z pó³ tuzina.

– A! otó¹ż i moja s³użba! – zawo³a³ Mateusz Van Guitt, a zwracaj¹c si^ê ku nam, doda³ po cichu, k³ad¹c palec na ustach: Nie mówcie panowie nic o mojej przygodzie; niech s³użba nie wie, że da³em si^ê z³apaa^æ jak najprostsze zwierz^ê – mog³oby to os³abia^æ ich karno^ææ i moj¹ powag^ê.

Skinieniem uspokoi¹oemy jego obawy.

– Panie – rzek³ jeden z Hindusów, którego spokojna i inteligentna fizjognomja zwróci³a moj¹ uwag^ê, szukamy ci^ê ju¹ż od dwóch godzin.

– By³em w towarzystwie tych panów, którzy obiecali ³askawie uda^æ si^ê ze mn¹ do kraalu, pierwszej jednak trzeba zastawia^æ pu³apk^ê.

Hindusi spe³nili rozkaz, ale naprzód na zaproszenie dostawcy zwierzt¹t zwiedz³em z kapitanem w¹nêtrze jego pu³apki. By³o trochê ciasne i Van Guitt nie móg³ w niem swobodnie machaæ rêkoma, rozmawiaj¹c, jak to by³o jego zwyczajem. Obejrzawszy szczegó³owo ca³e urz¹dzenie, kapitan powinszowa³ dostawcy zwierzt¹t tak dobrego pomys³u.

– O! wierz mi pan – odrzek³ ten¹e, ¹e moja ³apka przewy¹sza niesko¹czenie wszelkie dot¹d u¹ywane. W jednych zwierzêta dusi³y siê, w innych kaleczy³y siê œmiertelnie – ja zaœ potrzebujê je chwytæ ¹ywe i nienaruszone.

– No! bez zaprzeczenia, rz¹dzimy siê ca³kiem przeciwn¹ zasad¹ – odrzek³ œmiej¹c siê kapitan.

– Kto wie, czy moja nie jest lepsz¹ – odrzek³ dostawca. Gdyby tak zapytaæ zwierzt¹t...

– A! nie mam zwyczaju zasiêgaæ ich zdania! – odpowiedzia³ kapitan.

– Ale schwytawszy, jak¹e wyprowadzasz pan swoich je¹nców? – zapyta³em.

– Do otworu zasadzki przysuwa siê szczelnie otwart¹ klatkê ¹elazn¹ na kó³kach i za podniesieniem klapy zwierzêta same do niej wchodz¹, poczem bawo³y przyprzê¹one do klatek powoli dowo¹ je do kraalu – odpowiedzia³ Van Guitt.

Zaledwie wymówi³ te s³owa, us³yszeliœmy krzyki dochodz¹ce nas zewn¹trz. Jednym tchem wybiegliœmy z pu³apki.

Jeden z Hindusów przeci¹³ na dwoje trzyman¹ w rêku lask¹, wê¹a najjadowitszego rodzaju w chwili, gdy ten mia³ rzuciæ siê na pu³kownika; by³ to ten sam Hindus, który przed chwil¹ zwróci³ moj¹ uwagê. To wdanie siê jego ocali³o pu³kownika od niechybnej œmierci, gdy¹ krzyk pochodzi³ st¹d, ¹e jeden s³u¹cy z kraalu zosta³ uk¹szonym przez tego wê¹a i wij¹c siê po ziemi w boleœciach, kona³ w konwulsyjnych drganiach.

Dziwnym trafem g³owa uciêta znowu skoczy³a na piersi s³u¹cego, zêbami jej zosta³ pochwycony i nieszczêliwy zara¹ony strasznym jadem zgin¹³ prawie w jednej minucie, tak, ¹e nie mo¹na by³o go nawet ratowaæ.

Przera¹eni tym widokiem zwróciliœmy siê szybko do pu³kownika.

– Czy nie jesteœ choæby zadraceniêty? – zapyta³ Banks chwytaj¹c go za rêkê.

– Nic mi nie jest – odrzek³ pu³kownik, b¹d¹Ÿcie spokojni. – Poczem zwracaj¹c siê do Hindusa, któremu zawdziêcza³ ¹ywie, rzek³: Dziêkujê ci serdecznie przyjacielu.

Hindus odrzek³, ¹e nie nale¹y mu siê ¹adne podziêkowanie za jego czyn.

– Jak siê nazywasz – zapyta³ pu³kownik.

– Kalagani – odrzek³ Hindus.

Rozdział III

KRAAL.

Emieræ nieszczęśliwca bardzo nas przerazi³a, a to tem bardziej, że nast¹pi³a w tak straszliwy sposób. Uk¹szenie tak zwanego wê¿a-bicza, jednego z najjadowitszych na pó³wyspie, jest zawsze œmiertelne. By³a to jedna ofiara wiêcej jakie rokrocznie tysi¹cami padaj¹ w Indjach od jadu tego straszego p³azu.

W jednym roku 1877-ym zginê³o 1677 osób od uk¹szenia wê¿y; rz¹d wyznaczyl³ nagrody za ich têpienie a urzêdowe wykazy wskazuj¹, że w tym jednym roku zabito ich 127.293 sztuk.

Mówiono, lecz zapewne w ¿arcie, że dawniej nie by³o wê¿y na Martinice, że dopiero Anglicy gdy zmuszeni byli oddaæ wyspê Francuzom, przywieŹli je tam. Lecz Francuzi nie potrzebowali ju¿ ze swej strony zdobywaæ siê na podobne pomys³y, gdy opuszczali Indje, gdy¿ ju¿ sama natura uposa¿y³a je pod tym wzglêdem.

Cia³o Hindusa pod wp³ywem tej gwa³townej trucizny poczê³o rozk³adaæ siê prawie widocznie, musiano wiêc myœleæ o jak naprêdszem pogrzebaniu. Towarzysze jego wykopali dó³ tak g³êboki, żeby dzikie zwierzêta nie mog³y siê dostaæ do cia³a i tam zosta³ z³o¿ony.

Gdy siê skończy³ ten smutny obrzêd, ruszyliœmy do Mateusza Van Guitt i stanêlicemy po pó³godzinnej drodze na miejscu.

Osada ta usprawiedliwia³a nazwê „kraalu” nadawan¹ w³aciciwie osadom kolonistów Po³udniowej Afryki.

By³a to wielka pod³u¿na zagroda, urz¹dzona na polance, w g³êbi najgêstszego lasu. Mateusz Van Guitt zastosowa³ wybornie jej urz¹dzenie do potrzeb swego rzemios³a. Do kó³a otacza³o j¹ wysokie ogrodzenie z kó³ami; w niem urz¹dzone by³y szerokie wrota, aby mog³y wje¿d¿aæ wozy z klatkami. Wewn¹trz, w g³êbi urz¹dzono pomieszczenie dla wszystkich mieszkañców kraalu; by³o ono zbudowane z desek i pni drzew.

Na lewo w g³êbi sta³o szeœæ klatek na kó³kach, porozdzielanych przegrodami; rozlegaj¹cy siê g³oœny ryk zdradza³, że nie by³y puste.

Na prawo, w g³êbi, sta³o dwanaœcie bawo³ów – by³y one u¿ywane do przewo¿enia mena¿erji. Szeœciu ludzi s³u¿y³o za woŹniców; dziesiêciu Hindusów wyæwiczonych w tropieniu dzikich zwierz¹t uzupe³nia³o obs³ugê dostawcy.

Mateusz Van Guitt ju¿ od kilku miesiêcy mieszka³ tak w lesie, nara¿ony nie tylko na napady dzikich zwierz¹t, ale i na panuj¹ce tu groŹne febry. Tak jednak i on i obs³uga jego oswojoni byli z niezdrowym klimatem tej okolicy, że nie ulegali malarji. Zdawa³ siê byæ bardzo zadowolony z naszych odwiedzin i wprowadzi³ nas do wnêtrza.

Pierwsza izba przeznaczona była dla samego pana, druga dla Hindusów tropicieli, trzecia dla woźniców. Był to prosty szałas leżący, pozbawiony wszelkich wygód. Z kolei Van Guitt przeprowadził nas do pomieszczeń dla zwierząt. Przypominały one zupełnie urządzenie wędrownych menażerji. Każda z sześciu klatek zakratowana z przodu, była podzielona na trzy przegrody; ruchome, wysuwane do góry ościany, dozwalały w razie potrzeby przepędzać zwierzęta z jednej przegrody do drugiej.

Obecnie w klatkach znajdowało się siedem tygrysów, dwa lwy, trzy pantery i dwa lamparty.

Van Guitt oświadczył nam, że nie może opuścić tej miejscowości, dopóki nie schwyta jeszcze dwóch lampartów, trzech tygrysów i jednego lwa. Wtedy dopiero dowiezie menażerję swoją do kolejki w kierunku Bombaju.

Okazy zwierząt zamkniętych w klatkach były przepyszne, ale nadzwyczaj dzikie, nie miały jeszcze czasu oswoić się ze swoim położeniem. Wyły i ryczały przeraźliwie, kręciły się w klatkach, chcąc gwałtem je rozbić. Za naszym zbliżeniem się wściekły ich zwiększyła się jeszcze, na co handlarz nie zwracał wcale uwagi.

– Biedne zwierzęta! – rzekł z ubolewaniem kapitan.

– Czy sędzi pan, że więcej są godne polowania od tych, które zabijasz? – zapytał oschle dostawca.

– Sędzę, że nie tyle godne są polowania, ile nagany, że dają się schwytać – odparł kapitan.

Na lądach Afryki dzikie zwierzęta niekiedy są skazane na długi głód, gdyż tam jest mało przeluwaczy stanowiących główne ich pożywienie; inaczej rzecz się ma na półwyspie Indyjskim w okolicach Tarryani, gdzie znajduje się nadzwyczajna ilość bizoni, bawołów, zebusów, dzikich antylop, na które polują nieustannie lwy, tygrysy i pantery. Oprócz tego stada kóz, owiec jakoteż pilnych je „rajotów” (pastuchów) łatwiej i pewnej dostarczą im zdobyczy. I dlatego chciwa ich dzikość nie ma żadnego wytłumaczenia.

Dostawca żywi swoich czworonogów wieśni mięsem bizoni i pewnego gatunku wołów zwanych zebu, a zaopatrywanie i podawanie im żywności w oznaczonym czasie, było obowiązkiem ich stróżów, zwanych chikarisami.

Polując za tą żywnością, chikarisi narażają się na groźne niebezpieczeństwa. Wiadomo, że nawet tygrysy bardzo się obawiają dzikich bawołów, strasznych, gdy są rozcięte skutkiem odniesionej rany. W takim stanie nieraz rogami podkopują drzewo na którym ktoś uciekający przed nimi szuka schronienia. Biada myśliwcowi, któregoby napad dzikiego bawołu znalazł bezbronnym. To samo odnosi się i do indyjskiego bizona, z krótkim czworograniastym brem, z wypukłym grzbietem, z nogami białymi od kopyt do kolan, a którego długość od ogona do pyska dochodzi niekiedy do czterech metrów. Bizon jest mniej dzikim od bawołu jeżeli spokojnie się pasie na porośniętych wysokich trawach, ale nieostrożnie napadnięty staje się strasznym. To też chcąc uniknąć niebezpieczeństwa groźnego przy polowaniu, chikarisowie chwyтали w zasadzki zwierzęta przeznaczone na żywność dla menażerji.

Znajcy siê dobrze na swoim rzemioœle dostawca zwierzt bardzo oszczêdnie podawa³ ywnoœæ schwytanym zwierêtom; raz tylko na dzieñ, w po³udnie rozdzielano pomiêdzy nie cztery do piêciu funtów miêsa. Od soboty do poniedzia³ku nic nie dostawa³y. Tak wiêc niedziela by³a dla nich dniem postu. Niepodobna sobie wystawiaæ zamieszania, ryku i wycia, gdy nareszcie podawano im skromny posi³ek; wyg³odzone zwierêta tak siê krêci³y i rzuca³y, ¿e mo¿na by³o mniemaæ, ¿e rozbij¹ klatki. Ten przymusowy post ochrania³ zwierêta od chorób skórných a tem samym podnosi³ ich cenê na targach Europy.

Przedstawiaj¹c nam szczegó³owo wszystkie okazy swej mena¿erji, Van Guitt wywi¹zywa³ siê z tego zadania raczej jak przyrodnik ni¿ jak handlarz, udzielaj¹c nam wiele wiadomoœci o zwierêtach tej czêœci pó³wyspu – to te¿ postanowiliœmy nie opuszczaæ kraalu, dopóki nie wyjawi nam wszelkich tajników zoologii Himalajów.

– Chciej mnie pan objaœniaæ, panie Van Guitt – rzek³ Banks – czy podobne przedsiêbiorstwo zapewnia korzyœci wynagradzaj¹ce jego niebezpieczeñstwa?

– Dawniej – odrzek³ – by³o ono bardzo zyskowe; ale, trzeba przyznaæ, ¿e od kilku lat dzikie zwierêta bardzo spad³y w cenie. Mo¿e pan przekonaæ siê o tem z ostatnich cen notowanych na targowisku g³ównem, jakim jest dla nas ogród zoologiczny w Antwerpji. Tam te¿ wyprawiam plon mojej awanturniczej wycieczki do lasów Indji. Niestety publicznoœæ coraz mniej okazuje zami³owania i mo¿e przyjœæ do tego, ¿e cena sprzeda¿y nie pokryje kosztów. I tak ostatnim razem za strusia samca p³acono 1.100 fr., za samicê tylko 800 fr. Za czarn¹ panterê nie chciano daæ wiêcej jak 1.600 fr., za tygrysicê jawajsk¹ 2.400 fr., a za ca³¹ rodzinê lwi¹, z³o¿on¹ z dwóch lwów, lwicy i dwóch wielkich nadzieji lwi¹tek – tylko 7.000 fr.

– Ale¿ to jakby darmo! – odrzek³ Banks.

– Co zaœ do gruboskórców – jak naprzyk³ad s³onie, to warto je chwytæ jedynie dla ich k³ów, gdy¿ zapotrzebowanie koœci s³oniowej wcale siê nie zmniejsza. Od czasu jak autorowie dramatyczni przyszli z pomys³em, aby s³onie wystêpowa³y w przedstawianych sztukach, impresarja wo¿¹ jednego od miasta do miasta i jeden taki egzemplarz zadawalnia ciekawoœæ ca³ego kraju. Skutkiem tego s³onie nie pop³acaj¹ na targowiskach.

– Czy tylko do europejskich mena¿erji dostarcza pan okazy indyjskiej fauny? – zapyta³em.

– Wybacz pan – odrzek³ handlarz – ¿e odpowiem zapytaniem: czy pan dobrze pozna³ pó³wysep indyjski?

– Niezupe³nie jeszcze; jednak¿e zwiedzi³em ju¿ Bombaj, Kalkuttê, Benares, Allahabad, dolinê Gangesu, podziwia³em pomniki, zabytki...

– Ej! wszystko to nie warta niucha tabaki – rzek³ – pogardliwie machn¹wszy rêk¹. Czem¿e s¹ wszelkie inne osobliwoœci wobec mena¿erji kolosalnych rozmiarów, jakie posiadaj¹ potê¿ni rad¿owie, którzy zachowali czeœæ dla pysznych zwierzt, jakiemi chlubiæ siê mo¿e œwiêta ziemia Indji. JedŸ pan do Guikowaru z³o¿yæ pok³on królowi Barody! zwiedŸ jego mena¿erje, których wiêkszoœæ mieszkañców zosta³a przezemnie dostarczon¹. Jakie¿ to wspania³e lwy, pantery,

niedŹwiedzie, tygrysy! Staraj siê pan byæ widzem zaelubin 60.000 go³êbi, jakie z wielk¹ pomp¹ corocznie siê obchodzi. Podziwiaj pan 500 „bulbulów”, tych s³owików pó³wyspu, które hoduj¹ tak starannie i troskiwie, jak gdyby nastêpców tronu. Podziwiaj pan przepyszne s³onie, z których jeden, pe³ni¹cy obowi¹zki kata, wykonywuj¹c wydane wyroki, rozbija o kamieñ g³owy przestêpców. Stamt¹d udaj siê pan obejrzeæ ogrody rad¹cy Maissuru, najbogatszego z monarchów Azji. WejdŹ pan do tego pa³acu, w którym moŹna naliczyæ setki nosoroŹców, s³oni, tygrysów i wszelkich najrzadszych okazów, naleŹ¹cych do najwyŹszej arystokracji indyjskiej. Dopiero gdy pan to wszystko pozna, nie bêdzie pan móg³ byæ pos¹dzonym o nieznamomoœæ cudów tego niezrównanego kraju.

A gdybyœcie wiedzieli z jakimi gestami i z jak powaŹn¹ min¹ to wypowiedzia³!

– A czy wilki znajduj¹ siê w tej okolicy? – zapyta³ kapitan Hod.

– Jest ich bardzo wiele na ca³ym pó³wyspie i s¹ bardzo groŹne, gdy gromadnie napadn¹ na jak¹œ odosobnion¹ osadê. Podobne do wilków polskich, równie jak szakale, czyni¹ wielkie spustoszenia, ale Źe nie przedstawiaj¹ Źadnej wartoœci handlowej, wiêc oddajê je na ³up kapitana Hod.

– Czy i lamparty zaliczasz pan do liczby dzikich zwierz¹t? – zapyta³ kapitan.

– Bezsprzecznie, lampart jest dziki, œmia³y, odwaŹny, wdrapuje siê na drzewa, i przez to samo juŹ bywa niekiedy groŹniejszym od tygrysa.

– Oh! oh! – zawo³a³ kapitan Hod.

– Panie – odrzek³ oschle Mateusz Van Guitt, gdy myœliwy nie moŹe uwaŹaæ drzew za bezpieczne schronienie, bardzo ³atwo sam moŹe staæ siê przedmiotem polowania.

– A cóŹ pan powie o panterach?

– O? pantera, to dopiero zwierzê! – Przekonajcie siê panowie, jak piêkne okazy posiadam w moim zbiorze. Zdziwiuj¹ce to zwierzêta!.. Czy wiecie, Źe panterê moŹna u³oŹyæ do polowania? W tym celu przynosi siê je w palankinie z owiniêtemi g³owami, jak sêpy lub soko³y. Jak tylko myœliwi dostrzeg¹ trzodê antylop, wypuszczaj¹ panterê i ta rzuca siê na lêkliwe te przeŹuwacze, które pomimo swej zwinnoœci i szybkiego biegu nie s¹ w stanie unikn¹æ strasznych pazurów pantery.

– A czy lwy znajduj¹ siê w tej okolicy?

– Tak, ale ja tutejszych tych mniemanych królów zwierz¹t stawiam niŹej od lwów staroŹytnej Libji. Tu samce nie maj¹ grzyw bêd¹cych w³œeciwoœci¹ i ozdob¹ lwa afrykañskiego. W œerodkowych Indjach juŹ prawie zaginê³y, chroni¹c siê do Kattywaru, na puszcze Teil i w okolice Tarryani. ¹yj¹c samotnie tak jak pustelnicy, wyrodne te lwy nie mog¹ odzyskaæ utraconych przymiotów przez przebywanie ze swymi wspó³braœmi – to teŹ nie stawiam ich w pierwszym rzêdzie zwierz¹t czworonoŹnych. Lwa moŹna podejœæ i wymkn¹æ mu siê, z tygrysem nigdy siê to nie uda.

– Ach! tygrysy! tygrysy! – zawo³a³ z uniesieniem kapitan Hod.

– Ach! tygrysy! – powtórzy³ Fox.

– Tygrysowi odda³bym koronê! – zawo³a³ coraz wiêcej siê o³zywiaj¹c Mateusz Van Guitt. Mówi siê „tygrys królewski” a nie lew królewski – i bardzo s³usznie. Ca³e Indje nale¹ do tygrysa i w nim siê streszczaj¹. On najpierwszy ³y³ na tych ziemiach i ma prawo uwa³æ za naje³d³ców nietylko przedstawicieli rasy anglosaskiej, ale i synów rasy s³onecznej. On to jest prawdziwym synem o³wiêtej ziemi Argawarta. To te³ zwierzêta te rozkrzewi³y siê licznie na ca³ej powierzchni pó³wyspu nie porzucaj¹c ani jednej z okolic zamieszka³ych przez ich przodków, od Komorinu a³ do krañców himalajskich.

– aden zwierz nie jest tak pop³atny jak tygrys, dobijaj¹ siê o niego zarówno do mena³erji jak i do ozdoby królewskich ogrodów. A czy wiecie panowie, w jaki sposób zabawiaj¹ rad³owie go³eci, których najwiêcej chc¹ uczia³? Oto ka³ przytoczy³ klatkê z królewskim tygrysem i postawia³ j¹ na o³rodku obszernej p³aszczyzny. Rad³a, go³ecie jego, oficerowie i stra³ wszyscy s¹ uzbrojeni w lance, rewolwery, karabiny i najczê³iej siedz¹ na dzielnych rumakach. Konie te, przestraszone widokiem dzikiego zwierza i b³yskawicami tryskaj¹cemi z jego oczu, zaczynaj¹ rzuca³ siê i wspina³ i tylko silny i wytrawny je³dziec zdo³a je powstrzyma³. Wtem nagle otwieraj¹ siê drzwi klatki, tygrys wybiega z niej, ciska siê, biegnie, rzuca siê na rozprószone gromadki, i znaczna liczba ofiar staje siê ³upem jego w³ciek³o³eci. Niekiedy uda mu siê przedrze³ przez otaczaj¹ce go ko³o ³elaza i broni i uciec, ale najczê³iej pada w walce jednego przeciw stu. Ginie, ale chwaleb¹ o³mierci¹, któr¹ przynajmniej pom³oci³ ju³ naprzód.

– Brawo! panie Mateuszu Van Guitt – zawo³a³ kapitan Hod z uniesieniem, tak, musi to by³ wspania³y widok... tak, tygrys jest królem zwierz¹t.

– A co wiêcej, królewsko³æ jego nie wywo³uje rewolucji – doda³ Banks.

– Pan je bierzesz w niewolê, a ja je zabijam – zawo³a³ kapitan – i mam nadzieję, ³e zanim opuszczê okolicê Tarryani, piê³dziesi¹ty z kolei padnie z mojej rêki.

– A! kapitanie – zawo³a³ dostawca – marszcz¹c brwi, czy³ nie móg³by³ pan poprzesta³ na nied³wiedziach, bawo³ach, dzikach i wilkach i zostawia³ w spokoju tych królów stworzenia!...

– No, niech³e ju³ bêd¹ królami, kiedy chcesz koniecznie – rzek³ Banks – ale musisz przyzna³, ³e to królowie bardzo niebezpieczni dla swoich poddanych. W roku, je³eli siê nie mylê 1862, monarchowie ci po³arli wszystkich telegrafistów na stacji wyspy Sangor. Podaj¹ tak³e, ³e pewna tygrysica w przeci¹gu trzech lat rozszarpa³a i po³ar³a 118 ofiar, a inna w tym³e czasie a³ 127. To ju³ za wiele – nawet na królowe!

Od czasu rozbrojenia Sipajów, podczas trzech lat 12.554 osób pad³o ofiar¹ tygrysów.

– Ale zapominasz pan chyba, ³e tygrysy s¹ to zwierzêta miêso³erne i ³ywi¹ siê surowem miêsem, a Hindusi utrzymuj¹ nawet, ³e gdy raz zakosztuj¹ ludzkiego miêsa, ju³ innego je³æ nie chc¹.

– Wiêc có³ st¹d? – zapyta³ Banks.

– To – odrzek³ u³emiechaj¹c siê Mateusz Van Guitt, ³e s¹ tylko pos³uszne swej naturze... przecie³, bez jedzenia ³yæ nie mog¹.

Rozdział IV

KRÓLOWA TARRYANI.

Obejrzawszy ca³¹ menażerjê, wróciliemy do Steam-House, umówiwszy się pierwiej z dostawc¹, że bêdziemy się wzajemnie odwiedzaæ. Chikarisowie Van Guitta znaj¹cy doskonale miejscowoœæ i zwyczaje zwierzt, mogli kapitanowi oddaæ wielkie przys³ugi w jego myceliowskich wyprawach; to te¿ dostawca odda³ mu ich uprzejmie do rozporz¹dzenia, zalecaj¹c szczególnie Kalaganiego, na którego we wszystkim mo¿na się by³o spuœciaæ, gdy¿ by³ nadzwyczaj sprytny, przezorny i wierny.

Kapitan przyrzek³ nawzajem, o ile bêdzie w jego mocy, dopomagaæ dostawcy do pojmania brakuj¹cych mu jeszcze zwierzt.

Przed opuszczeniem kraalu, pu³kownik Munro raz jeszcze podziêkowa³ Kalaganiemu, który mu ocali³ ¿ycie, mówi¹c mu, że zawsze bêdzie mile przyjêty w Steam-House. Hindus sk³oni³ się zimno, nie okazuj¹c niczem zadowolenia, jakie sprawi³y mu s³owa pu³kownika.

Powróciliemy przed samym obiadem i naturalnie osoba Mateusza Van Guitt dostarczy³a nam przedmiotu do rozmowy. Przez nastêpne trzy dni pada³ gwa³towny deszcz i nasi zapaleni myceliwi musieli pozostaæ w domu, bo w taki czas nie mo¿na odnaleœæ ani œladu zwierzt i nie opuszczaj¹ one te¿ prawie swoich nor.

Dnia 30. lipca pogoda poprawi³a się; korzystaj¹c z tego, kapitan Hod, Fox, Gumi i ja gotowalioemy się do wycieczki do kraalu.

Ju¿ rano przyby³o do nas kilku górali, którzy pos³yszawszy, że jakœæ godna podziwu pagoda pojawi³a się w okolicy Himalajów, zapragnêli j¹ zobaczyæ. Piêkne to typy ci górale z nad granicy tybetańskiej; odznaczaj¹ się wielk¹ wojowniczt¹ odwag¹ i wypróbowan¹ uczciwoœci¹. Prócz tego s¹ nadzwyczaj goœcinni i tak pod wzglêdem fizycznym jak moralnym nieskoñczenie przewy¿szaj¹ Hindusów zamieszkuj¹cych równiny.

Bardzo podziwiali mnieman¹ pagodê, ale nasz stalowy olbrzym sprawi³ na nich jeszcze daleko silniejsze wra¿enie. A przecie¿ widzieli go tylko stoj¹cego nieruchomo; có¿by dopiero by³o, gdyby zobaczyli, jak buchaj¹c p³omieniami i wyrzucaj¹c k³êby dymu, przebywa œmia³o strome drogi przerzynaj¹ce ich góry.

Pu³kownik Munro przyj¹³ bardzo goœcinnie poczciwych górali, przebywaj¹cych czêsto na terytorjach Nepalu, a¿ po granicê indochiñsk¹. Rozmowa zwróci³a się na tê okolicê nadgraniczn¹, w której Nana Sahib szuka³ schronienia po pora¿ce Sipajów, kiedy tak zawziêcie œcigano go na ca³ej przestrzeni Indji.

Górale jednak nie wiedzieli o nim wiêcej od nas. I do nich dosz³a wieœæ o œmierci naboba i zdawa³o się, że nie powt¹piewali o jej prawdziwoœci. Co do towarzyszy Nany Sahiba, którzy go prze¿yli, musieli się zapewne schroniaæ w g³¹b Tybetu, gdzie ju¿ trudnoby pomyœleæ nawet o ich szukaniu. Wys³uchawszy tej mowy górali, pu³kownik zamyœli³ się g³êboko i ju¿ nie bra³ udziału w

dalszej rozmowie.

Tylko kapitan Hod zada³ im kilka pytań odnoszących się do dzikich zwierząt. Odpowiedzieli, że wiele z nich, a szczególnie tygrysy, szerzą straszne zniszczenie w niższych strefach Himalajów. Z ich powodu mieszkańcy opuszczają całe wsie i osady; tygrysy pochłonęły już liczne trzody kóz i owiec, a nawet i znaczna liczba krajowców stała się ich ofiarą. Pomimo, że rząd wyznaczył bardzo znaczne nagrody, trzysta rupji za każdego zabitego tygrysa, jednak nie znał, aby liczba tychże się zmniejszała, i biedni krajowcy z trwogą zadają sobie pytanie, czy na koniec nie będą zmuszeni ustąpić im miejsca, zwłaszcza, że tygrysy nie ograniczają się już na okolicę Tarryani, lecz można je już spotkać wszędzie na równinach, gdzie wysoka trawa, dżungle i krzaki mogą im służyć za kryjówkę.

Górale pożegnali nas nareszcie i odeszli zachwyceni dobrem przyjęciem, obiecując odwiedzić nas jeszcze w Steam-House, a kapitan Hod, dwaj nasi towarzysze i ja, dobrze uzbrojeni i gotowi na wszelkie spotkania, udaliśmy się ku Tarryani.

Gdyśmy doszli do miejsca, gdzie stała zasadzka z której wyratowaliśmy Mateusza Van Guitt, tenże podbiegł ku nam uradowany. Kilku z jego służby a w ich liczbie i Kalagani, zajęci byli przeprowadzeniem z zasadzki do klatki tygrysa, który zapał się w nią w nocy. Przepyszny ten zwierzę wzbudził w kapitanie Hod wielką zazdrość.

– Jeden mniej w tych lasach! – szepnął i westchnął ciężko, a westchnienie to odbiło się głosem echem w piersiach Foxa.

– Ale jeden więcej w menażerii! – zawołał dostawca – zacierajcie wesoło ręce. Jeszcze mi trzeba tylko dwóch tygrysów, jednego lwa i dwóch lampartów, a będzie mógł przed oznaczonym terminem wywiłać się z moich zobowiązań. Czy nie raczycie panowie udać się ze mną do kraalu?

– Uprzejmie dziękujemy – odrzekł kapitan Hod, ale dzisiaj polujemy na własny rachunek.

– Kalagani jest na usługi panów, rzekł uprzejmie dostawca, a że doskonale zna cały las, więc może być użytecznym.

– Przyjmujemy go chętnie za przewodnika.

– Żegnajcie panów, życząc szczęśliwego polowania, tylko zmińcie się, nie wymordujcie wszystkiego.

– O! przyrzekam, że zawsze jeszcze zostanie dość dla pana – odrzekł ośmiejając się kapitan.

Mateusz Van Guitt ukłonił się nam wyszukany gestem i znikł w lesie wraz ze swoją zdobyczą zamkniętą w przenośnej klatce.

– No teraz ruszajmy! – zawołał kapitan – idę gonić za moim czterdziestym drugim.

– A ja za trzydziestym ósmym – rzekł Fox.

– A ja za pierwszym – dodał.

Ton, w jakim wypowiedzia³em te s³owa, wywo³a³ ucemiech na ustach kapitana – pozna³ z niego – że nie tleje się we mnie wznios³y zapa³ myœliwski.

– Czy znasz dobrze ten las? – zapyta³ kapitan Hod Kalaganiego.

– Najmniej dwadzieœcia razy przebieg³em go we wszystkich kierunkach, tak we dnie jak w nocy – odpowiedzia³.

– Czy s³ysza³eœ, że jakœ gro³ny tygrys ma się pojawiaæ nieustannie w tej okolicy?

– Tak, ale nie jest to tygrys, tylko tygrysica. Widziano j¹ w największym lesie, o jakie dwie milki angielskie st¹d i ju¹ od kilku dni staraj¹ się j¹ upolowaæ, ale dot¹d nadaremnie, czy chcecie panowie...

– Ale¹ chcemy, chcemy – zawo³a³ kapitan Hod, przerywaj¹c Hindusowi i poszliœmy za nim.

Jakkolwiek w Tarryani znajduje się nadzwyczaj wiele tygrysów, nie nale¹ży jednak wyobra¹æ sobie że bez potrzeby uwijaj¹ się po drogach i lasach; dopóki g³ód ich nie zmusi, nie wychodz¹ ze swych kryjówek i bardzo wielu podró¹ników, przebywaj¹cych lasy i d¹ungle, nigdy ¹adnego nie spotka³o. Tote¹ urz¹dzaj¹c na nie polowanie, trzeba najpierw staraæ się odkryæ drogi, któremi przechodz¹, a szczególnie Ÿród³a i strumienie, w których gasz¹ pragnienie. Ale nie docæ na tem, trzeba jeszcze zostawiaæ przynêtê, przybijaj¹c udziec wo³u do s³upa stoj¹cego wœród ska³ lub drzew, mog¹cych myœliwym s³u¹cyæ za schronienie. Tak poluje się w lasach.

Inna rzecz na równinach; w tych niebezpiecznych polowaniach s³oñ staje się nader u¹ytecznym pomocnikiem cz³owieka, ale musi byæ starannie do tego tresowany. Jednak mimo to nieraz ogarnia go przestach, co nara¹ na wielkie niebezpieczeñstwo myœliwca siedz¹cego na jego grzbiecie.

Tygrys œmia³o i bez obawy napada na s³onia a wtedy miêdzy nim a cz³owiekiem toczy się walka na grzbiecie ogromnego gruboskórca i koñczy się bardzo czêsto zwyciêstwem tygrysa.

W taki sposób odbywaj¹ się zwykle wielkie polowania rad¹ów bogatych indyjskich sportsmenów – ale kapitan Hod ani myœla³ o nich, pieszo wyszukiwa³ je i pieszo walczy³ z tygrysami.

Szliœmy tedy za prêdko id¹cym przed nami Kalaganim, który jak zwykle Hindus, by³ ma³omowny i tylko krótko odpowiada³ na zadawane pytania.

W godzinê potem stanêliœmy nad bystrym strumieniem, na którego brzegach znaæ jeszcze by³o œwie¹że œlady zwierz¹t. W poœród ma³ej polanki wznosi³ się s³up, a na nim wisia³ udziec wo³u.

Przynêta by³a ju¹ naruszona przez szakale, zawsze czyhaj¹ce na zdobycz, za naszym przybyciem uciek³o ich ze dwanaœcie.

– Panie kapitanie – rzek³ Kalagani – tu bêdziemy oczekiwaa¹ tygryscy, przyzna pan, że to wyborne miejsce na zasadzkê.

Jako¹ rzeczywicie mo¹na tu by³o z ³atwoœci¹ ukryæ się na drzewach lub poza ska³ami, tak aby

zwrócić krzyżowy ogień ku odosobnionemu s³upowi wœród polanki. Ja i Gumi umiœciliœmy siê na jednym drzewie, a kapitan i Fox na dwóch wielkich roz³ożystych dœbach, stoj¹cych naprzeciw siebie. Kalagani stan¹³ za wysok¹ ska³¹, na któr¹ móg³ siê wdrapaæ w razie niebezpieczeñstwa.

Tym sposobem zwierz bêdzie ze wszystkich stron wystawiony na strza³y, których unikniêcie by³oby niemożliwym. Teraz należa³o tylko czekaæ cierpliwie jego przybycia.

Rozprószone szakale odzywa³y siê w ró¼nych stronach chrapliwym szczekaniem, ale nie œmiela³y siê wracaæ do s³upa. Up³ynê³a mo¼e godzina, gdy nagie szczekanie ucich³o i natychmiast dwa czy trzy szakale wyskoczy³y z zarœci uciekaj¹c do najgêstszych zarœci.

Kalagani skin¹³ byœmy siê mieli na ostro¼noœci. Powodem tej spiesznej ucieczki szakali nie mog³o byæ nic innego jak zbli¿anie siê jakiegoœ dzikiego zwierz¹ – najpewniej oczekiwanej przez nas tygrysy – i należa³o lada chwila oczekiwaæ ukazania siê jej na polance.

Trzymaliœmy broñ w pogotowiu, kapitan Hod zae i Fox wycelowali swoje karabiny w stronê sk¹d wybieg³y szakale, trzymaj¹c palce na cynglach.

Wkrótce te¼ zaczê³y siê zarœcia poruszaæ i da³ siê s³yszeæ odg³os³ amanych ga³êzi, wyraŹnie jakœ zwierz przesuwa³ siê przez nie powoli i ostro¼nie. Nie móg³ on wcale widzieæ zaczajonych myœliwych, sam wiêc tylko instynkt uprzedza³ go, Ÿe miejsce to nie jest doœæ bezpieczne i pewnie by³by siê cofn¹³, gdyby zapach wo³owego miêsa nie podnieca³ jego g³odu.

Jednakœe pokazawszy siê stan¹³ i cofn¹³ siê podejrzliwie o krok. By³a to ogromna tygrysyca, z wielk¹ g³ow¹; zaczê³a znów posuwaæ siê przechylona ku ziemi, ko³ysz¹c siê jak gadzina.

Za niemem porozumieniem pozwoliliœmy jej podejœæ a¼ do s³upa. Wêszy³a ziemiê i naje¼y³a grzbiet, jak kot zamierzaj¹cy siê rzuciæ.

W tem rozleg³y siê dwa strza³y karabinowe.

– Czterdziesty drugi! – krzykn¹³ kapitan.

– Trzydziesty ósmy! – krzykn¹³ Fox.

Obaj wystrzelili jednoczeœnie i tak trafnie, Ÿe tygrysyca ugodzona w samo serce potoczy³a siê i pad³a.

Najpierw przypad³ do niej Kalagani, my zeskoczyliœmy z drzew; Tygrysyca leża³a zabita.

Ale czyj strza³ by³ œmiertelny? kto j¹ zabi³, kapitan czy Fox?.. Oto o czym należa³o siê przekonaæ. Kalagani rozci¹³ tygrysicê, w sercu tkwi³y dwie kule.

– Tak wiêc – rzek³ z westchnieniem kapitan, wypada po po³owie na ka¼dego z nas.

– A po po³owie, mój kapitanie – odrzek³ smutnie Fox.

I myœlê, ¿e ¿aden z nich nie by³by za nic w œwiecie odst¹pi³ przypadaj¹cej na niego czêœci.

Tak szczêœliwy rezultat polowania, i to bez wystawienia siê na niebezpieczeñstwo, jest nader rzadkiem zdarzeniem w rocznikach myœliwych.

Fox i Kalagani pozostali dla zdjêcia przepysznego futra z zabitego zwierza, a ja z kapitanem powróciliœmy do Steam-House.

Nie jest moim zamiarem wyliczaæ wszystkie drobne nasze przygody myœliwskie, je¿eli nie zawiera³y nic nadzwyczajnego. Wystarczy zatem tylko wzmianka ¿e Hod i Fox nie mieli wcale powodu do skarg.

Dnia 13. lipca sprzyja³o im nadzwyczajnie szczêœcie przy t. zw. „Houddi”, t. j. polowaniu z sztucznej zasadzki. Taka „Houddi” jest to ma³y fort drewniany, zaopatrzony w liczne strzelnice i zbudowany w miejscu, gdzie dzikie zwierzêta chodz¹ do wodopoju. Poniewa¿ zwierzêta przyzwyczajaj¹ siê do tych ma³ych budowli, zbli¿aj¹ siê do nich bez obawy, id¹c w ten sposób po pewn¹ œmieræ. Ale i tu chodzi o to, aby je zabiaæ zaraz pierwszym strza³em, bo w przeciwnym razie nie obchodzi siê bez zawziêtej walki na œmieræ lub ¿ycie, bo „Houddi” nie zawsze mo¿e obroniaæ myœliwych przed atakami rozwœcieczonego ran¹ zwierzêcia. Tak te¿ zdarzy³o siê przy nastêpuj¹cej sposobnoœci.

Van Guitt dotrzymywa³ nam towarzystwa. Mo¿e spodziewa³ siê, ¿e jakiegoœ tylko lekko zranionego tygrysa bêdzie móg³ dostaæ do swego kraalu i tam z rany wyleczyæ!

Tego¿ dnia zasz³y naszym myœliwym drogê a¿ trzy tygrysy, które po pierwszej salwie rzuci³y siê na œciany „Houddi”. Pierwsze dwa pad³y ku ubolewaniu handlarza od kul drugiej salwy, w chwili, gdy siê ju¿ wydrapywa³y na œciany, trzeci zaœ dosta³ siê a¿ do wnêtrza, wprowadzie zraniony w ³opatkê i brocz¹cy krwi¹, ale jeszcze bardzo niebezpieczny.

– Tego schwytamy ¿ywcem! – krzykn¹³ weso³o Van Guitt, wystêpuj¹c przy tych s³owach parê kroków naprzód.

Jeszcze nie skoñczy³ tego zbyt pohopnego zdania, gdy zwierzê rzuci³o siê na niego, obali³o go jednym uderzeniem ³ap, tak, ¿e by³oby ju¿ bezw¹tpienia ho handlarzu, gdyby kapitan Hod nie wpakowa³ w ostatniej chwili tygrysowi kuli w g³owê, która go na miejscu po³o¿y³a trupem.

Van Guitt podniós³ siê ociê¿ale z ziemi.

– Ale¿ mój kapitanie – rzek³ – zamiast mu podziêkowaæ za ocalenie ¿ycia – móg³ pan przecie¿ jeszcze trochê poczekaæ!...

– Czekaæ!... Na co? – odrzek³ kapitan, czy mo¿e na to, by tygrys panu ³apami rozszarpa³ pierœ?

– Z jednego uderzenia ³ap¹ nie umiera siê jeszcze.

– No, dobrze, niech i tak bêdzie, odrzek³ kapitan Hod bardzo oschle – na drugi raz bêdê czeka³.

Ten tygrys nie mógł już powiększyć stanu liczebnego menażerji przezacnego Van Guitta i dostarczył tylko przepysznego koca przed ółko; ale to szczęśliwe polowanie powiększyło ilość zabitych przez kapitana tygrysów na 42, tygrysów zaś Foxa na 38, nie licząc już wcale pó tygryscy, którzy każdy z nich zapisał na swoje konto.

Dla tych wielkich polowań nie zapominalicemy wcale o małych. Pan Parazard nigdy by nam tego nie przebaczył. Antylopy i kozice dostarczały ci'głych urozmaiceń naszej kuchni.

Banks nie brał udziału w naszych myśliwskich wycieczkach po Tarryani, wolał zwiedzać wyższe okolice Himalajów, szczególnie jeżeli pułkownik Munro chciał mu towarzyszyć. Ale zaledwie parę razy zdołał go do tego nakłonić. Z niepokojem też, że od czasu naszego tu pobytu, sir Edward Munro był więcej zamyślony i smutny. Mówił mniej jeszcze niż zwykle, dłużej przebywał samotny w swoim pokoju i tylko niekiedy miewał jakieś narady z Mac-Neil'em. Czyżby użyli sobie jakiegoś nowego planu, który pragnęli ukryć nawet przed Banksem.

Dnia 18. lipca przybył do nas w odwiedziny Mateusz Van Guitt; mniej szczęśliwy od kapitana Hod, dostawca nie powiększył swej menażerji ani jednym okazem. Tak tygrysy, jakoteż lwy i lamparty nie raczyły dać mu się zapać, a wcale nie miał ochoty zapuszczać się głęboko na zachód dla uzupełnienia obowiązkowej liczby. To też bynajmniej nie ukrywał swego złego humoru.

Do Steam-House towarzyszył mu Kalagani i dwu chikarisów z jego służby. Urządzenie naszego sanatorium podobało mu się bardzo; pułkownik zaprosił go na objad. Przyjął chętnie zaproszenie, obiecując jeść za czterech.

Zanim podano obiad, Van Guitt chciał szczegółowo obejrzeć Steam-House; jego urządzenie tak wygodne i eleganckie bardzo mu się podobało. Cóż to za różnica z jego ubogim kraalem! Zajęty go bardzo i nie szczędził pochwał dwóm naszym przenocnym domkom-wagonom, ale musiał przyznać, że nasz stalowy olbrzym nie budził w nim uwielbienia. Tak zagorzały przyrodnik musiał pozostać zimnym wobec arcydzieła mechaniki, mógł więc podziwiać choćby najgenialniej obmyślane i wykończone sztuczne zwierzę?

– Nie lekceważ sobie naszego słońca, panie Van Guitt – rzekł mu Banks – jest on nadzwyczaj potężny, i w razie potrzeby byłoby dla niego niczem uciśnięcie oprócz dwóch naszych przenocnych domów twoje wszystkie klatki z menażerji.

– Mam do tego bawoły i wolę ich spokojny i pewny krok.

– Tak!... tylko że nasz stalowy olbrzym nie lęka się ani pazurów ani zębów tygrysiich – rzekł kapitan Hod.

– Spodziewam się – odrzekł Mateusz Van Guitt, bo pocóż dzikie zwierzęta miałyby go napastować? nie ugryzłyby przecież jego metalowego ciała.

Ale jeżeli dostawca okazywał się tak obojętnym dla naszego słońca, za to jego Hindusi, a szczególnie Kalagani prawie go pożerali oczyma. Znałby, że z tem ich uwielbieniem dla olbrzimego zwierza, ścisza się pewna zabobonna cześć.

Kalagani nie ukrywa³ podziwu, gdy in³ynier powiedzia³ mu, że stalowy olbrzym by³ potêniejszym i silniejszym ni³ jego ca³y razem po³¹czony zaprzêg, jaki posiadaj¹ w kraalu. Przy tej sposobności kapitan Hod opowiedzia³ mu z dum¹ nasz¹ przygodê ze s³oniami ksiêcia Guru Singh. Podczas tego opowiadania na ustach dostawcy przesun¹³ siê ucemiech niedowierzania, ale nie powiedzia³ ani s³ówka.

Obiad przeszed³ weso³o. Mateusz Van Guitt jad³ z wybornym apetytem, ale te³ przyznaæ trzeba, że pan Parazard tym razem przewy³szczy³ sam siebie i z dostarczanej przez nas do jego spi³alni zwierzyny urz¹dzi³ obiad co siê zowie doskona³y.

Nasza piwnica dostarczy³a wybornego wina, z których szczególnie jeden gatunek francuskiego wina tak smakowa³ dostawcy, że pij¹c, nieustannie siê oblizywa³ i cmoka³ jêzykiem. Doceæ, że po skończonym obiedzie tak jakoæ niepewnie st¹pa³, że widocznem by³o, że wino posz³o mu nie tylko do g³owy ale i w nogi.

Po³egnano go p³Ynym wieczorem a dziêki towarzyszom, Mateusz Van Guitt m³g³ bezpiecznie wróciæ do kraalu.

Przez kilka nastêpnych dni by³a szkaradna pogoda, co zmusza³o nas nie opuszczaæ Steam-House. Pragnêlicemy bardzo, aby siê skończy³a pora deszczów, trwaj¹ca z przerwami od trzech miesiêcy, gdy³ je³eli jakaæ okolicznoceæ nie zmusi do zmiany u³o³onego przez Banksa programu, ju³ tylko szeceæ tygodni miêlicemy przepêdziæ w naszym sanatorjum.

Dnia 19. lipca powsta³o drobne nieporozumienie miêdzy kapitanem a Van Guitem. Kapitan zastrzeli³ tygrysa w³acenie w chwili, kiedy ten chcia³ wejœæ do pu³apki. Tygrys ten sta³ siê czterdziestym trzecim dla kapitana, ale nie sta³ siê ósmym dla handlarza.

Po doceæ o³ywionej wymianie s³ów nawi¹zali znowu przyjazne stosunki g³ównie dziêki interwencji pu³kownika, który osi¹gn¹³, że kapitan Hod zobowi¹za³ siê nie zabijaæ tych zwierz¹t, które „objawi¹ niez³omne postanowienie” daæ siê z³apaæ do jednej z pu³apek Van Guitta.

Dnia 23. ltpca kilku nadgranicznych górali po raz drugi przyby³o do nas w odwiedziny. Wioska ich zwana Suari, le³a³ tylko o piêæ mil od naszego obozowiska, prawie na granicach Tarryani. Jeden z nich oznajmi³ nam, że od kilku ju³ tygodni tygryśca szerzy w tej okolicy straszne zniszczenie. Dziesi¹tkowa³a wszelkie trzody a jeœliby tak trwa³o d³u³ej, musieliby opuœciæ wioskê, w której niepodobna by³oby mieszkaæ d³u³ej, bo nie tylko zwierzêtom domowym ale i ludziom zagra³a ci¹g³e niebezpieczeñstwo. Wszelkie œerodki do jakich siê uciekaj¹, ³apki, zasadzki, polowania, okaza³y siê bezskuteczne; najstarsi górale nie pamiêtaj¹ równie dzikiego zwierza.

Opowiadanie to podnieci³o jeszcze myœlowski zapa³ kapitana Hod; niezw³ocznie te³ oznajmi³ góralom, że uda siê z nimi do Suari, ofiaruj¹c na ich us³ugi swoje doœwiadczenie i celne strza³y co przyjêli z nadzwyczajn¹ radoœci¹. Zdaje mi siê, że przychodz¹c liczyl¹ trochê na to.

– Czy pójdiesz z nami, Maucler? – zapyta³ mnie kapitan.

– A jak³e, m³g³êby³ opuœciæ tak zajmuj¹ce polowanie? – odpowiedzia³em.

– Tym razem i ja bédê wam towarzyszy³, rzek³ inżynier.

– Wybornie, Banksje! – zawo³alicemy obydwaj równocześnie.

– A ja, czy nie bédê na tej uczcie, panie kapitanie? zapyta³ Fox.

– Widzicie go! – odrzek³ kapitan, chce mu siê koniecznie uzupe³niaê swoje pó³ tygryscy. No, niech ciê tam!... pójdiesz z nami.

PoniewaŹ zapewne przyjdzie nam zabawiæ w Suari trzy lub cztery dni, Banks zapyta³ pu³kownika czy nie zechce pójœæ z nami, ale ten odpowiedzia³, Źe woli przez ten czas zwiedziaæ z sierŹantem Mac-Neilem i Gumim œrodkowy pas Himalajów.

Postanowiliœmy tegoŹ dnia jeszcze udaæ siê do kraalu, prosiaæ Mateusza Van Guitt, aby nam pozwoli³ zabraæ kilku jego chikarisów, którzy mog¹ byæ nam bardzo uŹyteczni.

Przybyliœmy do kraalu oko³o po³udnia i zaraz zawiadomiliœmy dostawcê o zamierzonej wyprawie. Nie ukrywa³ swej radoœci, dowiaduj¹c siê o napadach i licznych ofiarach tygryscy, mówi¹c, Źe gdy je opowie nabywcom, podniesie to bardzo s³awê dzikich zwierz¹t pó³wyspu. Odda³ nam do rozporz¹dzenia trzech Hindusów i Kalaganiego, zawsze chêtneho do wziêcia udzia³u w niebezpiecznych wyprawach.

Van Guitt zastrzeg³ sobie tylko, Źe jeœliby, co prawie niepodobna, uda³o siê tygrysicê schwytaæ Źywcem, zostanie wcielon¹ do jego menaŹerji. A jakŹe to ogromnie podniesie jej cenê, gdy na klatce wywiesi napis: „Królowa Tarryani, która poŹar³a sto trzydzieœci œem osób obojej p³ci”.

Wyruszyliœmy z kraalu oko³o drugiej, a przed czwart¹ juŹ byliœmy w Suari. Tam ludnoœæ zostawa³a pod wp³ywem najwiêkszego przeraŹenia, gdyŹ w³acenie tego dnia rano tygrystica pochwyci³a nad strumieniem i unios³a do lasu m³od¹ Hinduskê.

Bogaty kolonista angielski przyj¹³ nas nader goœcinnie w swoim domu; tak wielkich juŹ strat nabawi³a go tygrystica, Źe by³by chêtnie zap³aci³ za jej skórê kilka tysiêcy rupji.

– Panie Hod – rzek³ do kapitana – przed kilku laty tygrystica zmusi³a mieszkañców do opuszczenia trzynastu wiosek, obejmuj¹cych 250 mil kwadratowych dobrego gruntu, który musia³ pozostaæ od³ogiem. Jeœli u nas nie przestanie szerzyæ tak strasznego spustoszenia, przyjdzie do tego, Źe trzeba nam bédzie opuœciaæ ca³¹ tê prowincjê.

– Czy próbowaliœcie juŹ wszelkich moŹliwych œrodków, aby j¹ zg³adziaæ? zapyta³ Banks.

– Robiliœmy co tylko by³o w naszej mocy, zastawialiœmy ³apki, zasadzki, Źer ze strychnin¹ – wszystko nadaremnie.

– No, nie mogê rêczyæ za skutek, ale bédziemy siê staraæ uwolniaæ was od tej potwornej królowej.

Do naszej gromadki przy³¹czy³o siê dwudziestu górali doskonale znaj¹cych miejscowoœæ. Przez

trzy dni, 24. 25., 26. lipca, przeszukaliśmy z nimi ca³¹ okolicę, nie mogliśmy nigdzie znaleźć śladu tygryscy. Udało nam się tylko wytropić dwa inne tygrysy, które padły od kul kapitana.

– Czterdziesty piąty – rzekł spokojnie.

Nareszcie 27. tygryś zaznaczył swoje pojawienie się nowym przestępstwem. Bawo naszego gospodarza znikł z pastwiska i tylko resztki z niego znaleziono o jakieś wierzchołki od wsi. Zabójstwo – rozmyślnie morderstwo – jakby powiedział prawnik – popełnione zostało nadęciem. Tak więc morderca nie mógł być daleko. Ale czy był to owa od tak dawna poszukiwana tygryś?

Hindusi z Suari nie wątpili o tem.

– Oj! to sprawa mego wuja! – rzekł jeden z górali.

Mój wuj! Tak wogóle nazywaj Hindusi tygrysy w większej części prowincji półwyspu, a ponieważ to ścieżki, i wierzę, że dusze wszystkich ich przodków, po swojej śmierci mieszkają w ciachach tych zwierząt. Bóg co bóg w tym razie góralski powinien być przynajmniej powiedzieć: to moja ciotka!

Postanowiliśmy udać się na poszukiwanie tygryscy nim noc zapadnie, bo w ciemności trudniej byłoby rozpoznać ślady: a ponieważ po tak obfitej uczcie musi być syta, więc pewnie przez parę dni nie wyjdzie ze swej nory.

Krwawe ślady znaczyły drogę od miejsca pochwycenia bawo do zarosła lasu, które parę razy już przeszukaliśmy daremnie: teraz postanowiliśmy otoczyć je dookoła, aby zwierzę nie mógł przejść niewidziany. Góralski rozstawili się w koło, tak, aby stopniowo mogli odciecać się do środka.

Z jednej strony stanął kapitan Hod, ja i Kalagani – z drugiej Banks i Fox; w obwodzie mieliśmy Hindusów wziętych z kraju i ze wsi. Każdego punktu tego sączucha był zarówno niebezpieczny, bo na każdego mógł tygryś uderzyć i przerwać go.

Niewątpliwie tygryś musiał być w zarosłach, ponieważ krwawe ślady dochodziły do nich z jednej strony, nie pokazywały się z drugiej, pewnie więc choć czasowo w nich przebywał.

Posuwaliśmy się powoli, coraz więcej zacieśniając koło i w jakieś pół godziny stanęliśmy na skraju lasu; dotąd nic nie upewniliśmy, że zwierzę się tu znajduje. Teraz już mogliśmy widzieć tylko najbliższych stojących, a trzeba było podchodzić zupełnie jednocześnie, umówiliśmy się zatem, że pierwszy, który wejdzie do lasu, wystrzeli na znak dla innych.

Niebawem kapitan wyprzedził wszystkich dał ognia – było pięć minut po wpół do dziewiętej rano. W kwadrans później koło tak się odciecało, żeśmy dotykali się okkami. Dotąd zwierzę nie pokazywało się i tylko szelest deptanych gałęzi zakłócał doskonałą ciszę.

Wtem rozległ się głośny ryk.

– Zwierzę jest tu! – krzyknął kapitan, wskazując otwór pieczary, wydrążonej w skale, osłoniętej

kêp¹ drzew.

Kapitan mia³ s³usznocœæ, tygrysica skry³a siê tam czuj¹c siê ze wszystkich stron otoczon¹.

Hod, Banks, Fox, Kalagani ja i kilku ludzi z kraalu podeszlicœmy do ma³ego otworu, przed którym koñczy³y siê krwawe œelady.

– Trzeba wejœæ do jaskini – rzek³ Hod.

– To rzecz niebezpieczna – rzek³ Banks – pierwszy ktoby wszed³, narazi³by siê conajmniej na niebezpieczne rany,

– Pomimo to ja wejdê! – rzek³ Hod, ogl¹daj¹c swój karabin.

– Dobrze, panie kapitanie, ale dopiero po mnie! zawo³a³ Fox schylaj¹c siê ku otworowi jaskini.

– O nie Foxie, nie, to moja rzecz! rzek³ stanowczo kapitan Hod.

– A! mój kapitanie – rzek³ Fox z ³agodnym wyrzutem, ja liczê mniej o siedmiu – dopiero trzydziestu ocemiu.

I w takiej chwili oni obliczali zabite tygrysy.

– ¹adnemu z was nie pozwolê wejœæ! – krzykn¹³ Banks.

– Znalaz³by siê inny sposób – rzek³ wtedy Kalagani.

– Jaki? – zapytalicœmy jednocześnie.

– Podkurzyæ jaskiniê – odpowiedzia³. Wtedy zwierz zmuszony bêdzie z niej wyjœæ, i moŹna bêdzie zabiaæ go bez wszelkiego niebezpieczeñstwa.

– Kalagani ma s³usznocœæ – rzek³ Banks. Trzeba co prêdziej naznosiæ zielska i suchych ga³êzi i zatkaæ nimi otwór. Wiatr bêdzie pêdzi³ do wnêtrza dym i p³omieñ a nie chc¹c zostaæ spalon¹, tygrysica musi wyjœæ.

– I wyjdzie najniezawodniej – rzek³ Kalagani.

– Zgoda! – zawo³a³ kapitan; czekamy aby j¹ powitaæ.

W mgnieniu oka u³oŹono przed otworem jaskini wielki stos suchych traw i ga³êzi, jakich nie brak³o w zarocœlach. ¹aden szmer nie dochodzi³ nas z wnêtrza jaskini i nic nie widaæ by³o w ciemnej prowadz¹cej do niej norze. A jednak ryk pierwej us³yszany wyszed³ z niej niezawodnie.

Podpalono stos. W jednej chwili buch¹³ p³omieñ. Wiatr pêdzi³ do jaskini czarny i gêsty dym, który niezawodnie wkrótce oddechaæ w niej nie dozwoli.

Niebawem rozległ się ryk daleko straszniejszy niż pierwszy. Zwierz uczuł, że pozbawiają go ostatniego przytułku – dym dusi go, zmuszając do wyjścia z jaskini. Czekaliśmy na niego zasniedzi nieco odłamami skał i pniami drzew, aby od razu nie rzucił się na któregoś z nas. Kapitan obrał sobie inne daleko niebezpieczniejsze stanowisko. Stanął przy wejściu do wąskiego przejścia w zaroślach, jedyne w które musiałaby się rzucić tygryś chcąc uciekać w głąb lasu. Przyklękł na jedno kolano aby lepiej mógł celować i z wymierzoną bronią czekał nieruchomy jak posąg z marmuru.

Zaledwie trzy minuty upłynęły od czasu podpalenia stosu, gdy rozległo się trzecie z kolei wycie, a raczej ryk w norze. W jednej chwili stos został rozrzucony i ogromna tygryś ukazała się wśród kłębow dymu.

– Strzelać! – krzyknął Banks.

Dziesięć wystrzałów rozległo się jednocześnie, ale przekonaliśmy się potem, że wszystkie chybiły. Zwierz wypadł nieszybciej, zasniedzi kłębami dymu, więc niepodobna było trafić.

Przeskoczywszy stos, tygryś drugim skokiem rzucił się ku zaroślom. Kapitan czekał na niego z zinną krwią i wystrzelił – kula jego ugodziła go poniżej opatki.

Szybko jak baskawica, tygryś rzucił się na niego, obalił go i strasznie śapami miał go zgnieść mu głowę... gdy w tym przyskoczył Kalagani z szerokim nożem w ręku.

Jeszcze drgał w powietrzu krzyk, jaki wydarł się z naszych piersi, gdy już odważny Hinduś przyskoczył do dzikiego zwierza i ugodził go nożem w miejsce w chwili, gdy miał zatopić pazury w twarzy kapitana.

Skutkiem tego nagłego napadu, zwierz odwrócił się szybko, rzucił się na Hindusa i obalił go. Ale kapitan zerwał się w tej chwili i chwytając nóż opuszczony przez Kalaganiego, pewnie ręką wbił go w serce zwierza.

Tygryś padł na ziemię.

Wszystkie te przerażające sceny odbyły się w przeciągu kilku sekund. Kapitan klęczał jeszcze, gdyśmy przybiegli do niego, Kalagani podniósł się, krew płynęła z jego ramienia.

– Bag mahryaga!... Bag mahryaga!... – krzyżeli Hindusi, co znaczy: tygryś nie żyje.

Rzeczywiście leżała martwa. A był to ogromne zwierzę. Miał dziesięć stóp długości od pyska do ogona, odpowiedni tułów, wielkie śapy opatrzone ogromnymi pazurami, tak ostre jakby je wyszlifował szlifierz.

Podczas gdy myśmy podziwiali ogromnego zwierza, chciwi zemsty Hindusi wymyślali mu najokropniej. Kalagani zbliżył się do kapitana Hod.

– Dziękuję panu – rzekł.

– Ty mnie!... zawołał kapitan, ale to ja przeciwnie powinienem podziękować tobie, dzielny

Hindusie. Gdyby nie ty, jużby 1-mu pu³kowi karabinierów armji królewskiej brakowa³o jednego z jego kapitanów.

– Gdyby nie pan, jabym już nie ży³ – odrzek³ zimno Hindus,

– Ależ, do kro³set tysięcy! – przecież rzuci³o³ się z nożem w r³ęku na tygrysic³ w chwili, gdy mia³a zgnie³o³ mi czaszk³.

– To cóż, ale pan kapitan zabi³ j¹, co stanowi już czterdziestego szóstego.

– Wiwat! wiwat! niech żyje kapitan Hod! – wo³ali Hindusi.

Rzeczywiście kapitan mia³ prawo zapisa³ t³ tygrysic³ na swój rachunek, a Kalaganiemu podziękowa³ serdecznym uściskiem d³oni.

– Pójd³ z nami do Steam-House – rzek³ Banks: masz na ³opatce ran³ od pazurów tygryscy; w naszej aptece znajdzie się o³rodek na jej zagojenie.

Kalagani sk³oni³ się na znak zezwolenia i pożegnawszy górali, którzy nie mogli nam się do³o³ nadziejkowa³, wybrali³emy się z powrotem do naszego sanatorjum. Chikarisowie, pożegnawszy nas, powrócili do kra³alu. Ale i tym razem wracali z próżnemi r³ekoma, i jeżeli Mateusz Van Guitt liczy³ na „królow³ Tarryani” dla uzupe³nienia swej mena³erji, to biedny zawiód³ się bardzo. Ale też w tych warunkach niepodobieństwem by³o pochwyta³ j¹ żywcem.

Przybyli³emy do Steam-House oko³o po³udnia – i ku naszemu niema³emu zdziwieniu nie zastalic³emy pu³kownika Munro; oddali³ się zabrawszy z sob¹ Mac-Neila i Gumiego. Zostawi³ tylko list do Banksa, żeby się nie niepokoi³ jego nieobecno³ci¹, gdyż pragnie tylko dotrze³ do granic Nepalu, aby rozja³o³ pewne w¹tpliwo³ci odnosz¹ce się do towarzyszy Nany Sahiba, i że powróci niezawodnie przed terminem wyznaczonym na nasz pobyt w okolicy Himalajów.

List ten Banks przeczyta³ g³o³o; zdawa³o mi się wyra³nie, że s³uchaj¹c czytania Kalagani nie zdo³a³ ukry³ pewnego niezadowolenia.

Ale chyba zdawa³o mi się – cóżby mu mog³o na tem zale³o³.

Rozdzia³ V

NOCNY NAPAD.

Nieobecno³o³ pu³kownika żywo zaniepokoi³a nas wszystkich. By³a ona dowodem, że mycili zawsze o tej przesz³o³ci, któr¹ pragn³o³emy zatrze³ w jego pamięci. Ale cóż by³o robi³? niepodobna i³o³ za nim nie wiedz¹c, w któr¹ stron³ granicy nepalskiej skierowa³ swe kroki.

Trzeba wi³o³ czeka³. Pu³kownik wróci niezawodnie przed końcem sierpnia, ponieważ by³ to ostatni miesi¹c, jaki mieli³emy sp³o³dzia³ w sanatorjum, przed udaniem się na po³udniowy zachód,

drog¹ wiod¹c¹ do Bombaju.

Rana Kalaganiego po kilku dniach o tyle siê podgoi³a, że móg³ wróciæ do kraalu. W pocz¹tkach sierpnia pada³y tak gwa³towne deszcze, że nawet żaby mog³yby od nich dostaæ kataru, jak mówi³ kapitan Hod; przy końcu miesi¹ca pogoda ustali³a siê nieco, pozwalaj¹c nam robiæ wycieczki w okolice Tarryani.

Czêsto odwiedzaliœmy kraal, ale Mateusz Van Guitt by³ bardzo niezadowolony, gdyż brakowa³o mu jeszcze lwa, dwu tygrysów i dwu lampartów – a pragn¹³ opuœciæ tê okolicê w pierwszych dniach wrzeœnia.

Jakby na przekór, zamiast po¹danych, inni nieproszeni goœcie ³apali siê w jego zasadzki. I tak czwartego sierpnia w jedn¹ z nich z³apa³ siê piêkny niedŹwiedŹ.

W³acenie podczas naszej bytnoœci w kraalu, chikarisowie przytoczyli mu w klatce wielkiego jeñca pokrytego czarnem futrem, z ogromnemi w³ochatemi uszyna.

– A cóż mi po tym nicponiu! – zawo³a³ dostawca wzruszaj¹c ramionami.

– Brat Ballon!... brat Ballon!... powtarzali Hindusi.

Widaæ Hindusi s¹ siostrzeñcami tygrysów a braœmi niedŹwiedzi.

Mateusz Van Guitt patrza³ na brata Ballona z wyraŹnem niezadowoleniem. Chcia³ tygrysa, a z³apa³ siê niedŹwiedŹ, cóż mu po nim. Indyjskie niedŹwiedzie nie znajduj¹ amatorów na targach europejskich, same tylko amerykañskie i pó³nocne s¹ doœæ poszukiwane, wiêc jako handlarz pocóŹ mia³ trzymaæ i Źywiæ zwierza, który pewnie nie powróci³by nawet kosztów przewozu.

– Czy chcesz go pan? – zapyta³ kapitana.

– A mnie on na co? – odrzek³ tenże.

– Możesz kazaæ robiæ z niego befsztyk, rzek³ dostawca.

– K³aniam siê uniżenie! odpowiedzia³ kapitan. Jecæ befsztyk z zabitego niedŹwiedzia, to jeszcze ujdzie – ale zabijaæ aby robiæ z niego befsztyk, toby mi nie doda³o apetytu.

– Kiedy tak, wiêc wróœcie mu wolnoœæ – rozkaza³ dostawca.

Odsuniêto klatkê daleko od kraalu i otworzono drzwi. Brat Ballon, wyraŹnie zawstydzony swoim po³ożeniem, nie da³ siê prosiæ. Wyszed³ z klatki, potrzeb³ s³ b³em zapewne na podziêkowanie i uciek³ mrucz¹c radoœnie.

– Zrobi³œe pan dobry uczynek – rzek³ Banks do dostawcy, niechybnie przyniesie ci szczêœcie.

Jakoż nie d³ugo spe³ni³a siê przepowiednia inŹyniera.

Mateusz Van Guitt, ja i kapitan Hod udaliśmy się do lasu w towarzystwie Focha, mechanika Storra i Kalaganiego, gdy nagle usłyszeliśmy przytłumiony ryk. Ciesniwszy się w gromadkę, aby nie zostać napadnięci pojedynczo, zwróciliśmy się ku miejscu skąd ryk wychodzi. Gdy już uszliśmy z pięćdziesiąt kroków, dostawca zatrzyma nas nagle; zdawało się, że z ryku pozna zwierza.

– Tylko proszę, nie strzelajcie panowie bez potrzeby! – zawołał.

Poczem skinąwszy, abyśmy się na chwilkę zatrzymali sam zaczęliśmy naprzód.

– Lew – zawołał.

Jakoż rzeczywiście jakieś zwierzę szamota się pochwycony mocnym postronkiem, przytwierdzonym do grubej gałęzi drzewa. Był to rzeczywiście lew, jakiego Mateusz Van Guitt tak gorąco pragnął, ale nie miał grzywy, gdyż te posiadają tylko lwy afrykańskie. Przednia jego łapa zapała się w pętlicę postronka, zwierzę szarpa się straszliwie, ale nie mógł jej wydobyć.

Pomimo upomnień dostawczy – kapitan chciał strzelać.

– Nie strzelaj, kapitanie! nie strzelaj! – zaklinam cię.

– Ale...

– Nie, nie, nie można, lew ten zapał się w moją łapkę, należy więc do mnie.

Rzeczywiście był to tak zwana „łapka szubienica” bardzo łatwa do urznięcia a bardzo dowcipnie obmyślana.

Do mocnej a zarazem giętkiej gałęzi drzewa przytwierdza się bardzo gruby postronek. Gałąź ta jest ku ziemi pochylona w ten sposób, aby niższy koniec postronka zakończony pętlicą był zahaczony w nacięcie kołka mocno wbitego w ziemię. Na tym kołku kładzie się przynętę tak ułożoną, aby chcąc jej dotknąć, zwierzę musi włożyć w pętlicę łeb lub łapę. Gdy nawet lekko poruszy przynętę, postronek wysuwa się z kołka; gałąź podnosi się, zwierzę jest pochwycony i w tej chwili ciężki walec drewniany zsuwa się po sznurze, spada na pętlicę i tak mocno ją zacięga, że powieszony zwierzę w żaden sposób nie może jej rozluźnić i z niej się uwolnić.

Łapki takie zastawiają w Indjach bardzo często i prawie zawsze skutecznie. Najczęściej zwierzę łapie się za szyję, co powoduje prawie natychmiastowe uduszenie, a jednocześnie ciężki drewniany cylinder przygniata mu głowę. Ale lew, na którego patrzyliśmy zapał się za łapę, był więc zdrowy i żywy, a więc doskonale nadawał się do menażerii.

Niewymownie ucieszony zdobyczą Van Guitt wysłał Kalaganiego do kraalu, aby sprowadzono klatkę. Dostawca nie spuszcza oczu ze lwa, obchodzi go do koła trzymając się jednak w takiej odległości, aby go nie mógł dosięgnąć łapami, którymi rozwścieczony lew cięgle machał.

W pół godziny bawoły przywiozły klatkę, do której nie bez trudności wprowadzono lwa i powróciliśmy do kraalu.

Od owego dnia szczęście sprzyja³o Mateuszowi Van Guitt. Dnia 11. sierpnia, aż dwa lamparty z³apa³y się w t³e zasadzk³e na tygrysy, z której to wyzwoliliśmy dostawc³e. Tak więc do ca³kowitego uzupe³nienia mena³erji brak³o mu już tylko dwóch tygrysów.

Nadszed³ 15. sierpnia; pu³kownik Munro nie wraca³ i żadnej nie da³ o sobie wiadomości. Banks by³ bardzo o niego niespokojny. Zapyta³ Kalaganiego, który doskonale zna³ miejscowości le¹ce nad granic³e nepalsk¹, czy pu³kownikowi nie grozi w tamtych okolicach jakie niebezpieczeństwo, ale ten upewni³ go, że na pograniczach Tybetu nie ma już ani jednego ze stronników i towarzyszy Nany Sahiba i oświadczy³, że bardzo ża³uje, że pu³kownik nie wzi¹³ go za przewodnika, gdyż mógł³by być mu bardzo po³ytecznym w kraju, którego wszystkie zak¹tki zna doskonale.

Kapitan i Fox nie przestawali robi³ć wycieczek w okolice Tarryani, i uda³o im się, choć nie bez nara³żenia się na niebezpieczeństwo, zabi³ć znowu jeszcze trzy niewielkie tygrysy. Dwa zabi³ kapitan a trzeciego Fox.

– Czterdzieści o³em! – rzek³ kapitan, pragn¹cy koniecznie doci¹gn¹æ do pi³ædziesięciu.

Trzydzieści dziewięć! – rzek³ Fox smutnie – mniej o dziewięć.

Za nic liczy³ panter³e, która pad³a od jego kuli.

Dnia 20. sierpnia z³apa³ się nareszcie tygrys tak po³łdany, w d³o urz¹dzony przez dostawc³e, Zrani³ się wpadaj¹c w d³o, ale nie tak niebezpiecznie jak to zwykle bywa. Za kilka dni mógł³ zostac³ wyleczony i zdrów dostawiony do Hamburga.

Sposób ³apania w do³y powinien by być używany wtedy tylko, gdy chodzi o t³ępienie zwierzt¹t, gdyż najcz³ęściej poci¹ga za sob¹ ich o³mieræ, szczególnie³ je³eli wpadaj¹ w do³y urz¹dzane dla s³oni, które maj¹ zwykle 15 do 20 st³óp g³ębokości. Na dziesięć tak z³apanych zwierzt¹t, jedno zaledwie nie odnosi o³miertelnych uszkodze³ñ.

Obecnie brakowa³ już tylko jeden tygrys Mateuszowi Van Guitt do skompletowania swojej mena³erji, a pragn¹³ schwyta³ go jak najpr³ędzej, aby mógł³ wróci³æ do Bombaju.

Tego ostatniego tygrysa mieli³emy wprowadzi³æ niezad³ugo, ale za jak¹ cen³e! Musz³e o tem obszerniej powiedzi³æ, bo za to zwierz³e zap³acili³emy drogo – bardzo drogo.

Za staraniem zatem kapitana Hod urz¹dzona zosta³a wyprawa my³eliwska. Wszystko zdawa³o się zapowiada³æ pomy³elne ³owu; niebo by³o pogodne, powietrze spokojne, ksi³ę³yc przyo³wieca³ s³abym blaskiem. Je³eli noc jest zbyt ciemna, dzikie zwierz³e bardzo niech³ętnie opuszczaj¹ nory, najbardziej lubi¹ wychodzi³æ, gdy ksi³ę³yc po p³o³nocy przyo³wieca s³abym tylko blaskiem.

Do wyprawy tej oprócz kapitana i mnie nale³ł Fox i Storr, który coraz wi³ęcej nabiera³ zami³owania do podobnych ³owów, dostawca, Kalagani i kilku Hindusów. Po³ęgnawszy się z Banksem, który tym razem nam nie towarzyszy³, opu³cili³emy Steam-House oko³o siódmej wieczorem, a o ósmej byli³emy w kraalu. Mateusz Van Guitt powita³ nas bardzo serdecznie i zaraz zebrali³emy się na narad³e, na której u³o³ono plan polowania.

Stanê³o na tem, ¿e mielicemy zaczaiaæ siê w parowie na wybrze¿ach strumienia, o dwie mile od kraalu, w miejscu, w którym co noc ukazywa³a siê para tygrysów. Nie urz¹dzono tam ¿adnej przynêty, gdy¿ Hindusi tym razem uznali to za niepotrzebne, poniewa¿ wiedzieli, ¿e i bez tego potrzeba ugaszenia pragnienia zmusza zwierzêta przybywaæ nad brzeg strumienia.

Dopiero o pó³nocy mielicemy opuœciæ kraal, pozostawa³o wiêc jeszcze parê godzin czasu.

– Oddajê panom do rozporz¹dzenia ca³e moje mieszkanie – rzek³ Van Guitt, – ale radzê idŸcie za moim przyk³adem i przeœpijcie siê trochê; sen doda nam si³ do wyprawy.

– Czy chce ci siê spaæ? – zapyta³ mnie kapitan.

– Nie; wolê przez tych parê godzin chodziæ po lesie, ni¿ zrywaæ siê nagle ze snu.

– Róbcie panowie co siê wam podoba; mnie ju¿ siê powieki gwa³tem do snu klej¹, muszê siê przespaæ.

Ziewn¹³ potê¿nie, po¿egna³ nas skinieniem g³owy i poszed³ siê po³o¿yæ.

– C¿ teraz bêdziemy robiæ? – zapyta³em kapitana.

– Spacerujmy po kraalu, – odrzek³, – noc przecieliczna, bêdziemy rzeŸwiejsi ni¿ gdybyœmy przespali parê godzin, tem bardziej, ¿e sen nie przyszed³by na zawo³anie.

Chodziliœmy wiêc po kraalu myœl¹c i rozmawiaj¹c. Storr po³o¿y³ siê pod drzewem i spa³ smacznie; chikarisowie i woŸnice tak¿e udali siê na spoczynek; my dwaj tylko czuwaliœmy.

Kraal by³ otoczony mocn¹ palisad¹ i zamyka³ siê doskonale, stra¿ nie by³a zatem potrzebna. Kalagani poszed³ sam upewniaæ siê, czy brama dobrze zamkniêta, poczem powiedziawszy nam dobranoc uda³ siê do wspólnego z innymi Hindusami pomieszczenia.

Cisza zaleg³a doko³a, i ludzie i zwierzêta w klatkach zatonêli w g³êbokim œnie. Rozmawiaj¹c zbli¿yliœmy siê do klatek. Tygrysy, lwy, pantery, lamparty spa³y w oddzielnych przegrodach. Mateusz Van Guitt dopiero po kilku tygodniach wiêzienia, gdy z³agodnia³y nieco, ³¹czy³ je z sob¹, w pierwszych dniach niewoli rozwœcieczone, niezawodnie rozszarpa³yby siê wzajemnie.

Trzy lwy le¿a³y nieruchomo skulone w pó³kole jakby wielkie koty; g³owy ukryte ca³kiem prawie w futrze, tak, ¿e zaledwie mo¿na je by³o odró¿niæ. Tygrysy nie spa³y tak spokojnie; oczy ich b³yszcz³y w ciemnoœci jak ¿arz¹ce wêgle; wielkie ³apy wysuwa³y siê od czasu do czasu, drapi¹c kratê; by³ to sen krwio¿erczych zwierz¹t, szarpi¹cych swoje okowy.

– Widaæ drêcz¹ je przykre sny – rzek³ z wospó³czuciem kapitan.

I pantery rzuca³y siê i nie spa³y spokojnie. Gdyby nie klatka, biega³yby teraz spokojnie po lesie, lub oko³o pastwisk, upatruj¹c zdobyczy.

Cztery lamparty spa³y spokojnie; dwoje z nich, samiec i samica, zajmowa³y jedn¹ przegrodê,

mog³y wiêc mniemaæ, ¿e znajduj¹ siê w swojej norze.

Jedna przegroda by³a jeszcze pusta, w niej mia³ byæ pomieszczony ów szósty, nie daj¹cy siê dot¹d pojmaæ tygrys, którego Mateusz Van Guitt oczekiw³ tak niecierpliwie, aby mó³g nareszcie opuœciaæ Tarryani.

Po godzinnej przechadzce wewn¹trz kraalu, usiedliœmy pod ogromn¹ mimoz¹. G³uche milczenie zaleg³o las; nawet najl¿ejszy wietrzyk nie szemra³ wœród liœci. Tak na ziemi, jak w wysokich przestrzeniach, panowa³ doskona³y spokój i cisza; ksiê¿yc przyœwieca³ po³ow¹ tarczy.

Przestawszy rozmawiaæ, siedzieliœmy z kapitanem obok siebie; jednak¿e sen nie ogarnia³ nas jeszcze, a tylko jakieœ raczej moralne ni¿ fizyczne obezw³adnienie, którego wp³ywowi podlegamy podczas doskona³ego spokoju przyrody. Po chwili kapitan rzek³ do mnie, zni¿aj¹c g³os bezwiednie, jak gdyby z obawy zak³ócenia ogólnej ciszy przyrody:

– Wiesz co, Maucler, dziwi mnie to g³uche milczenie. Zazwyczaj wœród nocy panuje gwar w lesie, rozlega siê ryk i wycie dzikich zwierz¹t. Jeœli nie tygrysy i pantery, to szakale uwijaj¹ siê. Kraal ten pe³en ¿ywych istot, powinienby przywabiaæ je tu setkami, a nie s³ychaæ nawet w najwiêkszej oddali ani ich wycia, ani szelestu deptanych przez nie suchych liœci i ga³êzi. Gdyby Mateusz Van Guitt nie spa³, dziwi³oby go to równie jak mnie.

– Masz s³usznocæ, kapitanie, – odpowiedzia³em, – i doprawdy nie wiem, co jest powodem tej nieobecnoœci dzikich zwierz¹t. Ale czuwajmy nad sob¹, bo wkoñcu sen nas zmorzy.

– Otrz¹œnijmy siê z sennoœci, bo zbli¿a siê czas, w którym mamy wyruszyæ na nasz¹ wyprawê.

Zamilkliœmy znowu, marz¹c pó³ we œnie, pó³ na jawie; jak d³ugo to trwa³o, nie umiem powiedziaæ, a¿ nagle jakieœ g³uchy odg³os wyrwa³ nas z odrêtwienia. Wyr³ne jakieœ wzburzenie objawi³o siê w klatkach dzikich zwierz¹t. Tak spokojne dot¹d lwy, tygrysy, pantery, lamparty, zaczyna³y mruczeæ i rzucaæ siê w klatkach. Wszystkie powsta³y i krêc¹c siê w ogrodzeniach, nas³uchiwa³y i wêszy³y coœ z zewn¹trz, uderzaj¹c gniewnie o ¿elazne kraty klatek.

– Co to znaczy? – zapyta³em.

– Nie wiem – odrzek³ kapitan, – ale obawiam siê, czy nie zwêszy³y zbli¿ania siê...

Wtem nagle zewn¹trz kraalu rozleg³ siê straszny ryk i wycie.

– Tygrysy! – krzykn¹³ kapitan Hod, biegn¹c ku mieszkaniu Mateusza Van Guitt.

Ale wycie by³o tak przera¿aj¹ce i g³oœne, ¿e w jednej chwili wszyscy mieszkańcy kraalu zerwali siê jak jeden cz³owiek i dostawca ukaza³ wraz z nimi przed drzwiami.

– Napad!... – krzykn¹³.

– Tak i ja myœlê, – rzek³ kapitan Hod.

– Trzeba siê przekonaæ! – zawo³a³ dostawca.

I porywaj¹c drabinê, w mgnieniu oka przystawi³ j¹ do palisady i wbieg³ na najwy¿szy jej szczebel.

– Dziesiêæ tygrysów i dwanacie panter, – zawo³a³.

– To nie ¿arty! – rzek³ kapitan Hod, – wybieraliœmy siê polowaæ na nie, a one nas uprzedzi³y.

– Do broni! do broni! – krzykn¹³ handlarz.

Wszyscy us³uchali jego komendy i nie usz³o jeszcze dwadzieœcia sekund, a wszyscy byliœmy gotowi daæ ognia na pierwsze skinienie.

Takie gromadne napady dzikich zwierz¹t zdarzaj¹ siê w Indjach doœæ czêsto. Bardzo czêsto mieszkańcy miejscowoœci zwiedzanych przez tygrysy bywaj¹ oblê¿eni przez nie w swoich mieszkaniach, i niejednokrotnie oblegaj¹cy wychodz¹ zwyciêsko z napadu.

Niebawem do g³oœnego ryku, dochodz¹cego z zewn¹tr, do³czy³o siê przera¿aj¹ce wycie uwiêzionych w klatkach. Kraal odpowiada³ lasowi. Ha³as by³ tak przera¿liwy, ¿œmy siê nie mogli s³yszeæ.

– Na palisady! – krzykn¹³ dostawca, komenderuj¹c raczej na migi ni¿ g³osem.

W tej¿e chwili przera¿one bawo³y zaczê³y siê szarpaæ, chc¹c zerwaæ siê i uciec ze swego stanowiska; woŹnice silili siê daremnie, chc¹c je przytrzymaæ.

W tem brama, Ÿle widaæ zamkniêta, otworzy³a siê gwa³townie i gromada dzikich zwierz¹t wpad³a do wnêtrza kraalu.

Dziwna rzecz, jak to siê mog³o staa, skoro Kalagani, tak jak codziennie, mia³ zamkn¹æ drzwi i za³o¿yæ ¿elazn¹ sztabê!

– Do mieszkania coprêdzej!... – krzykn¹³ Mateusz Van Guitt, wpadaj¹c do domu, który sam tylko zapewnia³ jakieœ schronienie.

Ale czy zdo³amy do niego dobiec?

Ju¿ pad³o na ziemiê dwóch chikarysów napadniêtych przez tygrysy. Inni, nie mog¹c dobiec do domu, biegli po kraalu, szukaj¹c jakiegoœ schronienia. Dostawca, Storr i szeœciu Hindusów byli ju¿ w domu, którego drzwi zdo³ali zamkn¹æ w³acenie w chwili, gdy dwie pantery mia³y wpaœæ za nimi. Kalagani, Fox i inni, chwytaj¹c siê ga³êzi, wdrapywali siê na najbli¿sze drzewa. Ja i kapitan Hod nie mogliœmy dobiec do domu.

– Maucler! Maucler! – krzykn¹³ kapitan Hod, któremu pantera pazurem rozszarpa³a praw¹ rêkê. Uderzeniem ogona olbrzymi tygrys powali³ mnie na ziemiê, zerwa³em siê w chwili, gdy odwraca³ siê, aby uderzyæ na mnie i pobieg³em na pomoc kapitanowi.

Nie pozostawa³o nam nic innego, jak wpaœæ do pustej przegrody w szóstej klatce i zamkn¹æ kratê za sob¹; ledwie zd¹yliœmy siê tam schroniæ, poczê³y uderzaæ z g³ocnym rykiem o œelazne prêty klatki. A rozwœcieczone godzi³y w ni¹ tak zawziêcie, œe klatka przechylana na ko³ach w tê i ow¹ stronê o ma³o siê nie przewróci³a. Szczêœciem tygrysy oddali³y siê od niej nied³ugo, rzucaj¹c siê na pewniejsz¹ zdobycz.

Straszna scena! a mogliœmy dobrze widzieæ wszystko przez kraty klatki.

– Œwiat siê przewraca! – krzykn¹³ z gniewem kapitan; – my w klatce a one na wolnoœci...

– A twoja rana, kapitanie?

– Eh! to nic!...

W tejœe chwili rozleg³o siê kilka wystrza³ów. Pad³y one z domu, z przegrodzenia, w którym znajdowa³ siê Mateusz Van Guitt, za którym goni³y dwa tygrysy i trzy pantery.

Jedno z tych zwierz¹t pad³o ugodzone kul¹ wybuchaj¹c¹, wystrzelon¹ zapewne z karabina Storra. Inne zwierzêta rzuci³y siê odraz u na gromadê bawo³ów biedne te zwierzêta znalaz³y siê bezbronne wobec tak strasznych wrogów, gdyœ Fox, Kalagani i Hindusi nie mogli im przyœæ z pomoc¹, poniewaœ wspinaj¹c siê na drzewo, porzucili broñ.

Wtedy i Hod da³ ognia, wystawiwszy strzelbê przez kraty. Mimo czêœciowego ubezw³adnienia jego prawego ramienia, które mu nie pozwala³o na pewne celowanie, uda³o mu siê zabiæ czterdziestego dziewi¹tego tygrysa.

Rozszala³e bawo³y biega³y z rykiem po kraalu, daremnie rogami broni¹c siê tygrysom. Jednemu pantera wskoczy³a na kark, szarpi¹c pazurami³ opatkê; rycz¹c z bolu, wybieg³ za obrêb kraalu. Piêæ czy szeœæ innych, napadniêtych przez tygrysy, posz³o za jego œladem i znik³o w lesie. Parê tygrysów rzuci³o siê za nimi, inne bawo³y, które nie zdo³a³y uciec, leœa³y rozszarpane na ziemi.

I znowu z okien domu rozleg³y siê wystrza³y; ja z kapitanem nie próœnowaliœmy takœe, ale znów nowe zagra³a³o nam niebezpieczeñstwo.

Zwierzêta uwiêzione w klatkach, podniecone tocz¹c¹ siê walk¹, rzuca³y siê z niepohamowan¹ wœciek³oœci¹; naleœa³o siê obawiaæ, œe rozbij¹ klatki. Klatka z tygrysam³i przewróci³a siê, przez chwilê myœla³em, œe uciek³y, po³amawszy œelazne prêty, na szczêœcie obawa by³a próœn¹; klatka przewróci³a siê tylko, a œe pad³a na stronê zakratowan¹, wiêc zamkniête w niej tygrysy nie mog³y juœ nic widzieæ, co siê dzia³o woko³o nich.

Jeden tygrys wielkim skokiem w górê zdo³a³ uczepiaæ siê pazurami³ ga³êzi drzewa, na które schroni³o siê dwóch czy trzech chikarisów; pochwyci³ najbliœszego i œci¹gn¹³ go na ziemie.

– Ale strzelajcie przecieœ, – wo³a³ kapitan Hod do dostawcy i jego towarzyszy, zapominaj¹c, œe ci nie mog¹ go dos³yszeæ.

My juœ nie mogliœmy udzieliæ œadnej pomocy: wystrzeliwszy naboje, mogliœmy byæ tylko

biernymi widzami walki.

W przegrodzie obok nas, zamknięty ogromny tygrys tak gwałtownie rzuca się i miota, iż klatka najpierw zachwia się silnie, a się niebawem przewróci. Potężeni zdaliśmy podnieść się na kolana. Przegrody nie pękły, ale nie mogliśmy teraz nic widzieć. Słyszeliśmy tylko przerażający krzyk, ryki i wycie. Zdawało się, że szaleje coraz krwawsza walka. Co się tam dzieło? pytaliśmy. Czy zwierzęta puciekają z klatek, czy rzuci się na Mateusza Van Guitta?... Czyby pantery i tygrysy dostały się na drzewa i mordowały Hindusów?...

Cały kwadrans przetrwaliliśmy w takim położeniu, którego minuty wydawały nam się długie jak wieki. Nareszcie odgłos walki zaczął powoli przycichnąć, ryk i wycie były słabsze, tygrysy zamknięte w przyległych obok nas przegrodach nie rzucały się tak wściekle; czyby mordy już ustały?

Wtem usłyszeliśmy, że z trzaskiem zamknięto drzwi kraalu, a potem Kalagani zaczął przyzywać nas głośno. Fox także krzyczy co miało się:

– Panie kapitanie!... panie kapitanie!...

– Jestem tu! – odezwał się kapitan.

Posłyszano go i wnet uczuliliśmy, że klatka się podnosi. Za chwilę byliśmy wolni.

– Fox! Storr! – krzyczy kapitan, zaniepokojony o swych towarzyszy.

– Jesteśmy! jesteśmy! – odpowiedzieli.

Aden nie był raniony; Mateusz Van Guitt i Kalagani także wyszli cało. Na ziemi leżały zabite dwa tygrysy i pantera, inne zwierzęta wybiegły z kraalu, którego bramę zamknięto teraz Kalagani. Byliśmy więc już zupełnie bezpieczni.

Szczęściem Aden z jeńców dostawcy nie został wyrwany z klatki, a nadto młody tygrys zapał się jakby w pułapkę w przewracając się klatkę, która upadła na niego. Tak więc pozyskał brakującego mu jeszcze tygrysa – ale jakże go drogo kosztował. Pięć bawołów rozszarpały mu dzikie zwierzęta, inne uciekły, a trzech Hindusów strasznie pokaleczonych leżało na ziemi, brocząc we krwi.

Rozdział VI

POŁĘGNANIE Z MATEUSZEM VAN GUIIT.

Przez resztę nocy nie nastąpił Aden wypadek ani w kraalu, ani poza jego obrębem. Tym razem rzeczywiście drzwi były dobrze zamknięte. Jakim sposobem mogły otworzyć się w chwili napadu dzikich zwierząt, skoro Kalagani zapewnia, że sam założył żelazne przytwierdzenia je sztaby, do tej chwili pozostało dla nas niewytłumaczonym.

Rana kapitana Hod dolegała mu bardzo, choć było to tylko mocne rozszarpanie ciała; gdyby

sięgnę³o g³ębiej, mógł³by utraciæ w³adzê w prawej rêce. Co do mnie, st³uczenie siê od owego upadniêcia, gdy tygrys ogonem przewróci³ mnie na ziemiê, by³o tak lekkie, ¿e nic go ju¿ nie czu³em.

Postanowilicemy wróciæ do Steam-House jak tylko dzieñ zacewita.

Mateusz Van Guitt nie robi³ sobie wiele z ca³ej tej przygody; ¿al mu by³o tylko biednych poranionych Hindusów i bawo³ów, które postrada³ w³acenie w chwili, gdy myœla³ o opuszczeniu Tarryani.

– Nieod³¹czne to od mego powo³ania, – rzek³ – i mia³em jakieœ przeczucie, ¿e mnie spotka tu jakieœ przykry przypadek.

Dzieñ zaczyna³ œwitaæ, gdy serdecznem uœciœnieniem d³oni po¿egnalicemy Mateusza Van Guitt, który da³ nam Kalaganiego i trzech Hindusów, aby nas przynajmniej przeprowadzili przez las.

W powrocie nie spotka³a nas ¿adna przygoda; nigdzie nie by³o ani œladu tygrysów lub panter. Co do bawo³ów zbieg³ych z kraalu, to te albo zosta³y poszarpane przez dzikie zwierzêta, lub zab³¹ka³y siê gdzieœ tak daleko, ¿e nie mo¿na by³o obiecywaæ sobie, aby wiedzione instynktem powróci³y do kraalu. Gdy minêlicemy las, Kalagani i dwaj Hindusi opuœcili nas, a w godzinê póŹniej bylicemy w Steam-House.

Opowiedzia³em Banksowi smutne nasze przygody; nie potrzebujê mówiæ, jak szczerze winszowa³ nam, ¿e siê na tem skoñczy³o. Najczêœciej ani jeden z napadniêtych nie powraca z podobnych napadów, aby mógł³ je potem opowiedzieæ.

Biedny kapitan musia³, chc¹c nie chc¹c, kilka dni nosiæ rêkê na temblaku, ale Banks, który by³ trochê doktorem, zapewni³ nas, ¿e rana siê prêdko zagoi. Kapitan mógł³ nadto siê tem pocieszyæ, ¿e zabi³ czterdziestego dziewi¹tego tygrysa.

Nazajutrz, 27. sierpnia, popo³udniu, nagle psy zaczê³y szczekaæ radoœnie, zobaczywszy pu³kownika Munro, wracaj¹cego do sanatorium wraz z Mac-Neilem i Gumim. Ucieszylicemy siê wszyscy widz¹c, ¿e powraca zupe³nie zdrów, bo ta nieobecnoœæ jego nabawi³a nas wielkiego niepokoju. Banks pierwszy wybieg³ naprzeciw niego, uœcisn¹³ serdecznie, wlepiaj¹c weñ pytaj¹ce spojrzenie.

– Daremnie! – odpowiedzia³ tylko sir Munro.

OdpowiedŹ ta oznacza³a nietylko, ¿e poszukiwania na granicy nepalskiej nie odnios³y ¿adnego skutku, ale tak¿e ¿eby nie zadawano mu ¿adnych pytañ i nic o tem nie mówiæ.

Tak wiêc dopiero wieczorem dowiedzielicemy siê od Mac-Neila i Gumiego, ¿e pu³kownik Munro chocia³ zwiedziæ tê czêœæ Hindostanu, w której ukrywa³ siê Nana Sahib przed ostatniem pojawieniem siê jego w prezydenturze Bombaju. Celem tej wycieczki by³o wyœledzenie, co siê sta³o z towarzyszami naboba; czy nie pozosta³y jakieœ œlady ich przejœcia przez granicê indochiñsk¹; i czy, jeœli nie sam Nana Sahib, to przynajmniej Balao Rao nie ukrywa³ siê w tych okolicach, nie podlegaj¹cych w³adzy angielskiej. Wszelkie poszukiwania doprowadzi³y do wniosku, ¿e wszyscy

powstańcy opuścili już te strony; nigdzie nie było najmniejszego śladu ich pobytu, ani obozowiska, w którym to odbyła się fałszywa pogrzeb Nany Sahiba; nie można było dowiedzieć się nigdzie nic, gdzie się podział Balao Rao i jego towarzysze. Nie można więc było myśleć o wymiarze sprawiedliwości i ukaraniu naboba, skoro on został zabity w górach Sautpurra, a jego banda rozprószona szukała zapewne schronienia poza granicami Hindostanu. Postanowiono tedy, że opuścimy granicę himalajską i zwróciwszy się na południe, ukończymy tym szlakiem naszą podróż z Kalkuty do Bombaju.

Mieliśmy odjechać za tydzień, t. j. 3. września, aby kapitan Hod miał czas wyleczyć się zupełnie z rany, a pułkownik Munro wypoczął po trudach męczącej wycieczki. Banks postanowił zajęć się tymczasem niezbędnymi przygotowaniem i opatrzeniem naszego Steam-House, aby można było odbywać bezpiecznie dalszą drogę.

Postanowiliśmy unikać wielkich miast północno-wschodnich, w których bunt z 1857 roku zaznaczył się śladami strasznego zniszczenia, gdyż widok ich rozbudzałby silniej jeszcze bolesne wspomnienia pułkownika. Tak więc Olbrzym Stalowy miał przebiegać prowincje, omijając miasta; pomimo to podróż może być bardzo zajmująca, gdyż okolice te, leżące w przeciętnym położeniu, przedstawiają zachwyconemu oku nader malownicze krajobrazy.

Fox i Gum zajmowali się teraz zaopatrywaniem spiżarni, Przebiegali okolicę zabrawszy psy z sobą, i dostarczyli znacznej liczby kuropatw, bałantów i dropi, w które okolica ta nadzwyczaj obfituje. Zapasy te przechowane w naszej lodowni, mogły wystarczyć na czas podróży.

Dwa czy trzy razy byliśmy w kraalu dla odwiedzenia Mateusza Van Guitt, który także przygotowywał się do powrotu do Bombaju, znosząc z filozoficznym spokojem wszelkie trudności i przykrości, jako człowiek wyższy nad podobne drobnostki i marności.

Ponieważ obecnie menażerja była już w komplecie, potrzebował już tylko zgromadzić inne bawoły w miejsce rozszarpanych i zbiegłych podczas nocnego napadu, a było to zadaniem niełatwym. Wysłał w tym celu Kalaganiego do pobliskich wsi i miasteczek, niecierpliwie oczekując jego powrotu.

Ten ostatni tydzień naszego pobytu w sanatorjum przeszedł zupełnie spokojnie. Rana kapitana Hod zagoiła się prawie zupełnie, miał nawet wielką ochotę wybrać się choć raz jeszcze na polowanie na tygrysy i jedynie na prośbę pułkownika odstąpił od tego zamiaru.

– Wskutek niezagojonej rany nie możesz być tak pewny swej ręki, mówi pułkownik Munro; bądź spokojny, w ciągu doświadczenia jeszcze podróży, zdarzy ci się jeszcze niejedna sposobność.

– A potem – dodał Banks, wszak zabije już czterdzieści dziewięć kapitanie, nie licząc ranionych, wszak to już dostateczna liczba na jednego ośmiertelnika.

– Chciałbym jechać przynajmniej zaokręglić i zabić pięćdziesiątego – odpowiedział z westchnieniem kapitan.

W przeddzień wyjazdu przybył do nas Mateusz Van Guitt w towarzystwie Kalaganiego.

Pu³kownik przy¹³ go bardzo uprzejmie. S¹dzili^oemy, ^ze przyszed³ jedynie aby nas po^zegna^e; ale z jego mowy i zak³opotania mo^zna by³o domy^ole^e si^e, ^ze grzeczno^ea ta by³a tylko p³aszczykiem jakiej^o my^eli, kto¹ pragn¹³ a nie ^oemia³ wypowiedzie^e. Na jego szcz^eo^ecie Banks zapyta³ czy uda³o mu si^e ju^z zdoby^e nowe bawo³y do zaprz^egu?

– Gdzie tam! panie in^zynierze, odpowiedzia³; Kalagani daremnie przebieg³ w tym celu wszystkie okoliczne miejscowo^oci, nigdzie nie m^og³ znale^oe^e bawo³ów do nabycia i jestem teraz w tak op³akanem po³o^zeniu, ^ze nie mam czem odstawi^e mojej mena^zerji do najbli^zszej stacji.

– I jak^e pan my^elisz zaradzi^e temu? – zapyta³ Banks.

– To te^z bieda, ^ze nie wiem co pocz¹e – odpowiedzia³. Klatki moje s¹ ci^ezkie... my^el^e to i owo... waham si^e... a tu termin odstawy si^e zbli^za... 20. wrze^onia niedaleko... tylko 18 dni mi pozostaje do odstawienia mojej mena^zerji do Bombaju.

– O^oemna^ocie dni!.. – zawo³a³ in^zynier – wi^ec nie masz pan chwili czasu do stracenia.

– Wiem o tem, niestety!... to te^z jeden... jedyny pozostaje mi ratunek...

– Jaki^z?

– Nie chci³bym by^e natr^etnym... a przecie^z o^omielam si^e zanie^oe^e najpokorniej³ pro^ob^e do pana pu³kownika...

– Mów pan o chodzi, panie Van Guitt – rzek³ pu³kownik Munro i b¹d^Ÿ pan pewnym, ^ze z najwi^eksz³ przyjemno^oci¹ uczyni^e co b^edzie w mej mocy, aby pana wybawi^e z k³opotu.

Po wielu uk³onach dostawca wypowiedzia³ nareszcie: ^ze skoro Olbrzym Stalowy ma by^e tak nadzwyczaj silny, mo^ze mo^znaby przyprz¹c jego klatki, na ko³ach do ostatniego wagonu i tym sposobem doci¹gn¹e je do najbli^zszej stacji kolei ^zelaznej. Odleg³o^oe nie przenosi 350 kilometrów, a droga jest dobra i równa.

– Czy jest mo^zliwym spe³ni^e ^zyczenie pana Van Guitt? – zapyta³ pu³kownik in^zyniera.

– Nic ³atwiejszego – odpar³ ten^ze – nasz Olbrzym Stalowy nie poczuje nawet tego powi^ekszenia ci^ezaru.

– A wi^ec dobrze, panie Van Guitt; odstawimy woj¹ mena^zerj^e do najbli^zszej stacji, s¹siedzi powinni sobie wzajemnie pomaga^e nawet w górach Himalaja.

Dostawca podzi^ekowa³ najuprzejmiej. Teraz trzeba mu by³o wraca^e copr^edzej do kraalu i odprawia^e s³u^zb^e zupe³nie ju^z od jutra niepotrzebn¹. Postanowi³ zatrzyma^e tylko czterech chikarisów, potrzebnych do nadzoru i obs³ugi klatek.

– A wi^ec do jutra, rzek³ pu³kownik Munro.

– Do jutra, ³askawi panowie, b^ed^e oczekiwa³ w kraalu przybycia waszego Stalowego Olbrzyma.

I dostawca odszedł uradowany.

Kalagani przez cały czas tej rozmowy bacznie wpatrywał się w pułkownika Munro, którego wycieczka do granic Nepalu widocznie bardzo go zajmowała; nareszcie poszedł za dostawcą.

Wszystkie przygotowania do naszej podróży były ukończone; nasze domy-wagony czekały tylko na Stalowego Olbrzyna, mającego dowieźć je na równinę, a następnie udać się do kraalu, aby zabrać klatki i przytwierdzić je do pociągu.

Nazajutrz, 3. września, o siódmej rano, Stalowy Olbrzym stał w pogotowiu do podjęcia obowiązków, z których dotąd wywodził się tak sumiennie, gdy w tym nieprzewidziany wypadek wprowiła nas w niewysławione zdarzenie.

Ognisko kotła, ukryte we wnętrzu naszego słońca, było pełne paliwa. Kalut rozpałał je i chcąc przekonać się czy jest dobry ciąg, otworzył luft, do którego boków przylegały rury służące do przeprowadzania przez kocioł popiołu i żużli. Ale zaledwie otworzył drzwiczki, odskoczył nagle, gdyż raptem wyleciało z niego z sykiem coś jakby ze dwadzieścia rzemieni. Banks, Storr i ja spojrzeliśmy po sobie, nie mogliśmy pojąć przyczyn tego dziwnego zjawiska.

– Co to jest, Kalut? – zapytał Banks.

– Grad węży, proszę pana – odpowiedział palacz.

Jakoż rzeczywiście były to węże, które widać obrały sobie mieszkanie w rurach kotła, więc za rozpaleniem ognia, promień zaczął je piec i parzyć. Niektóre z tych gadów były już strasznie poparzone, i gdyby nie to, że Kalut otworzył luft, wszystkieby się spaliły.

– A to co!... zawołał kapitan Hod, gniazdo węży szarpało wnętrzności naszego Stalowego Olbrzyma!

A były to najniebezpieczniejsze, najjadowitsze gatunki węży, tak zwane „węże-bicze”, „gulabisy”, „czarne kobry” i „okularniki”. Oprócz tego, w górnym otworze komina, pokazał się szpiczasty łeb ogromnego boa, któremu trudno było wydostać się prędko z metalowej rury; korzystając z tego, kapitan Hod porwał za karabin i kulą roztrzaskał mu głowę.

Wtedy Gumi wdrapał się na Stalowego Olbrzyna i z pomocą Kaluta i Storra zdjął wyciągnąć ogromnego węża. Byszczotka skóra jego mieniła się w barwy zielone i niebieskie, a na niej odznaczały się jakby obręcze z tygryziej skóry. Wąż ten był długi na pięć metrów, a gruby jak męskie ramię. Inne węże prędko rozbiegły się po trawie.

Po tem oczyszczeniu z węży, lufty ciągnęły doskonale, kocioł począł syczeć i po upływie trzech kwadransów manometr wskazywał dostateczne ciśnienie pary – można więc było wyruszyć w drogę.

Rzuciliśmy pojęgłe spojrzenie na przecieliczną panoramę roztaczającą się dokoła, na przepiękne pasmo gór, którego szpiczasty profil zajmował północny horyzont, jeszcze raz pojęgłaliśmy spojrzeniem niebotyczną Dawalaghiri, której szczyt spogląda dumnie na całą północną

Indje – rozleg³ siê gwizd lokomotywy i poci¹g ruszy³.

W godzinê póŹniej nasz poci¹g zatrzyma³ siê na skraju lasu Tarryan. Tu oddzielono Stalowego Olbrzyma, który pod kierunkiem Banksa, maszynisty i palacza zwróci³ siê na jedn¹ z szerokich dróg leœnych. Powróci³ we dwie godziny póŹniej i przyci¹gn¹³ szeœæ klatek z menaŹerj¹, które przytwierdzono do poci¹gu.

Mateusz Van Guitt nie móg³ siê doœæ nadziekowaæ pu³kownikowi Munro.

Banks skin¹³, rozleg³o siê œwiœniêcie i Stalowy Olbrzym popêdzi³ ku po³udniowi, nie troszcz¹c siê o powiêkszenie ciêŹaru poci¹gu przez szeœæ klatek z menaŹerj¹.

– I cóŹ powiesz na to – panie dostawco? – zapyta³ kapitan Hod.

– Powiem, panie kapitanie, Źe by³aby to rzecz jeszcze cudowniejsza, gdyby tak ci¹gn¹³ s³oñ z cia³a i z koœci.

Dostawca codziêñ zasiada³ z nami do sto³u, a wyborny jego apetyt oddawa³ czeœæ zas³ugom naszego kucharza. Kapitan Hod, zupe³nie wyleczony z rany, przyczynia³ siê bardzo do zaopatrywania spiŹarni.

– eru dla menaŹerji dostarczali chikarisowie, poluj¹cy pod kierunkiem Kalaganiego, który strzela³ doskonale; nieoceniony ten Hindus odznacza³ siê niezliczonemi zdolnoœciami; pamiêtaj¹c oddan¹ sobie przys³ugê, pu³kownik Munro obchodzi³ siê z nim prawie po przyjacielsku.

Poci¹g bieg³ teraz przez rozleg³e równiny pó³nocnych Indji, pozostawiaj¹c kilka mil na zachód Bareili, jedno z najwiêkszych miast królestwa Rohilkande. Czasem bieg³ przez gête lasy roj¹ce siê od róŹnokolorowego ptactwa, czasem przez g¹szcze, utworzone przez wysokie akcje, zwane przez Anglików „Waie a bit-bush”. Tu roi³o siê od dzików Źwi¹cych siê Źó³temi jagodami tych krzewów. Kapitan Hod i Kalagani mieli kilkakrotnie sposobnoœæ daæ dowód swego myœliwskiego talentu, upolowawszy parê dzików.

Miêdzy Philibit a stacj¹ Etawah musia³ nasz poci¹g przekroczyæ ramiê górnego Gangesu a wkrótce potem rzekê Kali-Nadi jeden z najwiêkszych jego dop³ywów.

Wszystkie wozy menaŹerji odczepiono, Steam-House, który dziêki swej wyŹej opisanej konstrukcji, przep³yn¹³ rzekê bez Źadnych trudnoœci.

Z menaŹerj¹ Van Guitta by³o naturalnie znacznie trudniej.

Musiano uŹyæ specjalnego promu, na którym przewieziono kolejno klatki handlarza przez obydwie rzeki.

Wprawdzie ta przeprawa trwa³a doœæ d³ugo, nie sprawia³a jednak powaŹniejszych trudnoœci, bo handlarz musia³ w swej podróŹy ku Himalajom przep³ywaæ niejednokrotnie rozmaite rzeki a jego personal mia³ juŹ wprawê w podobnych przeprawach.

Dnia 17. września dojechalibyśmy do stacji kolejowej Etawah, gdzie mieliśmy zostawić dostawcę z jego menażerj¹ a sami skierować się do prezydentury Bombaju. Dostawca zaś miał³ udać się kolej¹ na wybrzeża oceanu Indyjskiego.

Zatrzymaliśmy się na noc, aby nazajutrz o świcie ruszyć w dalsz¹ drogę.

Rozstaj¹c się z nami, Mateusz Van Guitt miał³ zarazem odprawiać czêœæ s³u¹by jako teraz już niepotrzebn¹, zostawiaj¹c tylko dwóch Hindusów do obs³ugi klatek z menażerj¹ w ci¹gu parodniowej podróży do Bombaju. Tam w porcie miał³ wsi¹œæ na okrê¹t odp³ywaj¹cy do Europy, gdzie już miejscowa obs³uga przeniesie klatki na pok³ad. Tym sposobem kilku chikarisów i Kalagani zostawali bez zajęcia.

Banksowi zdawa³o się, że Kalagani jest bardzo zak³opotany i nie wie co z sob¹ robić, a że wszyscy polubiliśmy go bardzo za us³ugi oddane pu³kownikowi Munro i kapitanowi Hodowi, zapyta³ go więc, czy nie by³oby mu to dogodnie, abyœmy go zabrali z sob¹ do Bombaju. Po chwili namys³u Kalagani przyj¹³ propozycjê inżyniera a pu³kownik Munro oœwiadczy³, że cieszy się, że może robić mu tê przys³ugę. Kalagani zna³ doskonale ca³¹ tê czêœæ Indji, mógł³ więc być nam bardzo po¹zytecznym.

Nazajutrz rano po¹ęgnaliśmy się z Mateuszem Van Guitt, który kilkakrotnie zapewnia³ pu³kownika o swej niewygas³ej wdziêcznoœci, jak¹ wiecznie zachowa dla niego w swem sercu, poczem opuœci Steam-House.

Rozdzia³ VII

PRZEPŁYNIĘCIE BETWY.

puœciliśmy Kalkuttê 6. marca; liczyliśmy, że jeżeli jakieœ nieprzewidziane przeszkody nas w drodze nie zaskocz¹, powinniœmy dotrzeć przed dwoma miesi¹cami do zachodniego wybrzeża Hindostanu.

Ale nasza marszruta uleg³a drobnym zmianom, a to g³ównie z tego powodu, żeœmy postanowili unikać miast dotkniętych powstaniem z r. 1857.

Przez bogate prowincje królestwa Scindia prowadzi¹ dobre bite drogi, tak więc Stalowy Olbrzym bêdzie mógł³ pędzić bez przeszkody przynajmniej aż do gór œrodkowych, gdyż droga zapowiada się dobra i bezpieczna.

Sama obecnoœæ Kalaganiego musi się przyczyniać do jej u³atwienia, gdyż zna³ doskonale ca³¹ tê czêœæ p³wyspu, jak Banks się o tem przekona³.

– Co ciê sk³ania³o do czêstego zwiedzania tej okolicy? – zapyta³ Hindusa.

– Należa³em do personalu jednej z licznych karawan Banjarisów, którzy na grzbietach wo³ów przewo¹ż¹ zboże, tak na rachunek rz¹du jak i dla prywatnych osób. I dlatego ze dwadzieœcia razy

przebywa³em œerodkowe i pó³nocne prowincje Indji.

– Czy takie karawany przebywaj¹ jeszcze tê czêœæ pó³wyspu? – zapyta³ Banks.

– Tak panie, i bardzoby mnie dziwi³o, gdybyœmy nie spotkali orszaku Banjarisów ci¹gn¹cego ku pó³nocy.

– S³uchaj, Kalagani, ta twoja dok³adna znajomoœæ tych stron bêdzie nam nader po³zyteczn¹; zamiast przebywaæ wielkie miasta królestwa Scindia, udamy siê bokiem przez wsie, a ty bêdziesz naszym przewodnikiem.

– Bardzo chêtnie – odrzek³ zimno jak zwykle – co, sam nie wiem dlaczego, zawsze mnie razi³o.

Po chwili doda³:

– Czy chcesz Pan abym wskaza³ ogólny kierunek drogi, jaki nale³ży obraæ?

– I owszem, proszê ciê o to – odrzek³ Banks.

I to powiedziawszy roz³o³y³ na stole wielk¹ mapê tej czêœci Indji, aby mó³g³ sprawdziæ dok³adnoœæ wskazówek Kalaganiego.

– Prawie prosta linja kolei prowadzi z Delhi do Bombaju. Od stacji Etawah, któr¹ opuœciliœmy, bêdzie tylko jedna wa³niejsza rzeka do przebycia, Jumna, a nastêpnie druga u podnó³za gór Vindhya, Betwa. Gdyby nawet skutkiem deszczów te rzeki znacznie przybra³y, zdaje mi siê, ³e poci¹g nasz przebêdzie je ³atwo, skoro mo³na go zamieniaæ w p³ywaj¹cy statek.

– I ja tak s¹dzê – odrzek³ Banks; a stan¹wszy u stóp gór Vindhya...

– Zwrócimy siê nieco na pó³udniowy wschód, gdzie tak³e nie spotkamy ³adnych przeszkód. Znam w¹wóz doœæ szeroki i równy, zwany Sirgur, który zwykle przebywaj¹ jad¹cy powozami.

– Gdzie tylko jest droga ko³owa, zdaje mi siê ³e i nasz Stalowy Olbrzym potrafi j¹ przebyæ? – zapyta³em.

– Zapewne – odrzek³ Banks, ale poza w¹wozem Sirgur droga jest nadzwyczaj nierówna i pe³na wybojów, mo³e wiêc lepiej by³oby zwróciæ siê na Bhopal?

– Tam jest bardzo wiele miast i prawie niepodobnaby ich omin¹æ; tam tak³e Sipajowie najwiêcej stoczyli walk podczas wojny o niepodleg³oœæ.

Zdziwi³o mnie to wyrażenie „wojny o niepodleg³oœæ” jakim Kalagani oznaczy³ bunt Sipajów z 1857 r., ale pomyœla³em sobie: wszak³e on nie jest Anglikiem ale Hindusem, mo³e wiêc zapatrywaæ siê z innego stanowiska... A potem ze wszystkiego co kiedykolwiek mówi³, nie zdaje siê, aby bra³ udzia³ w tej wojnie.

– Wiêc jeœli jesteœ pewny – rzek³ Banks – ³e w¹wóz Sirgur doprowadzi nas na dobr¹ drogê...

– Najniezawodniej, przebywa³em j¹ nieraz; prowadzi ona wprost do kolei z Bombaju do Allahabad.

– Rzeczywiście – rzek³ Banks – patrz¹c na mapê. Zostaj¹c naszym przewodnikiem, znowu oddajesz nam wa¹n¹ przys³ugê – nie bêdziemy niewdziêcznymi.

Kalagani sk³oni³ siê i mia³ odejœæ, ale po chwili wahania zbli³y³ siê do in¹yniera:

– Czy mogê siê oœmieliæ zapytaæ pana, dlaczego pragniesz omijaæ g³ówne miasta Bundelkundu?

Banks spojrz³ na mnie: porozumieliœmy siê milcz¹co, æe niema powodu zatajenia przed Kalaganim, æe zrobili my to ze wzglêdu na pu³kownika Munro, powiedzia³ wiêc Hindusowi, æe chcemy mu oszczêdziæ bolesnych wspomnieñ.

Kalagani s³ucha³ nader uwa¹nie, poczem rzek³ akby z zadziwieniem:

– Ale æ pu³kownik Munro nie potrzebuje ju¹ niczego obawiaæ siê od Nany Sahiba, przynajmniej w tych prowincjach.

– Ani tu ani nigdzie – rzek³ Banks, ale dlaczego powiedzia³eœ „w tych prowincjach”.

– Poniewa¹, jeœli jak utrzymuj¹, nabob pojawi³ siê przed kilku miesi¹cami w prezydenturze Bombaju a æe pomimo starannych poszukiwañ nie zdo³ano odkryæ jego schronienia, to zapewne przeszed³ znów granicê indochiñsk¹.

Z odpowiedzi tej nale¹æa³o wnosiaæ, æe Kalagani nie wiedzia³ nic o tem, co zasz³o w okolicy gór Sautpurra, i æe w przesz³ym miesi¹cu Nana Sahib zosta³ zabity przez æo³nierzy armji królewskiej w pobli¹u paalu Tandit.

– Widzê, mój Kalagani – rzek³ Banks, æe wiadomoœci znane w ca³ych Indjach, nie³atwo dochodz¹ do lasów himalajskich.

Hindus wpatrzy³ siê w nas bystro, nic nie mówi¹c, jak cz³owiek nierozumiej¹cy, o co chodzi.

– Nie wiesz, zdaje siê – rzek³ mu Banks, æe Nana Sahib nie æyje!

– Nana Sahib nie æyje! – krzykn¹³.

– Tak jest, rz¹d og³osi³ urzêdowe sprawozdanie o okolicznoœciach towarzys¹cych jego œmierci. Zosta³ zabity.

– Nana Sahib zosta³ zabity! – zawo³a³ poruszaj¹c g³ow¹ – gdzie i kiedy?

– W paalu Tandit, w górach Sautpurra, dnia 25. maja.

Kalagani skrzy¹owa³ rêce i milcza³; jego wzrok wyda³ mi siê w tej chwili jakieœ dziwny.

– Czy masz powody nie wierzyæ w æmieræ Nany Sahiba? – zapyta³em.

– Āadnych – odpowiedzia³ zimno, wierzê temu co panowie mówi¹.

Gdy odszed³, Banks rzek³ do mnie:

– Wszyscy Hindusi nie mog¹ uwierzyæ w æmieræ Nany Sahiba; dowódzca buntowniczych Sipajów jest dla nich legendow¹ postaci¹; poniewa¿ nie widzieli go na szubienicy, nie uwierz¹ w jego æmieræ.

– To tak coæ jak starzy ¿o³nierze Napoleona, którzy jeszcze we dwadzieœcia lat po jego æmierci utrzymywali, ¿e ich cesarz ¿yje.

Nasza podró¿ odbywa³a siê w jak najprzyjaŃniejszych warunkach; przed oczyma naszymi przesuwa³y siê coraz piêkniejsze widoki. Dnia 10. wrzeœnia Steam-House zatrzyma³ siê na lewym brzegu Jumny; wa¿na ta rzeka oddziela kraj Rad¿ów zwany Rad¿astan od w³æciwego kraju Hindusów, to jest Hindostanu.

Pierwszy przybór zacz¹³ podnosiæ wody rzeki Jumny, pr¹d sta³ siê bystrzejszym, utrudnia³ nam wiêc, ale nie uniemo¿liwia³ jednak przeprawy. Banks przedsiêwzi¹³ potrzebne œrodki ostro¿noœci; rozpatrzy³ przezornie, gdzie mamy wyl¹dowaæ, i po up³ywie pó³ godziny dop³ynêliœmy do przeciwnego brzegu. Dla poci¹gów kolei ¿elaznej potrzeba mostów, których budowa jest bardzo kosztowna, nasz Olbrzym Stalowy jednak przep³yn¹³ tak ³atwo rzekê, jakby sun¹³ po najlepszej drodze pó³wyspu.

W Rad¿astanie, poza Jum¹, znajduje siê wiele miast, które przezorny in¿yner pragn¹³ omijaæ. Na lewo Gwalior, nad brzegami rzeki Sawunrika, po³o¿ony na bazaltowej skale, w nim wznosi siê przepyszny meczet, pa³ac zwany Paal, godna widzenia Brama S³oni, s³ynna forteca; jest to miasto bardzo stare, z którym wespółzawodniczy obecnie nowe miasto Laschkar, wzniesione o dwa kilometry dalej. Tam to w g³êbi tego indyjskiego Gibraltaru, Rani z Jansi, towarzyszka Nany Sahiba, oddana mu z bezgranicznern poœwiêceniem, walczy³a bohatersko do ostatniej chwili ¿ycia. Tam, jak ju¿ mówiliœmy, w potyczce z dwoma szwadronami 8-go pu³ku huzarów armji królewskiej ponios³a æmieræ z rêki pu³kownika Munro. Jak wiadomo, to w³ænie by³o powodem nieub³aganej nienawiœci zemsty Nany Sahiba, z jak¹ ten¿e œciga³ wszêdzie sir Edwarda Munro. S³uszenie wiêc bardzo, in¿yner chcia³ omin¹æ Gwalior, aby nie j¹trzyæ bolesnych wspomnieŃ pu³kownika.

Dnia 20. wrzeœnia, o jedenastej rano, po œniadaniu, jedni z nas siedzieli pod werand¹, inni w salonie Steam-House. Stalowy Olbrzym pêdzi³ z prêdkoœci¹ 9 do 10 kilometrów na godzinê. Przed nami wœród pól bawe³nianych i zbo¿owych roztacza³a siê szeroka droga, ocieniona wielkimi drzewami. Czas by³ przeœliczny, s³oŃce dogrzewa³o. Mocno ¿a³owaliœmy, ¿e nie by³o „w³adzy gminnej”, któraby kaza³a polewaæ drogê, gdy¿ wietrzyk unosi³ k³êby drobnutkiego bia³ego py³u, poprzedzaj¹cego nasz poci¹g. Wkrótce, jak daleko mo¿na by³o dojrzeæ okiem, powietrze by³o wype³nione tak niezmiernymi tumanami kurzu, ¿e najgwa³towniejszy samum szalej¹cy w pustyni, nie móg³by spowodowaæ wiêkszych.

– Co mo¿e byæ powodem tak bezmiernego kurzu, kiedy wietrzyk jest tak lekki? – zapyta³ kapitan

Hod.

– Kalagani nam to wyt³umaczy, – odpowiedzia³ mu pu³kownik Munro.

Przywo³any Hindus wszed³ na werandê, i popatrzywszy na drogê, rzek³:

– Jestto d³uga karawana zmierzaj¹ca ku pó³nocy i jak uprzedzi³em pana inżyniera, sk³ada siê zazapewne z Benjarisów.

– Zapewnie napotkasz w niej twoich dawnych towarzyszy, – rzek³ mu Banks.

– Bardzo byæ moŹe, bo d³ugo przebywa³em wœród tych koczuj¹cych plemion.

– Czy zamierzasz opuœciæ nas i przy³czyæ siê do nich?

– Bynajmniej, panie, – odpowiedzia³.

Hindus nie myli³ siê; po up³ywie pó³ godziny, Stalowy Olbrzym, pomimo ca³ej swej potêgi musia³ siê zatrzymaæ, nie mog¹c posuwaæ siê dalej. Ale za to ciekawy widok przedstawi³ siê naszym oczom.

Ku po³udniowi, na przestrzeni kilku kilometrów, zapar³a drogê gromada wo³ów, lic¹ca cztery do piêciu tysiêcy sztuk. NaleŹa³y one do karawany Banjarisów.

– Banjarisowie, – rzek³ Banks, – s¹ to prawdziwi Cyganie Hindostanu. Nie maj¹ sta³ego zamieszkania, w lecie Źyj¹ pod namiotami, w zimie w sza³asach. Podczas powstania 1857 r., dostarczali Źywnoœci tak powstañcom jak armji królewskiej, to teŹ jakby za milcz¹cem porozumieniem, obie wojuj¹ce strony nie tamowa³y im przejœcia przez zbuntowane prowincje. Gdyby koniecznie chcieæ przyznaæ im jak¹œe ojczyznê w Indjach, to chyba prowincjê Raputana lub królestwo Milwaru. Bêdziemy mogli dobrze im siê przypatrzyæ, bo musz¹ przejœæ ko³o nas.

Nasz poci¹g zatrzyma³ siê z jednej strony goœciñca, gdyŹ nie móg³by oprzeæ siê takiej gromadzie rogatego byd³a, przed którym nawet dzikie zwierzêta ustêpuj¹ z drogi.

Zacz¹³em przygl¹daæ siê nadci¹gaj¹cej karawanie; piêkna to rasa. MêŹczyŹni byli wysocy, silni, mieli rysy regularne, nosy orle, bujne wij¹ce siê w³osy koloru bronzu wpadaj¹cego w miedŹ; przybrani w d³ugie tuniki i turbany, uzbrojeni w lance, tarcze i wielkie szable. Kobiety wysokie, kszta³tne, dumne jak mêŹczyŹni ich klanu, mia³y na sobie rodzaj gorsetów i szeroko nafa³dowane spódnice, w uszach b³yszcz¹ce kolczyki, na szyjach naszyjniki, na rêkach bransolety, na nogach ponad kostk¹ niby pierœcie z z³ota, koœci s³oniowej lub muszli. Draperja z wielkiego szala os³ania³a je od stóp do g³ów.

Obok mêŹczyzn, starców, kobiet i dzieci sz³y spokojnie tysi¹ce wo³ów, poruszaj¹c dzwonekami przymocowanymi do ich ³bów, nios¹c na grzbiecie po dwa worki ze zboŹem i inn¹ Źywnoœci¹. By³ to ca³y szcze³, ci¹gn¹cy karawan¹ pod kierunkiem obranego wodza, zwanego „naik”, posiadaj¹cego nieograniczon¹ w³adzê przez czas, na który by³ obrany. On kieruje karawan¹, wyznacza godziny wypoczynku i miejsca na obozowiska.

Na czele karawany postępową³ ogromny buhaj, przys³onięty jak¹œ jaskraw¹ draperj¹, przystrojony w dzwonki i muszle. Zapyta³em Banksa, czy nie wie, jakie obowi¹zki spe³nia w karawanie ten wspania³y buhaj.

– Kalagani najlepiej nas objaceni, – odrzek³ inżynier. – Ale gdzie on siê podzia³?

Wo³ano go, nie odezwa³ siê i nie pokaza³; szukano go po ca³em Steam-House, ale daremnie.

– Zapewne poszed³ odnowiæ znajomoœæ z którymœ z dawnych towarzyszy, ale niezawodnie powróci, – rzek³ pu³kownik.

Zdawa³o siê to bardzo prost¹ rzecz¹, a jednak zaniepokoi³o mnie trochê.

– O ile mi siê zdaje, – rzek³ Banks, taki przoduj¹cy w karawanach buhaj jest dla szczepu Banjarisów przedstawicielem bóstwa. Odzie on siê zwróci, karawana za nim; gdzie stanie, obozuj¹. Zdaje mi siê jednak, œ buhaj pos³uszny jest tajemnym wskazówkom naika.

Ledwie po dwóch godzinach pochodu karawany zaczêliœmy dostrzegaæ jej koniec. Szuka³em wzrokiem Kalaganiego, ukaza³ siê nareszcie w towarzystwie jakiegoœ Hindusa, nie nale¹cgo do plemienia Banjarisów. Musia³ to zapewne byæ jeden z tych krajowców, wynajmuj¹cych siê czasowo na us³ugi karawan, jak to niejednokrotnie czyni³ Kalagani. Rozmawiali ze sob¹ pó³g³osem – moœe o okolicach, jakie przeby³a karawana, a w które mieliœmy siê udaæ pod kierunkiem Kalaganiego.

Ów Hindus, id¹cy juœ na samym koñcu karawany, zatrzyma³ siê na chwilkê przed naszym Steam-House. Przygl¹da³ siê nibyto bacznie poci¹gowi i sztucznemu s³oniowi, mnie jednak zdawa³o siê, œ wpatruje siê g³ównie w pu³kownika Munro; ale ani s³owa nie przemówi³ do nas. Nareszcie poœegnawszy skinieniem Kalaganiego, z³czy³ siê z karawan¹ i znik³ wkrótce w tumanie kurzu.

Powróciwszy do Steam-House, Kalagani nie czekaj¹c zapytania, zwróci³ siê do pu³kownika, mówi¹c:

– Jest to jeden z moich dawnych towarzyszy, zostaj¹cy od dwóch miesiêcy w us³ugach karawany, poczem zaj¹³ swe dotychczasowe miejsce.

Niebawem Steam-House ruszy³ w dalsz¹ drogê; a nazajutrz, 24. wrzeœnia, zatrzymaliœmy siê na noc o piêæ kilometrów od Urcza, na lewym brzegu Betwy. Jestto jedna z g³ówniejszych rzek wpadaj¹cych do Jumny. Wody jej wyst¹pi³y z ³oœyska i rozla³y siê szeroko na wybrzeœa. By³o juœ za ciemno, aby Banks mó³ rozpatrzeæ siê, jakie trudnoœci moœe przedstawiaæ przep³yniêcie rzeki, wiêc zostawi³ to do jutra rana, a zaraz po wieczery udaliœmy siê na spoczynek.

Tylko w wyj¹tkowych okolicznoœciach ustanawialiœmy strażê do czuwania w nocy nad obozowiskiem; uznaliœmy to za zbyteczne, bo przecie nikt nie mó³ unieœæ naszych przenoœnych domów, ukraœæ naszego s³onia, którego sam ciêœar jego broni³, wiêc pozostawa³a tylko moœliwoœæ napadu w³óczêgów uwijaj¹cych siê w tych okolicach, a od tych broni³y i uprzedzi³yby o zbliœeniu szczekaniem nasze psy Fan i Black.

Jakoœ mia³o to miejsce tejœ nocy. Oko³o drugiej nad ranem zbudzi³o nas ujadanie psów;

zerwa³em siê prêdko, i zasta³em wszystkich na nogach

– Co siê sta³o? – zapyta³ pu³kownik Munro.

– Psy ujadaj¹, – odrzek³ Banks, – wiêc nie mo¿e to byæ bez powodu.

– Zapewnie jakæc pantera odezwa³a siê w pobliskich zarocelach, – rzek³ kapitan Hod, – weŸmy broñ i przejrzyjmy skraj lasu.

Sier¿ant Mac-Neil, Kalagani i Gumi stanêli na werandzie nas³uchuj¹c; zbli¿yliemy siê do nich.

– Pewnie jest w pobli¿u parê dzikich zwierz¹t, przyby³ych, by na wybrze¿ach ugasiæ pragnienie?
– rzek³ kapitan.

– Kalagani twierdzi inaczej, – rzek³ Mac-Neil.

– Wiêc có¿ ty mówisz? – zapyta³ pu³kownik Hindusa.

– Nie wiem jeszcze co to jest, – odrzek³ – ale to pewne, ¿e nie s¹ to tygrysy, lamparty, ani nawet szakale; dostrzegam tylko wœród drzew jak¹æ zbit¹ masê...

– Zaraz siê dowiemy! – zawo³a³ kapitan Hod, – marz¹cy ci¹gle o zabiciu piêædziesi¹tego tygrysa.

– Zatrzymaj siê lepiej, kapitanie, – rzek³ Banks; – tu w Bundelkundzie mo¿na obawiaæ siê w³ócz¹cych siê po nocach na goœciñcach.

– Eh! jest nas przecie tylu dobrze uzbrojonych, nie ma siê czego lêkaæ; muszê koniecznie przekonaæ siê co to takiego.

Psy nie przestawa³y szczekaæ, jednak nie tak zajadle, jak gdy zwêsz¹ zbli¿anie siê dzikich zwierz¹t.

– Pu³kowniku, – rzek³ Banks, – pozostañ tu z Mac-Neilem i innymi, a ja, Hod, Maucler i Kalagani udamy siê na rekonesans.

Kapitan Hod skin¹³ na Foxa, aby poszed³ z nami; psy pokazywa³y drogê i szliemy za niemi.

Zaledwie weszliemy do lasu, da³ siê s³yszeæ odg³os kroków; wyraŸnie nadchodzi³ liczny hufiec, zbli¿aj¹cy siê do naszego obozowiska. Dostrzegliemy jakby milcz¹ce cienie, przesuwaj¹ce siê wœród zaroceli.

Psy bieg³y przed nami szczekaj¹c.

– Kto tam? – zawo³a³ kapitan Hod.

– adnej odpowiedzi.

– Albo nie chc¹ odpowiedzieæ, albo nie rozumiej¹ po angielsku, – rzek³ Banks.

– Musz¹ przecie¿ rozumieæ po hindusku – rzek³em.

– Kalagani, – zawo³a³ Banks, – zawo³aj do nich po hindusku, ¿e damy ognia jeœli nie odpowiesz¹.

Kalagani przemówi³ narzeczem krajowców Indji œrodkowych, rozkazuj¹c, aby siê zbli¿yli i odpowiedzieli. Nikt siê nie odezwa³.

Wtedy kapitan strzeli³ niecierpliwie do jakiegoœ cienia przesuwanego siê wœród drzew. Wystrza³ ten spowodowa³ jakieœ g³uche zamieszanie; zdawa³o siê, ¿e jakieœ liczny hufiec rozbiega siê na prawo i na lewo. Psy powróci³y spokojnie, nie okazuj¹c ¿adnej obawy.

– Ktokolwiek oni s¹, w³óczêgi czy maroderzy, prêdco umknêli z placu, – rzek³ kapitan Hod.

– Widaæ nie grzesz¹ zbyt¹ odwag¹, – odpowiedzia³ œmiej¹c siê Banks, – wracajmy do Steam-House; w ka¿dym razie ka¿ê czuwaæ do rana.

Mac-Neil, Gumi i Fox czuwali z kolei; my wróciliœmy do naszych izdebek.

Noc przesz³a spokojnie; nale¿a³o wiêc myœleæ, ¿e widz¹c nas przygotowanych do obrony, nocni goœcie zaniechali swoich zamiarów, jeœli jakieœ wobec nas mieli.

Nazajutrz, podczas gdy czyniono przygotowania do odjazdu, pu³kownik Munro, kapitan Hod, Mac-Neil, Kalagani i ja postanowiliœmy przejœæ skraj lasu. Nigdzie jednak nie znale¿liœmy ani œladu bandy; przestaliœmy wiêc myœleæ o tem.

Banks porobi³ potrzebne przygotowania do przep³yniêcia Betwy. Rzeka ta wyst¹pi³a, rozlewaj¹c szeroko na wybrze¿ach swe ¿ó³tawe wody. Pr¹d by³ bardzo bystry; zadanie Stalowego Olbrzyma by³o bardzo trudne.

In¿yner zaj¹³ siê najprzód upatrzeniem miejsca dogodnego do wyl¹dowania, przypatruj¹c siê przez lunetê prawemu brzegowi. Œo¿ysko Betwy roztacza³o siê w tem miejscu blisko na milê angielsk¹ szerokoœci; dot¹d jeszcze Stalowy Olbrzym nie przep³ywa³ tak szerokiej przestrzeni.

– Ale, – zapyta³em, – jak¿e sobie radz¹ podró¿nicy i kupcy, skoro im taki wylew zagrozi drogê; zdaje mi siê, ¿e zwyczajne ³odzie nie zdo³a³yby siê oprzeæ tak bystremu pr¹dowi.

– Rzecz prosta, ¿e nie mog¹ odbywaæ dalszej drogi, – rzek³ Hod.

– Przeciwnie, mog¹, jeœli maj¹ do rozporz¹dzenia s³onie.

– Albo¿ s³onie mog¹ przep³ywaæ tak szerokie przestrzenie?

– Mog¹, i zaraz wam powiem, w jaki sposób siê to odbywa. Wszystkie pakunki umieszcza siê na grzbietach s³oni a mahuci zmuszaj¹ je do wejœcia w wodê. Z pocz¹tku zwierzêta wahaj¹ siê, cofaj¹ i

mrucz¹, ale wkrótce nabieraj¹ odwagi, wchodz¹ w rzekę i przep³ywaj¹ na przeciwny brzeg. Wprawdzie zdarza się niekiedy, że pr¹d porywa niektóre i poci¹ga na dno, ale najczêciej dzieje się to tylko w braku dobrych kierowników – mahutów.

– No! nie mamy „s³oni”, ale nasz jeden...

– Starczy za wielu, – dokończy³ Banks.

Zajêliemy swoje miejsca; Kalut poszed³ do ogniska, Storr wraz z Banksem do wieży, aby kierowaæ przepraw¹.

Przed dostaniem się na wody rzeki, trzeba by³o przebyæ piêædziesi¹t stóp zalanych wybrzeży. Stalowy Olbrzym zachwia³ się i powoli ruszy³ z miejsca. Szerokie jego ³apy by³y już w wodzie, ale nie p³yn¹³ jeszcze; przejêcie z l¹du do wody musia³o się odbywaæ bardzo przezornie.

Wtem szmer i odg³os, s³yszany w nocy, znów zacz¹³ wyraŹnie dochodziæ do nas; z lasu wysunê³o się ze sto postaci, wyrabiaj¹cych róŹne miny i podskoki.

– A do kroæset tysiêcy! wiêc to by³y ma³py! – zawo³a³ æmiej¹c się kapitan.

I rzeczywiêcie ca³a gromada tych przedstawicieli ma³piego rodu zaczê³a zbliŹaæ się do Steam-House, postêpuj¹c w æcieœnionym szeregu.

– Czego one chc¹ u licha! – zawo³a³ Mac-Neil.

– Zapewne zamierzaj¹ napææ na nas, – rzek³ kapitan Hod, zawsze gotów do obrony.

– O nie! i nie ma się czego obawiaæ, – rzek³ Kalagani, który mia³ czas przypatryaæ się ich obrotom.

– A wiêc po co tu id¹? – zapyta³ znów Mac-Neil.

– Chc¹ tylko przep³yn¹æ rzekę w naszym towarzystwie, – odrzek³ Hindus.

Kalagani mia³ s³usznocæ. Nie by³y to zuchwa³e i æmia³e Gibbony, z d³ugiem w³ochatemi rękami, ani cz³onkowie owej „arystokratycznej rodziny”, zamieszkuj¹cej w Benares, ale ma³py z rodzaju Langurów, najwiêkszego na pó³wyspie, zwinne, czwororêkie, o czarnej skórze, g³adkich policzkach, otoczonych bia³emi faworytami, co je czyni podobnemi do starych adwokatów. Futro ich jest szare na grzbiecie, a bia³e na brzuchu. Ma³py te wykonuj¹ najdziwniejsze podskoki i najrozmaitsze ruchy. W ca³ych Indjach uwaŹa się Langury za æwiête zwierzêta; wed³ug legendy ma³py te s¹ potomkami wojowników, którzy podbili wyspê Ceylon.

W Amber zamieszkuj¹ one pa³ac zwany Zenanah, w którym uprzejmie przyjmuj¹ turystów. Istnieje surowe prawo, nie pozwalaj¹ce ich zabijaæ; wielu oficerów angielskich przyp³aci³o Źyciem jego przekroczenie.

Ma³py te, ³agodne z natury i daj¹ce się ³atwo oswoiaæ, staj¹ się nader groŹne w razie gdy s¹

napastowane i zranione; wtedy dorównuj¹ hjenom i panterom. Ale nie mieliemy zamiaru wypowiadaæ im wojny, nawet kapitan Hod nie chwyta³ za broñ.

Mieliemy niebawem przekonae siê, czy Kalagani s³uszenie wnosi³, ¿e ca³a ta gromada, boj¹c siê rzuciaæ wp³aw, zapagnê³a skorzystaæ z naszego Stalowego Olbrzyma dla przep³yniêcia Betwy.

Przebywszy wybrze¿e, Stalowy Olbrzym wyp³yn¹³ na wody rzeki i wkrótce poci¹gn¹³ za sob¹ ca³y poci¹g, który z pocz¹tku sta³ prawie nieruchomy. Ca³a gromada ma³p zbli¿y³a siê, pluskaj¹c po nieg³êbokiej wodzie, pokrywaj¹cej pochy³oææ wybrze¿a. A¿ za jednym zamachem samce, samice, stare, m³ode, przeskakuj¹c i trzymaj¹c siê za rêce powskakiwa³y na poci¹g.

W jednej chwili siedzia³o ich dziesiêæ na Stalowym Olbrzymie, reszta rozbieg³a siê po ca³ym poci¹gu, nie objawiaj¹c ¿adnych nieprzyjaznych zamiarów i ca³a setka weseli³a siê i zdawa³a siê winszowaæ sobie, ¿e znalaz³a tak wygodny sposób odbycia podró¿y.

Olbrzym Stalowy wyp³yn¹³ na pe³ne wody; z pocz¹tku obawialiemy siê, aby takie powiêkszenie ciê¿aru nie utrudnia³o przeprawy, ale ma³py poumieszcza³y siê tak przezornie, ¿e nasze obawy okaza³y siê p³onnemi. Zamiast zgromadziæ siê w jednym punkcie, rozbieg³y siê po ca³ym poci¹gu; wszêdzie ich by³o pe³no, nie ulêk³y siê nawet tr¹by s³onia, wyrzucaj¹cej k³êby pary.

Kapitan Hod, a szczególnie Fox, przypatrywali im siê z podziwieniem. Fox pragn¹³ przyjmowaæ je z honorami; przemawia³ do nich, bra³ za rêce, k³ania³ im siê, zdejmuj¹c kapelusz. Czêstowa³ je cukrem i by³by dobrze naruszy³ s³odkie zapasy spi¿arniane, gdyby pan Parazard nie przeszkodzi³ temu.

Stalowy Olbrzym robi³ ci¹gle ³apami, które uderzaj¹c wodê, funkcjonowa³y jak szerokie pagaje. Posuwa³ siê w kierunku ukocnym ku miejscu, w którym mieliemy wyl¹dowaæ. W pó³ godziny dobiliemy do przeciwnego brzegu i w tej¿e chwili ca³a gromada czwororêkich wyskoczy³a na brzeg i znik³a w podskokach.

– Mog³y by³y przynajmniej podziêkowaæ! – zawo³a³ Fox, któremu nie podoba³o siê takie bezceremonialne post¹pienie Langurów.

Wszyscy parsknêliemy œmiechem us³yszawszy te jego s³owa.

Rozdzia³ VIII

HOD PRZECIW BANKSOWI.

Przep³ynêliemy wiêc Betwê; sto kilometrów oddziela³o nas ju¿ od stacji Etawah. Cztery dni przesz³o spokojnie bez ¿adnego wypadku; nie by³o nawet polowania, bo w tej czêœci królestwa Scindia jest bardzo ma³o dzikich zwierz¹t.

– Zobaczycie, – wo³a³ czêsto z gniewem kapitan Hod, – ¿e przybêdê do Bombaju, nie zabiwszy piêædziesi¹tego tygrysa.

Kalagani by³ doskona³ym i nader przezornym przewodnikiem przez te ma³o zaludnione prowincje, których topografjê zna³ doskonale i dnia 29. wrzeœnia nasz poci¹g zacz¹³ wznosiæ siê na pó³nocne pochy³oœci gór Vindya, aby dostaæ siê do w¹wozu Sirgur. Dot¹d nasza podró¿ przez Bundelkund odbywa³a siê szczêœliwie, a jednak jest to kraj najmniej przedstawiaj¹cy bezpieczeñstwa. Tu chêtnie szukaj¹ schronienia z³oczyñcy i w³óczêgi. Tu Dakoici zajmuj¹ siê podwójnym rzemios³em: trucicieli i z³odziei. Przezornoœæ nakazuje wiêc zachowaæ wszelkie ostro¿noœci, przebywaj¹c tê krainê.

Górzysta okolica, któr¹ mieliœmy przebyæ, jest najmniej bezpieczna z ca³ego Bundelkundu. Nie jest to zbyt rozleg³a przestrzeñ – najwiêcej sto kilometrów do najbli¿szej stacji kolei z Bombaju do Allahabad. Ale ani nie mo¿na by³o myœleæ o tak ³atwem i prêdkim posuwaniu siê, jak przez równiny Scindji. Stroma i kamienista droga, na skalistym gruncie, o czêstych zakrêtach, a w niektórych miejscach nadzwyczaj w¹ska, nie dozwala³a nam przebywaæ wiêcej jak 15 do 20 kilometrów dziennie, w ci¹gu dziesiêciu godzin podró¿y. W nocy czuwaliœmy bacznie nad naszym obozowiskiem i wiod¹cemi do niego drogami, bo choæ wie¿yczka, jak¹ dÿwiga³ na swym grzbiecie Stalowy Olbrzym, zapewnia³a nam pewne schronienie, niby kazamata dozwala¹ca nie lêkaæ siê w³óczêgów, Dakoitów a nawet Tugów, jeœliby znajdowali siê jeszcze w tej stronie Bundelkundu, i nawet chyba nie œmieliby napadaæ na nas, ale w ka¿dym razie ostro¿noœæ by³a konieczn¹.

W wielu miejscach trudniejszych do przebycia, trzeba by³o dodawaæ pary, ale zreszt¹ posuwaliœmy siê bezpiecznie pod kierunkiem Storra i Banksa. Nie lêkaliœmy siê tak¿e zab³1dzenia, bo Kalagani doskonale zna³ tê czêœæ pó³wyspu, a szczególnie w¹wóz Sirgur. Nawet w miejscach, w których kilka dróg cshodzi³o siê wœród wysokich ska³, nie waha³ siê ani na chwilê, w któr¹ stronê mamy siê zwróciæ.

Deszcze usta³y, niebo na wpó³ zas³ane ma³emi chmurkami, przyœmiewaj¹cemi nieco promienie s³oneczne, nie zagra¿a³o burzami, tak gwa³townymi w œrodkowych strefach pó³wyspu. Przez kilka godzin we dnie by³o doœæ gor¹co, nie tak jednak, aby gor¹co dawa³o siê dokuczliwie odczuæ podró¿uj¹cym w Steam-House, tak dobrze chronionym przeciw upa³owi. Drobnej zwierzyny by³o podostatkiem i nasi myœliwi mogli, nie oddalaj¹c siê zbyt znacznie, dostatecznie zaopatrzyæ spi¿arniê.

Tylko kapitan Hod, a zapewne i Fox, ¿a³owali mocno, ¿e brakowa³o tu dzikich zwierz¹t, których tak wiele napotykali w Tarryani; ale nie mo¿na by³o obiecywaæ sobie polowañ na lwy, tygrysy i pantery, skoro nie by³o tu prze¿uwaczy, któremi siê ¿ywi¹.

W braku jednak zwierz¹t miêso¿ernych, mieliœmy sposobnoœæ napotkaæ dzikie s³onie indyjskie, których dot¹d prawie nie widywaliœmy.

Oko³o po³udnia, dnia 30. wrzeœnia, ujrzano przed poci¹giem naszym parê tych wspania³ych zwierz¹t. Za naszym zbli¿eniem odst¹pi³y na bok, aby przepuœciæ nieznanym im wehiku³, którego pewnie trochê siê ba³y.

Kapitan Hod przypatrywa³ im siê ciekawie, ale nie myœla³ strzelaæ, aby niepotrzebnie nie pozbawiaæ ¿ycia tych okaza³ych zwierz¹t, które w pobli¿u tych pustych w¹wozów mia³y strumienie, potoki i pastwiska, wystarczaj¹ce na wszelkie ich potrzeby.

Wiadomo, ¿e Indie s¹ uprzywilejowanym krajem s³oni. Wszystkie te gruboskórce nale¿¹ do nieco

podrzędniejszego rodzaju, niż s³onie afrykańskie. Oto w jaki sposób je chwytaj¹.

Urzdaj¹ tak zwany „kiddah”, to jest pewn¹ przestrzeñ otoczon¹ palisadami. Jeœli chodzi o pojmanie ca³ej trzody, wtedy myœliwi, w liczbie trzystu czy czterystu, pod przewództwem specjalnego „d¿amadara” czyli strażnika-krajowca, otaczaj¹ je i napêdzaj¹ powoli ku „kiddah”, zamykaj¹, rozdzielaj¹ za pomoc¹ wyuczonych oswojonych s³oni i nastêpnie chwytaj¹, wi¹¹c tylne nogi. Ale sposób ten, wymagaj¹cy nagromadzenia znacznej liczby myœliwych i wiele czasu, bywa najczêœciej bezowocnym, jeœli chodzi o pochwylenie wielkich samców: te sprytniejsze i przezorniejsze, umiej¹ unikaæ wiêzienia, nie daj¹c napêdziaæ siê do kiddahu. Hindusi radz¹ sobie w ten sposób, ¿e wyprawiaj¹ oswojone s³onie, które uganiaj¹ siê za nimi kilka dni; na ich grzbietach siedz¹ mahuci, owiniêci w ciemne ko³dry, i gdy s³onie, nie domyœlaj¹c siê niczego, zasn¹ spokojnie, mahuci zeskakuj¹, wi¹¹ je i chwytaj¹, zanim mog¹ zmiarkowaæ, co siê z nimi sta³o.

Dawniej chwymano s³onie, przekopuj¹c na drodze, któr¹ przechodz¹, rowy do piêtnastu stóp g³êbokoœci maj¹ce, ale s³onie wpadaj¹c w nie, odnosi³y ciê¿kie rany lub nawet czêsto zabija³y siê – zaniechano wiêc tak barbarzyñskiego sposobu.

W Bengalu i Nepalu dot¹d pos³uguj¹ siê w tym celu „lasso”, to jest sznurem z pêtlic¹. Jestto bardzo zajmuj¹ce polowanie. Trzech mê¿czyzn siada na dobrze wytresowanego s³onia. Na karku, mahut kieruj¹cy s³oniem; w tyle poganiacz, podniecaj¹cy s³onia bosakiem i m³otkiem; na grzbiecie Hindus maj¹cy zarzuciæ lasso. Te wytresowane s³onie, wraz ze swymi jeŹdzcami czêsto przez kilka godzin uganiaj¹ po równinach i lasach za dzikim s³oniem, a¿ do chwili, gdy pochwycony w pêtlê gruboskórzec pada na ziemiê i staje siê³upem myœliwych, którzy nie zawsze wychodz¹ bez szwanku z tej pogoni.

Temi ró¿nymi sposobami chwytaj¹ w Indjach wielk¹ liczbê s³oni, a jest to nader zyskowne zajêcie, gdy¿ za samicê p³ac¹ zwykle po 7.000 z³., za samca 2.000, a jeœli jest czystej krwi, to a¿ do 50.000 z³.

Dobrze utrzymywane i ¿ywione, zwierzêta te warte s¹ tak wysokiej ceny, gdy¿ mog¹ byæ nader po¿yteczne. Do dobrego wy¿ywienia s³oñ potrzebuje dziennie 60 do 70 funtów zielonej paszy. S³onie przenosz¹ wtedy ¿o³nierzy i wszelkie transporta wojskowe; w krajach górzystych lub w niedostêpnych koniom d¿unglach, transportuj¹ przyrz¹dy i ciê¿ary nieod³eczne od artylerji, a nadto wykonywuj¹ ciê¿kie roboty dla osób prywatnych, u¿ywaj¹cych ich zamiast zwierz¹t roboczych i poci¹gowych. Potê¿ne te i³agodne zarazem olbrzymy, skutkiem szczególniejszego instynktu, nak³aniaj¹cego je do pos³uszeñstwa, daj¹ siê³atwo tresowaæ i dlatego licznie pos³uguj¹ siê nimi we wszystkich prowincjach Hindostanu; a ¿e oswojone nie rozmna¿aj¹ siê, trzeba nieustannie nie polowaæ i chwytæ, aby starczyæ liczny za¿¹daniom z pó³wyspu i obcych krajów. Mimo to, zdaje siê liczba ich siê nie zmniejsza i mo¿na napotkaæ niezliczon¹ ich iloœæ w ca³ych Indjach.

Nawet, co do mnie powiedzia³bym, ¿e jest ic tam jeszcze „za wiele” i mia³bym do tego s³uszný powód.

Jak powiedzia³em, dwa s³onie napotkane na drodze, odsunê³y siê na bok, aby nasz poci¹g przejecha³, a gdy to nast¹pi³o, sz³y za nim. Prawie natychmiast pojawi³o siê wiêcej s³oni na drodze za nami i przyspieszaj¹c kroku, po³czy³y siê z par¹, któr¹œmy minêli. W jaki kwadrans póŹniej,

naliczyliemy ich z dwanaście. Przypatrywały się naszemu Steam-House, trzymając się w odległości najwyżej 50 metrów. Nie zdawało się, że pragnę nas dogonić; ale także widocznie nie zamierzały nas opuścić. Przyspieszyły biegu w tych krótkich wozach by o niepodobieństwem; Banks więc nie próbował nawet tego

Około pierwszej po południu, już przeszło trzydzieści słoń podłaziło za nami; gdyby chciały, mogłyby nas dogonić lub nawet wyprzedzić, gdyż jak twierdzi, słoń może przebyć 25 kilometrów drogi na godzinę. Zwykle gromady słoń składają się ze 30 do 40 sztuk, ale niekiedy zbiera się ich do stu, a wtedy podróżni niezupełnie są bezpieczni. Pułkownik Munro, Banks, kapitan Hod, Mac-Neil, Kalagani i ja z werandy drugiego wagonu obserwowaliśmy ciagle tę coraz powiększającą się gromadę słoń.

– Liczba ich zwiększa się ciagle, – rzekł Banks, – i pewnie niedługo ościłgnę tu wszystkie słońie rozprószone po okolicy.

– Ale jakże mogłyby się porozumieć z pewnej oddali, – rzekłem, – skoro nie mogły się ani widzieć, ani słyszeć?

– Odczuwają się wężem; zmysł powonienia jest u nich tak doskonały, że słońie domowe rozpoznają obecność dzikich z odległości trzech do czterech mil, – odrzekł Banks.

– Ależ to istna wędrówka słoń – rzekł pułkownik Munro. – Patrzcie, jak potworzyły się za pociągami gromady, składające się z dziesięciu do dwunastu, a wszystkie zdają się zmierzać do jednego celu. Wiesz co, Banks, trzeba przyspieszyć biegu

– Stalowy Olbrzym robi co może, ale na tej drodze niepodobna jechać prędzej,

– Ale po co mamy się spieszyć! – zawołał kapitan Hod, którego podobne wydarzenia wprawiały zawsze w dobry humor. – Niech nas eskortują te miłutkie zwierzątka! To cewita godna naszego Stalowego Olbrzyma. By o pusto i gęucho jak na puszczy, teraz widać życie i podróżujemy jak radłowie.

– A! musimy zgodzić się na ich eskortę, skoro nie w naszej mocy temu przeszkodzić, – odrzekł Banks.

– Ale czego możemy się obawiać? – zapytał kapitan Hod, – wszak wiadomo, że gromada słoń jest mniej niebezpieczna, niż jeden... To takie dobre, potulne zwierzęta, istne baranki!

– Oho! Kapitan zaczyna się unosić! – rzekł sir Munro, – Zgadza się na to, że jeżeli te baranki zechcą się trzymać w pewnej od nas odległości, jak dotąd, nie ma się czego obawiać, ale gdyby im przysza ochota wyocignąć nas, na tak ciasnej drodze, mogłyby znacznie uszkodzić Steam-House.

– A nadto, – rzekłem, – kto wie jak obeszłyby się z naszym Stalowym Olbrzymem, gdyby mu tak zbliżka zajrzały w oczy?

– Ah! do krośset! – krzyknął kapitan, – oddałby mu taki hołd, jak słońie księcia Guru Singha.

– Ale tamte by³y oswojone, – rzek³ sierżant Mac-Neil.

– To i te same przez siê oswoj¹ siê, – rzek³ kapitan Hod; – sam widok naszego olbrzyma wzbudzi w nich takie zdumienie, że pozdrowi¹ go z uszanowaniem.

Widocznie kapitan nie och³on¹³ dot¹d z uwielbienia dla sztucznego s³onia, „tego arcydzie³a techniki, zbudowanego przez angielskiego inżyniera”.

– Zreszt¹ te gruboskórce – lubia³ to s³owo widocznie – więc te gruboskórce s¹ bardzo inteligentne, one rozumuj¹, s¹dz¹, one porównuj¹ i sk³adaj¹ dowody rozumu prawie ludzkiego!

– To nie prawda, – odrzek³ Banks.

– Jak to, nie prawda! – krzykn¹³ kapitan Hod. – Toż chyba nie mieszkaj¹c w Indjach, możnaby coe podobnego utrzymywaæ! Czyż nie używaj¹ tych zwierzt do wszelkich pos³ug domowych? i czy jest s³uga, dwunożny, któryby im dorówna³? – W domu swego pana czyż s³oń nie spe³nia wszelkich pos³ug? Czyż nie wiesz Maucler, co o nich mówi¹ ci, co je dobrze znaj¹? – Otóż utrzymuj¹ oni, że s³oń jest uprzedzaj¹co grzeczny dla tych, których kocha, że pomaga im dŹwigaa ciêżary, że zbiera dla nich kwiaty lub owoce, one strzeg¹ trzody i mieszkania swego pana, nosz¹ wodê, one pielêgnuj¹ i bawi¹ dzieci, które im poruczaj¹, lepiej jak niektóre angielskie bony! A jakie to wdziêczne zwierzê! Jeden z moich przyjació³ opowiada, że widzia³ jak kazano raz s³oniowi zgnieææ ³ap¹ ma³¹ muszkê, wtedy szlachetny zwierz podnosi³ w³acenie ³apê ile razy przechodzi³ ko³o muszki, żeby jej nie rozgnieææ i ani rozkaz, ani uderzenia nie potrafi³y zmieniaæ jego postêpowania, a gdy przeciwnie kazano mu przynieææ muszkê, to jak najdelikatniej wzi¹³ j¹ swoj¹ tr¹b¹ i puæci³ na wolnoææ – i czyż móg³byæ zaprzeczaæ teraz Banksie, że to zwierz szlachetny, dobry, wyżej moralnie stoj¹cy jak psy, jak ma³py – i czyż nie maj¹ s³usznoceci Hindusi, że przyznaj¹ mu tyle inteligencji jak cz³owiekowi!

I kapitan Hod, na zakończenie swojej tyrady zdj¹³ kapelusz i odda³ pok³on trzodzie, która sz³a za nami.

– Dobrze prawi – rzek³ ucemiechaj¹c siê pu³kownik, – s³onie maj¹ w tobie dzielnego obroñcê!

– Czyż nie mam s³usznoceci, pu³kownika?

– Może byæ, że kapitan Hod ma s³usznocææ, – odrzek³ Banks, – ale zdaje mi siê, że i Sanderson, s³awny myœliwy s³oni, może zas³ugiwaæ na uwzglêdnienie.

– A cóż on mówi ten twój Sanderson, – zapyta³ kapitan.

– On utrzymuje, że s³oń posiada tylko bardzo miern¹ inteligencjê.

– O to mi siê podoba, – rzek³ kapitan Hod, który siê coraz bardziej zapala³.

– Utrzymuje takżæ, – ci¹gn¹³ dalej Banks, – że Hindusi nigdy nie obierali s³onia za god³o inteligencji, lecz że przeciwnie, wyżej stawiali lisy, kruki i ma³py!

– Protestujê! – wykrzykn¹³ Hod.

– Protestuj sobie, mój kapitanie, ale s³uchaj! Sanderson wskazuje na to, że s³oń daje się z³apaæ w dziecinne wprost pu³apki jak n. p. do³y, pokryte ga³êziami i że nawet nie próbuje z nich się wydostaæ. Dalej, że s³oń daje się zapêdzaæ bez wiêkszych trudnoœci w ogrodzenia, coby się z innemi dzikimi zwierzêtami nigdy nie uda³o, ba nawet powiada, że s³oń, który raz umknie z wiêzienia, daje się znowu bardzo ³atwo z³apaæ, wiêc nie ma tyle zmys³u, żeby byæ przezornym!

– O biedne zwierzêta! – zawo³a³ kapitan, – jak to was oczernia ten in³ynier!

– Jeszcze jeden ostatni dowód przytoczê ci, a to, że s³oń czêsto wcale nie daje się u³askawiaæ, szczególnie gdy jest m³ody i nale³y do s³abej p³ci!

– O, to chyba w³acenie o jedno podobieństwo wiêcej do cz³owieka, – odpar³ kapitan. – Czy³ mê³czy³ni nie ³atwiej daj¹ się prowadziaæ, jak dzieci i kobiety?

– Mój kapitanie, ani ty, ani ja nie mo³emy s¹dziaæ w tej sprawie, gdy³ jesteœmy nie³onaci i nie mo³emy w tem mieæ doœwiadczenia.

– Jednak³e pomimo zapa³u twego dla tych gruboskórców, – rzek³ Banks, – przyznajê, że wola³bym, żeby się zwróci³y na pó³noc, skoro my zmierzamy na po³udnie, gdy³ niebardzo dowierzam pozorne ich dobroci i jestem pewny, że gdyby wpad³y w z³oææ nie zdo³alibyœmy stawiaæ dostatecznego oporu ich po³czonym si³om.

– A to tem wiêcej, – rzek³ pu³kownik Munro, – że liczba ich tak się ci¹gle zwiêksza, że zaczyna nareszcie przybieraæ niepokoj¹ce rozmiary.

Rozdzia³ IX

STU PRZECIW JEDNEMU.

Sir Edward Munro mia³ zupe³n¹ s³usznocæ. Ju³ teraz 50 do 60 s³oni postêpowa³o za nami. Sz³y przyspieszonym krokiem, i przoduj¹ce zbli³y³ się do Steam-House na odleg³oææ mniej ni³ dziesiêciu metrów, co pozwala³o doskonale je obserwowaaæ.

Na czele szed³ najwiêkszy z gromady, jednak³e lic¹c prostopadle od ³opatki, miara jego nie przenosi³a trzech metrów; jak ju³ mówiliœmy, s³onie indyjskie s¹ mniejsze od afrykañskich, których miara dochodzi niekiedy do czterech metrów. Ich k³y s¹ tak³e krótsze od s³oni afrykañskich. Na wyspie Ceylon spotyka się s³onie pozbawione k³ów, tej strasznej broni, któr¹ tak dzielnie umiej¹ się pos³ugiwaæ, ale „muknasy” te, tak je bowiem nazywaj¹, daj¹ się nader rzadko widzieæ w prowincjach w³acciwego Hindostanu.

Za tym przoduj¹cym s³oniem sz³o kilka samic, bêd¹cych rzeczywistemi kierowniczkami karawany. Gdyby nie obecnoææ Steam-House, by³yby niezawodnie tworzy³y awangardê, a samce sz³yby za niemi, w gronie innych towarzyszy. Samcy zupe³nie nie umiej¹ przewodniczyæ gromadzie; nie zajmuj¹c się swemi m³odemi, nie wiedz¹ kiedy i gdzie potrzeba się zatrzymaaæ, aby „dzieciny” wygodnie wypoczê³y. Tak wiêc w rodzinach i podczas wielkich wêdrówek przewodnictwo nale³y

do samic.

Trudno by³o odgadn¹æ co jest powodem tego pochod^u ca³ej gromady; czy by³y zmuszone opuœciæ opró¿nione ju¿ pastwiska; czy ucieka³y przed bardzo szkodliwymi uk³uciami pewnych much; czy mo¿e powodowa³a niemi ciekawoœæ obudzona widokiem naszego sztucznego s³onia? Okolica by³a doœæ odkryta i zgodnie ze swoim zwyczajem, gdy nie znajduj¹ siê w lesistych przestrzeniach, s³onie podró¿owa³y w dzieñ. Czy równie jak my, zatrzymaj¹ siê na noc, nie mogliœmy jeszcze wiedzieæ.

Kapitanie – zapyta³em – patrz jak nieustannie zwiêksza siê nasza arjergarda, czy ci¹gle nie przypuszczasz, aby ¿ywi³y wzglêdem nas z³e zamiary?

– Ba! – odrzek³, z jakiego¿ powodu gruboskórcie te mia³yby chcieæ nam szkodziæ – przecie¿ to nie tygrysy!... Nieprawda¿ Foxie?

– Eh! nawet i nie pantery! – odpowiedzia³.

Jednak¿e Kalagani jakoœ niezadawalniaj¹co krêci³ g³ow¹, co dowodzi³o, ¿e nie podziela przekonañ obu myœliwych.

– Jesteœ nieco zaniepokojony, zdaje mi siê? rzek³ Banks patrz¹c na niego.

– Czy nie mo¿naby przyspieszyæ biegu? – odrzek³ tylko.

– Bêdzie to trudno, ale spróbujê – odpowiedzia³ Banks.

I opuszczaj¹c werandê, przeszed³ do wie¿y, w której znajdowa³ siê maszynista Storr. Niezw³ocznie rozleg³ siê œwist i poci¹g zacz¹³ biedz prêdzej. Nie by³ to jednak zbyt znaczny poспiech, co wreszcie nie zda³oby siê na wiele, gdy¿ i gromada s³oni w równym stosunku przyspiesza³a kroku, a wiêc odleg³oœæ dziel¹ca j¹ od Steam-House nie zwiêkszy³a siê.

Tak przesz³o kilka godzin bez ¿adnej wyraŹnej zmiany, Po obiedzie wróciliœmy na werandê. Obecnie poza poci¹giem, droga ci¹gnê³a siê prosto, bez za³amañ i zakrêtów. mo¿na wiêc by³o doœæ daleko siêgn¹æ okiem.

Wtedy dostrzegliœmy z przera¿eniem, ¿e liczba s³oni przez ostatni¹ godzinê znacznie siê znów powiêkszy³a i dochodzi³a co najmniej do stu. Sz³y rzêdem, po dwóch lub trzech, w miarê szerokoœci drogi, sz³y milcz¹c, mierzonym krokiem, z tr¹bami lub k³ami podniesionymi w górê. Dot¹d sz³y spokojnie; jeœliby jednak uniesione niewyt³umaczonym gniewem, chcia³y siê rzuciæ na Steam-House, jakie¿ straszne grozi³oby nam wtedy niebezpieczeñstwo!

Noc zapada³a powoli, noc pozbawiona blasku gwiazd i œwiat³a ksiê¿ycowego. Jakœ mg³a unosi³a siê w wy¿szych sferach podniebnych. W nocy niepodobna by³o jechaæ dalej, nale¿a³o siê zatrzymæ. Banks postanowi³ stan¹æ w pierwszym szerszym miejscu, aby Steam-House nie zawadza³ pochodowi s³oni, dozwalaj¹c im udaæ siê w dalsz¹ drogê. Ale czy zechc¹ iœæ dalej, czy te¿ mo¿e roz³o¿¹ siê obozowiskiem obok nas?... – Oto wa¿ne pytanie.

Z zapadaniem nocy jakœ niepokój, którego nie dostrzegaliœmy za dnia, zacz¹³ siê widocznie

objawiaæ miêdzy s³oniami; z ogromnych ich p³uc wydobywa³o siê jakieœ g³uche, ale silne ryczenie, po³¹czone z dziwnym jakimœ odg³osem.

- Co to za dziwny ha³as? – spyta³ pu³kownik Munro, zwracaj¹c siê do Hindusa.
- Jestto odg³os jaki wydaj¹ s³onie, znajduj¹c siê wobec nieprzyjaciela – odrzek³ Kalagani.
- Wiêc chyba nas uwa¿aj¹ za nieprzyjació³? – rzek³ Banks.
- Obawiam siê tego – odpowiedzia³ Hindus.

By³ to odg³os podobny do dalekiego grzmotu. Tr¹c tr¹by o ziemiê, s³onie wypuszcza³y ogromne k³êby powietrza, nagromadzonego d³u¿szem wdychiwaniem, co wytwarza³o odg³os dopobny do huku piorunu.

By³a dziewi¹ta wieczór. W tem miejscu roztacza³a siê ma³a, okr¹g³awa równina, szeroka na blisko pó³ mili, z której wychodzi³a droga prowadz¹ca do jeziora Puturia, nad którym Kalagani chcia³, abyœmy roz³o¿yli obozowisko, Ale jeszcze piêtnaœcie kilometrów oddziela³o nas od niego, nie mo¿na wiêc by³o przebywaæ ich wœród nocy.

Banks da³ znak maszynieœcie, aby siê zatrzyma³, ale nie gasi³ ognia, tak, aby w ka¿dej chwili na dany znak mó³ ruszyæ dalej. Trzeba by³o byæ gotowym na wszelki wypadek.

Pu³kownik Munro przeszed³ do swego pokoiku.

Banks, kapitan Hod i ja postanowiliœmy nie k³aœæ siê wcale. Ca³a obs³uga by³a na nogach, có¿ jednak¿e moglibyœmy zrobiæ, gdyby s³oniom przysza³a ochota napaaæ na nas?

W pierwszej godzinie czuwania, g³uchy, coraz silniejszy szmer rozlega³ siê doko³a obozowiska; wyraŹnie ca³a gromada zajmowa³a ma³¹ równinê; czy przejd¹ j¹ tylko i udadz¹ siê w dalsz¹ drogê?

- A byæby to mog³o – rzek³ Banks.
- I prawdopodobnie tak bêdzie! – doda³ kapitan Hod, ci¹gle zapatruj¹cy siê ró¿owo na tê kwestjê.

Oko³o jedenastej szmer zaczyna³ s³abn¹æ i wkrótce przycich³ zupe³nie. Noc by³a bardzo spokojna; najszabszy odg³os mo¿naby by³o dos³yszeæ z ³atwoœci¹, ale nic nie dochodzi³o do naszych uszu – prócz g³uchego œwistu Stalowego Olbrzyma, nie widzieliœmy nic prócz iskiek wypadaj¹cych niekiedy z jego tr¹by.

- A co! czy nie mia³em s³usznœci? – zawo³a³ trjurfuj¹co kapitan Hod, poczciwe s³onie powêdrowa³y sobie.
- Szczêœliwej drogi! – odrzek³em.
- Trzeba siê o tem przekonaæ – rzek³ Banks, i zwracaj¹c siê do maszynisty, doda³: Storr, zapal latarnie!

W dwadzieścia sekund dwie wiązki światła elektrycznego trysnęły z oczu Stalowego Olbrzyma oświetlając przestrzeń w dalekim promieniu.

Słonie stały, kołem otaczając Steam-House, nieruchome, czy jakby śpiące. To światło rzucające szałoby odbłyśki na te zbite masy, zdawało się ożywiać je jakimś nadprzyrodzonym życiem. Przez proste zbudzenie optyczne, te na które padały silniejsze promienie światła, przybierały jakiego olbrzymie rozmiary, godne współzawodnictwa ze Stalowym Olbrzymem. Uderzone silnymi oświetlaniami odbłyškami, zrywały się nagle jakby oparzone, wystawiając trąby i podnosząc kopy do góry. Można było sędzić, że zamierzają rzucić się na pociąg. Wkrótce ich gniew udzielił się towarzyszom do koła i rozległ się tak ogłuszający ryk, jak gdyby uderzono naraz w setki kotłów i rogów.

– Zgaś światło! – zawołał Banks.

Światło elektryczne znikło w jednej chwili; szatański koncert ucichł niewzruszenie.

– Otoczyły nas kołem – rzekł inżynier i pewnie nie ustąpił gdy dzień zaćwiata.

– Hm! hm! – mruknął kapitan, którego zaufanie „w poczciwe słonie” widocznie szałoby.

Zapytano Kalaganiego, co należy czynić; nie ukrywał swego niepokoju.

Niepodobna było opuszczać obozowiska wpośród tak ciemnej nocy, a zresztą na cóżby się to zdało? cała gromada słoni niezawodnie podłżyłaby za nami, a trudności byłoby daleko większe niż dzień. Postanowiono więc, że dopiero nad ranem wyruszymy w dalszą drogę, posuwając się jak się da najspieszniej, i starając się zarazem nie przestraszać naszej przerażającej eskorty.

– Czy jest w tych stronach jakiegoś miejscowości, gdzieby słonie nie mogły pogonić za nami? – zapytał Banks Kalaganiego.

– Jest jedna i jedyna: jezioro Puturia.

– Jak daleko stąd?

– Około dziewięciu mil.

– Ale słonie umieją pływać lepiej od innych czworonogów – odrzekł Banks. Widziano nieraz, że po pół dnia utrzymują się na wodzie. Mogłyby więc atakować rzucić się za nami na jezioro Puturia, a wtedy Steam-House byłoby daleko więcej zagrożony.

– Nie widzisz innego środka uniknięcia ich napadów – odrzekł Kalagani.

A więc spróbujemy! – odpowiedział inżynier.

Rzeczywiście nie było innej rady. Może słonie nie będą śmiały rzucić się wpław w jezioro, a może uda nam się je wyprzedzić.

Niecierpliwie oczekiwaliśmy dnia – nadszedł nareszcie. Przez resztę nocy nie było żadnych nieprzyjanych objawów, ale żaden słoń nie odstąpił nas, zawsze kołem otaczał Steam-House. Wtem powstał wśród gromady jakiś ogólny ruch; zdawało się, jakby wszystkie słońnie posłuszne były jakimś hasłu. Wstrząsnęły trzębami, potarły kłami o ziemię, i tak podsunęły się pod Steam-House, że mogłaby przez okna dosięgnąć je pikami. Ale Banks zalecił surowo, aby żaden zaczepki nie dał im powodu do napadu.

Niektóre słońnie zbliżały się coraz więcej do naszego Stalowego Olbrzyma, widać pragnęły przekonać się, co to za rodzaj olbrzymiego nieruchomego teraz zwierza. Czy uważały go za swego pobratymca? czy może przypisywały mu jakiegoś nadzwyczajną potęgę? Wczoraj nie mogły widzieć go biegnącego, gdyż szły w pewnej odległości za pociągami. Ale ciekawa rzecz, jak przybiorł postawę, gdy usłyszał jego rżenie, gdy z jego trzębami buchały kłby pary, gdy będzie podnosił i opuszczał łapy, biec i cięgnąć za sobą całe pociągi.

Pułkownik Munro, kapitan Hod, Kalagani i ja zajęliśmy miejsca w przednim wozie, sierżant MacNeil i towarzysze jego w następnym. Kalut stał przed kotłem, dokładając paliwa do ogniska, chociaż cienienie dochodziło już do pięciu atmosfer. Banks, stojąc w wieży obok Storra, trzymał rękę na regulatorze.

Nadeszła chwila odjazdu. Na dany znak przez Banksa, rozległ się przeraźliwy gwizd.

Słońnie nastawiły uszu; potem cofając się trochę oswobodziły drogę na przestrzeni kilku kroków. Kłby par buchnęły z trzębami, pociąg ruszył.

Pewne zdziwienie objawiło się między słońniami stojącymi w pierwszym rzędzie; rozsunęły się więcej, zostawiając szersze przejście pociągowi, który ruszył z prędkości konia idącego truchtem.

W tej chwili cała gromada rozbiegła się przed i za pociągami jak się zdawało, z postanowieniem nieopuszczania go; inne biegły po bokach pociągu, niby jeżdżący jadący obok drzwiczek karety. Cała gromada złożyła z 25-letnich młodziaków, z „dorosłych” liczących po lat 60, ze starych stuletnich i bębnow biegających obok matek, które ssały biegając, postępowała w pewnym porządku, nie ciskała się zbyt mocno, regulując swój bieg według biegu pociągu.

– No niechże już eskortuj nas tak aż do jeziora – rzekł pułkownik.

– Ale co będzie jak droga zwęży się znacznie? – odpowiedział Kalagani.

Jakoż w tem leżało niebezpieczeństwo.

Bez wypadku przebyliśmy kilkanaście kilometrów dzielących nas od jeziora Puturia. Dwa czy trzy razy kilka słońni próbowało zagrozić nam drogę, ale gdy nadbiegł Stalowy Olbrzym i plunął im w oczy gorącą parą, odsunęły się na bok.

Postanowiono, że jeżeli słońnie nie zaczną objawiać nieprzyjanych zamiarów, ominiemy jezioro, nie przepływając go i Opuszczymy nazajutrz okolicę gór Vindhya a w kilka godzin później dostaniemy się do stacji Jubbulpore.

Kraj by³ dziki i pusty, ani  eladu wioski albo fermy, nigdzie nie spotkalicemy ani jednej karawany, ani jednego podr znego.

Jak to zapowiedzia³ Kalagani, droga zw ta³a si  coraz wi cej; po³o enie nasze pogarsza³o si  z ka d¹ chwil¹. S³onie, kt re sz³y po bokach, musia³yby ssun¹ e si , bo albo zgmiot³yby nasz poci¹g albo powpada³yby w przydro ne otch³anie, w kt rychby znalaz³y  emier . Instynktem precyzyjnie si  naprz d i poza poci¹g, a tok nie mogli emy ani posuwaa³ si  ani cofaa³.

– Sprawa wik³a si  coraz wi cej – rzek³ pu³kownik.

– Przyjdzie nam chyba przebia³ si  i zgnie a³ t  zbit¹ gromad .

– A to zgnie emy j¹ nie namy elaj¹c si ! zawo³a³ kapitan. C   u licha! przecie  stalowe k³y naszego olbrzyma nie ul kn¹ si  ko ecianych k³ w tych g³upich grubosk rc w.

– Dobrzeby to by³o, tylko bieda,  e trzeba walczy e jednemu przeciwko stu – rzek³ Mac Neil.

– Trudno, niema innej rady, inaczej s³oniena s zgmiot¹. Naprz d! – zawo³a³ Banks.

Maszynista doda³ pary; Stalowy Olbrzym pobieg³ pr dziej i jeden stalowy kie³ jego uk³u³ w grzbiet id¹cego przed nim s³onia. Zwierz wyda³ z bolu ryk przera liwy, kt remu zawt rowa³ ryk ca³ej gromady. Walka, kt rej ko ca trudno by³o przewidzie e, stawa³a si  nieuniknion¹.

Chwycilicemy za bro . Dubelt wki by³y nabite kulami sto kowymi, karabiny kulami wybuchaj¹cemi, rewolwery zaopatrzone by³y w naboje w³acociwego kalibru.

Pierwszy godzi³ na nas olbrzymi samiec, z dzik¹ min¹, z wystawionym k³em,  emia³o wyst¹pi³ przeciw Stalowemu Olbrzymowi.

– „Gunesz!” – krzykn¹³ Kalagani, czyli s³o  z jednym k³em, jak takich nazywaj¹ my eliwi.

– Ba! posiada tylko jeden kie³! – rzeki pogardliwie kapitan.

– I dlatego w³acenie jest jeszcze gro niejszym.

Hindusi otaczaj¹ s³onie jednok³owe szczeg lniejsz¹ czci¹, je eli im brak prawego k³a, jak u tego, kt ry zamierza³ rzucia³ si  na Stalowego Olbrzyma.

Przebi³ na wylot blach  pokrywaj¹c¹ jego piersi, ale niebawem kie³ ten z³ama³ si  o wewn trzne urz¹dzenie. Ca³y poci¹g dozna³ wstrz¹ eni cia; jednak e popychany wewn trzn¹ si³, p dzi³ naprz d, odr¹caj¹c gunesza, kt ry daremnie chcia³ mu si  opiera e.

Jednak poprzedzaj¹ca nas gromada zrozumia³a jego wezwanie; stan ³a nagle,  ywym murem swoich cia³ zagradzaj¹c nam drog . Nie do a e na tem, s³onie id¹ce za poci¹giem, uderzy³y gwa³townie o werand ; trzeba by³o si  bronia e.

– Starajcie si  nie chybia³ ani jednego strza³u! – krzykn¹³ kapitan; – celowa e tu, gdzie si  zaczyna

tr¹ba, lub w do³ek ponad okiem. Takie strza³y najpewniejsze!

Us³uchalicemy komendy; pad³o kilka strza³ów, po których rozleg³o siê g³oœne wycie. Trzy czy cztery s³onie ugodzone we wskazane miejsca, pad³y z ty³u i z boku, poci¹g móg³ bieć naprzód.

– Nabiać znów broń! – krzykn¹³ kapitan,

I mia³ s³usznocæ; ca³a gromada napad³a gwa³townie na nas; rozleg³o siê przeraŹliwe wycie i ryki. Grozi³o nam straszne niebezpieczeñstwo.

– Naprzód! – krzykn¹³ Banks.

– Ognia! – krzykn¹³ Hod.

Do gwa³towniejszego gwizdu maszyny do³czy³ siê huk wystrza³ów. Ale trudno by³o celnie strzelać do tak zbitej masy i trafiać we wskazane przez kapitana miejsca. Kule nasze zadawa³y rany, ale nie zabija³y; zadane rany zwiêksza³y wœciek³¹ zajad³ocæ s³oni, na wystrza³y odpowiada³y razami k³ów swoich, któremi przebija³y œciany naszego Steam-House.

Maszynista powiêksza³ ci¹gle cicoenie pary; Stalowy Olbrzym pêdzi³, druzgocz¹c i rozpêdzaj¹c gromadê; ruchoma jego tr¹ba, podnosz¹c siê i opuszczaj¹c, uderza³a w cia³a zbitej masy s³oni. Posuwalicemy siê ku jezioru.

Wtem jedna tr¹ba uderzy³a o przedni¹ werandê i chwytaj¹c pu³kownika Munro, o ma³o nie rzuci³a go pod nogi s³oni; nast¹pi³oby to niezawodnie, gdyby Kalagani nie przeci¹³ tr¹by silnem uderzeniem siekiery.

Przez ca³y czas nie spuszcza³ on z oka pu³kownika, otaczaj¹c go najtroskliwsz¹ opiek¹; ta jego nieustanna pieczo³owitocæ o bezpieczeñstwo sir Edwarda zastanawia³a nas wszystkich.

Wtem rozleg³ siê nowy trzask; s³onie rozbi³y drugi wagon, przygniataj¹c go do przydroŹnej ska³y.

– PrzechodŹcie do nas! – krzykn¹³ Banks do broni¹cych ty³u.

Gumi, sierŹant Mac-Neil i Fox wpadli prêdko do pierwszego wagonu.

– A gdzie Parazard? – zapyta³ kapitan.

– Nie chce opuœciać kuchni, – odpowiedzia³ Fox.

– Porwijcie go gwa³tem!

Widocznie nasz kucharz uwaŹa³ sobie za hañbê opuszczenie powierzonego stanowiska; ale Gumi uj¹³ go w swe silne ramiona i wniós³ do sali jadalnej.

– Jesteœcie tu juŹ wszyscy! – zapyta³ Banks.

- Tak, panie, – odrzekł Gumi.
- Od³czyæ pierwszy wóz!
- Porzuciæ po³owê naszego przenoœnego domu?..
- Ale¿ to niepodobna! – krzykn¹³ kapitan Hod.
- Nie ma innej rady! – odrzek³ Banks.

Przeciêto sztaby i ³añcuchy, ³¹cz¹ce z sob¹ wozy, odr¹bano przejøcie, tylny poci¹g pozosta³ na drodze. S³onie rzuci³y siê na niego, gnio¹c go ca³ym swoim ciê¿arem i zamieniaj¹c w bezkszta³ne szcz¹tki, zagradzaj¹ce drogê poza nami. Trzeba by³o do³o¿yæ wszelkich usi³owañ, aby i drugi wóz uchroniæ od podobnego losu, gdy¿ inaczej bylibyœmy zgubieni.

Ju¿ tylko pó³ kilometra oddziela³o nas od jeziora Puturia – ostatnie wysilenie mog³o nas ocaliæ. Storr stworzy³ wielki regulator; Stalowy Olbrzym party now¹ si³¹, szarpa³ stalowymi k³ami cia³o cisl¹cych siê przed nim s³oni; puszcza³ na nie k³êby parz¹cej pary i strumienie wrz¹cej wody; nareszcie na zakrêcie drogi ukaza³o siê przed nami jezioro.

Jeszcze dziesiêæ minut – a bêdziemy ocaleni.

Zrozumia³y to widaæ s³onie i chcia³y gwa³tem wywróciæ poci¹g. Odpowiedzieliœmy wystrza³ami. Kule sypa³y siê jak grad, dosiêgaj¹c najpierwszych szeregów; ju¿ zaledwie tylko piêæ czy szeœæ zagradza³o nam drogê; wiele pada³o ciê¿ko rannych i zabitych; poci¹g pêdzi³ po gruncie zbroczonym krwi¹.

Nareszcie dotarliœmy na brzeg jeziora i wkrótce poci¹g unosi³ siê na jego spokojnych falach.

– Dziêki ci Bo¿e! – zawo³aliœmy.

Dwa czy trzy rozwœcieczone s³onie rzuci³y siê w jezioro, pragn¹c œcigaæ na jego powierzchni tych, których nie zdo³a³y zniszczyæ na l¹dzie. Ale ³apy naszego olbrzyma spe³nia³y swoje zadanie, poci¹g prêdko oddala³ siê od brzegu, a kilka dobrze wycelowanych strza³ów uwolni³o nas od tych strasznych wrogów, w³acenie w chwili, gdy ju¿ mia³y wedrzeæ siê na tyln¹ werandê.

– No, có¿ teraz powiesz kapitanie, o poczciwoœci i ³agodnoœci indyjskich s³oni? – zapyta³ Banks.

– Ba! – zawo³a³, – w ka¿dym razie niewarte tygrysów. Gdyby zamiast ca³ej setki tych gruboskórców, napad³o na nas tylko trzydzieœci tygrysów, klnê siê na czem œwiat stoi, ¿e ani jeden z nas nie pozosta³by przy ¿yciu, aby opowiedzieæ ca³¹ przygodê!

Rozdzia³ X

Jeziro Puturia, na którym Steam-House znalazł czasowe schronienie, leży o czterdzieści kilometrów na wschód od Dumoh, stolicy prowincji angidlskiej tej samej nazwy. Miasto to liczy 12.000 mieszkańców; stoi w nim stale mały garnizon angielski.

Co do nas, nie mogliśmy, jak się zdawało, obawiać się już niczego gorszego nad tę walkę ze s³oniami, z której wprawdzie wyszliśmy cało, ale straciliśmy jeden wagon i większą część naszych przyrz¹dów, co było dla nas bardzo dotkliwym.

I ani można było myśleć o ocaleniu wagonu, który leżał rozbity o skały, a po stratowaniu przez s³onie, pozostały z niego zapewne same tylko szcz¹tki.

A wagon ten mieścił w sobie nie tylko mieszkania części osób, należ¹cych do wyprawy, ale także zapasy żywności i amunicji. Pozostało nam zaledwie dwanaście naboí, ale nie spodziewaliśmy się, będziemy mieli ich potrzebować przed przybyciem do stacji kolejowej Jubbulpore. Ciężka jednak i trudna była sprawa z brakiem żywności, której nie mieliśmy żadnych uzupełnień zapasów, gdyż spiżarnia znajdowała się w rozbitym wagonie. Gdyby się nawet nam udało dojechać nazajutrz do stacji, odleg³ej jeszcze o 70 kilometrów, musielibyśmy całe dwadzieścia cztery godzin obejść się bez jedzenia.

Ha! trudna rada, musieliśmy poddać się tej smutnej konieczności, która najwięcej dawała się czuć panu Parazardowi i przywodziła go do rozpacz. Cierpił niewymownie nad stratami swoich zapasów spiżarnianych, swej piwnicy i kuchni, wraz z należ¹cymi do niej przyrz¹dami. Nie ukrywał swej boleści, i ani myślał o strasznym niebezpieczeństwie, jakiego uniknęliśmy prawie cudem, o mały nie p³akał nad najwięcej obchodz¹cymi go stratami.

W chwili, gdy zebrał się w salonie, naradzaliśmy się, co mamy czynić w tak trudnych okolicznościach, pan Parazard ukazał się w progu i z uroczyst¹ min¹ oznajmił, że ma coś nadzwyczaj ważnego do powiedzenia.

– Mów więc, panie Parazard, – rzekł pułkownik Munro, skin¹wszy, aby się zbliżył.

– Panowie, – rzekł poważnie czarny nasz kuchmistrz, – wiadomo wam, że wszelkie zapasy, mieszcz¹ce się w drugim wagonie, stały się pastw¹ tej przeklêtej katastrofy... ale gdyby nawet coś z nich zostało uratowanym, nie na wiele by się zdało, bo w braku kuchni nie mógłbym przyrz¹dzić wam choćby najskromniejszego posi³ku.

– Wiemy o tym, panie Parazard, – odrzekł pułkownik; – bardzo to nie mi³a przygoda, ale zaniemiemy ją filozoficznie i jeżeli trzeba, będziemy pocęcili.

– Tak, ale jakże to bolesne dla mnie! tem więcej, że patrz¹c na tę gromadę nacieraj¹cych na nas s³oni, z których tyle padło od morderczych kul, jakimi pozbawialiście je panowie życia...

– Fiu! fiu! panie Parazard, jakże pięknie się wyrażasz! – rzekł kapitan; – gdybyś wzi¹ł tylko kilka lekcji, dorównałbyś wymow¹ panu Mateuszowi Van Guitt.

Parazard uwierzył w komplement i podziękował uk³onem, poczem westchn¹wszy mówił dalej:

– Niestety! panowie, ominę a mnie sposobność ewietnego wykazania moich kuchmistrzowskich zdolności. Cokolwiek o tem mówi i pisz, to pewnem przecię, że mięso s³oni nie w wszystkich częściach nadaje się do kuchni, niektóre bowiem są bardzo ³ykowate i twarde. Ale w tej olbrzymiej masie cię³a znajduj się dwa wyborowe kawa³ki, godne zdobić stó³ samego wicekróla Indji. Mam je wymieniać? czy potrzeba mówić, że ozór s³onia jest niezrównanie delikatny i smaczny, zwłaszcza, jeżeli jest przyrz¹dzony sposobem mnie wy³¹cznie znanym... nogi zaś tego gruboskórcza...

– No! no! otó¿ i naukowa nazwa! wieszujê panie Parazard, – rzek³ kapitan.

– Z nóg tedy s³onia, – mówi³ dalej, – mo¿na sporz¹dzić przewyborn¹ zupê, której równej nie ma na œwiecie!...

– Aj! aj! panie Parazard, tak zachwalasz tê zupê, że a¿ nam œlinka idzie do ust, – rzek³ Banks; – ale nieszczęściem z jednej, a szczęściem z drugiej strony, s³onie nie pod¹y³y za nami a¿ dot¹d; tak wiêc choć z bólem serca, musimy na teraz przynajmniej wyrzec się zupy z nóg i potrawki z ozora s³onia, tego, jak zapewniasz, nader smacznego, ale i bardzo niebezpiecznego zwierza.

– Gruboskórcza, powiedzia³by Mateusz Van Guitt, – doda³ œmiej¹c się kapitan.

– Przeciê¿ nie ma w tem nic niemo¿liwego, – odrzek³ kucharz, – żeby powróciæ na l¹d dla zdobycia ich?

– Owszem, jest to zupełnie niemo¿liwe, – odrzek³ Banks, – nie mo¿emy dla smacznych k¹sków nara¿aæ się na niebezpieczeństwo.

– A wiêc niech mi wolno bêdzie powiedzieæ, jak boleœnie mnie dotyka ten przykry wypadek.

– Twoja boleœæ, panie Parazard, budzi w nas wielkie wspó³czucie, ale trudna rada, trzeba się poddaæ losowi. Tote¿ nie martw się i przed przybyciem do stacji Jubbulpore nie myœl ani o œniadaniu ani o obiedzie, – rzek³ mu pu³kownik.

– Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak z³o¿yæ moje uszanowanie i odejæ, – rzek³ k³aniaj¹c się.

Gdyby nie wa¿ne okoliczności, zajmuj¹ce nas, bylibyœmy się szczerze nacemili z powagi i utrapieñ naszego kuchmistrza.

Do tylu przebytych niebezpieczeństw do³¹czy³a się trudnoœæ prawie nie do zwalczania. Banks oznajmi³ nam, że ani brak amunicji nie by³by dla nas tak groŹnym jak brak paliwa. Od 48 godzin nie by³o mo¿na odnowiæ zapasów drzewa, niezbêdnego dla ruchu maszyny, a za przybyciem do jeziora wyczerpalimy ostatki. Gdyby by³o trzeba pêdziæ tak do niego jeszcze godzinê, poci¹g nasz stan¹³by na drodze i drugi wagon dozna³by losu pierwszego.

– Wiêc nasze po³o¿enie uwa¿asz za groŹne? – zapyta³ pu³kownik.

– Gdyby sz³o tylko o powrót na wybrze¿e, od którego nie bardzoœmy daleko odp³ynêli, – odrzek³ Banks, – rzecz by³aby mo¿liwa, bo w kwadrans moglibyœmy dobiæ do brzegu, ale prosta

przezorność nie pozwala powracać tam, gdzie s³onie niezawodnie jeszcze siê znajduj¹. Konieczn³e trzeb³y przep³yn¹æ jezioro Puturia i na po³udniowej jego stronie szukaæ miejsca do wyl¹dowania.

– Jaka¿ mo¿e byæ w tym miejscu szerokość jeziora? – zapyta³ pu³kownik.

– Kalagani oblicza j¹ na siedm do oœmiu mil. W obecnych warunkach potrzeb³y do ich przebycia kilku godzin, a powtarzam, ¿e przed up³ywem trzech kwadransów maszyna stanie.

– A wiêc trzeba nam spêdziæ noc na jeziorze, skoro jesteœmy tu bezpieczni, a jutro z dniem uradzimy co czyniæ – rzek³ pu³kownik.

Rzeczywiœcie nie by³o innej rady, a wszyscy bardzo potrzebowal³emy wypoczynku. Zesz³ej nocy, oblê¿eni przez s³onie, nie zamknêliœmy prawie oka, zmêczenie i bezsennoœæ dawa³y nam siê bardzo odczuæ. A teraz zapada³a ciemna noc, ciemniejsza nawet, ni¿by to nam by³o przyjemne.

Oko³o siódmej lekka mg³a zaczê³a siê unosiæ nad jeziorem. Ju¿ poprzedniej nocy ciemne chmury zalega³y horyzont; wtedy mg³y unosi³y siê o setki stóp nad ziemi¹, tu, z powodu parowania wód, k³êbi³y siê nad sam¹ ich powierzchn¹, tak, ¿e wkrótce zup³nie prawie zas³oni³y widnokr¹g. By³a to jedna trudnoœæ wiêcej, na któr¹ Banks s³uszn³e zwróci³ uwagê.

Zgodnie z jego zapowiedzi¹, oko³o wpó³ do ósmej, da³y siê s³yszeæ ostatnie s³abe gwizdniêcia Stalowego Olbrz³yma, s³apy naszego s³onia przesta³y uderzaæ w wodê, cieniienie zesz³o do jednej atmosfery. Nie by³o ¿adnej mo¿noœci zdobycia paliwa. Stalowy Olbrz³ym i jedyny ju¿ teraz wagon unosi³ siê spokojnie na wodzie, ale ani o krok nie posuwa³ siê naprzód.

Wœród tak gêtej mg³y niepodobna by³o oznaczyæ œciœle, w jakim po³o¿eniu siê znajdujemy. Przez krótki czas, w ci¹gu którego maszyna funkcjonowa³a, nasz poci¹g zwróci³ siê ku po³udniowo-wschodniemu wybrze¿u jeziora, aby w tej stronie szukaæ miejsca do wyl¹dowania. Poniewa¿ jezioro Puturia ma kszt³t okr¹g³awo-pod³u¿ny, mog³o wiêc byæ, ¿e Steam-House nie by³ bardzo oddalony od jednego z wybrze¿y.

Rozmawialiœmy, robi¹c rozmaite przypuszczenia, jakie mog¹ byæ nastêpstwa obecnego naszego po³o¿enia, a¿ nareszcie Banks oœwiadczy³, ¿e trzeba zasiêgn¹æ rady Kalaganiego.

Przywo³any Hindus przyby³ natychmiast. Byliœmy wszyscy w sali jadalnej, œwietlonej z góry, niemaj¹cej wiêc okien w bocznych œcianach. Tym sposobem œwiat³o zapalonych lamp nie przedziera³o siê na zewn¹trz; ostro¿noœæ ta by³a bardzo w³œciwa¹, gdy¿ nie pozwala³a poznaæ w³óczy¹cym siê mo¿e na wybrze¿ach z³oczyñcom, w jak trudnym po³o¿eniu siê znajdujemy.

Zdawa³o mi siê tak przynajmniej, ¿e na zadane mu pytania Kalagani z pocz¹tku waha³ siê odpowiedzieæ. Wprawdzie nie³atwe by³o to zadanie, bo nale¿a³o oznaczyæ stanowczo, jakie po³o¿enie nasz poci¹g zajmuje na wodach jeziora; mo¿e s³aby wiatr pó³nocno-zachodni oddzia³ywa³ coœ na Steam-House, a mo¿e i sam pr¹d popycha³ go ku ni¿szej czêœci jeziora? Tak wiêc to jedynie chyba mog³o byæ powodem wahania Kalaganiego.

– Odpowiedz¹ mi, Kalagani, – rzek³ nalegaj¹c Banks, – znasz przecie dobrze rozleg³oœæ jeziora

Puturia?

– Bezw¹tpienia, – odpowiedzia³ Hindus, – ale podczas takiej mg³y jest bardzo trudno...

– Czy nie możesz choæby w przybliŹeniu oznaczyæ, w jakiej odleg³oœci od któregoœ z najbliŹszych wybrzeŹy znajdujemy siê?

Owszem, zdaje mi siê, Źe nie bêdzie wiêcej jak pó³tora mili.

– Ku wschodowi?

– Tak.

– Wiêc gdybyœmy dobili do jego brzegu, bylibyœmy bliŹej Jubbulpore niŹ Dumoh?

– Tak jest.

A wiêc trzebaby dostaæ siê do Jubbulpore, aby zaopatrzyæ siê w Źywnoœæ, ale kto wie, kiedy zdo³amy dostaæ siê do brzegu? MoŹe za dzieñ, za dwa, a wszelkie zapasy s¹ wyczerpane.

AleŹ jeden z nas móg³by przynajmniej spróbowaaæ jeszcze tej nocy dostaæ siê na l¹d, – rzek³ Hindus.

– Jakim sposobem?

– Przep³ywaj¹c jezioro.

– Przep³yn¹æ pó³torê mili woeród tak gêtej mg³y! – zawo³a³ Banks, – aleŹ by³oby to naraŹeniem Źycia.

– Nie jest to jeszcze dostateczny powód, aby przynajmniej nie spróbowaaæ, – odrzek³ Hindus.

Sam nie wiem czemu, ale zdawa³o mi siê bardzo, Źe mówi¹c to, Kalagani nie by³ szczerym.

– Wiêc zaryzykowa³byœ przep³yn¹æ wp³aw jezioro! – zapyta³ pu³kownik, bacznie wpatruj¹c siê w Hindusa.

Tak, pu³kowniku, i mam powody spodziewaaæ siê Źe tego dokonam.

– W takim razie, mój przyjacielu, odda³byœ nam nieocenion¹ przys³ugê, – rzek³ Banks. – Dostawszy siê na l¹d, z ³atwoœci¹ doszed³byœ do stacji Jubbulpore i sprowadzi³ nam stamt¹d potrzebn¹ pomoc.

– Jestem gotów, – odrzek³ tylko Hindus.

Myœla³em, Źe pu³kownik podziêkuje naszemu przewodnikowi, oœwiadczaj¹cemu siê z gotowoœci¹ spe³nienia tak niebezpiecznego zadania; lecz ten wpatrzywszy siê w niego jeszcze

baczniej jak pierwej, zawo³a³ Gumiego.

– Gumi, – rzek³, gdy ten przyszed³, – wszak p³ywasz doskonale?

– Tak, panie pu³kowniku.

– Czy nie by³oby za trudnem dla ciebie przep³yn¹æ dzie w nocy p³torê mili przez spokojne fale jeziora?

– Choæby i dwie mile.

– Oto widzisz, Kalagani ofiaruje siê przep³yn¹æ jezioro do wybrze³a, znajduj¹cego siê najbli³ej stacji Jubbulpore; a tak na jeziorze, jak w ca³ej tej czêœci Bundelkundu, dwóch ludzi odwa³nych i roztropnych, pomaj¹cych sobie wzajemnie, daleko ³atwiej ni³ jeden mog¹ dojœæ do zamierzonego celu. Czy chcesz towarzyszyæ Kalaganiemu?

– W ka³dej chwili, pu³kowniku.

– Nie potrzebujê nikogo, – odrzek³ Kalagani, – ale jeżeli pan pu³kownik tego ¹da, zgadzam siê, aby Gumi mi towarzyszy³.

– A wiêc ruszajcie z Bogiem – rzek³ Banks, – i b¹d³cie tak przezorni, jak jesteœcie odwa³ni.

Nastêpnie pu³kownik zawo³a³ Gumiego i da³ mu po cichu jakieœ zlecenia. W piêæ minut potem, dwaj Hindusi, zwi¹ zawszy ubranie w wêze³ki trzymane ponad g³ow¹, rzucili ciê w fale jeziora. Mg³a by³a ci¹gle tak gêsta, ³e po kilku poruszeniach w wodzie nie mogliœmy ich ju³ dostrzec.

Zapyta³em pu³kownika, dlaczego ¹da³ koniecznie, aby Gumi towarzyszy³ Kalaganiemu?

– Wiecie, przyjaciele, – rzek³ sir Edward Munro, – dot¹d nie podejrzywa³em wiernoœci tego Hindusa, ale obecnie zdaje mi siê, ³e to co nam mówi³, nie jest prawd¹.

– Ja tak³e podejrzewam go, ³e chce nas podejœæ.

– Co do mnie, nie dostrzeg³em nic podobnego – rzek³ in³ynier.

– Jestem pewny, ³e ofiaruj¹c siê nam dop³yn¹æ do l¹du, Kalagani mia³ w tem jakieœ swoje widoki, które ukrywa przed nami, – rzek³ pu³kownik.

– Jakie³ móg³by mieæ zamiary? – spyta³ Banks.

– Tego nie wiem, ale niezawodnie nie w celu szukania pomocy dla nas, pragnie pop³yn¹æ do Jubbulpore.

– Co mówisz, pu³kowniku? – zawo³a³ kapitan Hod.

Banks zmarszczy³ brwi i rzek³ do pu³kownika:

– Edwardzie, ten Hindus okazywa³ siê dot¹d wiernym i szczególnie troskliwym o ciebie – i ty utrzymujesz, że chce nas zdradziæ?... Czy masz na to jakieś dowód?

– Gdy mówi³ do nas, skóra jego pociemnia³a. Wiêcej jak dwadzieœcia razy mia³em sposobnoœæ sprawdziæ to spostrzeżenie na Hindusach i Bengalisch, i nigdy mnie to nie zawiod³o. Mogê was wiêc zapewniæ, że Kalagani nie mówi³ prawdy.

Sir Edward Munro mia³ s³usznocæ; ilekroæ Hindusi k³ami¹, zamiast rumienia siê jak Europejczycy, oni ciemniej¹. Pu³kownik by³ zanadto bystrym, aby tego nie dostrzec.

– Ale za cóż mia³by nas zdradziæ i jakież mógł³by mieæ zamiary? – zapyta³ Banks.

– O tem dowiemy siê póŹniej... moŹe zapóŹno, odrzek³ sir Munro.

– Co! zapóŹno, – krzykn¹³ kapitan, – przecieŹ nic strasznego nam nie zagraŹa?

– W kaŹdym razie dobrze zrobi³œe pu³kownikowi, wyprawiaj¹c z nim Gumiego, – rzek³ Banks. – ten pozostanie nam wierny do œmierci. Jest bystry, przenikliwy, gdyby wiêc dostrzeg³ coœ podejrzanego, potrafi...

– Tem wiêcej, że go uprzedzi³em, – rzek³ pu³kownik, – wiêc przestrzeŹony, bêdzie siê mia³ na bacznocæci i nie da siê podejœæ swemu towarzyszowi.

– Teraz wiêc nie pozostaje nam jak czekaæ dnia; mg³a opadnie zapewne, gdy s³oñce wszedzie, wtedy zobaczymy, co naleŹy czyniæ, – rzek³ inŹyner.

Rzeczywiœcie nie pozostawa³o nam nic innego – wiêc i tê noc trzeba by³o spêdziæ zupe³nie bezsenie.

Mg³a sta³a siê jeszcze gêstsz¹, ale na szczêœcie nic nie zapowiada³o burzy, któraby mog³a staæ siê dla nas przyczyn¹ zguby, gdyŹ nasz poci¹g mógł³ unosiæ siê na wodzie; ale nigdy nie zdo³a³by siê oprzeæ rozhukanym falom. MoŹna siê by³o spodziewaæ, że gdy mg³y opadn¹, zajaœnienie nad ranem piêkna pogoda.

S³uŹba pomieœci³a siê w sali jadalnej, my znowu pok³adlicemy siê w salonie na sofkach, niewiele rozmawiaj¹c, ale zato przys³uchuj¹c siê bacznie choæby nalêjszym odg³osom, dochodz¹cych nas z zewn¹trz.

Wtem nagle, oko³o drugiej po pó³nocy, ryk dzikich zwierz¹t zak³óci³ ciszê nocn¹. To da³o nam poznaæ, że l¹d znajdowa³ siê w kierunku po³udniowo-wschodnim, ale w doœæ znacznej oddali, bo ryk dawa³ siê s³abo s³yszeæ. Banks oceni³, że pochodzi z odleg³occi przynajmniej mili. Widocznie gromada dzikich zwierz¹t przyby³a na przeciwny koniec jeziora, aby ugasiæ pragnienie.

Wkrótce mogliemy siê przekonaæ, że pod wp³ywem lekkiego wiatru, poci¹g nasz powoli, ale nieustannie przysuwa³ siê do wybrzeŹa, bo nietylko ryk zwierz¹t stawa³ siê coraz wyraŹniejszym, ale moŹna by³o rozróŹniæ ryk tygrysa i wycie panter.

– A! jakaby to by³a wyborna sposobnoœæ zabiaæ piêædziesi¹tego! – zawo³a³ z westchnieniem kapitan.

– Nadarzy ci siê inna, kochany kapitanie, – rzek³ Banks, – bo spodziewam siê, że gdy dzień zaoewita, a my przybijemy do l¹du, dzikie zwierzêta ust¹pi¹ nam z drogi.

– Czy nie moŹnaby zapaliaæ elektrycznych œwiata³? – zapyta³em.

Czemu nie? – odrzek³ Banks, – na ca³ej tej czêœci wybrzeŹa nie ma zapewne nikogo prócz dzikich zwierz¹t, pij¹cych wodê jeziora, tak wiêc oœwietlenie nas nie zdradzi.

Na rozkaz Banksa puszczono dwie wi¹zki œwiat³a elektrycznego w kierunku po³udniowo-wschodnim. Ale œwiat³o to nie by³o w stanie przebiaæ tak gêstych ciemnoœci; oœwieca³o ono tylko niewielkie pó³kole przed Steam-House, tak wiêc nie mogliœmy dojrzeæ wybrzeŹy. JednakŹe coraz g³oœniejszy ryk i wycie zwiastowa³y, że siê coraz bardziej zbliŹamy do l¹du. Widocznie gromada zwierz¹t musia³a byæ bardzo liczna i nic dziwnego, poniewaŹ wszystkie zwierzêta znajduj¹ce siê w tej czêœci Bundelkundu, gasz¹ pragnienie w jeziorze Puturia.

– Źeby tylko Kalagani i Gumi nie stali siê ich ofiar¹, – rzek³ kapitan Hod.

– Co do Gumiego, to nie od tygrysów grozi mu niebezpieczeñstwo, – odrzek³ sir Munro.

Widocznie powziête podejrzenia coraz wiêcej utwierdza³y siê w umyœle pu³kownika Munro, a ja podziela³em je w zupe³noœci. A jednak dobre sprawowanie siê Kalaganiego od czasu naszego przybycia w olice Himalajów, niezaprzeczone us³ugi, jakie nam odda³, poœwiêcenie, jakiego dowody da³ dwukrotnie, kiedy z naraŹeniem w³asnego Źycia uratowa³ sir Edwarda Munro i kapitana Hoda – to wszystko przemawia³o za nim. Lecz gdy podejrzenie i nieufnoœæ zrodz¹ siê raz w umyœle, zapominamy co by³o, myœl¹c tylko i obawiaj¹c siê o przysz³oœæ.

Ale co mog³oby Hindusa popchn¹æ do zdrady? CzyŹby Źywi³ do nas jak¹œ osobist¹ nienawioœæ? niepodobna! nie mia³ przecieŹ Źadnego powodu do tego... I pocóŹ wiêc mia³by œci¹gaæ nas w zasadzkê? daremnie ³amaliœmy sobie g³owy, Źaden nie móg³ wynaleœæ jakiegoœ prawdopodobnego powodu, to teŹ z niewys³owion¹ niecierpliwœci¹ czekaliœmy rozwil¹zania naszego niepokoj¹cego po³oŹenia.

Oko³o czwartej rano, krzyki zwierz¹t ucich³y nagle; ale to szczególnieŹ zwróci³o nasz¹ uwagê, że nie stopniowo jedne po drugich, ale zdawa³o siê, że nagle, jak gdyby skutkiem jakiegoœ nag³ego przestachu. W jednej chwili po wrzawie nasta³a cisza; musia³o wiêc coœ byæ tego powodem, którego nieznajomoœæ zwiêksza³a niepokój.

Przezornoœæ nakazywa³a zgasiaæ œwiat³o; gdyŹ jeœli zwierzêta uciek³y sp³oszone zgraj¹ w³óczêgów, w³ócz¹cych siê po drogach Bundelkundu, naleŹa³o ukryæ œwiat³o, aby nie zdradziaæ naszego smutnego po³oŹenia.

Teraz juŹ nawet plusk wody nie zak³óca³ milczenia; wietrzyk usta³, nie moŹna by³o zmiarkowaæ, czy pr¹d popycha³ jeszcze poci¹g ku wybrzeŹom. Ale dzień mia³ lada chwila zab³ysn¹æ i rozpêdziaæ

mg³y, które teraz zape³nia³y już tylko niższe strefy atmosfery.

Spojrza³em na zegarek, by³a godzina pi¹ta; mg³a nie ustêpowa³a, nie mogliemy jeszcze nic dojrzeæ; trzeba by³o uzbroiaæ siê w cierpliwoœæ.

Pu³kownik Munro, Mac-Neil i ja wygl¹daliemy oknem salonu; Fox, Kalut i pan Parazard wygl¹dali z jadalnej sali; Banks i Storr byli w wie²zy, a kapitan Hod siad³ jak na konia na olbrzymi grzbiet naszego s³onia tu², ko³o jego tr¹by, niby majtek na przodzie okrêtu, i wszyscy wyczekiwaliemy niecierpliwie, a² któryœ pierwszy zawo³a: Ziemia!

Nareszcie pierwsze promienie wschodz¹cego s³oñce przdar³ya mg³ê; na po³udniowym wschodzie ukaza³ siê brzeg jeziora, a w oddali lesiste wzgórza.

– Ziemia! – krzykn¹³ kapitan Hod.

P³ywaj¹cy nasz poci¹g znajdowa³ siê wtedy o jakie dwieœcie metrów od przystani Puturia, ale oddala³ siê od niej popychany wiatrem pó³nocno-zachodnim, jaki zacz¹³ siê zrywaæ. Wybrze²e zdawa³o siê zupe³nie puste, nie widaæ by³o ²adnej ludzkiej istoty ani zwierzêcia. Jak daleko mo²na by³o okiem dojrzeæ wœród drzew, ani œladu fermy lub mieszkañ; zdawa³o siê wiêc, ze mo²na bezpiecznie wyl¹dowaæ.

Z pomoc¹ wiatru dop³ynêliemy bez trudnoœci do piaszczystego wybrze²a. Brak pary nie dozwala³ poradziaæ siê busoli i udaæ w kierunku drogi do Jubbulpore. Nie trac¹c chwili czasu, pospieszyl¹emy za kapitanem Hodem, który najpierwszy wyskoczy³ na wybrze²e.

– Paliwa! szukajmy paliwa! – krzykn¹³ Banks; – za godzinê poci¹g bêdzie móg³ ruszyæ.

Łatwo by³o o drzewo, bo na gruncie le²a³o mnóstwo suchych ga³êzi, które mo²na by³o natychmiast zu²ytkowaæ. Doœæ by³o na³o²yaæ ich na ognisko i nape³niaæ niemi tender. Wszyscy zabraliemy siê do roboty; sam tylko Kalut pozosta³ przy kotle, podczas gdy my gromadziliemy zapas wystarczaj¹cy najmniej na dwadzieœcia cztery godzin, aby mo²na by³o dojechaæ do stacji Jubbulpore, gdzie z³atwoœci¹ mo²na by³o zaopatrzyæ siê w wêgiel. Pan Parazard móg³ zaœ po²yczycyæ sobie ognia od Kaluta i przyrz¹dziaæ nam cob¹d²Ÿ, byle tylko jako tako g³ód zaspokoiaæ.

W jakie trzy kwadransy cieniienie pary dosz³o do dostatecznej wysokoœci. Olbrzym Stalowy zosta³ wprowadzony w ruch i móg³ wydostaæ siê na wybrze²e tu² przy drodze.

– Do Jubbulpore! – krzykn¹³ Banks.

Ale Storr nie zd¹ly³ jeszcze nakierowaæ regulatora, gdy na skraju lasu rozleg³y siê wœciek³e wrzaski i banda z³o²ona co najmniej ze stu²piêdziesiêciu Hindusów rzuci³a siê na Steam-House. Zanim zdo³aliemy zrozumieæ co siê dzieje, wie²a Stalowego Olbrzyma, wagon, przód i ty³ poci¹gu zosta³y przez nich opanowane. Pochwycili nas i odci¹gnêli o jakie piêdziesi¹t kroków od poci¹gu – ucieczka by³a niemo²liw¹.

Łatwo wyobraziaæ sobie nasz gniew i wœciek³oœæ, gdy byliemy zmuszeni patrzeæ beczynn timer na strasz¹ scenê rabunku i zniszczenia. Hindusi r¹bali zawziêcie siekierami Steam-House; wkrótce nie

pozosta³o ani  eladu z mebli, sprz et w i ca³ego urz¹dzczenia. Ogie³ dokona³, czego nie zdo³a³y zniszczy e siekiery; w kilka minut sp³on e³o wszystko, co tylko ogie³ m g³ poch³on¹ e.

– A! hultaje! ³otry! zbrodniarze! – krzykn¹³ kapitan Hod, tak si  wyrywaj¹c,  e zaledwie kilku Hindus w mog³o go powstrzyma e. Ale zar wno jak my, daremnie miota³ si  i wymyela³ Hindusom, kt rzy zdaje si  nawet tego nie rozumieli – o ucieczce nie mo na by³o nawet mycele e.

Zgas³y ostatnie p³omienie i z naszego pi knego ruchomego domu pozosta³ tylko bezkszta³tny szkielet. Z kolei Hindusi rzucili si  na Stalowego Olbrzymba, kt rego koniecznie pragn li zniszczy e, – ale temu nie mogli podo³ e. I ogie³ i siekiery okaza³y si  bezsilne tak wobec metalowego cia³a sztucznego s³onia, jak i wobec ukrytej w nim maszyny. Pomimo najwi kszych usi owa³ post³nienaruszony, co widz¹c kapitan Hod wydawa³ szalone okrzyki zarazem rado eci i gniewu.

W tej chwili ukaza³ si  jakie  cz³owiek, wida e przyw dca Hindus w, gdy  ca³a banda skupi³a si  ko³o niego. Inny jakie  mu towarzyszy³. Teraz wszystko si  wyjaceni³o; by³ to nasz przewodnik Kalagani.

Gumiego nie by³o nigdzie; wierny nam znik³ – zdrajca pozosta³. Dobry i poczciwy s³uga zapewne  yciem przyp³aci³ swoj¹ wierno e i po ewi cenie i nigdy go ju  nie zobaczymy. Kalagani podszed³ ku pu³kownikowi Munro, i najoboj tniej, nie spuszcza¹c oczu, rzek³ wskazuj¹c na niego:

– Oto ten!

Na jego skinienie pochwyciono i uniesiono pu³kownika Munro, kt ry niebawem znik³ w er d lasu, otoczony band¹ rabusi w, w kierunku po³udniowym, nie mog¹c powiedzie e nam ani s³ wka lub po egna e u eciskiem d³oni.

Wszyscy rzucili e si , chc¹c wyrwa e go z r¹k Hindus w – daremnie! przytrzymywa³o nas pi  dziesi ciu Hindus w, kt rzy powalili nas na ziemi , gro ¹c zamordowaniem, je eli b dziemy si  opierali.

– Nie bro³my si ! – zawo³a³ Banks.

In ynier mia³ s³usznoc e; w tej chwili nie mogli emy nic uczyni e dla ocalenia pu³kownika Munro, przede wszystkim nale a³o mycele e o przysz³oeci.

W kwadrans p  niej Hindusi pu ecili nas i pobiegli w  elad pierwszej bandy; chcieli emy pogonia e za nimi, nie zastanawiaj¹c si ,  e nie zdo³amy przynie e  adnej pomocy pu³kownikowi Munro.

– St jcie! – zawo³a³ Banks.

Byli emy pos³uszni.

Wyra nie wi c Hindusi naprowadzeni przez Kalaganiego tylko dla pochwycenia pu³kownika Munro urz¹dzili zasadzk . Jakie  zamiary m g³ mie e ten zdrajca? Widocznie dzia³a³ w cudzej sprawie... ale czyje  spe³nia³ rozkazy?... Przyszed³ mi na my el Nana Sahib!...

Na tem skończy³ się rękopis Mauclera. M³ody Francuz wkrótce potem powróci³ do kraju i nie był³ już świadkiem wydarzeń stanowiących zakończenie tego dramatu. Później jednak dowiedzieliśmy się o wszystkim, i ułożwszy w formie powieści, podajemy dla uzupełnienia tej podróży po północnych Indjach.

Rozdział XI

OKO W OKO.

Gdy Hindostan został nareszcie uwolniony od Tugów, którzy tak krwawymi zgłoskami zapisali się na kartach jego dziejów, zajęli ich miejsce godni pod każdym względem następcy, tak zwani Dakoici, którzy w rzeczywistości byli zreformowanymi Tugami. Zoczyńcy ci zmienili sposób wykonywania i cel swych morderstw – ale nie zaprzestali bynajmniej zabijać i mordować.

Nie chodzi już więcej o skądanie ofiar dzikiej Kali, bogini ciemności; dzicy ci fanatycy obecnie już nie duszą, ale trują, aby okradzać i obdzierać. Dusicielami zastąpili praktyczniejsi, ale równie straszni zbrodniarze.

Dakoici, stanowiący całe bandy w pewnych częściach półwyspu, przyjmują do swego grona wszelkich zbrodniarzy i morderców, jacy zdołają wymknąć się z ręki policji anglo-indyjskiej. Dzień i noc uwijają się oni po głównych drogach, szczególnie w więcej dzikich okolicach, i powszechnie jest wiadome, że Bundelkund najlepiej się do tego nadaje i często bywa widownią tych scen gwałtu i rabunku. Często rabusie ci zbierają się licznie i napadają na jakiegokolwiek wioskę. Wtedy ucieczka jest jedynym ratunkiem ludności, ci zaś którzy wpadną w ręce Dakoitów, stają się ofiarą najstraszniejszych morderstw i męczarni.

Pułkownik Munro dostał się w moc takiej bandy Dakoitów, naprowadzonych przez Kalaganiego; skrępowawszy go, zanim przyszedł do przytomności, powlekli go drogą wiodącą do Jubbulpore.

Od chwili nawiązania stosunków z mieszkańcami Steam-House, całe postępowanie Kalaganiego było jednym ciągiem matactwa i zdrady. Był on wysłannikiem Nany Sahiba, który wybrał go za narzędnika, mającego ułatwić mu zemstę.

Czytelnicy nasi pamiętajcie zapewne, że podczas uroczystości Moharum, w Bopalu, dnia 24. maja, Nana Sahib wmięszał się zuchwale między tłum i tam dowiedział się o wyjeździe sir Edwarda Munro do północnych prowincji. Na jego rozkaz Kalagani, jeden z najzupełniej jego sprawie i osobie oddanych Hindusów, opuścił Bopal, ośledził nieustannie za ceładem pułkownika, ścigał go wszędzie i nie tracił z oczu, gotów nawet życie swoje narazić, i nie zaniedbuje niczego co dozwoliłoby mu dostać się do otoczenia nieubłaganego wroga Nany Sahiba, którego zguby pragnął.

Kalagani udał się natychmiast w kierunku północnych prowincji. W Kanpurze spotkał Steam-House; od tej chwili ścigał go wszędzie nie pokazując się nigdy, i czekał sposobności, która się nie nastręczała. I dlatego także, gdy pułkownik z towarzyszymi osiedlił się czasowo w „sanatorium

himalajskiem”, zgodzi³ siê wst¹piæ do s³u¿by Mateusza Van Guitt.

Bystry i przebieg³y odgad³ instynktowo, ¿e niezawodnie nawi¹¿¹ siê œcis³e stosunki miêdzy kraalem i sanatorjum; jako¿ nie zawiod³y go obliczenia, a nadto uda³o mu siê zaraz od pierwszego spotkania nietylko zwróciæ na siebie uwagê pu³kownika Munro, ale nawet zaskarbiæ sobie jego wdziêcznoœæ.

Postawi³ wiêc na swoim. Czytelnicy pamiêtaj¹, ¿e Hindus przychodzi³ nastêpnie czêsto do Steam-House, pozna³ zawczasu nasze zamiary i planowany przez Banksa kierunek podró¿y. Odt¹d ca³e postêpowanie jego zmierza³o tylko do jednego celu: staraæ siê wszystkimi sposobami, aby zosta³ przyjêty na przewodnika naszej wycieczki na po³udnie.

Dla dopiêcia tego zamiaru nie waha³ siê naraziæ nietylko ¿ycie innych ale i swoje. Przysz³o mu na myœl, ¿e jeœli zacznie towarzyszyæ nam w podró¿y jako zostaj¹cy jeszcze na s³u¿bie Mateusza Van Guitt nikt nie poweŸmie najmniejszego podejrzenia i mo¿e uda mu siê tak spraw¹ pokierowaæ, ¿e sam pu³kownik zaofiaruje mu to, czego tak usilnie pragn¹³.

Aby to mog³o nast¹piæ, musia³ pozbawiæ handlarza jego bawo³ów poci¹gowych, co musia³o zmusiaæ go uciec siê do pomocy Stalowego Olbrzyma. Dlatego nie omieszka³ korzystaæ z owego niespodziewanego napadu dzikich zwierz¹t, i nie troszcz¹c siê o to, jak straszne to mo¿e œci¹gn¹æ nastêpstwa, niespostrze¿enie odsun¹³ sztaby ¿elazne, podtrzymuj¹ce bramê kraalu. Tygrysy i pantery rzuci³y siê do wnêtrza, bawo³y rozpierzch³y siê lub zosta³y rozszarpane, kilku Hindusów znalaz³o œmieræ, ale plany Kalaganiego zosta³y uwieñczone powodzeniem. Mateusz Van Guitt by³ zmuszony prosiæ pu³kownika Munro, aby dostawi³ jego mena¿erjê do stacji kolei w Etawah.

Stamt¹d mia³ ju¿ wieŸæ j¹ kolej¹ ¿elazn¹ i oddaliaæ chikarisów jako ju¿ niepotrzebnych, co odnosi³o siê tak¿e i do Kalaganiego. Wtedyto Hindus uda³ bardzo zak³opotanego, co ma z sob¹ zrobiæ a Banks uwierzy³ mu, In¿ynier s¹dzi³, ¿e ten Hindus tak rozgarniêty i wierny, i tak doskonale znaj¹cy ca³¹ tê czêœæ Indji, bêdzie im móg³ byæ bardzo u¿yteczny i dlatego wzi¹³ go za przewodnika a¿ do Bombaju; odt¹d ju¿ losy wyprawy pozostawa³y w rêku Kalaganiego. Któ¿by móg³ przypuœciæ, ¿e ten Hindus, tak zawsze gotowy do poœwiêceñ, mo¿e byæ zdrajc¹!

Raz tylko Kalagani o ma³o siê nie zdradzi³, wtedy gdy Banks mówi³ o œmierci Nany Sahiba. Nie zdo³a³ powstrzymaæ ruchu niedowierzania, bêd¹cego oznak¹, ¿e nie mo¿e daæ wiary s³owom in¿yniera – ale wszak¿e by³o to przekonaniem wszystkich Hindusów, uwa¿aj¹cych legendowego naboba za istotê nadprzyrodzon¹, której œmieræ doœiêgn¹æ nie mo¿e.

Czy ów dawny towarzysz, z którym Kalagani spotka³ siê – bynajmniej nie przypadkowo – podczas przechodu karawany Ben¿arisów, potwierdzi³ czy zaprzeczy³ wiadomoœci o œmierci Nany Sahiba, niewiadomo – to pewne jednak, ¿e zdrajca nie wyrzek³ siê bynajmniej swoich niecznych zamiarów i pragn¹³ doprowadziæ je do skutku, jeœli nie na rachunek naboba, to na swój wlasny. I dlatego to skierowa³ Steam House w w¹wozy gór Vindhya, a podró¿ni, przebywszy straszne wy¿ opisane przygody, przybyli nareszcie nad brzegi jeziora Puturia, na którego wodach musieli szukaæ schronienia.

Kalagani zdradzi³ siê jednak wtedy, gdy chcia³ opuœciæ p³ywaj¹cy statek, pod pozorem, ¿e

pragnie udać się do Jubbulpore, aby tam szukać żywności i opa. Pomimo jego panowania nad sobą, zdradzi go prosty objaw fizjologiczny, niemogący ująć bystrego oka pułkownika, który powził podejrzenie a, nadto usprawiedliwione. Pozwolono mu odpłynąć, ale w towarzystwie Gumiego; obydwaj rzucili się w fale jeziora i po godzinie dopłynęli do jego południowo-wschodnich wybrzeży.

Płynęli więc tak w pośród ciemnej nocy; Gumi był przestrzeżony, aby się miał na baczności i pilnował Kalaganiego, który nie domyślał się bynajmniej, że jest podejrzewany – i to też dawało Gumiemu nad nim przewagę.

Przez trzy godziny szli wielkim gościńcem ciłnym się przez południowy ańcuch Vindhya i prowadzonym do stacji Jubbulpore. Mgła nie była tu tak gęsta jak na jeziorze; Gumi miał baczne oko na swego towarzysza i postanowił sobie, że za pierwszym podejrzanym ruchem, utkwiał w piersi jego wielki nóż, jaki miał za pasem, aby nie mógł szkodzić pułkownikowi i jego towarzyszom. Ale, niestety! pomimo całej swojej energii, wierny Hindus nie mógł postąpić jak zamierzał.

Była to noc bezksiężycowa, tak czarna, że o kilka kroków nie można było nic dojrzeć; nagle na zakręcie drogi dał się słyszeć jakiegoś głos, przyzywający Kalaganiego:

– Kalagani! – czy to ty?

– Tak, Nassimie! – odrzekł Hindus.

W tejże chwili jakiegoś dziwny, ostry krzyk rozległ się z prawej strony drogi. Krzyk ten był to tak zwany „kisri” jaki wydal jako hasło dzikie plemiona Goudwany, dobrze znane Gumiemu.

Zaskoczony niespodzianie, Gumi nie wiedział co począć. Gdyby nawet udało mu się zabić Kalaganiego, to nie zdołał oprzeć się całej zgrai Hindusów, którym krzyk ten zwiastował, aby przybiegli natychmiast. Przeczucie jakiegoś mówiło mu, że powinien uciekać, aby przestrzec towarzyszy. W tym celu powinien prędzej wracać do jeziora, dopłynąć do Stalowego Olbrzyma i uprzedzić ich, aby nie dopływali do brzegu. I dlatego w chwili gdy Kalagani zwrócił się do oczekującego nań Nassima, odskoczył w bok i znikł w przydrożnych dżunglach. Gdy Kalagani powrócił ze swoim współnikiem, w zamiarze pozbycia się narzuconego mu przez pułkownika towarzysza, nie zastał już na drodze.

Nassim był to przywódca bandy Dakoitów, całym oddany sprawie Nany Sahiba; wysłał natychmiast ludzi, aby przeszukali dżungle i starali się koniecznie schwycić ośmiętego zbiega. Ale pomimo największych usiłowań nie mogli tego dokonać; czy to z powodu ciemności, czy też Gumi ukrył się gdzieś tak dobrze, do czego, że niepodobna go było znaleźć.

Ale nie niepokoił się tem wcale, bo czegoś nareszcie mogli się obawiać od Gumiego, pozbawionego wszelkiej pomocy, oddalonego już o trzy godziny drogi od jeziora Puturia, do którego w żaden sposób nie zdołał dobiec przed nimi.

Po krótkiej naradzie przywódcy Dakoitów z Kalaganim, którego rozkazów zdawali się oczekiwać, zwrócili się wraz z całą bandą na drogę wiodącą do jeziora Puturia, przebywając ją

spiesznym krokiem.

Banda ta już od pewnego czasu przebywa³a w w¹wozach Vindhya, które opuści³a jedynie dlatego, że Kalagani zdo³a³ zawiadomiæ o rych³em przybyciu w te strony pu³kownika Munro przez owego Hindusa towarzysze¹cego karawanie Ben¹arisów. By³ nim w³acenie Nassim, znosz¹cy siê z kimœ niewidzialnym, kieruj¹cym ca³¹ t¹ niegodziw¹ zmw¹.

Wszystko co odt¹d mia³o miejsce, by³o wynikiem doskonale u³o³onego planu, czego ani pu³kownik Munro ani jego towarzysze nie mogli domyœleæ siê, a tem samym i unikn¹æ. To te¹ gdy poci¹g dop³yn¹³ do po³udniowych wybrze¹zy jeziora, napadli na niego Dakoici, którymi dowodzi³ Nassim i Kalagani.

Jednak¹e chodzi³o im tylko o samego pu³kownika Munro; o towarzyszy jego porzuconych bez ¹ywnoœci i schronienia nie troszczyli siê i nie obawiali wcale; to te¹ pochwycili jedynie pu³kownika Munro, i o siódmej rano by³ on już uprowadzony o szeœæ mil od jeziora Puturia. Nawet nie mo¹na by³o przypuszczaæ, żeby go prowadzili ku stacji Jubbulpore; to te¹ pu³kownik by³ pewny, że zmierzaj¹ ku w¹wozom Vindhya i że nigdy mo¹e nie zdo³a siê z nich wydostaæ.

Odwa¹ny i przygotowany na wszystko, nie traci³ zimnej krwi; szed³ spokojnie jak gdyby nie widzia³ Kalaganiego. Ten zdrajca szed³ teraz na czele zgrai, której by³ rzeczywistym przywódc¹. O ucieczce nie mo¹na by³o nawet myœleæ. Jakkolwiek pu³kownik nie by³ skrêpowany, ale Dakoici otoczyli go tak zwartym szeregiem, że w ¹adn¹ stronê nie móg³by post¹piæ kroku, a zreszt¹ schwytaliby go niebawem. Zastanawia³ siê nad przyczyn¹ i nastêpstwami swego po³o³enia. Nie przypuszcza³ nawet, aby Nana Sahib by³ sprê¹yn¹ wszystkiego, gdy¹ wierzy³ w to, że zosta³ zabity; s¹dzi³, że zapewne brat jego Balao Rao, albo któryœ z towarzyszy pragn¹³ nasyciæ siê zemst¹, której nabob poœwiêci³ ¹ycie.

Myœla³ z boleœci¹ o nieszczęliwym Gumim, którego Dakoici nie zdo³ali pojmaæ. Czy uda³o mu siê uciec? lub co prawdopodobniejsze, czy pierwszy nie pad³ ofiar¹? W ka¹dym razie by³ pewnym, że na jego pomoc nie mo¹e liczyæ, bo gdyby nawet uda³o mu siê dostaæ do Jubbulpore dla zawezwania pomocy, przyby³aby za pó¹Ńno. Jeœliby znów powróci³ do Banksa i jego towarzyszy, to ci bez broni i ¹adnych sposobów obrony, choæby puœcili siê za nim w pogoñ, nie zdo³aj¹ go ocaliæ.

Pu³kownik zastanawia³ siê zimno i rozwa¹nie nad swoim po³o³eniem; nie rozpacza³, nie upada³ na duchu, ale chcia³ widzieæ je w rzeczywistem œwietle, zamiast ³udziæ siê mrzonkami, niegodnymi powa¹znego umys³u i cz³owieka nieustraszonej odwagi.

Ca³a banda sz³a bardzo spiesznie; zapewne Nassim i Kalagani pragnêli przybyæ przed zachodem s³oñca do jakiegoœ umówionego miejsca, gdzie mia³ siê rozstrzygn¹æ los pu³kownika. Ale nietylko zdrajcom by³o pilno, i sir Edward Munro chcia³ jak najspieszniej dowiedzieæ siê, jaki los go czeka.

Raz tylko, oko³o po³udnia, Kalagani kaza³ zatrzymaæ siê na pó³ godziny, Dakoici mieli z sob¹ ¹ywnoœæ, usiedli nad brzegiem strumienia, aby j¹ spo¹yaæ. I pu³kownikowi podano kawa³ek suchego miêsa i chleba – nie odmówi³ ich przyjêcia; nie jad³ nic od wczoraj, a nie chcia³ sprawiaæ tej radoœci swym wrogom, aby mu w ostatniej chwili zabrak³o si³ fizycznych.

Do tej chwili przebyli już przeszło szesnacie mil; Kalagani skin¹³ i znów puszczone się w dalszą drogę, posuwając się ciagle w kierunku Jubbulpore. Dopiero około piątej wieczorem, Dakoici zeszli z gościńca na lewo, na boczną drogę; pułkownik poj¹³ doskonale, że teraz już mógł spodziewać się pomocy tylko od samego Boga.

W kwadrans później zapuścili się w ciasny wóz na krańcu doliny Nerbudda, wiodący do najdzikszych okolic Bundelkundu. Miejscowość ta oddalona była o jakie 150 kilometrów od paalu Tandt, na wschodzie gór Sautpurra. Tam, na jednym z ich szczytów wznosiła się stara forteca Ripore, opuszczona oddawna z powodu, że w razie zajęcia wozów od strony wschodu przez nieprzyjaciół, niepodobna było zaopatrywać ją w żywność i amunicję. Do tej fortecy prowadziła ścieżka i nadzwyczaj kręta ścieżyna wykuta w skale, którą tylko pieszo i to z wielkim trudem można przebyć.

Na szczycie najwyższego wzgórza rysowały się z oddali mury i ruiny zniszczonych bastionów, a w środku, na płaszczynie wznoszącej się ponad otoczony parapetem otchłani, stał na wpół rozwalony budynek, stanowiący niegdyś koszary małego garnizonu forteczki Ripore. Z licznych niegdyś dział, wystawiających swe paszcze przez otwory parapetu, pozostało tylko jedno wielkiego kalibru, tak ciężkie i tak zużyte, że niewarte było trudów i kosztu wyprowadzenia. Stało więc na swej łafecie, przezarte rdz.

Do tej to fortecy banda Kalaganiego przyprowadziła jeńca; przybyli tam wieczorem, przebywszy blisko dwadzieścia pięć mil angielskich. Niezadługo więc pułkownik miał się dowiedzieć, wobec którego z wrogów swoich miał być stawiony.

Gromada Hindusów zajmowała ruiny budynku stojącego w gębi; wystąpili z niego, a przybyli Dakoici uszykowali się dookoła parapetu; pułkownik Munro stał w środku, skrzyżowawszy tylko ręce na piersiach.

Kalagani postąpił kilka kroków naprzeciw wychodzących z budynku, na czele których szedł jakiegoś Hinduś ubrany niebogato. Kalagani zatrzymał się przed nim i skinął głęboko; ten zaś wyciągnął ku niemu rękę, którą ucałował z czcią. Hinduś skinieniem głowy dał mu poznać, że jest zadowolony z jego usług, poczem z wolna podszedł ku wieśniowi, z zaiskrzonym okiem, z oznakami najgwałtowniejszego, za ledwie hamowanego gniewu. Wyglądał jak dziki zwierzę, mający w ręku pochwycić swoją ofiarę.

Pułkownik Munro stał, nie cofając się ani na krok, równie bystro wpatrując się w Hinduśa, jak tenże w niego. Gdy Hinduś był już za ledwie o pięć kroków, rzekł z największą pogardą:

– A! to Balao Rao, brat naboba.

– Przypatrz mu się lepiej! – odrzekł Hinduś.

– Nana Sahib! – krzyknął pułkownik, odskakując mimowolnie – Nana Sahib żyje!

Tak, był to rzeczywiście nabob, dawny podlegacz i przywódzca zbuntowanych Sipajów, nieubogany wróg pułkownika Munro.

– Któż wiêæ zgin¹³ w potyczce w paalu Tandit?

– Brat jego – Balao Rao.

Nadzwyczajne podobieństwo tych dwu ludzi, zarówno dziobatych i pozbawionych jednego palca u jednej i tej samej ręki, wprowadzi³o w b³¹d  o³nierzy. Zobaczywszy poleg³ego Balao Rao, byli przekonani,  e to Nana Sahib zgin¹³ i prawie niepodobna by³o nie pope³niæ tej omy³ki. Tak wiêc, gdy doniesiono o œmierci naboba, poleg³ego w bitwie, Nana Sahib  y³ a brat jego zgin¹³.

Nana Sahib nie omieszka³ wyzyskaæ tej okolicznoœci na swoj¹ korzyœæ, i zapewni³a mu te  ona prawie zupe³ne bezpieczeŃstwo. Wiedzia³ dobrze,  e policja angielska nie poszukuje brata tak zawziêcie jak jego, gdy  nietylko nie uwa ano go za sprawcê rzezi i mordów w Kanpurze i w Luknowie, ale wiadano,  e nie wywiera na Hindusów tak nieograniczonego i zgubnego wp³ywu jak Nana Sahib.

Ecigany ze wszech stron, nabob postanowi³ uchodziæ za umar³ego, a   do chwili, gdy znów bêdzie móg³ rozpocz¹æ walkê i zawieszaj¹c tymczasowo swe powstaŃcze dzia³ania, myœla³ tylko o nasyceniu swej zemsty. Zbieg okolicznoœci pos³u y³ mu wybornie. Pu³kownik Munro, nieustannie otoczony jego szpiegami, opuœci³ Kalkuttê, udaj¹c siê w podró , w ci¹gu ktorej mia³ byæ w Bombaju; a czyby te  nie uda³o siê sprowadziæ go w okolice gór Vindhya, przez prowincje Bundelkundu? Tego pragn¹³ gor¹co Nana Sahib i w tym celu w³acenie wys³a³ przebieg³ego Kalaganiego.

Opuœciwszy paal Tandit, nie zapewniaj¹cy mu ju  pewnego schronienia, uda³ siê w g³¹b doliny Nerbuddy, w najodleglejsze w¹wozy Vindhyaów. Tam sta³a opuszczona forteczka Ripore, w ktorej postanowi³ zamieszkaæ, bêd¹c niemal pewnym,  e wierz¹ca w jego œmieræ policja angielska nie bêdzie go tam szuka³a.

Osiad³ wiêc tam z gromadk¹ Hindusów oddanych mu bezgranicznie; za³ogê tê wzmocni³ wkrótce band¹ Dakoitów,  o³nierzy godnych podobnego wodza i oczekiwa³ sposobnej chwili, w ktorej Kalagani, spe³niwszy swe pos³annictwo, zawiadomi go o rych³em przybyciu w te strony pu³kownika Munro, ktorego bêdzie siê stara³ dostac³ w swoj¹ moc.

Tego tylko obawia³ siê, Nana Sahib, aby rozpowszechniona po ca³ym pó³wyspie wieœæ o jego œmierci nie dosz³a do Kalaganiego, a ten uwierzywszy jej, nie zaniecha³ niecnego pos³annictwa zdrady wobec pu³kownika Munro. I dlatego to kaza³ Nassimowi przy³¹czyæ siê do karawany Ben arisów, œledziæ przejœcia poci¹gu Steam-House na drodze do Scindia i zawiadomiæ Kalaganiego o prawdziwym stanie rzeczy. Spe³niwszy to polecenie, Nassim powróci³ coprêdziej do Ripore, i tam, stosownie do wskazówek Kalaganiego, opowiedzia³ nabobowi o wszystkim, co zasz³o od czasu gdy ten  opuœci³ Bopal. Pu³kownik Munro i jego towarzysze zbli ali siê powoli ku górom Vindhya, Kalagani by³ ich przewodnikiem, nale a³o wiêc oczekiwaæ ich w pobli u jeziora Puturia.

Tak wiêc spe³nia³y siê najgorêtsze pragnienia naboba – teraz by³ pewnym swej zemsty.

Zamieniwszy tych kilka s³ów, pu³kownik i nabob przez chwilê wpatrywali siê wzajemnie w

milczeniu w siebie. Wtem nagle postać lady Munro stanęła żywo przed oczyma i w myśli pułkownika i krew uderzyła mu do serca i do głowy. Bezwiednie prawie rzucił się ku mordercy wiśni w Kanpurze.

Nana Sahib odsunął się o dwa kroki, a jednocześnie trzech Hindusów rzucił o siebie i gwałtem przytrzymał pułkownika.

Jednakże sir Edward Munro prędko zapanował nad sobą: zrozumiał to nabob, gdy skinieniem odsunął Hindusów.

Dwaj zacięci wrogowie stali naprzeciw siebie oko w oko.

– Munro, – rzekł Nana Sahib, twoi koledzy przywiali do otworu armat stu dwudziestu jeńców z Peszawaru, a następnie przeszło tysiąc dwieście Sipajów zginęło tak ciężko. Twoi koledzy mordowali bez litości uciekających z Lahory, po zdobyciu Delhi zadali śmierć trzem księżom i 29 członkom rodziny królewskiej i dopuszczali się strasznych mordów w Lucknowie i Pendżabie. Sto dwadzieścia tysięcy naszych oficerów, a dwieście tysięcy żołnierzy i krajowców przypłaciło życiem miłość swej rodzinnej ziemi i walkę za jej niepodległość.

– Śmierć jemu! śmierć jemu! – wykrzyknęli otaczający naboba Dakoici i Hindusi.

Skinieniem ręki nabob nakazał milczenie i zamilkł oczekując odpowiedzi pułkownika.

Sir Edward Munro nie odrzekł ani słowa.

– A ty, Munro, – rzekł znowu nabob, – zabiłeś Rani z Jansi, moją wierną towarzyszkę... i dotąd nie pomógł jej!

Pułkownik milczał.

– Cztery miesiące temu, – mówił dalej Nana Sahib, – brat mój Balao Rao poległ od kul angielskich... i dotąd nie pomógł jego śmierci!

– Śmierć jemu! śmierć mu! – krzyczeli.

– Milczcie i czekajcie, aż wybijie godzina kary! – krzyknął Nana Sahib.

Wszyscy zamilkli.

– Munro, – rzekł znowu nabob, – to jeden z twoich przodków, Hektor Munro, powalił się pierwszy zastosowując straszne męczarnie, które tak okrutnie naciłowali twoi rodacy podczas wojny z 1857 roku. On to pierwszy kazał przywleźć do armat Hindusów, naszych krewnych i braci...

I znowu rozległy się wrzaski, których Nana Sahib już nie mógł stłumić, to też rzekł:

– Nadeszła chwila odwetu; Munro, zginiesz ciężko, jak oni poginęli.

A odwracaj¹c siê doda³:

– Czy widzisz to dzia³o? zostaniesz przywi¹zany do jego paszczy! Jest nabite, jutro przed wschodem s³oñca huk wystrza³u rozlegaj¹cy siê g³oceniem echem w górach Vindhya oznajmi œwiatu, ÷e zemsta Nany Sahiba zosta³a spe³nion¹.

Pu³kownik Munro patrzy³ na naboba ze spokojem, którego zapowied³ bliskiej œmierci nie zdo³a³a zak³óciæ i odrzek³ zimno:

– Dobrze, tak samo post¹pi³bym z tob¹, gdybyœ wpad³ w moje rêce.

I sam stan¹³ przed paszcz¹ armaty; Hindusi najpierw zwi¹zali mu w ty³ rêce, a nastêpnie mocnymi postronkami przywi¹zali do armaty. Poczem przez ca³¹ godzinê ca³a ta dzika zgraja nikczemnie zniewa³go i naigrawa³a siê z niego.

Pu³kownik Munro sta³ tak niewzruszony wobec zniewag, jak niewzruszonym chocia³ pozostaæ wobec œmierci.

Nareszcie nadesz³a noc; Nana Sahib, Kalagani i Nassim udali siê do starych koszar, a wkoñcu i ca³a banda opuœci³a p³aszczyznê, udaj¹c siê za swymi przywódcami.

Sir Edward Munro pozosta³ sam wobec œmierci wobec Boga...

Rozdzia³ XII

PRZED PASZCZĄ DZIAŁA.

Cisza trwa³a nied³ugo. Bandzie Dakoitów wydano wiele ÷ywnoœci i trunków; zajadaj¹c a szczególnie pij¹c nadmiernie nadzwyczaj mocny arak, wydawali dzikie, przera³aj¹ce okrzyki i wrzaski. Stopniowo, powoli ucich³o nareszcie wszystko, znu³eni d³ugim pochodem i przesyleni trunkiem zasnêli nareszcie twardym snem.

Jakkolwiek pu³kownik by³ tak mocno skrêpowany, ÷e nie móg³ siê ruszyæ, jednak³e Nana Sahib kaza³ jednemu z Hindusów stan¹æ na stra³zy przy wiê³niu. Ten zbli³y³ siê do armaty, aby siê przekonaæ, czy wiêzieñ nie ruszy³ siê czasem z miejsca, poczem silnie szarpn¹³ za sznury – ani drgnê³y. Potem nie patrz¹c na pu³kownika, rzek³ jakby do siebie.

– Dziesiêæ funtów dobrego prochu! dzia³o to d³ugo, d³ugo ju³ milcza³o, ale jutro odezwie siê nareszcie!...

S³owa te nie zdo³a³y wywo³æ najmniejszej zmiany na dumnej twarzy pu³kownika Munro, tylko na ustach ukaza³ siê pogardliwy uœmiech. Nie lêka³ siê on choæby najstraszniejszej œmierci.

Rozpatrzywszy siê bacznie w przedniej czêœci ognistej paszczy, Hindus przeszed³ na ty³ dzia³a i pog³askawszy je rêk¹, po³o³y³ palec na naboju, jakby zapominaj¹c o wiê³niu, który sta³ jak skazaniec

u stóp szubienicy, oczekuj¹cy wysunięcia się deski z pod nóg jego.

Czy to skutkiem obojętności, czy nadmiernego uraczenia się arakiem, Hindus nuci³ pó³g³osem jak¹ce star¹ gudwańsk¹ cepiewkê. To cepiewa³, to przestawa³, jak cz³owiek na wpó³ pijany, nie béd¹cy panem swych myśli.

W jaki kwadrans może, zerwa³ się nagle i przesun¹³ ręk¹ po lufie armaty; potem obszed³ j¹ w ko³o, zatrzyma³ się chwil¹kê przed pu³kownikiem Munro, i patrz¹c na niego, mruca³ jakieś niezrozumia³e wyrazy. Instynktowo chwyci³ ręk¹ krêpuj¹ce go postronki ki, jakby chc¹c zacisn¹æ je mocniej, nastêpnie pokiwawszy g³ow¹, jak cz³owiek pewny swego, poszed³ oprzeæ się o parapet o kilka kroków od wię¹nia.

Sta³ tak z jakie dziesięt¹ minut, ju¹to zwrócony ku p³aszczy¹nie, ju¹ przechylony na zewn¹trz, wpatruj¹c się w g³ębok¹ otch³ań u stóp fortecy. Widocznie opiera³ się ostatkiem si³ ogarniaj¹cej go chêtce snu; wkrótce jednak znu¹żenie i rozmarzenie trunkiem przemog³y, Hindus osun¹³ się na ziemiê i po³o¹z³ przy parapecie.

Ciemna noc zaleg³a ju¹ doko³a; coraz grubsze chmury pokrywa³y ob³oki; powietrze by³o ³agodne i spokojne, żaden odg³os nie dochodzi³ z doliny; zapanowa³o niczem niezak³ócone milczenie.

Pomodliwszy się gor¹co, pu³kownik zaton¹³ w g³ębokiej zadumie; nie myśla³ o strasznej czekaj¹cej go œmierci, ale ca³a przesz³oœæ stanê³a mu przed oczyma. Widzia³ jakby wyra¹nie postać lady Munro, któr¹ tak kocha³ i tak gor¹co op³akiwa³. Zdawa³o mu mu się, że jest w tym strasznym Kanpurze, w mieszkaniu, w którym j¹ pozna³ i widzi j¹ m³odem dziewczêciem, a nastêpnie swoj¹ żon¹. W jego umyœle, uprzytomnia³y się owych kilka lat niezam¹conego szczêœcia, przerwanego nagle tak okropn¹ katastrof¹, której najdrobniejsze szczegó³y odtworzy³y się najwierniej w jego pamięci. Zatopiony w tych wspomnieniach ani nie spostrzeg³ jak up³ynê³o pó³ nocy i tylko kilka godzin oddziela³o go od strasznej œmierci. W tych trzech up³ynionych godzinach, pamięt¹ odtworzy³a mu trzy lata szczêœliwego po¹zycia; ale z kolei stanê³o mu przed oczyma wiêzienie lady Munro i jej matki w Bibi-Ghar, zamordowanie ich wraz z setkami nieszczęśliwych ofiar, i owa straszna studnia, która ostatni raz zwiedzi³ przed paru miesi¹cami.

I ów niecny Nana-Sahib, béd¹cy teraz tak blisko niego, sprawca tylu strasznych rzezi, morderca lady Munro i tylu jego rodaków, trzyma³ go teraz w swej mocy, a on nie może pomœciæ się nad okrutnikiem, którego sprawiedliwoœæ nie zdo³a³a dosiêgn¹æ.

Uniesiony œlepym gniewem, pu³kownik Munro szarpn¹³ się rozpaczliwie, chc¹c zerwaæ krêpuj¹ce go wiêzy; powrozy zatrzeszcza³y, zaciœniête wiêzy wpi³y się mu w cia³o. Krzykn¹³, nie z bólu, ale z bezsilnej wœciek³oœci. Us³yszawszy ten krzyk, Hindus podniós³ g³owê; odzyska³ w czêœci przytomnoœæ i przypomnia³ sobie, że mia³ staæ na stra¹zy przy wię¹niu.

Wsta³ i chwiejnym krokiem zbli¹zy³ się do pu³kownika, po³o¹z³ mu rękê na ramieniu, jakby dla upewnienia się, że nie uciek³, i na wpó³ przez sen mrukn¹wszy: „Jutro przed wschodem s³oñca... Bumm!” powróci³ na swoje miejsce, rzuci³ się znów na ziemiê i wkrótce twardo zasn¹³.

Po tym bezowocnym wysi³ku, pu³kownik och³on¹³, myśli jego wziê³y inny kierunek – myśla³

teraz o swoich przyjaciółach i towarzyszach podróży. Zadawał sobie pytanie, czy i oni nie wpadli w moc jakiej innej bandy Dakoitów, tak licznych w górach Vindhya i czy ich także nie czeka podobny los. Na samo to przypuszczenie, serce ścisnęło mu się boleśnie.

Zastanowiwszy się, wywnioskował, że gdyby nabob pragnął ich śmierci, byby kazał ich pojmać i skazał na jednakowe męczarnie; widocznie więc pragnął się zemścić tylko na nim jednym. Tamtych stała mu się wielką pociechą.

Jeżeli są wolni, myślał, gdzie się obracają? Dakoici nie byłiby w stanie zniszczyć Stalowego Olbrzyma, mogliby więc bardzo prędko dostać się do Jubbulpore, gdzie z łatwością znaleźliby pomoc. Lecz na cóżby się to zdało, skoro nie wiedzieli co się z nim stało? nie wiedzieli przecie o istnieniu owej forteczki Ripore, w której ukrywał się Nana Sahib. A zresztą, jakżeby nawet mógł im przyjechać na myśl Nana Sahib, skoro pewni byli, że już nie żyje, że zginął w potyczce w paalu Tandit?.. O! tak, oni nie mogli mu dać żadnej pomocy!...

I Gumi nie budził w nim nadziei. Niezawodnie Kalagani zamordował go i wierny sługa już pewnie nie żyje... Tak więc znikł i od nikogo nie mógł się ratunku, a nie należał do ludzi, lubiących udzielać się mrzokami.

Trudno byłoby oznaczyć, ile godzin tak rozmyślał. Noc była jeszcze czarna; na szczytach gór od strony wschodu nic nie zwiastowało jeszcze brzasku jutrzeźni,

Mógł być około czwartej, gdy szczególniejsze zjawisko zwróciło uwagę pułkownika. Dotychczas zatopiony w obrazach przeszłości, nie widział prawie nic dokoła siebie; lecz nagle jego oczy utkwiły w jednym punkcie i wszystkie wspomnienia rozwiały się na widok jakiegoś niepojętego zjawiska.

Na krańcu płaszczyzny ukazało się jakieś niepewne światło. Migotało i zwracało się w tę i w ową stronę i jakby trzymane niepewnie ręką już to zdawało się gasnąć, już to znów świeciło jasno. W pojęciu nieszczęśliwego wieźnia najmniejsze wydarzenie mogło spowodować ważne następstwa. Pułkownik nie spuszczał oczu z tego światła; dostrzegł, że migotało i jakby lekki dym wydobywał się z niego, co kazało wnosić, że nie była to latarka.

Pewnie któryś z moich towarzyszy, pomyślał pułkownik Munro; może to Gumi!... Ale nie... nie przychodziłby z latarką, która mogłaby go zdradzić... Co to może być?...

Pomóż zbliżał się powoli. Najpierw przesunął się koło murów starych koszar i sir Edward obawiał się, aby go nie dostrzegli Hindusi, śpiący w ich wnętrzu. Ale przesunął się niespostrzeżony. Niekiedy, gdy niosła go rzeka zadrgała jakimś gorczkowym ruchem, podniecony pomóż jaśniał całym światłem. Wkrótce zbliżył się do podmurowania parapetu i błączył nad nim jak ogień. Elma podczas nocnej burzy.

Teraz pułkownik mógł dojrzeć rodzaj widziadła bez wyraźnych kształtów „cień”, na który pomóż rzucał niepewne światło. Tam przesuwająca się istota musiała być okryta jakby drugim płaszczem, osłaniającym jej całą postać.

Pu³kownik sta³ nieruchomy, zatrzymuj¹c oddech, z obawy, aby nie sp³oszyæ widziad³a, nie zgasiæ œwiatel³ka, kieruj¹cego je w ciemnoœci. By³ tak nieruchomy, jak owe dzia³o, zdaj¹ce siê trzymaæ go w swej paszczy.

Widziad³o przemyka³o siê ci¹gle wzd³u¿ parapetu – czy nie potknie siê o le¿¹cego przy nim Hindusa? Nie. Hindus le¿a³ z lewej, widziad³o zbli¿a³o siê do prawej strony, to zatrzymuj¹c siê, to powoli posuwaj¹c dalej.

Nareszcie zbli¿y³o siê o tyle, ¿e pu³kownik móg³ widzieæ je lepiej.

By³a to postaæ œredniego wzrostu, owiniêta od stóp do g³owy jakby w przeœcierad³o, z pod którego wysuwa³a siê tylko rêka trzymaj¹ca zapalone ³uczywo.

Jakiœ ob³¹kany, który widaæ czêsto snuje siê wœród koczowiska Dakoitów, a ci wiedz¹c o tem, nie zwracaj¹ ju¿ na niego uwagi! – pomysla³ sobie pu³kownik Munro. A! gdyby tak zamiast p³on¹cego ³uczywa trzyma³ w rêku nó¿, mo¿e móg³bym...

Nie, to nie by³ ob³¹kany, a jednak pu³kownik prawie odgad³ prawdê. By³a to bowiem ob³¹kana z doliny Nerbuddy, nieszkodliwa istota, b³¹kaj¹ca siê ju¿ od czterech miesiêcy w w¹wozach Vindhya. Zabobonni Gundowie szanowali j¹ i przyjmowali goœcinnie. Ani Nana Sahib, ani ¿aden z jego towarzyszy nie wiedzieli jaki udzia³ mia³ „B³êdny Ognik” w potyczce w paalu Tandit. Niejednokrotnie spotykali j¹ w tej górzystej stronie Bundelkundu, ale nie zwracali ¿adnej uwagi na jej obecnoœæ.

Czêsto bardzo odbywa³a wycieczki a¿ do fortecy Ripore a nikt nie myœla³ wzbraniaæ jej tego; i tej nocy bezmyœlnie i przypadkiem zwróci³a ku niej swe kroki.

Pu³kownik Munro nie wiedzia³ nic o tej ob³¹kanej, nigdy nie s³ysza³ nawet o „B³êdnym Ogniku”, a jednak w miarê zbli¿ania siê tej nieznaney istoty która mog³a siê go dotkn¹æ albo doñ przemówiaæ, serce jego bi³o coraz silniej i jakieœ niewys³owione ogarnia³o go wzruszenie.

Ob³¹kana zbli¿y³a siê powoli do dzia³a. Œuczywo rzuca³o coraz s³absze œwiatlo; zdawa³a siê nie widzieæ zupe³nie wiêŸnia, choæ ju¿ sta³a naprzeciw niego i choæ jej oczy patrza³y przez otwory wyciête w okryciu. Pu³kownik sta³ nieruchomo, nie próbuj¹c ani ruchem ani s³owem zwróciæ na siebie uwagê tej dziwnej istoty.

B³êdny Ognik odwróci³ siê niebawem, obszed³ doko³a wielkie dzia³o, a od jej p³on¹cego ³uczywa przelotne cienie pada³y na jego powierzchniê. Czy¿ ta biedna ob³¹kana pojmo³a do czego mia³a s³u¿yæ ta armata i jej d³uga paszcza, do której przywi¹zany by³ ten cz³owiek, aby z brzaskiem dnia wystrza³ rozszarpa³ go w kawa³ki? Trudno to przypuszczaæ; obchodzi³a j¹ bezmyœlnie jak wszystko co robi³a. Jak wielokrotnie ju¿, tak i dzisiejszej nocy przysz³a b³¹kaæ siê po p³aszczyŸnie Ripore, i znowu jak zwykle opuœci j¹ bezwiednie, krêt¹ œcie¿yn¹ spuœci siê w dolinê i uda siê w jak¹œ inn¹ stronê, sama nie wiedz¹c gdzie i po co.

Mog¹c obracaæ g³ow¹, pu³kownik Munro œledzi³ bacznie wszystkie jej poruszenia. Widzia³ wiêc jak obchodzi³a dzia³o doko³a; poczem nagle zatrzyma³a siê o parê kroków od œpi¹cego Hindusa i

obejrza³a siê; jakieœ niepojêty instynkt poci¹ga³ j¹ widocznie do pu³kownika Munro – stanê³a przed nim nieruchoma. Tym razem serce sir Edwarda zaczê³o biæ tak gwa³townie, ¿e chcia³ mieæ wolne rêce, aby je móc przycisn¹æ.

Bêdny Ognik przysun¹³ siê bli¿ej i podniós³szy p³on¹ce ³uczywo zaczê³a mu siê przygl¹daæ. Przez otwory wyciête w os³aniaj¹cej j¹ p³achcie oczy jej b³yszczą³y jak dwa rozpalone wêgle.

Jakby urzeczony tym wzrokiem, pu³kownik nie móg³ oderwaæ od niej oczu. Ob³¹kana lew¹ rêk¹ rozsunê³a nieco fa³dy okrycia, ods³aniaj¹c przez to ca³¹ twarz, a jednocześnie wstrz¹snê³a parê razy ³uczywem, które zajaœnia³o ¿ywszym blaskiem.

W tej¿e chwili krzyk nawpó³ przyg³uszony si³¹ woli, wydar³ siê z piersi wiêŹnia.

– Laurencjo! Laurencjo!

Czy¿bym i ja rozum straci³?... pomyœla³ i na chwilê zamkn¹³ oczy.

Przed nim sta³a Lady Munro.

– Ty¿eœ to, Laurencjo? – powtarza³.

Ob³¹kana nic nie odpowiada³a. Nie poznawa³a go, zdawa³o siê, ¿e nies³ysza³a nawet jego s³ów.

– Laurencja! Laurencja ob³¹kana!... ob³¹kana!... ale ¿yje!...

Postaæ m³odej, ukochanej ¿ony zanadto g³êboko wryta by³a w jego pamiêci, aby jakieœ podobieñstwo z³udziæ go mog³o. Po dziewiêciu latach roz³¹czenia wiecznego ju¿, jak mniema³ – i pomimo zmiany zasz³ej w piêknej zawsze, ale wychud³ej i mizernej lady Munro, która jakby cudem uniknê³a rzezi zarz¹dzonej przez Nanê Sahiba, m¹¿ pozna³ j¹ odrazu.

Nieszczêliwa lady Munro, broni¹c matki zamordowanej w jej oczach, pad³a ugodzona przez któregoœ z Hindusów, ale zadana jej rana nie by³a œmierteln¹. Zemdlon¹ wziêto za umar³¹ i wraz ze zw³okami innych pomordowanych ofiar wrzucono do owej studni w Kanpurze, szczêœciem jedn¹ z ostatnich. Jak wiemy, studnia zosta³a zape³nion¹ pod wierzch. Z nadejœciem nocy, Laurencja odzyska³a przytomnoœæ i wiedziona instynktem – gdy¿ skutkiem strasznych przejœæ straci³a rozum i nie wiedzia³a co robi – uchwyci³a siê ocembrowania i wysz³a ze studni. Ÿy³a wiêc, ale by³a ob³¹kan¹.

Bezprzytomna, sama nie wiedz¹c co robi, zdo³a³a wyjœæ z Kanpuru w³aœnie w chwili, gdy Nana Sahib opuszcza³ je po dokonanych mordach. Bieg³a przed siebie w ciemnoœci, uciekaj¹c od miast i miejsc licznie zamieszkanych. Po wsiach dawali jej przytu³ek biedni rajoci, szanuj¹c j¹ jako istotê pozbawion¹ rozumu. Tak b³¹kaj¹c siê dosz³a do gór Sautpurra i Vindhya; od dziewiêciu lat miano j¹ za umar³¹, ¿y³a jednak i b³¹ka³a siê, zachowuj¹c jedynie w pamiêci wspomnienie po¿ogi i mordów.

Pu³kownik znów zawo³a³ na ni¹ po imieniu – ale i tym razem nie odpowiedzia³a... Có¿by nie da³ w tej chwili, aby móg³ wzi¹æ j¹ w objêcia, porwaæ st¹d i unieœæ, rozpocz¹æ z ni¹ nowe ¿ycie, i otoczywszy bezgranicznem poœwiêceniem i najtroskliwszemi staraniami, przywróciæ rozum!... A by³ skrêpowany i przywi¹zany do tego ogromnego dzia³a, krew p³ynê³a z jego r¹k od wpijaj¹cych siê

w cia³o powrozów i nie móg³ uciec wraz z ni¹ z tego przeklêtego miejsca!

Nawet okrutna wyobraŹnia Nany Sahiba nie zdo³a³aby wymyœleæ takich udrêczeñ i mêczarni, jakie nieszczêeliwy pu³kownik Munro przechodzi³ w tej chwili! A gdyby ten potwór wiedzia³, ¿e lady Munro ¿yje i jest w jego mocy, z jak¹¿ radoœci¹ pastwi³by siê nad obojgiem!

– Laurencjo! Laurencjo moja! – powtarza³ pu³kownik Munro.

I wo³a³ g³oœno, nie pomn¹c na to, ¿e to wo³anie mo¿e przebudziæ Hindusa i ca³¹ bandê Dakoitów a nawet i samego Nanê Sahiba.

Nie rozumiej¹c go i nie odpowiadaj¹c, lady Munro nie przesta³a wpatrywaæ siê w niego b³êdnemi oczyma. Nie rozumia³a, jak straszne mêki ponosi jej nieszczêeliwy m¹¿, odnajduj¹cy j¹ w³acenie w chwili, gdy sam mia³ umieraæ. Nie pozna³a go i nie pojmoswa³a, ¿e do niej mówi.

Tak up³ynê³o kilka minut, poczem zas³oni³a twarz i cofnê³a siê o krok. Pu³kownik s¹dzi³, ¿e chce odejœæ.

– Laurencjo! – zawo³a³ znowu tak boleœnie, jak gdyby wypowiada³ ostatnie po¿egnanie.

Ale lady Munro nie myœla³a bynajmniej opuszczaæ p³aszczyzny Ripore, i straszne ju¿ tak po³o¿enie mia³o siê staæ jeszcze groŹniejszym.

Zatrzyma³a siê i zaczê³a znowu wpatrywaæ siê w armatê, która zwróci³a widocznie jej uwagê. Mo¿e jej widok przywodzi³ jej na myœl oblê¿enie Kanpuru. Powoli zbli¿y³a siê do dzia³a; przesuwa³a po niem rêk¹ trzymaj¹c¹ zapalone ³uczywo, gdyby jedna iskierka pad³a z niego na nabój, wystrza³ nast¹pi³by w tej chwili.

Czy¿ wiêc nieszczêeliwy Munro mia³ zgin¹æ z tak ukochanej rêki?...

Nie móg³ znieœæ tej myœli; wola³ wiêc umieraæ wobec Nany Sahiba i jego bandy. Chcia³ wiêc krzykn¹æ, aby zbudziæ swoich katów...

Wtem uczu³, ¿e jakaœ rêka wysuwaj¹ca siê z wnêtrza armaty, ujê³a jego rêce skrêpowane na plecach; a widocznie by³a to d³oñ przyjazna, gdy¿ stara³a siê uwolniæ go z wiêzów. Uczu³ niebawem zimno stali wsuwaj¹cej siê ostro¿nie miêdzy jego rêce i krêpuj¹ce je powrozy, co da³o mu poznaæ, ¿e nie wiedzieæ jakim cudem, oswobodziciel jego ukrywa³ siê we wnêtrzu armaty.

Tak, nie myli³ siê, wyraŹnie ktoœ przecina³ sznury któremi by³ przywi¹zany...

Trwa³o to parê sekund; móg³ odsun¹æ siê naporê kroków, by³ wolny. Pomimo ca³ego panowania nad sob¹, zaledwie st³umi³ okrzyk radoœci, który by³by go zdradzi³.

Dwoje r¹k wysunê³o siê z otworu armaty... Munro pochwyci³ je i szarpn¹wszy silnie, zobaczy³ jak ktoœ precysn¹wszy siê z wielk¹ trudnoœci¹ przez otwór armatni, upad³ przy jego nogach.

By³ to Gumi!

Ukrywsi się, aby uniknąć śmierci z ręk Kalagani, wierny sługa nie zwrócił się ku jezioru, ku któremu podług zgraja Nassima, ale poszedł drogą wiodącą do Jubbulpore. Doszedłszy do drogi prowadzącej do Ripore, był zmuszony znów ukryć się, gdy dostrzegł zgraję Hindusów rozmawiających o pułkowniku Munro; że liczny poczet Dakoitów, których naprowadził Kalagani, popędzi go do fortecy Ripore, w której Nana Sahib ma zadać mu śmierć wystrzałem z działem, do którego każe go przywiłać. Bez wahania zapuścił się w krętą ścieżkę i dostał się ni na piaszczynek opuszczony wtedy zupełnie. Tam przyszedł mu myśl wsunięcia się w olbrzymie działo, aby w razie sprzyjających okoliczności uwolnić ukochanego pana, a gdyby mu się nie udało go ocalić, zginął z nim śmiercią.

– Dzień nadchodzi – rzekł cicho Gumi, uciekajmy!

– A lady Munro? – rzekł pułkownik.

I wskazał na obłok, stojący nieruchomo. W tej chwili oparł rękę na armacie w pobliżu naboju.

– Unieśmy ją!... – odrzekł wierny Gumi, nie zadaj żadnych pytań.

Lecz było już zapóźno.

Gdy obaj zbliżyli się do biednej okładziny, chcąc ją unieść, ta chcąc im się oprzeć, uchwycił się ręką działem; wtedy zapalone uczucie dotknęło naboju i straszny odgłos wystrzału, odbijający się głośnie echem w górach Vindhya, rozległ się jakby silny grzmot po całej dolinie Nerbuddy.

Rozdział XIII

STALOWY OLBRZYM.

Na odgłos tego wystrzału lady Munro padła zemdlona w objęcia męża, który nie tracąc chwili zaczął z nią uciekać. Przebudzony wystrzałem Hindus, któremu powierzono straż nad wieżami, zerwał się, chcąc ich ścigać, ale Gumi zadał mu śmierć trzymanym jeszcze w ręku nożem. Późem szybko puścili się w ślad ścieżką wiodącą ku drodze do Ripore.

Zaledwie minęli wąską fortecę, zbudowaną nagle bandą Nany Sahiba wyległa na piaszczynek.

Nie mogli oni pojąć co się stało i co mają robić, a to ich wahanie było nader pożytecznym dla zbiegów.

Nana Sahib rzadko kiedy spędzał całą noc w fortecy; toteż i teraz, kazawszy przywiłać pułkownika Munro do paszczy armaty, poszedł odwiedzić kilku naczelników plemienia Gundwana, u których nigdy nie bywał w dzień. Ponieważ była to godzina, o której zwykle powracał, oczekiwano go więc lada chwila.

Kalagani, Nassim, Hindusi, Dakoici, razem przeszło stu ludzi, byliby niezawodnie rzucili się w pogoń za zbiegającym wieżami, gdyby odrazu zrozumieli, że uciekają; ale nie wiedzieli co i jak się stało,

a zabity Hindus nie mógł ich objąć. Z różnych przypuszczeń to wydawało im się najprawdopodobniejszym: że niepojętym wypadkiem ogień dostał się do naboju przed czasem oznaczonym przez naboba i wystrzą musiał rozszarpać więźnia, daleko rozrzucając jego szczątki.

Kalagani i jego towarzysze uniesieni wściekłym gniewem, wyrażali różne zorzeczenia i przekleństwa; więc ani Nana Sahib, ani żaden z nich nie będzie miał tej rozkoszy, aby mógł patrzeć na męczarnie i zgon pułkownika Munro!...

Nie doświadczył na tem, nabob był gdzieś niedaleko i niezawodnie doszłszy odgłos wystrzału, powróci za tem niebawem do fortecy – i cóż mu powiedz, gdy zapyta o więźnia, którego w niej zostawił?

Gdy oni naradzali się i wahali, sir Edward Munro i Gumi, dziękując Bogu za tak cudowne ocalenie, biegli prędko krętym wozem. Lady Munro choć zemdlona była tak lekko, iż nie wiele zaciężyła pułkownikowi, który był nadzwyczaj silny, zresztą idący obok niego Gumi mógł w każdym razie przyjąć mu z pomocą.

W pięć minut po minucie wsiadłszy do fortecznego przebyli po drodze z płaszczyzny do doliny; ale zaczynało się i pierwsze blaski jutrzeńskie przedierały się do gębi ciasnych wozów.

Nagle gwałtowne krzyki rozległy się nad ich głowami.

Przechylony nad parapetem, Kalagani dostrzegł cienie dwóch uciekających ludzi; jednym z nich był pewnie więzień Nany Sahiba.

– To Munro! – to Munro! – wrzasnął wściekłym uniesiony gniewem.

I w tej chwili wraz z całym bandą rzucił się za nim w pogoń.

– Dostrzegli nas – rzekł pułkownik do Gumiego, nie zwalniam kroku.

– Powstrzymam najpierwszych – odrzekł Gumi; ja zginę, ale może pan pułkownik zdążyć uciec.

– Jeżeli nie zdążymy się ocalić, zginemy obaj – odrzekł pułkownik.

O ile tylko mogli, przyspieszali kroku; ścieżka była teraz mniej stroma, mogli więc biec prędzej. Już tylko z jakie czterdzieści kroków oddzielało ich od gościńca, po którym ucieczka miała być łatwiejsza, ale też i ścisłym byłoby ich goniąc.

O ukryciu się gdzieś nie można było nawet myśleć, gdyż znajcy miejscowość Dakoici znaleźliby ich niebawem. Trzeba więc tylko było starać się ich wyprzedzić wyjąc pierwszym z wozów Vindhyaśów.

Pułkownik postanowił raczej umrzeć niż dostać się znów żywcem w moc Nany Sahiba.

Gdy pierwsi Hindusi przebywali wsiadłszy do forteczny, pułkownik Munro i Gumi dochodzili już do drogi prowadzącej do gościńca, odległego o jakie ćwierć mili.

Odwagi, panie mój! – zawo³a³ Gumi, gotów każdej chwili poświęcić życie dla ocalenia pu³kownika, za piêæ minut wejdziemy na drogê, wiod¹c¹ do Jubbulpore.

– Daj Boże, abyemy znaleŹli na niej pomoc! – wyszepta³ pu³kownik.

Wrzaski Hindusów dawa³y siê coraz wyraŹniej s³yszeæ. W chwili, gdy dwaj zbiegowie dochodzili do drogi, dwóch szybko biegn¹cych ludzi wesz³o na œcieŹkê. By³o juŹ doœæ widno, moŹna wiêc by³o widzieæ siê dobrze i posnaæ, to teŹ jednocześnie dwa krzyki niewys³owionej nienawiœci rozleg³o siê w przestrzeni:

– Munro!

– Nana Sahib!

Pos³yszawszy og³os wystrza³u, nabob coprêdziej wraca³ do fortecy; nie móg³ poj¹æ, dlaczego przed oznaczon¹ godzin¹ spe³niono jego rozkaz.

Jeden tylko Hinduś towarzyszy³ mu, ale ten ugodzony niespodzianie, pad³ u stóp Gumiego, który zada³ mu œmiertelny cios noŹem.

– Do mnie! – krzykn¹³ Nana Sahib do nadbiegaj¹cej t³uszczy.

– Dobrze! – krzykn¹³ Gumi, rzucaj¹c siê na naboba.

Uczyni³ to w tym celu, aby jeœli nie zdo³a wydrzeæ mu Źycia, móg³ przynajmniej przeci¹gn¹æ walkê, aby pu³kownikowi daæ czas do uciezki: ale silny bardzo nabob uderzy³ go tak mocno w rêkê, Źe nóg wypad³ mu z d³oni.

Widz¹c siê rozbrojonym, Gumi zawrza³ szalonym gniewem, który spotêgowa³ jeszcze nadzwyczajn¹ jego si³ê. Uchwyci³ w p³ naboba i przyciskaj¹c gwa³townie do siebie, ni³s³ go tak z zamiarem rzucenia siê wraz z nim w pierwsz¹ napotkan¹ otch³añ.

Przez ten czas Kalagani i towarzyszy¹cy mu Hindusi i Dakoici zbliŹali siê coraz wiêcej; gdy ich dopêdz¹, ani nadziei, by mogli ujœæ.

– Panie pu³kowniku, wytêŹaj pan ostatki si³, – wo³a³ Gumi; – ja jeszcze przez kilka minut zdo³am stawiaæ im opór, zas³aniajac siê nabobem jakby tarcz¹, ale pan uciekaj, nie ogl¹daj¹c siê na mnie!

Ale zaledwie trzy minuty oddziela³y juŹ tylko zbiegów od goni¹cych za nimi, a nabob przyt³umionym g³osem przyzywa³ wci¹Ź Kalaganiego.

Wtem o jakie dwadzieœcia kroków przed nimi rozleg³y siê nawo³ywania:

Munro! Munro!

Na drodze stykaj¹cej siê z goœciñcem sta³ Banks, kapitan Hod, sierŹant Mac Neil, Fox i Parazard, a sto kroków dalej na goœciñcu, czeka³ na nich Olbrzym Stalowy, buchaj¹cy k³êbami dymu, a w nim

Po zniszczeniu ostatniego wagonu Steam-House, inżynier i jego towarzysze byli zmuszeni poprzestać na ilbrzymim s³oni, którego banda Dakoitów nie zdo³a³a zniszczyæ ani uszkodziæ. Umieœciwszy siê na jego grzbiecie jak na koniu, zwrócili siê na drogê, wiod¹c¹ do Jubbulpore. Ody przeje¿dzali obok drogi do fortecy, nadzwyczaj silny strza³ armatni rozleg³ siê nad ich g³owami, wtedy zatrzymali siê i wiedzeni przeczuciem czy instynktem, pobiegli na drogê. Zobaczywszy ich, pu³kownik Munro zawo³a³:

– Ratujcie lady Munro!

– I trzymajcie dobrze prawdziwego Nanê Sahiba! – krzykn¹³ Gumi!

I gwa³townie rzuci³ na ziemiê na wp³³ ju¿ uduszonego naboba, a kapitan Hod, Fox i Mac-Neil pochwycili go w tej chwili. Poczem o nic nie pytaj¹c, nie ¿¹daj¹c ¿adnych objaœnieñ, wszyscy pobiegli ku Stalowemu Olbrzymowi.

Z rozkazu pu³kownika, który chcia³ wydaæ naboba w³adzom angielskim, ten¿e zosta³ mocno przywi¹zany do karku s³onia. Lady Munro przeniesiono do wie¿y; pu³kownik stara³ siê ocuciæ j¹ z zemdlenia, a gdy zaczyna³a odzyskiwaæ zmys³y, œledzi³ bacznie, czy nie objawi siê choæby iskierka przytomnoœci.

Inżynier i jego towarzysze wdrapali siê znów na grzbiet s³onia.

– PêdŸ jak mo¿na najprêdzej! – krzykn¹³ Banks do mechanika.

Dzieñ ju¿ nasta³. Pierwsza banda Hindusów ukaza³a siê o jakie sto kroków od nich; trzeba by³o wszelkimi si³ami dostaæ siê przed nimi do pierwszych posterunków wojska, stoj¹cych w pobli¿u stacji Jubbulpore.

Stalowy Olbrzym mia³ teraz podostatkiem wody i opa³u i nie zbywa³o mu na niczem niezbêdnem do podniesienia do maximum ciœnienia pary, aby móg³ pêdziæ o ile mo¿liwe najspieszniej – ale droga tak pe³na by³a zakrêtów, ¿e niepodobna by³o jechaæ zbyt prêdko.

Wrzaski Hindusów wzmaga³y siê ci¹gle; dopêdzali Stalowego Olbrzyma.

– Przyjdzie nam siê broniæ, – rzek³ sier¿ant Mac-Neil.

– A wiêc bêdziemy siê bronili! – odrzek³ kapitan.

Mieli wszystkiego dwanaœcie naboï, nale¿a³o wiêc bardzo ich oszczêdzaæ, aby odstrasza³y nacieraj¹cych uzbrojonych Hindusów.

Kapitan Hod i Fox, z karabinami w rêku, umieœcili siê nieco poza wie¿yc¹. Gumi, tak siê uszykowa³, aby móg³ strzelaæ z boku; Mac-Neil sta³ tu¿ obok Nany Sahiba, z rewolwerem w jednej, ze sztyltem w drugiej rêce, aby ugodziæ w pierœ jego, gdyby Hindusi ich dopêdzili. Kalut i Parazard stali przy ognisku, aby dodawaæ paliwa. Banks i Storr kierowali bieg Stalowego Olbrzyma.

Gonitwa trwała już dziesięć minut i nie więcej jak dwieście kroków oddzielało Hindusów od pułkownika i jego towarzyszy. Wtem rozległo się kilkanaście strzałów.

Kule cwisnęły ponad Stalowym Olbrzymem, z wytkiem jednej, która trafiła go w koniec trąby.

– Nie odstrzeliwajcie! – krzyknął kapitan Hod; – są jeszcze za daleko, trzeba oszczędzać kul i strzelać tylko na pewno.

W tym miejscu droga zaczęła się ciągnąć w prostej linii, co widząc Banks, kazał dodać pary i otworzyć regulację i dzięki temu wkrótce wyprzedzili Hindusów o kilkaset kroków.

– Wiwat! wiwat! nasz Stalowy Olbrzym! – krzyknął kapitan, – aha, ostry! nie będziecie go mieli!

Lecz niebawem znów nastąpiła kręta droga, pnieła się pod górę, zniewalając do zwolnienia biegu; wiedząc o tem Kalagani i jego towarzysze, nie zaprzestawali więc pogoni. Jakkolwiek nie mieli już nadziei ocalenia Nany Sahiba, pojmując, że za ich zbliżeniem którykolwiek z towarzyszy pułkownika pchnięciem sztyletu pozbawi go życia, ale pragnęli przynajmniej pomóc jej oćmierzać.

Niebawem rozległy się nowe wystrzały, ale nie dosięgły żadnego z uciekających na Stalowym Olbrzymie.

– Baczność! – krzyknął kapitan Hod, celując.

On i Gumi dali ognia równocześnie i dwaj Hindusi, znajdujący się najbliżej, padli ugodzeni w piersi.

– Mniej o dwu! – zawołał Gumi, nabijając karabin.

– Dwu na sto, to za mały procent! – odrzekł kapitan; niech nam zapłacą lichwiarskie odsetki!

Fox przychylił się do nich, wystrzelili z karabinów, i znów padli trzej Hindusi.

Na nieszczęście coraz więcej zwężając się kręta i bardzo spadzista droga, nie tylko nie dozwalała dopuszczać pary dla przyspieszenia biegu, ale nawet zmuszała do coraz wolniejszej jazdy. Ta stroma pochyłość ciągnęła się jeszcze z pół mili, gdyby zdążyli ją przebyć, znaleźliby się o jakie sto kroków od odwachu, skąd widać już stację Jubbulpore.

Strzały kapitana i jego towarzyszy nie zdążyły wstrzymać pogoni Hindusów, ani myśleli się cofnąć; za nic mieli własne życie, skoro chodzi o ocalenie lub pomszczenie Nany Sahiba. Zginie dwudziestu lub trzydziestu, ale kilkudziesięciu rzuci się na Stalowego Olbrzyma i z łatwością pokonają garstkę, której ten słoń służy za ruchomą forteczę. To też podwajali usiłowania, aby ich dogonić.

Zresztą Kalagani wiedział dobrze, że kapitan i jego towarzysze używają już ostatnie ładunki i że wkrótce nie będą mogli posługiwać się swymi karabinami.

Jakoż rzeczywiście pozostało im już tylko kilka ładunków i za chwilę mieli być pozbawieni

wszelkiego  erodka obrony. Zn w jednak dali cztery strza³y i pad³o czterech Hindus w.

Kapitan i Fox mieli ju³ tylko po jednym ³adunku, inni  adnego.

W tej chwili Kalagani ci¹gle pozostaj¹cy w tyle wysun¹³ si  naprz d wi cej, ni³ pozwala³a przezorno e.

– A! mam ci ! – zawo³a³ kapitan i celuj¹c do niego, wystrzeli³.

Kula ugodzi³a zdrajc  w samo czo³o; wyci¹gn¹³ r ce, zachwia³ si  i upad³.

Jednoczenie ukaza³ si  koniec w¹wozu; pad³ ostatni strza³ z karabinu Foxa i poleg³ jeszcze jeden Hindu.

Gdy usta³y wystrza³y, Hindusi zmiarkowali,  e  ecigani nie maj¹ ju³ nabo*i* i postanowili niebawem przypu eci  szturm do s³onia, oddalonego ju³ zaledwie o pi edziesi¹t krok w.

– Zeskoczy  na ziemi ! – krzykn¹³ Banks.

W tym stanie rzeczy nie mo³na by³o ratowa  si  inaczej, jak opuszczaj¹c Stalowego Olbrzyma, bieć co tchu starczy³o do niezbyt oddalonego odwachu.

Pu³kownik porwa³  on  na r ce i zeskoczy³; kapitan Hod i inni poszli za jego przyk³adem. Sam tylko Banks pozosta³ w wi zycy.

– A co zrobimy z tym ³otrem? – zapyta³ kapitan, wskazuj¹c Nan  Sahiba, przywi¹zanego do karku s³onia.

– B¹d³ spokojny, kapitanie, spu e si  na mnie, odrzek³ Banks szczeg lniejszym tonem.

I nadawszy ostatni obr t regulatorowi, z kolei i on zeskoczy³ na ziemi . Wszyscy zacz li bieć co tchu ku odwachowi, trzymaj¹c sztylety w r ku, aby przynajmniej drogo sprzeda  swoje  ycie.

Jakkolwiek pozostawiony samemu sobie, Stalowy Olbrzym posuwa³ si  dalej, ale pozbawiony kierunku, uderzy³ o ska³  wystaj¹c¹ z lewej strony w¹wozu i zatrzymuj¹c si  nagle, ca³kiem prawie zagrozi³ drog .

Banks i towarzysze jego ubiegli ze trzydzieci krok w, gdy ca³a zgraja Hindus w rzuci³a si  na Stalowego Olbrzyma, aby uwolnia  Nan  Sahiba.

Wtem nagle rozleg³ si  w powietrzu przera³aj¹cy huk, pot ³niejszy od najsilniejszego grzmotu.

Przed samem opuszczeniem wi zy, Banks dopu eci³ nadzwyczaj wiele pary, wskutek czego nast¹pi³o nadzwyczajne cico*enie*; gdy wi c Olbrzym uderzy³ o ska³ , para nie mog¹c uchodzi  przez cylindry, rozsadzi³a kocio³ i szcz¹tki jego z przera³liwym hukiem rozlecia³y si  na wszystkie strony.

– Biedny Olbrzym! – rzek³ ze smutkiem kapitan, – zgin¹³, aby nas ocali !

Rozdział XIII

PIĘDZIESIĘTY TYGRYS KAPITANA HODA.

Teraz już pułkownik Munro, jego przyjaciele i towarzysze podróży, nie potrzebowali obawiać się ani naboba, ani Hindusów, ani Dakoitów, gdyż na odgłos wybuchu nadbiegł oddział żołnierzy z odwachu. Hindusi pozbawieni wodza na ich widok uciekli.

Pułkownik Munro dał się poznać żołnierzom. W pół godziny doszli do stacji Jubbulpore, gdzie znaleźli wszystko, czego mogli potrzebować, a szczególnie żywność, której byli od tylu godzin pozbawieni.

Lady Munro zamieszkała z mężem w wygodnym hotelu, do czasu przewiezienia jej do Bombaju. Tam pułkownik miał nadzieję wrócić zdrowie duszy tej, która żyła fizycznym tylko życiem i pozostałaby zawsze jakby martwą dla niego, jeśliby nie odzyskała rozumu.

Zresztą i wszyscy przyjaciele pułkownika cieszyli się nadzieją, że lady Munro zostanie uleczona, oczekując z ufnością tej chwili, mającej tak zbawiennie oddziaływać na jego życie i usposobienie.

Po kilku dniach postanowiono odjechać do Bombaju, stolicy Indji zachodnich, pierwszym rannym pociągami, ale zamiast okazałego Steam-House i Stalowego Olbrzyna, z którego pozostały tylko bezkształtne szczątki, zajęli miejsca w zwykłych wagonach kolei, ciśnionych najzwyczajniejszym w świecie lokomotywami. Jednak gorący wielbiciel stalowego słońca, kapitan Hod i jego twórca, genialny inżynier Banks, jak również każdy z uczestników tej niezwykłej podróży, zachowali do końca życia pamięć o „tem wiernym zwierzęciu”, w którego życie prawie uwierzyli. Zawsze brzmiało im w uszach straszliwy odgłos wybuchu, który go zniszczył.

To też łatwo pojąć, że Banks, kapitan Hod, Fox i Gumi, zapragnęli przed odjazdem zwiedzić miejsce, które było widownią tak przerażającej katastrofy.

Jakkolwiek nie trzeba już było obawiać się bandy Dakoitów, jednak, przez chwalebny przezorność, oddział żołnierzy towarzyszył Banksowi i jego współtowarzyszom podróży. O jedenastej stanęli u wejścia do wozu.

Tu zaraz zobaczyli na ziemi rozszarpane ciała kilku Hindusów, tych wściekłych, którzy rzucili się na Stalowego Olbrzyna, aby oswobodzić Nanę Sahiba. Zresztą z całej bandy nie zostało najmniejszego śladu. Widocznie, nie chcąc wracać do zniszczonej forteczki Ripore, skoro już wiedzieli, że się w niej ukrywali, ostatni z wiernych do końca nabobowi, rozbiegli się po dolinie Nerbuddy.

Co do Stalowego Olbrzyna, wybuch kotła rozsadził go i zniszczył zupełnie. Jedną z jego ogromnych ścian leżała daleko; czuła trąby zaryły się w skałę, stercząc w niej jakby olbrzymia prawica. Tu i ówdzie leżały poodrywane kawałki stali, ceruby, nity, odłamki cylindrów, szczątki wieży i lokomotywy. Straszne to zniszczenie dowodziło, że w chwili wybuchu ciśnienie pary musiało przechodzić dwadzieścia atmosfer.

I oto z tego sztucznego s³onia, z którego podróżnicy ze Steam-House byli tak dumni, z tego kolosu, wywo³uj¹cego zabobonny podziw Hindusów, z tego mechanicznego arcydzie³a genialnego in³yniera, z tego urzeczywistnionego marzenia rad³y Butanu, pozosta³ tylko nêdzny, nie do poznania szkielet, nie maj¹cy najmniejszej wartoœci.

– Biedny S³oñ! – zawo³a³ kapitan Hod, patrz¹c na te szcz¹tki ulubionego swego Olbrzyna i ciê³kie westchnienie wydar³o siê z jego piersi.

– Nie rozpaczaj, kapitanie, – rzek³ Banks, – mogê zbudowaæ innego, jeszcze potê³niejszego.

– Wierzê temu, – odrzek³ kapitan Hod, – ale ten ju³ nie powstanie!...

Wtem przysz³o im na myœl rozejrzeæ siê po miejscowoœci, czy nie znajd¹ jakichœ œladów Nany Sahiba. Gdyby w braku g³owy znale³li choæ rêce, to i tak po brakuj¹cym palcu poznaæby mo³na naboba i stwierdzaæ jego to³samoœæ; a pragnêli bardzo mieæ ten niezaprzeczony dowód œmierci Nany Sahiba; Balao Rao ju³ nie ³y³, nikt wiêc nie bêdzie móg³ za niego uchodziæ. Ale nigdzie nie by³o ani œladu jego cia³a, unieœli je widaæ fanatyczni wielbiciele.

Oto jakie to poci¹gnê³o za sob¹ nastêpstwa: poniewa³ nie by³o pewnego dowodu œmierci naboba, legenda o nim odzyska³a swe prawa, a nieuchwytny Nana Sahib bêdzie zawsze ³y³ w pamieci ludnoœci Indji œrodkowych, zanim nareszcie zostanie zaliczony do rzêdu nieœmiertelnych bogów.

W ka³dym razie ani Banks, ani jego towarzysze nie mogli przypuszczaæ, aby dawny przywódzca móg³ unikn¹æ œmierci, spowodowanej wybuchem kot³a.

Przed powrotem na stacjê, kapitan Hod podniós³ z ziemi od³amek tr¹by swego ulubionego Stalowego Olbrzyna, aby go zachowaæ jako drog¹ pami¹tkê.

Nazajutrz, dnia 4. pa³dziernika, wszyscy opuœcili Jubbulpore w oddzielnym wagonie, który oddano do rozporz¹dzenia pu³kownikowi Munro i jego towarzyszom. W dwadzieœcia cztery godzin, minêli zachodnie Ghats, te Andy indyjskie, ci¹gn¹ce siê na d³ugoœæ trzystu mil, w poœród gêstych lasów bananów, sykomorów, teków, palm, kokosów, areków, drzew sanda³owych i bambusów. W kilka godzin pó³niej kolej dowioz³a ich do wyspy Bombaj, która ³icznie z wyspami Salcette, Elephanta i kilku innemi, tworzy doskona³1 przystañ i na której po³udniowo-wschodnim krañcu wznosi siê stolica prezydentury.

Pu³kownik nie mia³ jednak pozostaæ w tem wielkiem mieœcie, zamieszkanem przez najrozmaitsze narodowoœci, gdy³ przyzwani doktorzy polecili mu zamieszkaæ w jakiejœ pobliskiej willi, gdzie zupe³ny spokój, troskliwa opieka i poœwiêcenie mê³a musia³y stopniowo oddzia³aæ zbawiennie na stan umys³owy lady Munro.

Up³ynê³o parê miesiêcy, ³aden z towarzyszy i s³ug pu³kownika ani myœla³ go opuœciaæ; chcieli koniecznie byæ w tym dniu, którego bliskie nadejœcie zwiastowali lekarze, gdy nareszcie lady Munro odzyska rozum.

Nadzieje nie zawiod³y ich. Umys³ lady Munro, powoli, stopniowo budzi³ siê do ³ycia i wkrótce

B³êdny Ognik pozosta³ tylko smutnem wspomnieniem.

– Laurencjo! Laurencjo moja! – zawo³a³ pu³kownik, – spostrzeg³szy, ¿e jakoœ inaczej patrzy na niego

– Edwardzie! – krzyknê³a i pad³a w jego objêcia.

W parê tygodni potem wszyscy zebrali siê w saloniku w bungalowie w Kalkucie, gdzie mia³o siê rozpocz¹æ odt¹d zupe³nie inne ¿ycie, ni¿ to, jakie wiód³ tam przed podró¿¹ zrozpaczony pu³kownik. Banks spêdza³ w nim wszystkie chwile wolne od pracy; Hod przyje¿d¿a³, ilekroæ móg³ dostaæ urlop. Sier¿ant Mac-Neil i Gumi zaliczali siê do domowników i nie mieli nigdy rozstaæ siê z pu³kownikiem Munro.

Fox nie odstêpowa³ kapitana, razem z nim odjecha³ do pu³ku stoj¹cego w Madras i razem z nim przyje¿d¿a³ na urlopy do Kalkuty.

– Bywaj zdrów i do widzenia! kochany kapitanie, – rzek³ ¿egnaj¹c siê z nim pu³kownik Munro. – Cieszê siê myœl¹c, ¿e nie masz powodu ¿a³owaæ odbycia podró¿y do pó³nocnych Indji, chyba mo¿e tego tylko, ¿eœ nie zabi³ swego piêædziesi¹tego tygrysa.

– Jako pu³kownika, przecie¿ go zabi³em.

– Gdzie¿ to i kiedy? – zapyta³ pu³kownik Munro.

– W w¹wozie Vindhya, – odpowiedzia³ z odcieniem dumy w g³osie. – Czterdzieœci dziewiêæ tygrysów i... Kalagani... czy¿ jego nie mo¿na uwa¿aæ za piêædziesi¹tego?

KONIEC.

[1] Kobieta, która nie posiadaj¹c tytu³ów, wychodzi za baroneta lub za szlachcica, dostaje tytu³ lady przed nazwiskiem swego mê¿a. Ale tytu³ ten nie mo¿e poprzedzaæ jej imienia chrzestnego, gdy¿ to przys³uguje tylko córkom parów.

[2] Oko³o 8 kilometrów.

[3] Od tego czasu koœció³ pami¹tkowy zosta³ ju¿ wykoñczony. Na tablicach marmurowych napisy: Ku pamiêci in¿ynierów, którzy budowali i pomarli wskutek zarazy lub ran w powstaniu 1857 r., oficerów, sier¿antów i ¿o³nierzy 34. pu³ku armji królewskiej, zabitych w potyczkach 17. XI. przed Kanpurem; ¿onom i dzieciom 32. pu³ku i na koniec pamiêci mêczenników z Bibi-Ghar, wymordowanych w lipcu 1857 roku.